TADEUSZ CHRZANOWSKI

WIERSZE

HENRYK GAWORSKI

ŻEGNAJ BOŻE

ARTUR MIĘDZYRZECKI

OPOWIEŚCI MIESZKAŃCA NAMIOTÓW

ZBIGNIEW HERBERT

JASKINIA FILOZOFÓW

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

JAN LECHOŃ (WSPOMNIENIE)

JEAN-PAUL SARTRE

ROZWAŻANIA O KWESTII ŻYDOWSKIEJ

TWÓRCZOŚĆ

9

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

ROK XII WRZESIEŃ 1956 Nr 9

SPIS TREŚCI

Tadeusz Chrzanowski
CI Z AK OGLĄDAJĄC SZTYCHY SPRAWY CODZIENNE
Str. 5

Stanisław Grochowiak
KOMENDANTOWA
Str. 9

Barbara Nawrocka
OSTATNIA MSZA
Str. 18

Marian Czerniecki
PRÓG
Str. 32

Henryk Gaworski
ŻEGNAJ BOŻE
Str. 38

Artur Międzyrzecki
OPOWIEŚCI MIESZKAŃCA NAMIOTÓW
Str. 49

Magdalena Wroncka
KOCHANKOWIE DZIECKO PALEOLIT
Str. 89

Zbigniew Herbert
JASKINIA FILOZOFÓW
Str. 92

Antonio Machado
ZBRODNIA BYŁA W GRENADZIE (fragment) SONET KU NISKIEMU KRAJOWI (fragment) * * * (KOCHANA, WIATR OBWIEŚCIŁ...) * * * (UCIEKAJĄCA I WIECZNIE...)
(przełożył *Janusz Strasburger*)
Str. 129

Jarosław Iwaszkiewicz
JAN LECHOŃ (WSPOMNIENIE)
Str. 132

Jean-Paul Sartre
ROZWAŻANIA O KWESTII ŻYDOWSKIEJ
(przełożył *Jerzy Lisowski*)
Str. 148

OGLĄDAJĄC SZTYCHY

Chłodne, rzeczowe sztychy
— nieocenione świadectwa —
opowiadają dokładnie
ważne zdarzenia historii.

Kaligrafują subtelnie
świat — niby zdanie — okrągły,
gdzie ludzie albo przecinki
stoją wśród wielkich słów.

Zdziwiony szukam wśród tłumów,
które wzbierają ulicą,
spraw, które także tam były,
lecz uszły oczom i rylcom.

Zaglądam w okna i twarze,
rozwijam zamarłe gesty,
spod peruk chciałbym wydobyć
myśl krótką: jeśli tam jest.

To wszystko — bezużyteczne,
zostało gdzieś na uboczu,
przystępne chemicznym procesom,
jak sprzęty, ciała, uczucia...

Chłodne, rzeczowe sztychy
opowiadają sumiennie,
jak kogoś wieńczono laurem,
jak komuś odjęto głowę,

jak innych witano albo
jak się bawiono na placach,
gdy wojna przyniosła tryumf
(gdy na niej zarobił władca...).

Lecz gdzież jest ciepło i tlen?
Lecz gdzież jest oddech u warg?
Chwytam za przegub czas,
lecz nie ma tętna we krwi...

I myślę o moim dniu,
i myślę o naszym czasie,
przecinkiem dzieląc wyrazów
chłodny, rzeczowy bieg...

a nagle: wąziutkie słowa,
cieniutkie kreseczki liter,
i kartę przede mną okrywa
obraz wierny szczegółom...

Ludźmi wzbierają ulice
miast chudych, otyłych lądów,
lecz czego dotknął rysunek —
spojrzeń? czy sądów?

A przecież przyjdzie ten,
kto spyta nas o świadectwo:
za rok, za sto lat, za kiedyś —
pod naszą nieobecność.

1952

SPRAWY CODZIENNE

Dziewczyna dziecko nowonarodzone
z trzeciego piętra rzuca na podwórko.
Inna dziewczyna z trójką dzielnych chłopców
zabija starca — tylko dla rabunku.
Rzeczywistości sprawy oczywiste:
drobne poprawki w długiej drodze istnień.

On był lekarzem chorych instrumentów
i tętnom dźwięku przywracał harmonię.
Ono, to było z czterech elementów
zlepione serce, żołądek i dłonie.
On był na skraju, ono — na początku
ludzkiego, bardzo ludzkiego porządku.

Naród, co siebie nie może wychować,
błędny sylogizm wśród logiki dziejów,
dla jednych będzie grzmiącym hasłem: „prowadź",
dla drugich rajem smętnych kołodziejów,
trzecich raz dumą, raz wstydem rumieniąc,
dla czwartych, piątych i następnych: pieniądz.

Nie mnie przyznane prawo osądzania,
nauk moralnych wykłady nie dla mnie.
Dla mnie poezji biedna kalkomania,

dla mnie córeczka i dnia trud też dla mnie,
nie łudźcie, strofy, że chodzicie w todze —
nie dla was sądy — dla was tylko noce.

Niech do dyskusji przystępują mędrsi,
gryząc problemy, wychylając wnioski,
dla mnie nierówne uderzenia w piersi
i równym słuchem odmierzane zgłoski.
Niech wymierzają wyrok — sprawiedliwsi.
Dla mnie — przestroga: gorzkie ziarno myśli.

Dziewczyna dziecko nowonarodzone,
dziewczyna starca, schodzącego starca —
więc wyjdą prawa i zadzwonią dzwonem,
więc tłum wypłynie i stanie na placach,
więc wyrok padnie —
i wróci, wśród gwaru,
do spraw na chwilę porzuconych — naród.

Tadeusz Chrzanowski

Stanisław Grochowiak

KOMENDANTOWA

Ze wszystkich kobiet urodziwych, miłych
Niech przyjdzie ona, piękniejsza od każdej,
Z którą porównać się nikt nie ma siły,
Bo gasi inne, jak dzień gasi gwiazdy.
Miłość mi szepce do ucha: — Ach, patrzmy!
Dopóki ona na świecie zostanie,
Życie jest piękne...

(Petrarka)

I

Komendantowa była duża i biała. Miała twarz okrągłą jak ser. Ale na tym pustkowiu wszystkim wydawała się mądra i ładna.

Dawniej nazywała się chyba Wiśniewska, nosiła imię Lolita i koneserzy powiadali, że zawiadywała małą stancyjką z trzema dziewczynkami. To była drobna firma, lecz zacna — dziewczynki higieniczne, co miesiąc badane przez medyka, chodzili do nich sami generałowie. Jednak nic sprawdzonego: koneserzy — Rura i Kapiszon — przed wojną jeździli na dorożkach i z generałami mieli co najmniej mało wspólnego. Bombiarze.

Komendantowa — jak pamięcią sięgnąć — zawsze była w oddziale i zawsze była komendantową. Wpierw za Żuka, a jak Żuka powiesili, to — za Gromiwoja. Miała swoje przywileje: co ładniejszych Niemców wybroniła od gałęzi, tak że szli na rozwałkę. Dziękowali jej: *Mutter, Mutter...*, aż ją Gromiwoj nazwał Notre-Dame, i tak została.

Widzę ją: tęgą, mocną kobietę w bryczesach i w kraciastej koszuli. Widzę ją, jak chwyta osiemnastoletniego Liska za pyszczek i mówi: „pocałuj mamę!" Jak Liskowi błyszczą oczka i jak się pnie: „prześpij się ze mną, Notre-Dame!" I znowu ją: „Oj, Lisku, Lisku! Pilnuj ogonka podczas dzisiejszej rozróby! Jak ubijesz z jedną sztukę, to dostaniesz od mamusi podniebienie!" I widzę wreszcie Liska, z mordką wkuloną w ziemię, z sinymi paznokciami, z nosem umoczonym w kałuży krwi. Dół. Komendantową przy ogniu chlejącą zdobyczny spirytus, komendantową w rozpiętej koszuli, komendantową łkającą jak suka: „wszyscy młodzi, ładni chłopcy, do mnie. Jeszcze Polska nie zginęła..."

Ale bywała również subtelna, ciepła, macierzyńska. Podczas nabrzmiałych upałem słodkich wieczorów lipcowych, gdy dobry Pan Bóg zesłał nam trochę spokoju, chłopcy grali na organkach, a Notre-Dame rozpuszczała świeżo wymyte włosy. Siedziała pod drzewem, cerowała komuś kalesony i wyglądała z tym wszystkim jak ze starodawnego obrazu. Albo rankiem chodziła się kąpać, a my wszyscy — jak nas było wtedy ze trzydziestu — podpatrywaliśmy ją z krzaków. Ciało miała trzydziestoletnie, mocne, dobrze uformowane. Twarz białą i okrągłą jak ser, ale całą resztę przyjemnie śniadą. To była kobieta — kobieta całą gębą. Nie widzę jej jakoś tak: w jednym momencie, w jednej pozie. Zawarła się w mej pamięci ruchliwa, nagła, wciąż inna i pyszna, Polka jak diabeł i jak szatan kochanka. Nie przesadzam: Notre-Dame.

Było to chyba latem 1943.

Pewnego dnia obudziła nas głucha strzelanina, dobiegająca od sąsiedniej wsi. Byliśmy wykrwawieni przez ostatnią akcję, padł wtedy Topór, Zupełny, Limba, Turek i Solali. Więc siedzieliśmy cicho, chociaż wiedzieliśmy, co tam się dzieje: po okolicy krążyły te bestie Łotysze. Urządzili sobie we wsi krwawy, bestialski burdel: gwałcili nieludzko nasze dziewczęta. Leżeliśmy wszyscy przy ziemi, plackiem, było tylko słychać nasze gorzkie, zwierzęce sapanie. Niektórym dzwoniły zęby. Od wsi dobiegały na przemian wrzaski pijanych morderców i skowyt miażdżonych kobiet.

Nagle jeden — Orzeł to był chyba? — nie wytrzymał. Zerwał się i z parabellum w łapie zaczął płakać. Stał z krzywą głową, z tym wypukanym do ostatka parabellum, z giętkimi nogami, i charczał głośno, boleśnie. Z namiotu wyszła Notre-Dame... Podeszła do niego, powiedziała: — „Synu mój!“ — i dała mu potężnego kopniaka w zadek. Kiedy położył się potulnie koło nas, komendantowa — wciąż stojąc nad nami — rozkazała:

— Mówcie: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje...“

Powtarzaliśmy dziesięć razy, szeptem, mechanicznie.

„Ojcze nasz, któryś jest w niebie... Ojcze nasz, któryś jest w niebie... Ojcze nasz...“ Wielu mieliśmy takich, co dawno już gwizdali na Boga, na anioły, diabły i te rzeczy. Tym razem jednak mówiliśmy wszyscy jak jeden mąż: „Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy...”

Jęki we wsi milkły. Raz po raz pukały ostatnie, pojedyncze strzały. A my: „Ojcze nasz...“ I dobrze nam było wiedzieć, że komendantowa stoi nad nami. Że jak któryś się zerwie i zacznie wrzeszczeć, to dostanie kopa w krzyże.

Po całej tej historii, chyba godzinę później, z namiotu komendantowej wyskoczył w kalesonach Szef. Klnąc siarczyście podszedł do Brodatego — zastępcy.

— Słuchaj, co ta kurwa sobie myśli, chciała do mnie strzelać.

Brodaty chwycił Gromiwoja za nos i warknął:

— Tylko nie kurwa, Szefie, i wywalaj w jasne diabły!

Były to ciężkie czasy. Włóczyliśmy się, coraz mniej liczni, coraz bardziej zmęczeni, z lasu do lasu, z meliny do meliny. W mrozie, w piekielnym śniegu, w dzikich zadymkach rąbaliśmy sobie łopatkami schroniska. Niektórym odmarzały nogi, uszy, ręce. Ranni miotali się na noszach w gorączce, zrzucając

zwilgłe płótna. Umierali nagle na zapalenie płuc. I przybywało roboty: po czterdziestokilometrowym marszu nie dość było rąbać nowe lepianki, trzeba było jeszcze kopać groby. Te ceremonie były straszne: w dół płaski jak korytko układaliśmy nagie ciało (łachy przydawały się żywym), potem zrzucaliśmy ziemię. Ale grudy już zdążyły skrzepnąć na kamień i należało gnieść je buciorami, ugniatać na takim nagim, świeżym ciele. Zostawialiśmy więc małe, ogołocone ze śniegu placyki — wzdęte, jakby w tym miejscu ziemia puchła.

Z tych ciężkich czasów przetrwał we mnie obraz komendantowej-konia. Szła zawsze na przedzie, ciągnąc jakieś sanie (co to były za sanie!) z rannym. Ciągnęła tak dwadzieścia, dwadzieścia pięć kilometrów od rana do zmierzchu lub późnej nocy. Wtedy nie wyglądała ładnie: sapała obficie jak chłop. Twarz jej szarzała, oczy wyłaziły z orbit. Jeśli przystawała, to żeby się wysmarkać za pomocą palców. Kopciła cybuchy z gazety. Nie zapinała także sznurówki, więc traciła połowę swego powabu. Nazywaliśmy ją więc: koń — i długiego trzeba było czasu, by któryś z nią zechciał się przespać i żeby znowu ożyło imię Notre-Dame.

Kim właściwie była? Uchodziła za konkubinę komendanta, ale przecież wszyscy mieli ją za żonę. Była i naszym wodzem, i służącą, tak, taką wyzyskiwaną służącą — i kochanką. I była kapłanem. Posiadała jakąś swoją ciemną, zawikłaną religię. Wszystkim, nawet tym, co gwizdali na Boga, anioły, diabły i te rzeczy, przemocą pozawieszała na szyjach szkaplerze. Długo nie wiedzieliśmy, skąd je wzięła. Dopiero potem okazało się, że ściągała je z ciał rozwalonych Niemców. To weszło w zwyczaj: każdy ściągał ze swojego nieboszczyka szkaplerzyk — Brodaty na przykład idąc do grobu miał ich jedenaście. Jeżeli kapłani rozdają przed bojem komunię, to komendantowa od śmierci Liska starała się w wigilię boju najwięcej z nas obsłużyć. Tak, robiła to uroczyście i ze wzruszeniem chyba trochę religijnym. Ja wiem, że dzisiejsi czytelnicy tych notatek — zwłaszcza fanatycy świętych światopoglądów — obruszą się na podobny cynizm, ale powtarzam: to było wielkie. To było święte i basta!

W niedzielę komendantowa czytała nam Ewangelię (gubiła się w kolejności, czytając niektóre ustępy po dwa razy), a potem sprawdzała wszystkim buty; czy są porządnie wypucowane). I czytanie Ewangelii, i przegląd butów były jednakowo ważne.

Umierających całowała w czoło, mówiąc niestosownie, bo śmiesznie — co nas okrutnie drażniło:

— Leć, duszyczko, do Boga...

Ja osobiście bałem się. że gdy doczekam takiej chwili, to nawet już z tamtej strony parsknę babie w nos i powiem:

— Nie wygłupiaj się, Notre-Dame...

Kim właściwie była?

Na wiosnę 1944 rozeszła się plotka, że komendantowa jest w ciąży. Przybiegł z tym do mnie koneser Rura. Był wczesny ranek, leżałem wówczas na czujce w cholernie niebezpiecznej okolicy, sam bałem się palcem ruszyć w bucie, a Rura najbezczelniej się przyczołgał i nieomal wrzasnął:

— Wieeesz, będziemy mieć dzieciaka!

— Kto my? I stul gębę!

— Komendantowa. Już trzeci tydzień nie ma swojego czasu. Bycze, co?

Zatkało mnie. Wybaczyłem Rurze jego nieostrożność i rozrabiactwo. Po raz pierwszy w życiu doznałem słodkiej świadomości ojcostwa.

Na brzegu lasu kwitły ciężkie okiście bzu. Stały takie śnieżne i fioletowe świece, dławiące ciężkim zapachem, paraliżujące zmysły. Po zmianie podczołgałem się pod krzewy i nie bacząc na niebezpieczeństwo łamałem najniższe gałązki. Kwaśny sok młodych pędów spływał mi po palcach. Z naręczem bzu przy twarzy doczołgałem się do meliny.

— Jest komendantowa?

Ale nikt mi nie odpowiedział. W obozie panowało piekło — Gromiwoj stał z Wisem na wierzchu, inni zaciskali pięści. Jak się okazało, ustalali datę — kiedy to mogło się stać? Każdy proponował własny dzień, ten, w którym właśnie on spał z Notre-Dame... Brodaty, olbrzymi niedźwiedź z nastroszoną rudą brodą, Lulek, czerwony z oburzenia grubasek, Rura, Kapiszon, Gromiwoj podskakujący czupurnie na swych chudych nóżkach — tak, tak, mam ich wszystkich przed oczyma: tych dwudziestu ojców, kłócących się o nie narodzonego dzieciaka. Nienawidziłem ich wówczas okrutnie, bo przecież byłem przekonany, że to właśnie m o j e dziecko. I pomimo że tylko ja sam przyniosłem kwiaty dla Notre-Dame, tak jak inni musiałem ciągnąć zapałki.

Wygrał oczywiście koneser Kapiszon.

Przez cały następny tydzień był najszczęśliwszym i najnieszczęśliwszym człowiekiem w oddziale. Gromiwoj wysyłał go na wszystkie szczególnie niebezpieczne akcje, które wymyślał z zaciekłością godną zazdrosnego mężczyzny. Liczyliśmy przecież, że Kapiszon dostanie w czapę i gra rozpocznie się od nowa. Ale koneser był twardy. Wracał zawsze żywy i cały, tyle tylko, że miał już tego sportu dość. Ubił przez tydzień Niemca i volksdeutscha, a bauerowi uprowadził krowę. I po co? W dziesięć dni później komendantowa dostała swój czas.

Mieliśmy w oddziale Ostroroga. Był to chudy, pogryziony przez choroby, wyłysiały człowieczek. Przyszedł do nas w czterdziestym trzecim, kiedy pod naszym bokiem Łotysze spalili wieś. Ostroróg stracił w tej katastrofie żonę (mówił o niej, że ładna) i dwuletnią córeczkę. Zaraz na początku trudno go było utrzymać w ryzach: darł się do akcji jak pies. Chciał zginąć. Potem nieco oklapł i powoli, powoli zaczynał zapominać; dużo w tej sprawie pomogła komendantowa. Ale nie czuł się dobrze — miał już przetrąconą duszę, czasami płakał, bardzo często całymi dniami do nikogo się nie odezwał, dużo pił. Wreszcie obleciał Ostroroga tchórz: bał się wszystkiego, bał się akcji, bał się lasu, bał się nawet każdego z nas z osobna. Brodaty, który za cywila był aptekarzem, twierdził, że zachodzą w Ostrorogu jakieś procesy psychiczne. To było nie wykluczone, że zachodziły w nim procesy psychiczne. W każdym bądź razie stało się rzeczą zrozumiałą, że Ostroróg odejdzie.

Na wiosnę 1944 rzecz się wyklarowała i Ostroróg oddał Gromiwojowi swojego Stena. Działo się to akurat w ów dzień, gdy wybuchła plotka o ciąży komendantowej. I Ostroróg został: kłócił się jak inni albo zacieklej — ciągnął zapałki. Podczas hecy z Kapiszonem on właśnie żył najgorętszą nadzieją — trzeba było widzieć jego minę, gdy Kapiszon wracał do meliny. Ostroróg momentalnie się starzał, mizerniał, czerniał. Znowu się zbierał do odejścia, ale

znowu zostawał, jak gracz, który nie potrafi odejść od stołu. Zapalał się i gasł. Zapalał się i gasł.

Wiadomość, że komendantowa dostała swój czas, rozwiała wszystko. Ostroróg jeszcze tego dnia wieczorem odszedł. Rura-koneser opowiadał kilka dni potem o śmierci Ostroroga. Kiedy Rura bawił w miasteczku, Niemcy powiesili Ostroroga i ośmiu innych chłopów na Rynku.

Ostroróg był też chłopem.

II

W lipcu zagubiliśmy się w lasach. Chociaż wydaje się to niemożliwe, zagubiliśmy się doszczętnie. Codzienne kilku i kilkunastogodzinne marsze nie dawały rezultatu. Dreptaliśmy w kółko w aromatycznym, upalnym lesie. Wszędzie drzewa, drzewa, drzewa. Straciliśmy Niemców z pola widzenia, odcięliśmy się od wszelkich wsi — przez blisko miesiąc nie widzieliśmy żywego lub nawet martwego człowieka. Gromiwoj z Brodatym wertowali swe nieszczęsne mapy, rysowali coś na nich, obliczali, przykładali kompas i obmacywali drzewa — z której strony wilgotne? Ale w takich lasach można dostać absolutnego kręćka i nic nie pomoże. A zresztą może to było zaplanowane, że się tak zagubimy? Amunicję marnowaliśmy jedynie na kłusownictwo, chłopcy się wypaśli, wybyczyli. Straciliśmy rachubę czasu: czy jeszcze jest wojna, czy już się skończyła? — czy kiedyś wyjdziemy z tych miejsc, czy też zamienimy się w końcu w wędrujący zakon pustelników? Panowała atmosfera pokojowego wypoczynku. Nie było nam źle: o Niemcach ani słychu, żarcia w bród, rano kąpiel w leśnych strumieniach, sąsiedztwo saren, wiewiórek i mrówek. Zaczęliśmy się starannie golić, cerować swoje manele, zaglądać do portfeli. Prawie wszyscy powydłubywali zdjęcia żon, dzieci, narzeczonych.

Był to srogi okres dla Notre-Dame...

Siedziała sama i opuszczona w namiocie. Nawet Gromiwoj uciekał teraz podbierać pszczołom miód. Brodaty hodował w butelce od lemoniady jaszczurkę. (Nosił ją dyndającą na grubym tyłku). Ja tylko zostałem wierny komendantowej. Obserwowałem, jak to ją żre. Zrobiła się stara i nerwowa. Nie chciała niczego wspominać ani zagłębiać się w żadnych planach: obgryzała paznokcie. Gdy wszystkim rosły brzuszki, ona chudła.

Pewnego dnia znikła. Wróciła dopiero po trzech dniach, podrapana, rozogniona, triumfująca.

— Mam drogę, durnie!

W czterdzieści osiem godzin wyprowadziła nas w piekielny ogień. Znowu czekaliśmy w kolejce — pokrwawieni, zdyszani i podrajcowani — przed jej namiotem. Dopięła swego.

Komendantowa-koń-Notre-Dame... Jakże ona potrafiła pić, jakże całować i oddawać się! Czytałem w gimnazjum o mitologicznych Furiach. To ona była Furią. Była skrzydlatą Furią. Nabrzmiała życiem, wezbrana życiem, samo życie. Czy ją kochałem?

Wiem jedno: bez komendantowej nie zrobiłbym tego, co zrobiłem. To się zresztą potem okazało. Ale ona potrafiła strzelać! Rąbała szkopów prosto w oko — ze stu metrów.

— Widzisz! Rozum mu wypływa. Ten hitlerowski móżdżek! — krzyczała. I odsłaniała szerokie, twarde zęby szkapy. Dla takiej kobiety chcieliśmy umierać — opłacało się. Kobieta, kobieta... ale jaka!

Powiedziałem, że wyprowadziła nas w piekielny ogień... Były to najzacieklejsze boje, jakie pamiętam. Wszystkie akowskie, alowskie i dzikie formacje partyzantki przebijały się w stronę Warszawy, gdzie szerokim taranem dymu wschodziło Powstanie. Niemcy zamknęli szosy, wzmocnili straże, rozpoczęli serię śmiertelnych obław. Szliśmy za czołem tego straceńczego natarcia, napotykając po drodze kłębowiska rozkładających się trupów, zgliszcza popalonych zagajników i wciąż nowe boje, w których zginęło nas ośmiu, trzech było ciężko rannych, a komendantowej wypłynęło lewe oko.

Powiedziała do nas:

— Ta kula musiała iść do mnie ze trzy kilometry. Już na ostatnich obrotach. Bo jak osiadła w oku, tak osiadła, a do mózgu nie doszła. Miałam cholerne szczęście! — i była bardzo ucieszona.

Przewiązała sobie twarz czerwoną przepaską i teraz w swoich bryczesach, w kraciastej koszuli, z wielkimi złotymi kołami w uszach wyglądała jak szatanica z baletu. Spluwa też miękko leżała w jej dłoni, łasiła się:

— Puknij sobie, komendantowa! Za twoje ślepie, komendantowa!

Zgubiliśmy rachunek oddziału: jedni ginęli, a potem dołączały się niedobitki z innych oddziałów. Straszni ludzie: wyleźli żywcem spod czołgów, wynieśli swe życie ze środka eksplozji, zerwali się ze stryczków, wypełzli spod ziemi. Oczy im biegały tam i na powrót, tam i na powrót... Niektórzy przestali mówić, a jedynie szczekali jak psy. Najbardziej zwariowani uciekali nocą prosto w paszczę Niemców. Niemcy brali ich i na tartacznych maszynach cięli żywcem. My nawzajem: zabłąkanych esesmanów wieszaliśmy na drzewkach, rozpalając u dołu ogniska. Notre-Dame, od kiedy wypłynęło jej oko, nie wybraniała już żadnego... Gdy jęzor ognia oblizywał bose stopy wisielca — śmiała się i śpiewała pijana:

Wisi na krzyżuuu...

A przecież... przecież nie dotarliśmy do Warszawy. Było to nad siły nawet najlepiej zorganizowanej partyzantki. Pewnego jesiennego wieczoru, w rozkisłej topieli błota, siedzieliśmy brodaci, żółci od zmęczenia, pokryci zaskorupiałymi bandażami, bardziej zwierzęta niż ludzie. Pojawiło się dużo nowych twarzy, wiele starych — najdroższych sercu — gryzło spokojnie matkę-ziemię.

Nagle kłoś powstał i kaszląc czarną śliną polazł w środek lasu. Zaczęliśmy tak kolejno wstawać i odchodzić. Jeden za drugim, bez słowa, w milczeniu. Ruszyliśmy daleko, daleko na zachód od dopalającego się Powstania.

III

Podczas akcji przedzierania się do Warszawy przystał do oddziału ksiądz Gaweł. Był kapelanem AK-owców, ale jego formację wybito do nogi. Ocalał — jak mówił — cudem. Cud polegał zaś na tym, że ksiądz Gaweł — jak zresztą wielu innych — zrobił w spodnie i musiał się na chwilę zatrzymać. To wystar-

czyło, by ocalał. Był to wysoki, zgrabny mężczyzna o szorstkiej twarzy. W 42-gim sam prowadził jakąś partyzantkę. Mocny, energiczny, mądry. Od razu wszedł w komitywę z Gromiwojem i musiał na nim zrobić piekielne wrażenie, bo stary go odtąd słuchał we wszystkim. Zresztą i na nas ksiądz Gaweł robił wrażenie: diabli wiedzą dlaczego, ale baliśmy się go. Bądź co bądź ksiądz, a przez cztery lata nawet nie powąchaliśmy dymu kadzidła.

Ksiądz Gaweł dopiero w miesiąc po swoim przybyciu zainteresował się komendantową. Uczynił to podle i perfidnie: jako kapelan wstawił sobie łóżko do i tak ciasnego namiotu Gromiwoja. Od tego dnia dreptaliśmy z nogi na nogę, wściekaliśmy się po cichu, lecz pozostały nam jedynie sprośne fotki, które chował w portfelu koneser Rura (Kapiszon zginął w drodze do Warszawy. Zeskoczył z drzewa, na którym się zamelinował, prosto w grupę esesmanów. Miał w łapach odbezpieczone granaty. W ogólnej sałatce, którą tam urządził, pozostał przemieszany z wnętrznościami hitlerowców). Myśleliśmy: „Niech ten księżulo uważa. Komendantowa mu odetnie!...“ Rura prorokował najzacieklej: „ustrzeli dupka jak psa! Ona się nie da, chłopy, ona się nie da! Wetknie mu lufę prosto w ten zasr... zadek!“ Niestety, działo się inaczej. Notre-Dame jakby sflaczała; uśmiechała się mdło do księdza, trzymała się w ogóle na uboczu. Więc i ją tchórz obleciał? Chcieliśmy jakoś zamanifestować swoje oburzenie: uciekaliśmy z niedzielnych mszy polowych. Jednak i to miało swój koniec: na którymś apelu (a tak, tak, były już u nas i apele) Gromiwoj zapowiedział:

— Jesteśmy oddziałem katolickim. Bronimy również Kościoła. Kto będzie złośliwie opuszczał msze i nabożeństwa...

Pamiętam z tamtej chwili twarz naszego kapelana. Bladą twarz, w której świeciły mądre oczy. Drgała mu także warga, jakby żałował, że m u s i nam zrobić tę krzywdę.

Na samej górze, u szczytu, szumiały usychającym igliwiem sosny. Raz po raz opadał nagle lekki deszcz poskręcanych źdźbeł. Opadł na włosy, twarze, na wargi. Była niedziela — na białym ręczniku spoczywał Chleb Pański. Słońce chodziło po schylonej konopnej głowie kapelana. Rura klęcząc u stóp ordynarnego podium, które służyło za ołtarz, dzwonił w jedyny krowi dzwonek. Staliśmy wyglancowani na ciele i duszy — wczoraj ksiądz Gaweł zdjął z nas czarne brzemię grzechu — wpatrzeni w tajemnicze ruchy księdza Gawła i w nastroszoną powagę zbyt często dzwoniącego konesera. Wielu z nas uparcie myślało o czymś wzniosłym, by tuż-tuż przed Komunią nie pomyśleć o komendantowej i nie wdepnąć w „śliski grzech rozpusty“ — jak to przy spowiedzi określał kapelan.

Notre-Dame usunęła się więc z naszych oczu, stała daleko za nami, samotnie oparta o pień drzewa. Tak samo w tyle stała przy spowiedzi — wiedziała, że wszystko, co się bełkocze w krzakach, służących za konfesjonał, kołuje wokół jej imienia. W rezultacie nie wyspowiadała się — uciekła w las i wróciła po godzinie z napuchniętą gębą. Nie mogliśmy jej nawet okazać współczucia, tak byliśmy zajęci skupieniem uwagi nad każdym swoim czynem od chwili otrzymania rozgrzeszenia. Najbardziej niepewni poszli nawet na grzyby. Ale wątpię, czy ktokolwiek z czystym sercem przystępował do tej Komunii; na pewno nikt nie

ustrzegł się strasznego uczucia nienawiści do kapelana, które buzowało w nas smrodliwym, przytłamszonym płomieniem.

I z tym uczuciem przyjęliśmy Boga do trzewi. Rura klekotał w krowi dzwonek, nad sosnami płynęły popielate chmury, a my klęczeliśmy ze zwieszonymi głowami. Wtedy ksiądz Gaweł powiedział: *„Ite, missa est...“* Rura odpowiedział: *„Deo gratias“*, a kapelan znów się odwrócił:

— Mówcie: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje...“

Powtarzaliśmy dziesięć razy, szeptem, mechanicznie: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie... Ojcze nasz...“ Wielu mieliśmy takich, co dawno już gwizdali na Boga, na anioły, diabły i te rzeczy. Tym razem jednak mówiliśmy wszyscy jak jeden mąż: „Odpuść nam nasze winy jako i my...“

Tylko za plecami była przeraźliwa, wiejąca chłodem dziura. Tam n i k t już nie stał, już zupełnie n i k t.

Odwróciłem głowę i ujrzałem komendantową — szła sobie powoli, wymachując patykiem, w las. Pod sosną leżała czysta chusteczka: na chusteczce nieruchomo stygła spluwa.

„...jako i my odpuszczamy naszym winowajcom — i nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego...“

Komendantowa odeszła. Dokąd, dlaczego, po co? Dzisiaj już wiem po co — po to, by pokazać, kto tu rządził. Kto tu naprawdę rządził. Brodatego przyniósł na barach maleńki Lulek. Brodaty dostał serię w plecy. Kiedy kapelan pochylił się nad Brodatym, aptekarz odtrącił błagającą rękę.

— Nie przeszkadzaj!

Spokojnymi oczyma, które chwilami kurczyły się w kącikach, patrzał w ołowiane niebo. Siąpił deszcz i wielkie krople z gałązek padały na ostry nos Brodatego. Aptekarz czegoś oczekiwał, a nie doczekawszy się skonał.

To samo było z Rurą. Tyle tylko, że Rura strasznie krzyczał i płakał. Ale kapelanowi powiedział:

— Idź precz!

Czy nie wierzyli w Boga? Ci dwaj w i e r z y l i w Boga. Więc co? Na wiosnę 1945, kiedy z odległości jakichś czterdziestu kilometrów grały niskie armaty, oddział liczył już tylko sześć osób. Zawzięcie ścigały nas klęski, rozgromy i nędza. Bardzo się opiekowałem kapelanem: odmroził sobie nogi, to go niosłem przez śnieg. Za dużo przeżył i powoli dostawał bzika. Pamiętam go śpiewającego:

Umówiłem się z nią na dziewiątą,
Na dziewiątą minut sześć...

IV

Taaak, wojna. Wojna. Wojna. Straciłem w niej dziesiątki przyjaciół, zyskałem jedną miłość, i ją jedną zagubiłem. Nie jest prawdą to, co opowiadają ludzie, że Gromiwoj pobiegł wtedy za komendantową do lasu i ustrzelił ją z rozpaczy na jakimś mrowisku. To tandeta. Nie jest prawdą ta druga historia, że spotkałem po wojnie komendantową we Wrocławiu. Że stała w pończochach do kolan i w spódniczce do pępka na rogu jakiejś ulicy i że, nim zdołałem

podbiec, zabrał ją jakiś pijany facet. Że potem upiłem się w drobną kaszkę i że przesiedziałem rok w mamrze. To też chyba nie jest prawda.

A najmniej mi się podoba ta trzecia plotka:

Opowiadają, jakoby po wyjściu z lasu komendantowa żyła na wiarę z jakimś tłustym volksdeutschem i jeździła eleganckim Mercedesem. I że potem przyszedłem do niej, przeczytałem wyrok, rąbnąłem. To przesada.

Ot, zagubiłem ją.

I ja gwiżdżę na wszystko. Jak ksiądz Gaweł był już wariatem, powiedział mi: „Szukajcie, a znajdziecie...“ Więc szukam.

Komendantowa też siebie szuka. Wiem to na mur. Na mur, chłopcy, na murbeton.

Stanisław Grochowiak

Barbara Nawrocka

OSTATNIA MSZA

(W ODPOWIEDZI NA „KANAŁ" JERZEGO STEFANA STAWIŃSKIEGO)

Gama przywarła mocniej do worków. Gdzieś dalej w kierunku Saskiego zachrzęściło na jezdni szkło.

Było ciemno. Czerwień pożarów dawno zbladła na nocnym niebie Warszawy. Dogasała. Jak powstanie. Gama przeczołgała się trzy metrzy. Klasnął strzał. Samotny. Z ułożonych w zgrabną barykadę pękatych worków posypał się wąską strużką piasek. Gama wyciągnęła rękę i wsunęła palec w okrągłą dziurę wywierconą przez kulę. „Nieźle celuje" — pomyślała. Gwizd i nowy strumyczek piasku przywiódł ją do opamiętania.

„Wszystko jedno — pomyślała — wymacali mnie." Poderwała się nagle na całą wysokość postaci i dała susa. Teraz szła seria za serią. Piach tryskał z worków fontannami, ze zgrzytem biegły świetliste smugi nad jezdnią, wydawało się, że to kule krzeszą skry w zetknięciu z asfaltem. Gama odruchowo zgięła się w pół. Wykonała jeszcze jeden duży skok i wpadła do wykopu. Uderzyła o dno, ciągnąc za sobą osypisko wilgotnej, świeżo wyrzuconej z rowu ziemi.

„Zrobili tu wykop? — zdziwiła się w duchu. — Kiedy? Niepotrzebny. Jak człowiek przeskoczy w tym miejscu Marszałkowską, już jest zupełnie bezpieczny."

Podniosła się i otrzepała spódnicę. Ostrożnie zrobiła dwa kroki w wąskim rowie i nie namyślając się wiele wydrapała się na chodnik. Gładki, bez powyrywanych kamiennych płyt, nęcił nogi, umęczone niekończącymi się od tygodni wędrówkami.

— Kto idzie? — usłyszała ściszone pytanie.

— Swój.

— Hasło?

— Lanca.

— Proporzec — odpowiedział ten sam głos. — Zejdźcie z chodnika. Idźcie rowem. Radzę. Gdzieś siedzi od wczoraj gołębiarz. Nie możemy go, psiakrew, nakryć. Lewa strona Siennej niepewna.

Gama zeskoczyła z westchnieniem do rowu.

— Za mną idą jeszcze dwie — wyjaśniła. — Za nisko macie tu worki. Od Saskiego obstrzał, od Zbawiciela to samo...

— Od Zbawiciela niegroźne — przeciągnął leniwie chłopak. Marszałkowska zajaśniała nagłą, mleczną jasnością.

— Rakieta — mruknęła Gama. Razem z histerycznym jazgotem cekaemów zeskoczyły do rowu dwie ciemne sylwetki.

— Jak będziemy tak szły, to do świtu się nie wygrzebiemy — mruknęła Gama.

— Major kazał nie ryzykować — powiedziała czarna Lena, łączniczka Komendy Placu Warszawa Południe. — Ja mogę iść i środkiem jezdni — wzruszyła ramionami.

Gama nie odpowiedziała.

Ruszyły gęsiego rowem. Chłopak przepuścił je bez szczególnego zainteresowania.

— Koniec — szepnęła Lena. — Na każdej barykadzie dwóch ludzi na krzyż. Po diabła my tam idziemy. W stronę Żelaznej niepewnie.

— To już! Wracaj! No, dalej!

— Daj spokój Gama. Idziemy — odezwała się ze znużeniem drobna, trzecia dziewczyna.

Do Śródmieścia przyszła z Powiśla z przestrzelonym udem. W piwnicznym szpitalu na Marszałkowskiej przeleżała tydzień. „W lochu będę tkwić po śmierci, a teraz chcę jeszcze trochę nacieszyć się światłem" — powiedziała lekarzowi i po siedmiu dniach wróciła na kwaterę. Swego oddziału już nie znalazła. Niedobitki z niego porozpraszały się po dwóch stronach Alei. Po dwóch wegetujących odrębnym życiem członach miasta, przeciętych krwawą wstęgą Alei Jerozolimskich, miejscem codziennych, mało efektownych śmierci dziesiątek łączniczek.

Skok, kula, upadek — smuga krwi.

— Z BGK! — zaklinał wartownik w bramie po jednej albo po drugiej stronie ulicy. — Żeby można jakoś unieszkodliwić tego z dachu BGK! Dziś już trzecia.

Marta z Powiśla została na kwaterze zajętej przez Komendę Placu Warszawa Południe. Łączniczki Komendy zaczęły wtedy chodzić po owies do młynów na Wiatraczną. Przyłączyła się do nich. Były to pierwsze dni głodu. W stołówce na Wilczej dostawała jak inne swój talerz „plujki".

— Na własnych plecach przytaszczyła — mówiła zaczepnie Lena do chłopaków w „tygrysach". — Chociaż nie od nas. Nie bądźcie świnie. Jak zaczniemy jeść wasze pasy, to będziecie protestować. Talerza brei żałujecie! Nosił to który? Nie. No, to zamknijcie się.

Marta połykała szybko kleistą papkę. Wszyscy prędko zapomnieli, że przyszła tu z Powiśla. Potem chodziła z Leną kanałem pod Alejami Ujazdowskimi po opatrunki na Bagatelę.

— Pod pałacami nawet g... płynie elegancko — mówiła Lena. — Dzięki Bogu. Inaczej człowiek nie mógłby przenieść bandaży w takich kanałach, jak na przykład ze Starówki. Ciesz się, że tam nie musiałaś wchodzić. To też coś warte.

— Nie lubię tych kroków na górze — wiesz? — wzdragała się Marta.

— Nie przejmuj się. Chodzę tędy dwa razy na dzień. Nie zejdą. Boją się. Tydzień temu narwali się przy włazie na rogu Piusa. Oni lubią czystą robotę. Czasem spuszczą granat, ale to się słyszy, zanim rzucą. Tu każdy szmer z góry dudni jak w apokaliptycznym megafonie. Musiałybyśmy mieć specjalnego pecha.

Teraz Marta szła za Gamą sięgając raz po raz do kieszeni w drelichu i wyciągając stamtąd uszargane kostki cukru. Wkładała je do ust ssąc mechanicznie.

— Przestań! — odezwała się Gama nie odwracając głowy. — Nie mogę już nawet słuchać, jak gryziesz to świństwo. Niedobrze mi.

— Nie będę chyba potem cały rok piła herbaty z cukrem — mruknęła Marta.

— Kiedy potem? U świętego Piotra? — zadrwiła Lena. — Daj kostkę. — Marta pogrzebała w kieszeni.

— Gdyby nie ten cukier, już chyba od tygodnia nie mogłybyśmy włóczyć nogami.

Gama nie odpowiedziała.

Przyczaiły się u wylotu Sosnowej.

— Odtąd można już zdaje się wyjść na górę. — Gama rozejrzała się.

— To dobrze — westchnęła Marta — jestem zmęczona.

Wypalone mury ulicy promieniowały ciepłem. Zapach dymu stał się tak dalece częścią składową powietrza, że nikt go już nie czuł. Wyciągając się z rowu Marta oparła rękę o pokład popiołu zalegający chodnik. Ulotna subtelność tego dotyku pozostawiła w niej uczucie czegoś przyjemnego.

— Ciemno — rzuciła Gama.

— Ciesz się. Mało ci było jasności? — spytała cierpko Lena.

— Kiedy, cholera, baterii do latarki nie można już dostać podobno nawet za pół litra.

— Wczoraj porucznik Latos dostał za ćwiartkę zupełnie niezłą świecę — powiedziała Marta.

— Świeca dobra w tunelu — stwierdziła Gama. — Na wierzchu do niczego.

Z tyłu stłumionym głosem krzyknęła Lena.

— Co tam? — zatrzymała się Gama.

Lena gramoliła się z niewielkiego leja.

— Mówiłam, że ciemno — triumfalnie powtórzyła Gama.

W pobliżu Żelaznej miasto robiło wrażenie zupełnie już opuszczonego i wymarłego. Kroki chrzęściły w ciszy niesamowicie, ślepe widma domów zamykały swe cienie nad ulicą, jak nad wąwozem śmierci. Popioły były tu zimne. Zwały barykad — martwe.

Szły teraz lekko, instynktownie tłumiąc kroki, milcząc, ścięte strachem, do którego żadna nie przyznawała się nawet przed sobą samą.

— Miasto niczyje, księżycowa ziemia nieznana — szepnęła do siebie Lena.

— Co tam szepczesz? — powiedziała twardo Gama. — Uważajmy lepiej. Tu właściwie nie wiadomo gdzie kto ma placówki.

— Wiadomo. Naszych nie ma na pewno.

Marta zatrzymała się.

— Wydaje mi się, że tędy trzeba już przejść na Złotą — szepnęła. — Tu gdzieś już musi być siedemdziesiąty drugi numer. Piwnicą, przez dwa podwórza.

Nad chmurami przepłynął zamglony księżyc, na chwilę oświetlił ruiny, przezierając przez wolny trójkąt ciemnego nieba.

Weszły w ocalałą, odwaloną na boki bramę. Sklepienie było całe. W piwnicy stał ciężki zaduch rozkładu i ludzkich ekskrementów.

Gama szła pierwsza macając ścianę jak ślepiec, stawiając nogi z góry, ostrożnie. Nadepnęła na jakiś kształt duży i miękki. Zdusiła okrzyk i powiedziała spokojnie:

— Uważajcie, coś leży na ziemi.

Marta zawahała się, a potem przeszła jak Gama.

Odetchnęły na podwórzu.

— Obrzydliwe — powiedziała Lena. — Wracam górą. Wszystko mi jedno.

Wyszły na Złotą rozglądając się na boki. Gama wyjęła z kieszeni kartkę. Znów czekały na wędrujący po niebie księżyc. Kiedy jego nikły blask oświetlił ulicę, Gama sprawdziła numer zanotowany na skrawku papieru.

— Dobrze. Tu. Następny dom.

Kamienica, do której weszły, ocalała częściowo. Tylna oficyna rozpruta bombą od dachu do piwnic leżała na podwórzu. Z lewej strony widać było parę całych mieszkań. Białe strzałki, wymalowane na murze starannie i wyraźnie, prowadziły do piwnic pod tą częścią domu.

Zeszły po schodach.

— Kto tam, kto idzie? — ozwało się nagle z ciemności kilka rozespanych, przestraszonych głosów.

— Kto jest? — spytała ostro Gama.

W wąskim przejściu stanął młody mężczyzna i oświetlił latarką wylot piwniczny. Widząc na ramieniu Gamy biało-czerwoną opaskę, skierował światło ku ziemi.

— Sami cywile — powiedział wyjaśniająco. — Mieszkańcy tego domu.

— Siedzicie tu jeszcze? — zdumiała się Gama.

— A gdzie mamy iść?

— Szukamy porucznika Wiatra. Tu jest jego kwatera — tak?

— Była — odpowiedział mężczyzna. — Trzy dni, jak odeszli.

— Gdzie są Niemcy? — spytała Gama.

— Nie wiemy. Pewnie gdzieś blisko.

— A gdzie jeszcze nasi?

— Waszych nie ma.

Gama spojrzała na niego szybko. Nie zmieszał się.

— Jak to? — powiedziała.

— Tak. Ludności cywilnej także już zresztą nigdzie w tej okolicy nie ma. Postanowiliśmy zostać. Baliśmy się tułania. Mamy trochę żywności. Studnia jest na podwórzu. Wasi wykopali. Po co chodzić nie wiadomo na jaki los. I tak wszystko jedno, i tak.

Gama zamyśliła się.

— Muszę się widzieć z Wiatrem. Mam rozkaz z Komendy Placu.

Mężczyzna milczał.

— Miałyśmy stąd coś zabrać — odezwała się Lena. — Nic dla nas nie zostawili?

— Zostawili — powiedział wolno mężczyzna. — Trzy paczki zapakowane w worki. Powiedzieli, że więcej rzeczy już nie mogą zabrać. Jeżeliby się ktoś zgłosił z urzędowym papierem, to miałem wydać.

Gama odetchnęła. Wyciągnęła pismo majora. Mężczyzna poświecił latarką. Kiwnął głową.

— Dobrze. Chodźcie za mną.

Weszły w kręty labirynt piwnic. Marta uczepiła się paska Gamy. Co chwilę potykały się o śpiące dzieci, które, obudzone z nagła, kaprysiły sennie, żałośnie, zmęczonym płaczem skrzywdzonych. Jakieś kobiece głosy uspokajały je rozpaczliwie z nutką rezygnacji. Zabłysły tu i ówdzie świeczki. Barłogi cuchnęły stęchłym zapachem piwnicznej wilgoci, nie mytych od tygodni ciał, gotowanej na maszynkach spirytusowych kaszy. Lena usiłowała nie patrzeć na tę zbitą ciasno gromadę ludzką, zaciętą, tragiczną, pozbawioną światła i powietrza.

Gama szła za kręgiem światła latarki nieznajomego mężczyzny, ale walizy, zaimprowizowane kuchnie, wyciągnięte nogi leżących i nieznajomość ciemnego labiryntu utrudniały jej kontakt z prowadzącym.

Światło znikło za jakimś zakrętem, jednocześnie potknęła się o czyjeś dotykające ją ręce. Powiedziała mechanicznie „przepraszam" i chciała ruszyć dalej, ale wyrosła przed nią jakaś postać, poczuła, że drugie ręce chwytają ją za spódnicę, ciągnąc ku sobie, zwarte mocno jak kleszcze. W piwnicznym zaułku podniósł się ludzki krzyk, uderzył o niskie sklepienie, rozniósł się po rozgałęzieniach korytarzy. Dłonie Marty zamknęły się kurczowo na ramieniu Gamy i lęk tamtej przylgnął do niej nagle mocno, wstrząsająco. Zrozumiała. Przeszył ją dreszcz strachu krótki, sięgający dna świadomości i zaraz potem śmiertelny spokój.

— Proszę dać drogę — powiedziała ostro, rozkazująco.

Na chwilę ucichło. Gama wykorzystała ten moment i zrobiła krok naprzód. W tej chwili w napiętej ciszy jakiś głos rzucił słowo:

— Mordercy! Mordercy naszych dzieci! Coście z nami zrobili! W środku miasta zabawiać się w wojnę. — Jakaś kobieta stanęła przed Gamą wyciągając do niej dziecko, mały, trupi szkielecik niemowlęcia z zapadniętymi oczami bez wyrazu i ustami stuletniego starca. — Oszukaliście nas! Zagłodzili, spalili, a teraz odchodzicie. W całej dzielnicy ani jednego powstańca! Na śmierć wydaliście ludzi. Zaraz sobie stąd pójdziecie, do swoich, za barykady... co? A ja, co z tym dzieckiem zrobię? Pytaliście się nas, czy chcemy tak zdychać? Za co?

Marta oddychała szybko. Gama czuła jej ciepły oddech na swojej szyi.

— Idziemy z rozkazem — powiedziała jeszcze raz zupełnie spokojnie i stanowczo.

Krąg ludzkich postaci zwarł się mocniej. Gama sięgnęła ręką za zapięcie bluzy i namacała twardy kształt „piątki". Oparła się plecami o wilgotną ścianę piwnicy.

— W imieniu dowództwa...

— Milcz, Gama — odezwał się nagle chłodny głos Leny. — Milcz!... Puśćcie nas, ludzie. Nas także oszukali, okpili i wydali na śmierć. Ale my chcemy umierać... za słuszną sprawę... to jedno jest w tym wszystkim ważne. Rozumiecie... za Polskę... a teraz dajcie nam drogę.

W piwnicy zaległa naraz śmiertelna cisza. Ktoś westchnął, ktoś zapłakał zawodząco.

— Puśćcie te dzieci, ludzie! Panie Janiak! Pana syn jest na barykadzie na Jasnej, pani Kacperska, wasza córka na Fortach!

Zabłysła latarka przewodnika.

— Dlaczego nie idziecie? — zapytał. — Co się tu dzieje? — rzucił nagle ostro.

— Nic — odpowiedziała Lena. — Nic. Odłączyłyśmy się od pana i nie mogłyśmy znaleźć drogi.

Gama w milczeniu poszła za prowadzącym.

— Ja tu trochę opiekuję się tymi wszystkimi ludźmi w tej piwnicy — wyjaśniał im, wydając worki. — Straszne rzeczy. Pilnuję rozdziału wody i żywności. Inaczej nie wiem sam, co by się tu działo. A tę kartkę z Komendy Placu niech mi pani zostawi — zwrócił się do Gamy. — Może ktoś będzie chciał sprawdzić. Chcę mieć dowód, że nie ukradłem, tylko wydałem.

Gama bez słowa podała mu papier.

Szły Złotą znów gęsiego, w tej samej kolejności: Gama, Marta, Lena.

— Ciężkie — poskarżyła się Marta.

— Ty w ogóle masz siły muchy — powiedziała Gama.

— Teraz pójdziemy górą, Marta — odezwała się miękko Lena. — Nie martw się. Do piwnic już nie zejdę. Dziękuję.

— No, tym systemem, co ty, można wejść do każdej piwnicy — powiedziała Gama. — Honor wojska trzeba umieć reprezentować, cokolwiek by się samemu na ten temat wiedziało...

— Honor! Honor! Wielkie słowo, ale wtedy, kiedy jest pokrycie.

— Ciekawe, co w tym jest — przerwała im Marta.

— W czym?

— No, w tych workach.

— Wszystko jedno — powiedziała Gama. — Nie twoja rzecz. Rozkaz i już. Major kazał ostrożnie nieść.

— Tam coś chlupie.

— Nie zawracaj głowy. Pewnie amunicja.

— Chlupiąca? — zadrwiła Lena. — Żaden cofający się oddział, żaden szanujący się powstaniec nie zostawi jednego naboju — powiedziała innym tonem. — Z księżyca spadłaś, czy chcesz nam głowę zawracać? Z butelkami chodzimy na czołgi, a ty człowiekowi...

Doszły do Sosnowej.

— Teraz skręcimy w Sienną — mruknęła Gama. — Pójdziemy do Marszałkowskiej wykopem. Więcej nie trzeba ryzykować.

Ten sam wartownik zatrzymał je na rogu Siennej i Marszałkowskiej.

— Macie się zgłosić do porucznika Orła. — Machnął ręką za siebie. — Tam na dole w ziemiance. Wściekał się, że w tamtą stronę puściłem was tylko za hasłem.

Lena zawróciła bez słowa i schylając głowę zeszła z trzech schodków do ziemianki. Na chwilę oślepiło ją światło elektryczne. Nie zauważyła stołu w rogu pomieszczenia i zakręciła się mrugając oczami.

— Ciemno na dworze — powiedziała pogodnie. — Macie ładnie urządzony punkt... i elektryczność. — Postawiła worek na ziemi.

Ktoś gwałtownie wyskoczył zza stołu i stanął blisko przed nią. Zdążyła zobaczyć tylko dwie gwiazdki na patkach naramienników.

— Zameldować się! — ryknął oficer. — Co to!? Salon!! Dziwki z dobrych domów udające żołnierzy. Tu jest wojsko. Myślicie, że już koniec! Jeszcze przed końcem nauczę cię dyscypliny wojennej. Jak stoisz!

Lenie krew uderzyła do twarzy.

— Baczność, mówię! — ryczał Orzeł. — Baczność!

Lena stała ciągle ze wzrokiem wbitym w oczy oficera, nie zmieniając pozycji.

— Baczność!

Zobaczyła, jak porucznik odchylił się w tył. Zamachnął się...

W tej samej chwili wyrosła przed nią drobna figurka Marty i głośny policzek trzasnął o twarz łączniczki z Powiśla.

— Łączniczka Komendy Placu Warszawa Południe, Marta, melduje posłusznie... — wybijała słowa dziewczyna, nie drgnąwszy nawet pod uderzeniem Orła.

Oficer ochłonął. Zrobił dwa kroki w tył i zmierzył spojrzeniem nienaganną postawę Marty.

— Wystarczy, spocznij. Legitymację proszę.

Przestraszona Gama podała swoją legitymację. Marta wyjęła z rąk Leny jej różowy karton i razem ze swoim położyła przed porucznikiem.

— Co niesiecie?

— Nie wiemy — odpowiedziała Gama.

— Gdzie rozkaz?

— Nie mamy. W rozkazie była wzmianka o wydaniu nam paczek. Porucznik Wiatr odchodząc z placówki przekazał worki cywilowi z piwnic na Złotej, który chciał mieć jakiś dowód, że powierzone rzeczy wydał. Można sprawdzić na Złotej pod siedemdziesiątym drugim.

— Pion, do mnie! — zawołał Orzeł powstańca, który stał w progu ziemianki, śledząc w niedbałej pozie rozgrywającą się na dole scenę. Chłopak odłożył Stena na schodki i zszedł do ziemianki.

— Rozwiązać worki! — rzucił porucznik.

Pion rozwiązał pierwszy worek i gwizdnął przeciągle. Wyciągał butelki i stawiał je rzędem jedna za drugą, uśmiechając się z humorem.

— Czysta monopolowa, panie poruczniku — zameldował. — Z białą główką.

Trzy łączniczki wpatrywały się jak urzeczone w ładunek, dla którego ryzykowały życiem.

Porucznik spojrzał na Gamę.

— Ty prowadziłaś?

— Ja.

— Szwarcujecie alkohol! Upijacie się na placówkach! Prowadzicie handel wymienny za wódkę!

— Szłyśmy z rozkazem.

Porucznik podszedł do telefonu. Stukał chwilę widełkami.

— Nie odpowiada — mruknął. — Znów zerwana łączność. Krętactwo! — krzyknął, czerwieniejąc na twarzy zupełnie tak samo jak za pierwszym napadem szału. — Ciągle łapię takie jak wy. Chodzicie na własną rękę!

— Szłyśmy z rozkazem — powiedziała stanowczo Gama.

— Gdzie ten rozkaz? — wrzasnął nielogicznie po raz drugi.

— Mówiłam panu porucznikowi.

— Cywilna, pijana banda! Nie chcecie zdychać na trzeźwo.

— Jeżeli ktoś nie chce zdychać na trzeźwo, to nie my — powiedziała wyzywająco Lena. — Nie my szwarcujemy i nie my prowadzimy handel wymienny. Proszę spytać o to majora Zimnego.

— Milczeć!

— Lena — szepnęła Marta błagalnie i osunęła się nagle na worki.

Orzeł spojrzał na drobną figurkę dziewczyny.

— Trzecia doba bez przerwy na nogach, raz dziennie talerz zupy z prosa od miesiąca — rzuciła lakonicznie Lena.

Orzeł nie odrzekł nic. Usiadł nagle miękko, ze znużeniem.

— Zarządzam konfiskatę kontrabandy — powiedział. — Możecie odejść.

— Nie — odezwała się Lena. — Prosimy o dowód zatrzymania na piśmie. — Oficer spojrzał na łączniczkę nienawistnie. — Nie możemy wrócić z niczym. Major Zimny miałby wtedy podstawy posądzić nas o kradzież. — Uśmiechnęła się ironicznie.

W ziemiance zaległa cisza. Gdzieś daleko wybuchła gwałtowna wymiana strzałów.

— Wzmocnić obsadę barykady u wylotu Zielnej — rzucił niespokojnie Orzeł. Chłopak ze Stenem wybiegł z ziemianki.

Gama podeszła do stołu.

— Panie poruczniku, może zrobimy tak... — zawahała się — pan zatrzyma jeden worek, a my zabierzemy dwa... — urwała, niepewna rezultatu, czujnie śledząc twarz mężczyzny.

Orzeł patrzył w papiery rozłożone na blacie.

— Dobrze. I niech was cholera!

Nie musiały już odmeldowywać się przy wyjściu ani zachowywać regulaminowej postawy. Orzeł siedział przy stole biernie, z głową wspartą na rękach, wsłuchując się w coraz bliższe granie cekaemów.

Marta szła teraz bez obciążenia. Kręciło jej się w głowie. Marszałkowską przeskoczyły bez niespodzianek. Świtało. Na Zgoda Marta zrównała się z Leną.

— Grzmot zastrzelił wczoraj na Wilczej łączniczkę — powiedziała. — Agnieszkę, od Kmicica. Nawet krzyknąć nie zdążyła.

— Wiem — powiedziała Lena. — Odmówiła wykonania rozkazu.

— Była siedem dni w ogniu bez zmiany i bez godziny snu... nie wiedziała, co mówi... Nie mieli sanitariuszek i robiła wszystko, nawet karmiła jakoś chłopaków. Lena, uważaj...

— Nie bój się...

Zanim przeszły tunel w Alejach, zrobiło się zupełnie jasno. Dzień zapowiadał się szary, zaczął mżyć drobny deszcz. Na Marszałkowskiej, już przy Wspólnej Marta wzięła od Leny worek. Uparła się. Przy barykadzie koło Skorupki Gama przystanęła i przerzuciła ciężar na prawą stronę pleców. Z narożnego okna okładanej czerwoną cegłą, secesyjnej kamienicy z wieżyczkami wychylił się strzelec i krzyknął w dół ku ulicy.

— Uważajcie! Na Skorupki gdzieś na dachu znów siedzi gołębiarz. Poluję na niego. Przed godziną sprzątnął nam kapitana.

Marta skrzywiła się.

— Co on znów gada! Niemożliwe. Zaczynają już wszędzie widywać duchy.

Gama nie schyliła się przy barykadzie. Chłopak z okna rozgniewał się.

— Mówiłem wam! Nie?!

Lena widziała, jak Marta przygięła się przeskakując Skorupki, ale widocznie worek jej ciążył, bo zrobiła to tylko umownie, ścigana krzykiem powstań-

ca z piętra. W tej samej chwili huknął strzał. Marta zachwiała się i wolno osunęła na płyty barykady. Lena skoczyła. Położyła się na mokrej glinie obok Marty i podniosła głowę dziewczyny. Krew zmieszana ze spirytusem sączyła się cienką strugą po jezdni. Rozszerzała się, rosła... płynęła... płynęła... Lena odsunęła worek od głowy koleżanki, wzięła ją pod ramiona i zaczęła się czołgać przeciągając swój ciężar. Gama rzuciła ładunek i schylona biegła z drugiej strony barykady. Nad ulicą zawisła cisza. Obie, nie patrząc na siebie, dowlokły Martę do bramy na Marszałkowskiej. Z oficyny wyszła wysoka dziewczyna ze znakiem Czerwonego Krzyża na rękawie.

— Jordan was uprzedzał — powiedziała gniewnie. Uklękła przy Marcie. — Nosze! — krzyknęła w mroczną studnię podwórza. — Nie żyje. — stwierdziła.

Gama wyszła z bramy, podniosła worek i zarzuciła go sobie na plecy. Lena ciągle stała przy noszach.

— Kto wykopie dół? — denerwowała się sanitariuszka. — Wszyscy na punktach.

— Ja — powiedziała Lena.

Sanitariuszka z ulgą kiwnęła głową. Rzuciła Lenie łopatę i zniknęła w drzwiach jakiegoś mieszkania. Lena wbiła ostrze w twardą glinę rozkopanego podwórza. Zaczął mżyć większy deszcz. Na ulicy ktoś głośno krzyczał, że Jordan upolował wreszcie gołębiarza.

*

Major Zimny umył się pierwszy. Wody w misce było ze dwie kwarty.

— Gama, możesz się myć! — krzyknął przez drzwi.

Lena jako trzecia ze wstrętem zanurzyła ręce w gęstej cieczy.

— Brr! Wolę mieć twarz jak Murzyn, ale nosa do tego nie wsadzę.

— Ciiicho — psyknęła Gama.

— A co tam! Niech to diabli! Już mam dość tego mycia się po nim.

Za oknem razem ze świstem bomby wystrzeliła w niebo fontanna pyłu. Zachwiały się ściany. Tynk z sufitu runął do miski, rozpryskując resztki wody.

— No, teraz masz! Nawet rąk nie umyjesz.

Druga bomba poszła bliżej. Zwaliły się drzwi od pokoju majora Zimnego i Lena grzebiąc się spod cegieł zobaczyła prześwitujące stamtąd niebo.

— Gama! — krzyknęła natychmiast po odzyskaniu głosu.

— Jestem!

Zimny wpadł z korytarza.

— Zbierajcie się! Pali się. Na dach. Tylna oficyna cała. Pożar na szóstym piętrze.

Przebiegając podwórko Lena zobaczyła, jak sanitariuszki ze szpitala wynoszą rannych. Kładły ich pod zasnutym dymami niebem na ulicy.

— Daj drugie nosze! — krzyczał jakiś chłopak, zawinięty po oczy w bandaże. — Odłamki lecą.

Lena pomyślała, że dużo mu pomogą drugie nosze. Płomienie z nieprawdopodobną siłą ogarniały dom. Chciała wbiec na piętro, ale dopadła ją jakaś siostra i krzycząc błagalnie pociągnęła za bluzę. W oczach sanitariuszki czaił się obłęd.

— Rzuć te wiadra! Pomóżcie nam! Nie gaście, nie warto. Nie zdążymy wy-

nieść rannych, za mało nas jest. Palą się już chorzy na parterze z lewej oficyny! Rzucili znów dwie zapalające.

Lena cisnęła wiadra z piachem i pognała za sanitariuszką. Biegły klucząc między noszami. Trzecia bomba zmusiła je do padnięcia na beton. Trafiła w klomb podwórza, rozwalając świeże groby i błękitną figurkę błogo uśmiechniętej madonny. Ranni leżący bliżej klombu zmieszali się razem z ziemią i zwłokami tych zakopanych wczoraj. Żar i pył ceglany zupełnie uniemożliwiał oddychanie. Nie było nic widać w promieniu metra. Rudość płomieni i czerwień ceglanej zawiesiny czyniły świat wokoło podobnym do przedsionka piekła, fruwały w tej gęstwie wielkie, czarne płaty sadzy, osiadając miękko na twarzach i rękach.

W drzwiach szpitala Lena wpadła na Gamę. Gama coś krzyczała, ale Lena widziała tylko zamykające się i otwierające usta koleżanki. W straszliwym huku bombardowania niesposób było odróżnić słów.

— Na lewo, na lewo w korytarzu palą się ranni jeńcy niemieccy — krzyczała jej w ucho Gama. — Nikt ich nie chce wynosić.

Lena rzuciła się korytarzem. Pokój z jeńcami objęty był już płomieniami. W dymie i nieludzkim ryku uwięzionych w gipsie ludzkich kadłubów nie mogła przez chwilę niczego rozróżnić. Zawahała się. Cofnęła się wstecz i zrobiła krok do odwrotu.

— *Mein Gott! Meine Mutter* — usłyszała blisko, spod nóg. Schyliła się. Ku niej czołgał się człowiek. Był poparzony, obie ręce miał w gipsie, rozpięte na skrzydle wyciągu.

— *Wasser* — wyszeptał.

Lena przyklękła.

— Wody nie mam — powiedziała z nagłą, nieludzką, dziką rozpaczą. Miała wrażenie, że w jednym mgnieniu coś w niej pękło, runęło, zawaliło się.

— *Essen* — wycharczał człowiek, konający w dymie, w płomieniach i w samotności.

Lena wyciągnęła kostkę cukru z drelicha i wsunęła ją w usta rannego.

— *Danke* — wymówił z trudem i spod popalonych powiek spróbował spojrzeć na jej twarz.

W drzwiach stanęła Gama z noszami. Znów coś krzyczała. Lena szarpnęła za drążki, rozłożyła nosze i wciągnęła na nie rannego, który, jęcząc, ssał wściekle, zachłannie cukier poparzonymi, krwawymi wargami. Za siódmym nawrotem zatrzymała je ściana ognia. Trzask płomieni i ryk żywcem palonych ścigał je przez puste pokoje, gdzie miotając się próbowały znaleźć wyjście z pożaru.

Ulewny deszcz spędził przed zmrokiem z nieba samoloty i wygasił popioły. Zaczęły grać kolejowe działa, a w przerwach między salwami, w równych pięciominutowych odstępach ryczała „krowa" z Pasty.

Gama usiłowała rozczesać pełne tynku włosy w nowej kwaterze na Hożej.

— Zostaw to, na próżno — perswadowała Lena. — I tak, i tak masz już regularny kołtun. Tylko nożyczki.

— Skąd by tu skombinować coś do żarcia — westchnęła Gama.

— Kantynę nam dziś skończyli, ale nie martw się. Mam coś na oku... — powiedziała Lena.

Wszedł major Zimny. Był troszkę przyprószony pyłem, ale mundur wyglądał na nim jak po zwykłym, forsownym marszu w kurzu szosy.

— Wodę macie? — rzucił.

— Nie, panie majorze — zameldowała Gama. — Nie zdobyłyśmy.

— To źle — mruknął wyraźnie zaaferowany. — Pociągnął ręką po twarzy. — Ten kurz, cholera! Obrzydlistwo. — Wyciągnął z kieszeni kawałek flaneli, oparł nogę o krzesło i zaczął glansować cholewy. — Ale dali nam dzisiaj, co? — roześmiał się. — Miałyście pietra? No, było z czego — monologował.

Lena wstała.

— Tak jest, panie majorze, miałyśmy pietra, dali nam bobu i było z czego.

Zimny przestał glansować i odwrócił się nieco zdziwiony. Napotkawszy wzrok łączniczki spuścił nogę na ziemię, wszedł do sąsiedniego pokoju i mocno zamknął za sobą drzwi.

Nocą wpadł starszy strzelec Orion.

— Gdzie major? — krzyknął w progu.

— U siebie — powiedziała Gama.

Chłopak był czarny od błota zmieszanego z deszczem, w podartym tygrysie, z zabandażowaną ręką.

Zimny wybiegł z nim po chwili, zapinając w pośpiechu płaszcz.

— Barykada przy Emilii Plater wzięta! — powiedział nerwowo do Gamy. — Pójdziesz do kapitana Lecha. — Gama schowała papier do kieszeni bluzy. — Niech nam podeśle chociaż jeden cekaem.

Lena wstała z podłogi.

— Pójdziesz z Gamą — zwrócił się do niej Zimny.

Lena kiwnęła głową.

Na ulicy mocniej rozszczekały się karabiny. Huknęło kilka granatów.

— Jak nie odbijemy barykady przy Emilii Plater, trzeba stąd nawiewać — powiedziała Lena.

— Dokąd? Odbijemy. Musimy. To nasz ostatni skrawek Śródmieścia — odpowiedziała wolno Gama. Wzdrygnęła się. — Zimno. Spałam w wilgotnym ubraniu. Nie wyschło.

Lena poszła do pokoju Zimnego.

— Co tam robisz? — zawołała Gama. — Nie ma czasu.

— Lech i tak nie da cekaemu, nawet naboju nie da! — odkrzyknęła Lena. — Sam ledwo zipie. — Wróciła niosąc paczkę sucharów i spory kawał szwajcarskiego sera.

Gama spojrzała na jej ręce tak, jakby Lena trzymała w nich wypchanego kolorowego pawia.

— Co to? — powiedziała bez zainteresowania, jakby tamta trzymała makietę sera i sucharów, a nie sam ser i suchary.

— Nie widzisz?

— Niemożliwe — powiedziała Gama.

— Dawno go śledziłam — uśmiechnęła się ironicznie Lena. — Wiedziałam, że ma gdzieś żarcie. Inaczej musiałby wyglądać tak, jak my.

— Ser szwajcarski!? — wyszeptała nareszcie Gama, jakby ten fakt dotarł nagle do jej świadomości. — Teraz, w Warszawie?!

— A co myślisz!

Gama wyciągnęła rękę. — Daj! — Cofnęła ją. — A jak się domyśli?

— Niech spróbuje! To za spirytus wymienił. Barykada na Emilii Plater wzięta! Zapomniał zamknąć walizkę. Długo polowałam na taki moment.

Gama jadła ser, zagryzając go sucharem.

— Boże! Pierwszy chleb od sześciu tygodni.

Wyszły w ulewę. Przy barykadzie na Emilii Plater wykwitła czerwona rakieta. Puściły się biegiem przez Hożą, nie omijając lejów po bombach pełnych deszczowej wody.

*

Cisza była zabijająca. Cisza męczyła jak zmora, doprowadzała do rozpaczy, nie przynosiła odprężenia. Ani jednego wystrzału. Nawet przyzwyczajenie się od nowa do myśli o życiu nie dawało wytchnienia. Cisza tłoczyła gorzej niż śmierć, z którą każdy już się zbratał, pogodził i umówił na wieczność. Lena przewracała się na sienniku w kwaterze i zastanawiała się, dlaczego to, do czego właściwie tęskniła, przyszło właśnie w ostatniej chwili po Martę, a ona teraz tu leży, zupełnie zgubiona, i nawet myśli nie może w sobie uporządkować.

Gama poszła z kartką do magazynu. Wydawano ostatnie racje żywności, nie oszczędzając już tłuszczu na szpitale.

Deszcz lał strugami trzeci dzień i Warszawa zamieniła się w jezioro. Obsuwały się podmyte wodą gruzowiska, waliły się zarysowane ściany.

Gama weszła na kwaterę wyciskając wodę z włosów.

— Niebezpiecznie chodzić — powiedziała. — Patrz, co przyniosłam.

Lena wstała z siennika.

— Masło?

— Tak. I kaszę. Kupę. Na dziesięć osób. Głodzili nas, a teraz jak otworzyli magazyn, to mało buntu na koniec nie wywołali. Nie wyobrażasz sobie, co się tam działo.

Lena nie odpowiadała.

— Zimny złapał mnie na ulicy. Jutro wychodzi nasza Komenda, Lena.

— Tak szybko?

— Tak. Mamy się najeść i doprowadzić jakoś do porządku. Deszczówka jest.

— Według rozkazu — mruknęła Lena.

— Rano msza polowa na naszym podwórku. Kto chce, może iść w nocy do spowiedzi. Kapelan do świtu będzie przyjmował na kwaterze Kozaka. Wstań, Lena, ugotuj kaszy, bo jestem nieżywa. O jedenastej pójdę do spowiedzi. Pójdziesz ze mną?

— Nie.

— Dlaczego?

— Mogę zdychać w Dachau także bez Boga-Ojca.

— W jakim Dachau? Idziemy do obozów na prawach kombatantów.

— Eee...

— Lena... wyspowiadaj się... na wszelki wypadek.

Lena roześmiała się. Ugotowała kaszę i okrasiła ją bryłą masła wielkości dwóch pięści.

— To jest masło z kaszą — powiedziała Gama. — Niebo w gębie.

O jedenastej Gama poszła na kwaterę Kozaka. Lena umyła się, wyczesała

chyba pierwszy raz od dwóch tygodni włosy i odczyściła, o ile to było możliwe, mundur i buty. Potem z westchnieniem zwaliła się na siennik. Coś się z nią działo, czuła się śmiertelnie chora. Po północy złapały ją torsje, a o świcie krwawa biegunka. Po raz pierwszy, w osiemnastym roku życia, wyobraziła sobie dokładnie, jak się umiera.

Gama wróciła o czwartej rano uroczysta i od nowa sprężysta, napompowana bogoojczyźnianym zapałem.

— Co ci jest? — zapytała z przerażeniem, patrząc na Lenę.

— Nie wiem, chyba koniec.

— Masło z kaszą, Lena. Kiszki nie wytrzymały po takiej głodówce. Co będzie? Możesz wstać?

— Nie.

— O chodzeniu mowy nie ma?

Lena potrząsnęła głową.

— Nie zostawimy cię.

— Wszystko mi jedno.

— Coś się obmyśli. Grunt, żebyś na ostatniej odprawie mogła stanąć na własnych nogach.

— Nie ustoję.

— Podeprzemy cię. Nie zorientują się. Nie bój się.

Zimny wpadł na kwaterę o ósmej rano. Spojrzał na Lenę.

— Co jej jest?

— Nic — powiedziała szybko Gama.

Zimny schylił się.

— Dezynteria?

— Ale skąd! — oburzyła się Gama.

— Do szpitala. Niech wychodzi ze szpitalem. Czeka nas marsz na Ożarów.

Lena kiwnęła głową.

— Jak nie będę mogła iść, na pewno was nie narażę.

— Cicho bądź — powiedziała Gama.

Zimny zakręcił się po pokoju.

— No, jak chcecie. Uprzedzam, ambulans z nami nie idzie. Nie jest przewidziana nawet jakaś fura, gdyby ktoś zasłabł albo coś... Zostanie w razie czego na szosie, w rękach SS. Mundury wyczyszczone?

— Tak jest, panie majorze.

— Dobrze. Msza o dziesiątej.

— Będziemy — powiedziała Gama.

Zimny wyszedł.

Za piętnaście dziesiąta Gama zaczęła niespokojnie spacerować po pokoju.

— Pójdziesz ze mną?

Lena potrząsnęła przecząco głową. Była blada jak opłatek i zupełnie bezsilna. Torsje chwytały ją przy najlżejszej próbie ruchu.

O dziesiątej Gama obciągnęła bluzę i podeszła do okna.

— Otworzę ci jedno skrzydło, chcesz? Będziesz wszystko słyszała. — Odchyliła zabitą dyktą ramę. Lena milczała. Gama wyszła.

Do pokoju wdarł się gwar głosów ludzi zgromadzonych na podwórzu. Ucichło się i Lena usłyszała śpiewne zawodzenie księdza. Leżała cicho, słaba i zmęczona, ale w miarę mijających minut i coraz większego żaru w sło-

wach wypowiadanych przez kapelana czuła, jak wzrasta w niej niepokój. Na podwórzu ludzie klękali i wstawali, szczękały zamki karabinów w zetknięciu z brukiem. Przewróciła się na wilgotnym barłogu i zatkała uszy. Nienawidziła tego wszystkiego, nienawidziła tak strasznie, że to uczucie prawie ją teraz dobijało. Przez otwarte okno płynęły chrząkania i pociągania nosami. Jakieś niezwykłe napięcie wdzierało się do mrocznego pokoju, udzielając się Lenie. Zaciskając dłońmi uszy, usiłowała przypomnieć sobie, jakie skojarzenie emocjonalne niosła jej mimo wszystko ta rozgrywająca się za oknami scena. I nagle, w błysku uprzytomniła sobie, że czuje się tak, jak w dawnych latach, kiedy z wypiekami na twarzy czytała przemówienie żałobne księdza Kamińskiego nad trumną Wołodyjowskiego. I jednocześnie pomyślała, czy to jest możliwe, żeby się tak niewiele przez tyle wieków zmieniło. Jak na migającej taśmie ujrzała nagle karykatury uświęconych narodowych fetyszy, po kolei, wszystkie wytarte rekwizyty, którymi od stuleci przystrajano rzeczywistość dla takich jak ona. Patos i romantyzm, błyszcząca, nie kończąca się od dziesiątków lat maskarada, pozłacana, napuszona, owiana kadzidłami, pod sobolowym futrem kryjąca łachman.

Za oknem zaległa cisza. Lena wbrew woli znów zaczęła słuchać. Zawarczały werble. Ksiądz na podwórzu zaczął wymieniać nazwiska poległych bohaterów i odznaczone oddziały. Powietrzem wstrząsnął płacz łączniczek i sanitariuszek. Lena porwała się nagle z barłogu, pchana siłą, której nie mogła opanować. Namacała drzwi i chwiejąc się wyszła na podwórze. Stanęła ostatnia z brzegu, prawie w bramie. Ciągle grały werble. Przeniknął ją dreszcz ironii, ale stanęła wyprostowana jak inni. Wiedziała, że to już ostatni raz. Ostatni raz znalazła się w tym szeregu, za tych, co w ziemi, za tych, co padli na ten bruk — za oszukanych, co już dowodu dać prawdzie nie mogli. Dobosze złożyli pałeczki. Zaległa trzyminutowa cisza. Lena wysunęła się bezszelestnie z bramy i wróciła na kwaterę.

W chwilę potem wpadła Gama.

— Msza skończona — zawołała od progu. — Możesz chodzić! — ucieszyła się widokiem stojącej na środku pokoju Leny. Zakładała w pośpiechu plecak, szybko zaciągając pasy. — Zaczekaj, zaraz i tobie pomogę — rzuciła. Spojrzała na stojącą ciągle bez ruchu Lenę. — Co się stało? — zapytała. — Dlaczego nic nie mówisz? Gorzej ci? Co robisz? — szepnęła ze zdziwieniem.

Lena z pasją szarpnęła biało-czerwony kawałek płótna z wybitymi na nim dwiema czarnymi literami, zmięty od deszczów, szary od błota warszawskich ulic, zrudziały od krwi Marty — i zdarła go z rękawa.

— Dosyć — powiedziała z pewnością i ulgą decyzji. — Wychodzę z cywilami.

Gama odwróciła się bez słowa i zniknęła w drzwiach.

Barbara Nawrocka

Marian Czerniecki

PRÓG

Ojciec stał przy oknie i patrzył na ulicę.

Była cicha i pusta. Z lewej strony, tam gdzie zakrętem wbiegała w pole, długie zielone kłosy pszenicy, potrącane łagodnymi podmuchami wiatru, uginały się tuż nad nią. Przechylały się ponad albo pomiędzy drutami i czasem, kiedy wiatr był silniejszy, zamiatały ulice.

Z prawej strony przylgnęły do niej małe domki — chałupki, w jakich żyją biedacy.

Mój ojciec powiedział mi, że przed dwoma laty mieszkali tu biedacy — narodowości polskiej. A dzisiaj — w domkach, na lewym krańcu przedmieścia, za drutami — mieszkamy my, Żydzi.

Przy stole siedziała matka i Miśka. Miśka to była nasza daleka kuzynka, której męża zabrano już dawno. Jeszcze podczas kwietniowej akcji. Od tego czasu nie mówiła nic, tylko kręciła głową. Wyglądało to bardzo komicznie. Ojciec mówił: — Misiu, nie możesz tak ciągle milczeć. Musisz choć trochę żyć, a nie patrzeć bez przerwy w kąt.

A Miśka nie odpowiadała, tylko po swojemu kręciła głową.

Ja stałem przy szafie. Wtedy, kiedy na ulicy było niespokojnie albo kiedy zabierano do roboty, w szafie przesiadywaliśmy wraz z siostrą długie godziny. Dziś wydawało mi się, że na dworze panuje spokój, i dlatego nie chciałem czekać przy szafie. Przed naszym domem, największym ze wszystkich na naszej ulicy, bo jednopiętrowym, zasłoniętym od chodnika szeroką bramą na zawiasach, leżał piach. Któregoś dnia przywiózł go na taczce mój dziadek z piaszczystego wzgórka, za polem. Jeszcze wtedy nie było tu drutów i można było chodzić w pole i trochę dalej, do wioski. Dziadek chciał, aby podwórko wyglądało porządnie i żeby dzieci mieszkające w tym domu — było nas z początku pięcioro — miały się gdzie bawić. Dziadek miał wtedy sześćdziesiąt pięć lat, trzymał się dobrze i byłby chyba pożył jeszcze z kilka ładnych lat, gdyby nie to, że jakiegoś popołudnia przyszli nasi policjanci z Judenratu i kazali mu się tam zgłosić. Dziadek poszedł i już nie wrócił.

Potem wiedzieliśmy, że jak przychodzą nasi policjanci i wzywają do Judenratu — nie dobrze jest tam chodzić, zwłaszcza jeżeli jest się starym jak dziadek — ale zdarzyło się to na samym początku, kiedy nikt jeszcze na niczym się nie znał. A żółty piasek został; codziennie podsypywaliśmy świeżą warstwę

z kopczyka, który wznosił się na tle domu, i mieliśmy doskonały teren do zabawy. Powiedziałem ojcu, że chcę zejść na dół.

Ojciec odwrócił głowę i kazał mi być cicho. Ciągle stał przy otwartym oknie, opaska na ramieniu w oprawie z celofanu zsunęła mu się aż do łokcia, a pod pachą miał wydarty rękaw. Ojciec nigdy nie uważał na rzeczy; mama zawsze tak mówiła, od kiedy pamiętam. Tylko, że było to jeszcze wtedy, kiedy mieszkaliśmy w śródmieściu. Potem, tu na Korzennej, przestała o tym mówić. Powiedziałem, że jestem głodny.

Wiem, że nie powinienem był tego mówić, bo w domu nie było chleba. Miała go dopiero przynieść moja siostra — starsza od mnie o cztery lata — ale powiedziałem na złość.

Na podwórku był piasek, mocno grzało słońce, a ja ostatnio bardzo mało bawiłem się na dworze. Zresztą w ogóle mało bawiłem się, od kiedy przenieśliśmy się na Korzenną, bo moi koledzy, którzy razem ze mną sprowadzili się do tego domu, bardzo prędko stąd odeszli. Pytałem kiedyś dokąd — usłyszałem, że daleko.

Sąsiedzi mówili, że żebrali na ulicy i że złapali ich Niemcy i zaprowadzili na piaski, ale niewiele z tego mogłem zrozumieć. Piasek był koło domu: a jak kogo Niemcy złapali, wcale nie pozwalali bawić się w piasku, a bili i wyzywali. Czasem także strzelali, ale sam tego nigdy nie widziałem, tylko słyszałem od innych dzieci.

Jeszcze raz powtórzyłem, że jestem głodny.

— Zaczekaj, aż będzie podwieczorek — odezwał się ojciec. Nie lubiłem, kiedy patrzył na mnie w ten sposób. Zawsze zdawało mi się, że za chwilę będzie płakał. Ale ojciec nigdy nie płakał, tylko przecierał okulary ręką. Teraz zrobił to samo i odwrócił się w kierunku ulicy. Nie wiedziałem, dlaczego tak stoi, i zrobiło mi się go bardzo żal. Moja mama wstała od stołu, podeszła do szafy, wyciągnęła kawałek chlebowego suchara i dała mi go. Był twardy jak kamień, ale lubiliśmy z siostrą moczyć go w herbacie, bo wtedy rozbijał się na małe grudeczki a herbata stawała się mętna jak błoto.

Mama miała w ręku jeszcze dwa kawałki. Jeden dała ojcu, a drugi Miśce. Ojciec przyciągnął matkę do siebie i pocałował, a Miśka jak zwykle nie powiedziała nic. Potrząsała tylko głową, jak gdyby chciała powiedzieć: „nie, nie będę jadła", ale to była nieprawda; zawsze jadła z wielkim apetytem i mlaskała przy tym bardzo głośno.

Właśnie kiedy podszedłem do wiadra i nabrałem trochę wody do mojej filiżanki — każde z nas miało swoją filiżankę, jeszcze z mieszkania w śródmieściu — do pokoju wbiegła moja siostra. Miała umorusaną twarz, jakby upadła na ulicy. W ręku trzymała chleb. Położyła go na stole i krzyknęła do ojca:

— Tatusiu, tatusiu, znowu idą!

Ojciec zapytał: — Gdzie? — Szybko chwycił ją na ręce i uniósł w górę. Zawsze ją tak trzymał, kiedy się czegoś bała. Moja siostra odpowiedziała: — Na Źródlanej.

Źródlana była to ulica tuż obok naszej. Naprzód były małe domki, potem zakręt i zaczynała się Źródlana.

Matka zerwała się od stołu, otworzyła szafę, z półki na górze zdjęła flaszkę wódki i podała ją ojcu. Wódka była potrzebna, kiedy przychodzili Ukraińcy.

Ci zawsze brali pieniądze i pili wódkę. Chyba że przychodzili razem z Niemcami, wtedy nie pili, tylko klęli i bili.

— Postaw na stole — powiedział ojciec. Ręką gładził włosy mojej siostry, a głowę miał znowu zwróconą w stronę ulicy. Potem postawił moją siostrę na podłodze i zwrócił się do matki: — Przypilnuj dzieci. Pójdę zobaczyć, co się dzieje.

Bo na naszej ulicy było jeszcze całkiem cicho. Matka nie chciała, żeby ojciec wychodził, ale nigdy nie było inaczej. Matka płakała, a ojciec biegł na ulicę. Wszyscy stanęliśmy przy oknie. Mama nic nie mówiła. Bardzo bała się o ojca. Tylko Miśka siedziała przy stole i kiwała głową, jakby chciała powiedzieć: „Nie stójcie tam. Nie stójcie". Ale że to było takie tylko sobie kiwanie, nikt nie zwracał na nią uwagi.

Ojciec otworzył bramę — inaczej nie mógł, ponieważ nie było tam małej furtki, a dziadek, który chciał ją zrobić, już nie żył — i poszedł szybkim krokiem w prawą stronę, tam stały małe domki, zamieszkałe przez biedaków. Ludzie wołali do niego, żeby nie szedł, ale on nie słuchał. Zawsze był taki. Sam musiał wszystko zobaczyć. Widzieliśmy, jak doszedł do końca uliczki, zobaczył zza muru, co się dzieje na sąsiedniej ulicy, natychmiast zawrócił i biegiem gonił z powrotem do nas, do domu; po drodze krzyczał coś do ludzi, którzy stali przy oknach w małych domkach.

Z daleka słychać było jakieś wrzaski, ale na naszej ulicy było całkiem spokojnie i nie widać było nikogo — dlatego zdziwiłem się, dlaczego mój ojciec biegnie. Matka zbladła, rękę, którą trzymała na mojej głowie, zacisnęła tak silnie, że krzyknąłem z bólu. Mama popatrzyła na mnie, wydało mi się, że wcale mnie nie widzi, i znowu patrzyła na ulicę. Ojciec był już niedaleko domu, a moja siostra, starsza ode mnie o cztery lata, wybiegła do niego, na schody.

Pomyślałem sobie, że bardzo śmiesznie biegnie mój ojciec. Tak jakoś ciężko jak koń-perszeron, który wiózł nas i meble na Korzenną, i że zaraz zgubi opaskę. Za to była duża kara, Niemcy i Ukraińcy bardzo bili, dlatego się nastraszyłem.

Ojciec wbiegł do domu, ale zapomniał za sobą zamknąć bramę. Została na oścież otwarta i zapraszała do wejścia. Pomyślałem sobie, że gdybym przechodził kiedyś obok tak szeroko otwartej bramy i zobaczył bieluśki piasek na podwórku, na pewno od razu wszedłbym do środka.

Ojciec, już w pokoju, podbiegł do okna i kazał mamie trzymać nas w szafie. Powiedział jedno słowo: „a k c j a", ale wszyscy wiedzieliśmy, co ono oznacza. Mama włożyła palec do ust i jęknęła. Widziałem, że ugryzła się bardzo mocno, bo kiedy opuściła rękę — na palcu było czerwone półkole i ślady od zębów. Moja siostra rozpłakała się głośno. Tylko ja i Miśka nie wydaliśmy z siebie głosu. Miśka jak zwykle potrząsała głową. Nie wiedziałem, co by to mogło teraz znaczyć.

Mama zdążyła jeszcze zapytać: „kto?," a ojciec odpowiedzieć: „Gestapo i Ukraińcy", kiedy cicha i pusta ulica zrobiła się tłoczna i gwarna. Usłyszałem, że ludzie krzyczą i jakbym w jednym z głosów poznawał głos naszego sąsiada z piątego domku, nosiwody Szymona, ale może mi się tylko wydawało. Słyszałem także krzyki Niemców. Zawsze rozmawiali i śmiali się bardzo głośno. Chciałem podejść do okna — mama mi nie pozwoliła. Objęła mnie i moją siostrę rękami i powtarzała w kółko:

— Milu, Milu, co teraz będzie? Co teraz będzie?

Nie rozumiałem, dlaczego pyta, kiedy i tak bardzo dobrze wiedziała. Jak była „akcja", to zabierali ludzi i potem trzeba było umrzeć.

Milo — tak miał na imię mój ojciec — stał pod oknem i zaciskał pięści. Miśka nic nie mówiła. Jak zawsze, potrząsała głową i patrzyła w kąt. Krzyki stawały się coraz głośniejsze. Słyszałem teraz płacz i jęki. Tym razem był to na pewno stary woziwoda Szymon, bo ojciec, przełykając głośno ślinę, powiedział:

— Zabierają Szymona.

Wyrwałem się z rąk matki i podbiegłem do okna. Bardzo kochałem starego Szymona, bo pozwalał mi pić wodę z wiadra, kiedy przynosił ją do domu, a mama nie. Chciałem zobaczyć, czy wyszedł ze swego domku z wiadrem. Nigdy go jeszcze inaczej nie widziałem, ale dość krótko go znałem — od czasu, kiedy przenieśliśmy się na Korzenną. Wcale nie było tu tak źle, tylko rodzice często wzdychali i nie pozwalali nam bawić się na ulicy, przed domem. Szymona nie zobaczyłem, bo zasłaniała go gromada naszych ludzi a ojciec zrobił krok w kierunku stołu, wziął flaszkę wódki do ręki, przechylił do ust i wypił jeden łyk. W tamtym mieszkaniu — w śródmieściu — nigdy nie zauważyłem, żeby ojciec robił coś podobnego, ale tu, zawsze kiedy była „akcja" — wypijał parę łyków. Postawił flaszkę na stole i znowu stanął na poprzednim miejscu. Mama chciała, żebyśmy schowali się w szafie, ale nikt jej nie słuchał, bo i tak wiedzieliśmy, że to na nic. Naszą sąsiadkę z dziećmi — z tego samego domu — zabrano prosto z szafy. Jak weszli do jej mieszkania i zobaczyli, że w pokoju jest pusto, poszli prosto do szafy i wyciągnęli stamtąd cztery osoby. Zabrali wszystkich z wyjątkiem małej Jańci. Zostawili ją nam. Nie wiadomo, czy zrobiło im się jej żal — bo była jeszcze bardzo mała — czy chcieli się tylko pośmiać z naszej sąsiadki, kiedy zobaczyli, jak krzyczy i wyrywa się do niej. Gdyby wiedziała, co się stanie z małą Jańcią, na pewno wcale by nie rozpaczała, tylko tego, biedna, nie mogła wtedy wiedzieć, że jakiejś nocy przyjdzie do nas nasza dawna mleczarka, która mieszkała niedaleko we wsi, i zabierze małą Jańcię do siebie. Przeszła przez pole, a to wcale nie było bezpieczne, bo były już tam wtedy druty i stali strażnicy; ale jakoś to się jej udało. Chciała także zabrać moją siostrę. Nic z tego nie wyszło, bo ojciec nie mógł się z nią rozstać. Ale mnie zabrać nie chciała.

Dlatego nie mieliśmy zamiaru włazić do szafy a moja siostra powiedziała, że woli, żeby ją zabrali z jasnego pokoju niż z ciemnej szafy. Na ulicy Niemcy w zielonych mundurach, ze srebrnymi blachami na piersiach i w hełmach na głowach — wyciągali ludzi z domków na ulicę i ustawiali ich w jedną kupę. Ciągle przy tym bili, ale nie strzelali. Bałem się patrzeć, ale patrzyłem i nie płakałem. Dopiero kiedy z sąsiedniego domku wyciągnęli na ulicę mego kolegę i jego matkę i bili ich po głowie, nie wytrzymałem i zapłakałem głośno. Ojciec natychmiast odciągnął mnie od okna i powiedział:

— Już są przy nas.

Miał spokojny głos, tylko trochę trzesła mu się ręka, kiedy brał ze stołu flaszkę wódki i pił z niej. Kazał mamie przygotować arbeitskarty, ale całkiem niepotrzebnie o tym powiedział, bo mama już dawno położyła je na stole przy wódce. Były w żółtym kolorze i miały wielkiego niemieckiego orła pod fotografiami. Zapomniałem powiedzieć, że kto miał dobrą arbeitskartę, mógł się spodziewać, że go zostawią w domu, ale bardzo dobra karta kosztowała drogo i nie

każdy mógł ją mieć. Moi rodzice mieli taką średnią. Czasem z taką zabierali, a czasem nie.

Znowu wróciłem do okna, tylko że nie stanąłem za blisko, bo Niemcy chodzili po drugiej stronie ulicy. Wyglądali bardzo ładnie, hełmy mieli odsunięte od czoła, pewnie było im gorąco, a blachy na piersiach świeciły w słońcu, jakby były ze złota. Mimo to byli straszni i strasznie krzyczeli. I bili ludzi, których wyprowadzali na ulicę z domu naprzeciw. Nie znałem tam nikogo, bo ojciec nie pozwalał mi tam chodzić a sąsiedzi mówili, że żaden uczciwy człowiek z takimi ludźmi nie powinien się zadawać. Mieszkała tam jedna rodzina; ojciec i matka chodzili w dzień po domach, skarżyli się, że nie mają co jeść i że ich dzieci są głodne, i kradli co się tylko dało. Ale chyba naprawdę nie mieli co jeść, bo kiedy w naszym domu urządzono „głodną kuchnię" — przychodzili i oni, jedli po dwa talerze zupy i nigdy nikomu nic nie zabrali. Mieszkał tam także ten sam policjant, który kazał dziadkowi pójść do Judenratu. Teraz wyprowadzili go na ulicę i chociaż pokazywał swoją ładną czapkę, bardzo prosił i łapał za nogi — popchnęli go do tych, co stali w kupie na środku ulicy. I jego także było mi żal, mimo że wiedziałem, jaki jest. Nagle ojciec powiedział:

— Zaraz przyjdą do nas.

Nikt mu nie odpowiedział, tylko oczy mamy zrobiły się strasznie wielkie i głębokie jak dwie czarne studnie. Ojciec zawsze mówił, że mama, kiedy się gniewa, ma oczy głębokie jak studnia — ale przecież teraz wcale nie była zła. Moja siostra siedziała spokojnie przy stole. Nie płakała. Palcami skubała chleb, który przyniosła, i wydziobane kawałeczki szybko wkładała do ust. Nie wolno było tego robić, mama zawsze się irytowała, ale teraz nie patrzyła na nią. A może widziała, tylko udawała, że nie widzi.

Ja skuliłem się pod parapetem okna, żeby nie widzieć, jak będą przechodzić przez bramę. Zdawało mi się, że skoro ich nie dostrzegę, może i oni mnie nie zauważą. Ale przypomniałem sobie, że jak tylko wejdą do pokoju, od razu, od drzwi mnie zobaczą, i pomyślałem, że nie ma przed nimi gdzie się skryć. Ojciec stał jak przedtem w oknie, głowę miał wychyloną, a rękę wyciągnął w naszym kierunku, jak gdyby chciał nas zatrzymać albo przywołać do siebie. Tylko Miśka po swojemu siedziała przy stole, patrzyła w kąt i ciągle ruszała głową.

Na ulicy ktoś krzyknął. Nie był to taki krzyk, jaki słyszałem do tej pory. Tak nie krzyczał nikt z naszych, ani kobieta, którą Niemiec szarpał za włosy, ani mężczyzna, którego Ukraińcy bili pistoletem po twarzy. Nasi krzyczeli cienko, jak gdyby nie umieli bardzo głośno krzyczeć. Naturalnie, kiedy krzyczało dużo osób, powstawał wielki krzyk, ale nie taki, jak ten, który usłyszałem. Podniosłem głowę, bo chciałem zobaczyć, kto ma taki wielki, gruby głos. Od razu wiedziałem, co się stało. Krzyczał ogromny Niemiec z karabinem w ręku. Stał przy małych domkach, niedaleko rogu ulicy, karabin trzymał przy ramieniu i celował do małego chłopca, trochę może starszego ode mnie, który biegł po chodniku prosto pod nasz dom. Patrzyłem na niego i pomyślałem sobie, że nigdy go tu przedtem nie widziałem. To musiał być jakiś obcy chłopiec, zabłąkany na naszej ulicy; uciekał tędy, bo pewnie chciał trafić na zielone pole, a wpadł prosto na Niemców. Nie wiem, dlaczego zrobiło się nagle cicho. A może wcale nie było cicho, bo ogromny Niemiec krzyczał, mierzył z karabinu, inni Niemcy krzyczeli i śmiali się głośno i pokazywali sobie małego chłopca, który uciekał —

tylko nasi milczeli. A że ja byłem jednym z naszych — milczałem także i myślałem, że panuje cisza i że świat stanął.

Potem buchnął strzał i mały chłopiec podskoczył do góry, jakby chciał złapać piłkę, i wywrócił się na brzuch akurat w naszej bramie. Była otwarta, musiał zobaczyć żółty piasek i może pomyślał, że tędy prowadzi droga na zielone pole. Upadł. Widziałem dobrze, bo przecież było to prawie pod moim oknem, przed moim domem, i śmiesznie grzebał rączkami w piasku. Szukał czegoś w ziemi i na pewno znalazł, bo uspokoił się i umarł. Niemcy, którzy mieli do nas wejść, stali teraz nad nim i coś mówili do siebie, czego nie rozumiałem, pokazywali sobie nas w oknie a jeden z nich kopnął go nogą. Mały chłopak przewrócił się na bok i dużo krwi leżało na żółtym piasku. Nie mogłem więcej patrzeć, schowałem głowę, ale mój ojciec, który rozumiał, co mówili na dole, i nie odsunął się od okna ani na chwilę, krzyknął do matki: „Odchodzą!".

Na ulicy znowu były krzyki. Ale to już krzyczeli nasi, którym kazano maszerować na prawo w stronę sąsiedniej ulicy. Musiały tam stać samochody, bo wyraźnie słyszałem szum motorów.

Kiedy podniosłem głowę, pod naszym domem nie było nikogo, a Niemcy szli już chodnikiem, pod domami naprzeciwko, za tymi, co maszerowali środkiem ulicy z rękami na plecach i pochylonymi głowami. Mały chłopiec leżał zaraz za bramą, na naszym podwórku. Miał rękę wzniesioną nieco do góry i zaciśnięte palce, jak gdyby coś w nich trzymał. Widziałem, że były to grudki piasku, bo coraz to trochę sypało się z powrotem na ziemię, i nie byłem pewny, ale zdawało mi się, że jedno oko miał na pół otwarte i patrzył prosto w niebo. A krew wsiąkała w piach i zrobiła na nim wielką, czarną plamę.

Za chwilę nasza mała ulica była znowu milcząca i pusta, dlatego że ci, których zabrali, poszli i nie krzyczeli więcej, a inni pochowali się w domach i płakali na pewno bardzo cicho.

Ojciec postał jeszcze przed oknem i powiedział, że to jedyny dom na ulicy, do którego nie weszli. Zapytałem dlaczego, ale nikt mi nie odpowiedział. Wszyscy staliśmy przy oknie i patrzyli na ulicę, a ojciec nagle odwrócił się do nas i wykrzywił twarz, jakby chciał płakać, ale tego nie zrobił. Nigdy nie widziałem, żeby ojciec płakał — tylko czasem brał okulary do ręki, żeby je przetrzeć. To samo zrobił teraz i uśmiechnął się do matki. Tego uśmiechu nie zapomnę nigdy. Ani tego, co powiedział do nas:

— Popatrzcie, dzieci, słońce może być tak samo czerwone, jak krew.

Bo właśnie zachodziło.

Czemu tak powiedział — nie wiem. Tylko Miśka siedziała jak zawsze przy stole, patrzyła w kąt i potrząsała głową. Dlatego nie widziała małego chłopca na piasku przy bramie. Ale widziała na pewno co innego.

Marian Czerniecki

Henryk Gaworski

ŻEGNAJ BOŻE

1

Katedry, kościoły wysokie!
Kamienne płomienie natchnień,
których sam dotykałem ręką,
które znam z fotografii,
które błysnęły w oczach
patrzącemu z okien pociągu.

Są w mej głowie zielone aleje,
są senne kręgi myśli,
jak place w prowincjonalnych miasteczkach.

Tu was ustawiam,
katedry, kościoły wysokie:
wasze krzyże przeraźliwie złote,
wasze ciemne jak zaduma wrota
i witraże, witraże, witraże,
orgie tęcz, tęcze przerażeń.

Kłębią, kłębią się wieki ludzkie —
sznury krwi zawiązane w supły,
twarze dzieci z białego wapna,
krzyki dziewcząt hańbionych i kobiet,
nieprzerwany cierpienia upływ.

Z niebios obojętnych jak twarz ascety
uśmiech pogód ten sam, ten sam
i ten sam ślepy piorun
dla katów i dla skazańców,
dla pohańbionych i tryumfatorów.

Katedry, kościoły wysokie!
Usypują wieki kopce kości —

jakże mi się pod nimi dogrzebać
krzywdy ludzkiej, ludzkiej miłości.

Jakże przejść mi te drogi straszne,
prowadzące w otchłanie serc
ludzi, którzy przed wiekami odeszli
na wieki...

Długie, splątane drogi
od strachu do zachwytu,
od bezsilności do natchnienia.

2

Siwa głowa matki jednostajnym ruchem
podnosiła się, biła o kamienną posadzkę.
Klęczałem obok, słuchając błagań i próśb
o moje życie. Źrenice miałem suche
od płomienia powietrza płynącego do ust.

A był to czas wojenny. Miałem szesnaście lat
i pistolet w kieszeni. I miałem zaraz odejść.

W słońcu lipca modlitwy żebrzących bab
kołowały jękliwie pod surowym sklepieniem naw
i dzwonki ministrantów pluskały o młodość.

Mamo!
Chwiało się życie jak płomyk świecy,
że nie zgasło — nie twoich to modlitw przyczyna.
Ale dotychczas widzę twe zgarbione plecy
i siwą głowę, jak lęk ją do ziemi przygina.

Za ten lęk, za błagania, choć rzucone w nicość —
moja miłość, ucząca się mówić na nowo,
i myśl jeszcze niezdarna, jak kamień surowy,
który dopiero zaszumieć ma w palcach jak dąb
i zaświecić pełniami lipcowych księżyców,
i uśmiechnąć się świętą goryczą twych warg.

3

Boga, którego dała mi matka,
zgubiłem dawno, daleko.
A matka ciągle modli się za mnie,
oddaje mnie Najświętszej Pannie
w bezpieczną opiekę.

Co się zmieniło od lat tysięcy
w twarzach człowieczych matek?
Ginąc — kochają, kochając — klęczą
pod mieczami cieni i świateł.

I to jest protest przeciw przemocy
nad miłością, nad nadzieją,
przeciw wichurom, co w oczy wieją
i śmierć zawiewają na oczy.

4

Rozwierało się niebo gromem,
bury wiatr borem trząsł,
potop, kipiel rzężących rzek
pod pożarów złowrogi pąs
moce pędziły niewiadome.

Czym był lęk, zabobon i groza
protoplastów ludzkiego rodu?
Jeśli tylko ciemnością myśli,
jak z niej jaśni bogowie wyszli?

Niech się męczą filozofowie,
rozwiązując ten wielki problem.
Ja, poeta, patrzę gdzie indziej
i w historii dudniącej windzie
jeden problem: twarz ludzką, widzę.

A ta twarz umęczona i żywa
nad klęskami, zmaganiami epok
pozostała ziemska na zawsze,
nawet kiedy patrzyła w niebo.

I tak samo wielkim zwycięstwem
jak poskromienie ognia
był pierwszy wymyślony bóg
depczący prawo przemijania —
najokrutniejsze ze wszystkich praw,
którym podlega człowiek.

5

Moja córka maleńka,
jak chaber — wiosenne ziele,
zmajstrowała lalę-polelę,
jeszcze mniejszą od siebie panienkę.

I zachwycona swym dziełem,
nurza się w pąsach i wstążkach,
miłością pierwszą jaśnieje,
jak słowik kląska.

Potem wznosi pałace
dla swojej pięknej lali
i zapewnia, że mocne są,
że ogień ich nie spali.

6

Jaki śmieszny ten stary kościół —
niby baba wygięta w kabłąk!

Śmiała się dziewczyna, śmiała,
białymi zębami błyskała,
cięła ostrą jak nóż radością,
bogu przychylna i diabłom.

Wzgórze w lipach, brzozach i klonach,
w dole strumień — wąski włos,
a na wzgórzu wiekiem schylona
stara bryła romańskiego kościołka,
każda chmura nad nią jak cios.

Całowałem śmiech, młodość, życie,
w gnieździe dłoni jak pisklę — pierś,
może oczy, może księżyce
zaplątane w nocy srebrną sierść.

Całowałem nie myśląc o tym,
że dziewczynę — kwitnącą jabłoń
czas pochyli i wygnie w kabłąk
i przemieni w stygnącą kopułę
plecy, brzuch i ramiona czułe,
gdzie się wszystko jak w kościele zmieści:
ból milczenia, milczenie boleści.

7

Boże,
którego nie ma na żadnej gwieździe;
boże wszechmocny,
który niczym nie rządzisz;
boże —

dziecko niewiedzy ludzkiej,
ale i ludzkiej tęsknoty.
Nieślubne, cudowne dziecko historii:
lęku mej matki,
lalko mej córki,
śmiechu mojej dziewczyny.

Zakochali się w tobie ludzie,
umierali za ciebie ludzie:
umierali za swoje marzenia o nieśmiertelności,
za marzenia o wiecznym szczęściu,
dotychczas nie ucieleśnione.

Wśród chaosu zniszczenia
i trudnego stawania się najprostszych form,
gdy płomieni miecz otwierał wiek po wieku —
wśród powszechnej wiedzy cierpienia
i powszechnej niewiedzy myśli
rosłeś, boże,
jako jedyna mądrość i sprawiedliwość
i nieustająca dobroć.

Boże —
człowieku idealny,
który nigdy się nie mógł narodzić
na ziemi,
gdzie pokolenia ludzkie
wilczym prawem rządziły się przez wieki.

Dziś, gdy w męce rodzi się sprawiedliwość,
która jedno ma ramię dla wszystkich —
cóż dziś ocalić nam z ciebie
i w imię czego?

Chyba tylko twe rysy ludzkie
wykute ludzką ręką,
na której pierścień cierpienia zły
i czarny rubin krwi.

8

W ciemnych stallach pod łukami absyd,
gdzie pyzate aniołki w trąby dmą,
gdzie kamienni, zamyśleni starcy
patrzą w karty kamiennych ksiąg —
tryska źródło poezji najczystszej.

Zasłuchani w baśń o nieśmiertelnej duszy,
wobec własnych marzeń zawrotnych mali jak źdźbła,
ludzie śmiertelni łamiąc się i krusząc
zaufali pokorze,
że świat przeorze
do dna.

Wiekami rosło kłamstwo sycone pilnie
przez mądrych i okrutnych. Na murach świątyń
jak na najpiękniejszym,
najbardziej tragicznym filmie,
gwiazdy i serca splątane, życie i śmierć.

To tutaj pycha klękała skowycząc,
to tutaj wola pękała jak badyl,
na pokoleń rzeszę niewolniczą
rękami tych pokoleń skręcony misternie
nieubłagany bicz boży spadał.

Ale też tutaj — pod świątyń wysokim dachem
kamień w różę się zmieniał od ciosów dłuta
i muzyka z organów huczących wysnuta
biła wzruszeń nieznanych zapachem.

I tutaj ludzie, których dusze były
o niebo mniej wygładzone niż ich topory,
pierwsze kroki stawiali w tej krainie zawiłej,
której na imię sztuka. I rósł ten wielki poryw,
który ptaki ledwie dorosłe wypycha z gniazd.

9

O, niepokorna, niepokorna
dusza w człowieku i niesyta:
szuka piękna, o prawdę pyta
w dzieł powstających formach.

Uczyłem się i rosła duma,
by żaden bóg mi nie zgiął kolan,
abym żyć i umierać umiał
jak chce moja człowiecza wola.

Bym mógł, jak właśnie dzisiaj czynię,
spojrzeć za trwogi swej granice
i ujrzeć życie — że jedyne,
że żaden bóg go nie powtórzy,
bo nie ma boga poza życiem.

Bym mógł, jak właśnie czynię dzisiaj,
spojrzeć z uśmiechem bogu w twarz,
ludzki ból dojrzeć w jego rysach
i jak przed wielkim poematem
płonącą różę przed nim cisnąć:
masz!

10

Lęk był czarny
jak kapelusz proboszcza.

Płomienie świętych inkwizycji
użyczyły pysznych barw kardynalskim purpurom.

Trucizna, sztylet i topór
torowały drogę królestwu bożemu na ziemi.

Bóg nas nie będzie sądził,
jak grozili kapłani.

Nie będzie również sądził kapłanów,
jakby oni zapewne pragnęli.

Nadchodzi dla nas dzień zapłaty.

Nic,
że ten dzień
trwać będzie może sto lat:

sędziami będziem my.

Oddamy bogu, co boskie,
co ludzkie — oddamy ludziom.

Dies illa
dies irae.

11

Ziemia wierna wszystko zapomni:
ból najdroższy, miłość przeklętą,
wiatrem westchnie i w oczy błyśnie
tarczą niebios piorunem zgiętą.

W ogniu zórz nad drogami pokoleń
łach nędzarza tak samo spłonie,

jak ornatów biskupich fiolet,
jak katowski miecz, roboczy pług.

Lat idących nic nie przepłoszy —
róża wzejdzie, zaszumi dąb,
gdzie świętych inkwizycji sąd
zażegał męczeńskie stosy.

Dla nas dęby i dla nas róże,
i ta wieku dojrzała mądrość,
która wszystko w sobie zanurzy,
aby wszystko z niej mogło odrość.

12

Katedry, kościoły wysokie,
niepojęte kamienne hymny,
nie dotknięte pogód potokiem
ani burz pocałunkiem zimnym.

Kropla rosy i płochy ptak
na milczącej głowie statuy,
wyschnie rosa, odfrunie ptak
i znów spokój, jak głaz nieczuły.

Tak was mijam, kościoły moje,
których żaden bóg nie odwiedzi,
tylko ludzkie łzy, niepokoje,
w nieprzerwanej dziejów spowiedzi;
tylko chmury lub ich sąsiedzi:
ptaki jakieś i jakiś wiatr.

Tak was mijam, jak kropla rosy,
co z muru ścieka,
jak ptak przebijający niebiosy,
jak wiatru niewidzialna rzeka.

Tak was mijam w najczystszym żalu,
bo znam wszystkich modlitw daremność,
bo znam bogów wszechmocnych niemoc.

Patrząc w świty, które przede mną
jak płonące ściany się walą,
niebo witam, choć wracam w ziemię —
katedry, kościoły wysokie.

13

Mówię: niebo.
A za przesłoną dni,
których jeszcze doczekam,
stada rakiet między gwiazdami kołują,
goniąc myśl i tęsknotę człowieka.

Rozprawimy się z królestwem niebieskim —
przejdziemy piekła i raje,
o których nie śniło się świętym fanatykom.
Zobaczymy i usłyszymy,
czego zaprawdę ani ucho nie słyszało,
ani nie widziało oko.

Wtedy bóg
powróci do miejsca swoich narodzin —
najdumniejszego
ze wszystkich znanych miejsc wszechświata:
na wierną, zwycięską ziemię.

14

Ty, którego myślą się karmię
i marzeniami oddycham.

Ty, któryś sam siebie stworzył
w odwiecznym trudzie,
w walce ze wszystkim, co cię otaczało.

Ty, któryś rozpacz poznał i strach,
by strach i rozpacz zwyciężyć.

Ty, który ból mi zadajesz,
gdy zapominasz swego imienia
i swoją dumę wysoką
w błoto niskich podłości wdeptujesz.

Ty, wiecznie nieznany
człowieku!

Do ciebie mówię:

Popatrz:
ziemia szeroka ucieka spod stóp,
pod mostem tęczy płynie,
płacze i śpiewa
w odwiecznym przemijaniu pór.

Modlitewnie góry się piętrzą spowite w gorący błękit,
obłoki w rzeki wpadają,
rzeki wpadają do mórz,
miasta w dolinach
jak wielkie supły na sznurach dróg.

Wszystko to twoje dziedzictwo —
zielono-błękitne przestrzenie,
gdzie futra zwierząt spienione
i ptaki jak gwiazdy spadają,
śpiewając w locie.

Piękna jest ziemia,
piękna jest twoja kolebka,
człowieku.

A ty się ciągle zamyślasz.

Jak gałązka gniesz się i chwiejesz,
gdy przysiada na tobie ptak najlotniejszy —
nadzieja.

Nie ma w tobie pokoju.

Nie będzie w tobie pokoju,
dopóki kolebka ziemi
będzie się zmieniać w grób.

15

Po martwych drogach martwych planet
będziemy kości swoje siać,
jak ćmy w pożarach słońc nieznanych
będziemy ginąć nieulękle,
mącąc wszechświata czarną kadź.

Aż się przeznaczeń krąg przełamie
za tysiąc czy za milion lat
i zawrą się śmiertelne jamy,
gdzie człowiek zgasłą głowę kładł.

Jeszcze odchodzą ukochani,
kamienie niosąc, krzyże niosąc,
tak bez ratunku — w ziemię prosto,
nie powróceni żadną wiosną
zza nocy triumfującej granic.

Jeszcze pójdziecie wy za nimi
i ja — i tylko popiół z nas,
i na popiele mdło zadymi
świecy nagrobnej blask.

A jednak wierzę, jednak wierzę,
do bólu serca, każdym nerwem,
że przyjdzie pora, która przerwie
narodzin, umierania ciąg
i niszczycielski czas nie dotknie
człowieczych oczu, mózgu, serça
ani nie zginą niepowrotnie
cudowne instrumenty rąk.

I ludzie będą od dzieł swoich
dłużej żyć.
I dłużej żyć od gwiazd.
W przestrzeniach, których dziś nie widać,
na nowo stworzą czas.

Jeszcze odchodzą ukochani —
dni jak topory głowy rąbią,
jeszcze skowycze ból rozstania
i dachy nad mieszkaniem ludzi
przebija czarny krzyk.

A ja tę pieśń szaloną ciskam
jak obietnicę — wbrew naturze.
W rozkołysanych gwiazd kołyskach
śpią czarne moce, złote burze,
których dziś myślą ledwie sięgam,
a jutro głowę w nich zanurzę.

Wszystko nas czeka. Stara ziemia
to ledwie niemowlęcy krok
w niepojęty, bezkresny mrok
nad czarnym morzem przeznaczenia.

Wszystko nas czeka.
Żegnaj, boże —
na nic się nam nie przydasz dziś:
pęka wszechświata wielki orzech
i woła nas milcząca oddal
i droga, która wszystko odda,
po której dalej trzeba iść.

Henryk Gaworski

Artur Międzyrzecki

OPOWIEŚCI MIESZKAŃCA NAMIOTÓW

— Nie, mili moi — stwierdza mój rozmówca — nie będzie w tych opowieściach żadnych wątków zbliżonych do *Ojca zadżumionych*. Byłem wprawdzie kilkakrotnie w El Arisz, miejscu dawnej kwarantanny, znajduje się ono obecnie na granicy Egiptu i Palestyny, ale nie zauważyłem tam niczego szczególnego. Działo się to w latach wojny, dla wojskowego samochodu wszystkie formalności zwodziły się do tego, że poprzeczny drąg, wysmarowany na biało, taki sam, jaki obejrzeć możecie na przecznicach kolejowych pod Grójcem albo Łowiczem, unoszono w górę. Czuwało nad owym obrządkiem kilku zaspanych Arabów, którzy zapadali w kolejną drzemkę błyskawicznie, ledwo tylko opuścili na dół drąg zagradzający szosę. Po obu stronach drogi rozciągały się piaski pustynne, nazywane przez poetów całego świata bezkresnymi skrzydłami płaszczyzn. Metafora ta jest znakomita, czasem tylko, po dłuższym pobycie w tych stronach, człowiek łapie się na myśli, że byłoby nieźle, gdyby skrzydła te uniosły się w powietrze i uleciały, pozostawiając na swoim miejscu ze dwie choćby zielone łączki, jeden choćby strumyczek i jeden choćby na początek sosnowy lasek ze skromnym bodaj swojskim lokalikiem w rodzaju tego, jaki znaliśmy przed wojną na Bielanach pod mylącą nazwą restauracji Bochenka. Nie muszę dodawać, że zastrzeżenie to nie odnosi się do wspomnianej poetyckiej metafory, ale do sytuacji bardziej ogólnych. Takich właśnie, o jakich będzie mowa.

Tutaj rozmówca mój zwraca się do mnie z niespodzianym zapytaniem. Niespodzianym dlatego głównie, że jak dotąd nie udało mi się go przyłapać na zapytywaniu kogokolwiek o cokolwiek, z wyjątkiem może kwestii: „która godzina?“ i kwestii nie mniej istotnej: „o której zamyka się wasz lokal?”. Jest to jeden z owych znakomitych gawędziarzy, którzy z chwilą, gdy poczują chęć do zwierzeń, zabiją każdą rozmowę i przepędzą z towarzystwa wszystkich takich, co nie pragną albo nie umieją dobrze słuchać. Pytania ze strony bohatera wieczoru nie są przy tym przewidziane i dlatego zdziwiłem się, kiedy wielki improwizator, Kazimierz L., zapytał mnie, ile mieszkań zmieniłem podczas wojny i jak długo w nich przebywałem. Zastanawiałem się jeszcze nad odpowiedzią, kiedy zabrzmiał jego głos, świadczący, że to, co powiem, i tak będzie zdaniem nędznym i błahym w porównaniu z tym, co on sam ma mi do powiedzenia.

— Bo ja — oświadczył i odtąd ani już on mnie o nic nie pytał, ani ja nie przerywałem — bo ja mieszkałem w jednym miejscu dwa tygodnie najwyżej, może trzy. Wyjątkiem były dłuższe postoje pustynne, ale średnio wypada to samo, a więc dwa, trzy tygodnie, nie więcej. Teraz oblicz to sobie uwzględniając prosty fakt, że rok ma pięćdziesiąt dwa tygodnie i że pięć lat, które spędziłem w wojsku, to jest tygodni więcej niż dwieście pięćdziesiąt. Miałem więc koło stu miejsc postoju, z których większa część przypada na namioty. Namioty były niejednakowe: od dużych, dwunastoosobowych, dla całej drużyny czy działonu — do podręcznych, jedno albo dwuosobowych, należących do żołnierskiego wyposażenia. Spędziłem w nich w końcu kawał życia i nabawiłem się reumatyzmu, po raz pierwszy zaś spojrzałem na nie z perspektywy bardziej cywilnej na kilka miesięcy przed zakończeniem wojny. Było to we Włoszech, bombardier podchorąży Kazimierz L. otrzymał kilkudniowy urlop ze swego pułku artylerii i pozostawiając pod wyniosłymi piniami swoje utrudzone ciężkie działo — czternastoipółcalówkę — udawał się do Rzymu. Jechałem pociągiem pasażerskim, po kilku minutach byłem już dobrym znajomym włoskich podróżnych, których dowcip, żywość umysłu i umiejętność życia nie mają sobie równych na świecie. Ani ja, ani oni nie jechaliśmy nieprzygotowani, po wzajemnych poczęstunkach całowaliśmy się więc z dubeltówki i zaprzysięgali dozgonną przyjaźń i miłość. W pewnej chwili, w zadeszczonym oknie wagonu, pomiędzy płaskimi polami winnic pokazały się namioty żołnierskie. Stały w bezludnym, przejmującym pejzażu, mokły, widać było wysepki wody zebrane w zagłębieniach ich bocznych skrzydeł. Nie pasowały one do naszego nastroju, do szklanek z czerwonym winem i migdałów, do kolorowych chustek młodych kobiet, przyglądających się nam z kąta przedziału. Włosi zasmucili się nagle i wyrazili współczucie dla biednych chłopców, marznących pod brezentowymi płachtami, na których sam widok zrobiło się w naszym wagonie chłodno i szaro. Dziwna sprawa! Wiedziałem przecież, że pod tymi namiotami siedzą nie więksi wcale nieszczęśliwcy ode mnie i albo grają w jakieś angielskie czy hinduskie sześćdziesiąt sześć, albo piją sobie w to niedzielne popołudnie rzeczy nie tak znowu okropne. A jednak po raz pierwszy od lat zobaczyłem wtedy te sprawy z normalniejszej i bardziej ludzkiej perspektywy a chwila ta musiała mieć dla mnie jakieś znaczenie, skoro pamiętam ją tak dobrze do dzisiaj i skoro przypomina mi się zawsze, kiedy ujrzę moknące na deszczu dorożkarskie szkapy. Ale wypijmy. Po czym opowiem ci o najciekawszych namiotach, w jakich sługa twój miał zaszczyt pędzić żywot na skrawkach lądów Azji, Afryki i Europy, jako niczym niewyróżniający się żołnierz polskich oddziałów, do których odnosiła się popularna przed laty piosenka: „Czy ty pamiętasz, wnuku, że dziadzio był w Tobruku".

DON KICHOT

Najsilniej wrył mi się w pamięć namiot Don Kichota. Namiot ten wznosił się nad pustkowiem, gdzie pod każdym kamieniem znaleźć było można trzy albo cztery bielutkie małe skorpiony. Stał bowiem na nizinie irackiej, w rejonach dawnego raju nad Eufratem i Tygrysem: początkowo w pagórkowatej

okolicy Kirkuku, niedaleko brzegów Małego Zabu, później bardziej na południe, pod Khanaquinem, na skraju wielkiej doliny, gdzie Aleksander Macedoński rozgromił był niegdyś Dariusza i gdzie popędziły w owym odległym dniu perskiej klęski oszalałe konie, ciągnące zdany na ich łaskę wóz ze zwłokami wielkiego monarchy. Zamordował go zresztą ulubiony masażysta, eunuch Baodas, ku przestrodze wszystkich władców nazbyt ufających sługom swoim polewającym ich miękką oliwą. Ale nie należy to do opowiadania. Ważne jest tylko w tym wypadku wymienienie okolicy, przez którą przechodzi obecnie rurociąg angielskiego towarzystwa naftowego i polewana smolistą ropą szosa, prowadząca na południe i zachód do Bagdadu, stacji pomp na syryjskiej pustyni, Bejrutu i Haify, na wschód zaś i południe do Teheranu i Basry. Okolica ta nie przypomina piasków Sahary, nie ma tam owej słonecznej żółtości znanej z tysiąca kolorowych filmów, afiszów i reklam egipskich papierosów. Jest to pagórkowata kamienista przestrzeń z wysepkami zieloności nad rzeką, bezludna jednak i pustynna na dużych odległościach. Rzadkie wsie tamtejsze składają się z glinianych, kopulasto zakończonych domków. Jeden tylko z nich jest nieco wyższy, z okienkiem pod żółto-brązową kopułą: to meczet miejscowy. Od drogi oddzielają wieś szeregi glinianych murów, pomiędzy którymi spaceruje kilka apatycznych kur w towarzystwie równie nędznego koguta. W ciągu dnia nie zobaczysz we wsi żywego ducha, zwłaszcza w straszliwie gorące i suche godziny południowe, kiedy ciężko jest oddychać i gdy nawet żołnierze zaopatrzeni w korkowe hełmy tropikalne nie opuszczają namiotów zachowujących temperaturę garnka na ogniu. Panuje tam jednak błogosławiony, choć duszny cień, skłaniający do snu nieszczęsnych nagusów w krótkich wojskowych kalesonach koloru *khaki*, odprawiających pomiędzy godziną dziesiątą a czwartą obrządek tropikalnego wypoczynku. Byli jednak i tacy, co ryzykując porażenie cieplne decydowali się na przejażdżkę samochodem i, zatrzymawszy wóz po kilkunastu kilometrach, wchodzili pomiędzy gliniane kopułki. Mijali wtedy przed wejściem do wsi gromadę wściekle wygłodniałych psów i stawali w piekielnie prażącym słońcu, na pustej ulicy, bez jednej plamki cienia. Kobiety nie zwykły wychodzić przed biedny mur swego domostwa, mężczyźni pracowali w oddalonej o kilkanaście kilometrów rafinerii. Tam, w siedzibie administracji, stały jedyne w okolicy budynki z kamienia, wokół których zieleniły się palmy. Wzdłuż ścieżek posadzono oleandry i agawy, przed oknami utrzymywano kilkanaście drzew przypominających przybyszom zwyczajniejsze dla nich strony świata. Był to jeden z nielicznych tutaj zieleńszych zakątków. Zaliczaliśmy do nich: wybrzeże rzeki Zab, gdzie schwytaliśmy kilka metrowych jaszczurów, rejon rafinerii, gdzie płonął nocą wielki znicz, gaj palmowy wreszcie, nazywany przez żołnierzy małpim lasem. Nasz codzienny krajobraz nie miał jednak nic wspólnego z zielenią. Był to bezludny, pagórkowaty teren, groźne królestwo skorpionów, stonóżek i falang. Po okresie deszczowym następował tam wprawdzie cud wiosny irackiej. Pustkowie zakwitało, ze wzgórza widać było doliny pełne kwiatów w wybujałej soczystej trawie, przypominało to ogromny perski dywan, graniczyło z sennym widziadłem. Nie lubię tego rodzaju pamiątek, ale zasuszyłem wtedy w książce kilka maków i drobne kwiaty rezedy. Zachowały się do dzisiaj. Rezedy kwitły na dużym polu, gdzie stacjonował nasz reorganizujący się oddział. Wieczór przynosił

duszny zapach kwiatów i obawialiśmy się, że oto się stało i straciliśmy rozsądek. Zjawisko trwało jednak kilka zaledwie dni. Słońce wypalało je do ostatniego źdźbła, otaczały nas znowu rozgrzane kamienie, nieruchome, gorące powietrze, płaska, półpustynna przestrzeń, poprzecinana pogórkami, z których widok przywodził na myśl ilustracje do fantastycznych powieści opisujących pobyt grupy dzielnych uczonych na księżycu. Trwało to długie miesiące, aż do pory deszczowej. Oddziały otrzymywały nowy sprzęt, ćwiczono od świtu do dziesiątej, później do przedwieczornych godzin wszystko zamierało. O zmierzchu nadlatywały znad rzeki chmary komarów, wojsko spało pod moskitierami i smarowało się silnie woniejącą maścią, ale malaria i tak dziesiątkowała baterie i bataliony.

Niecierpliwiono się przydługim tu pobytem, przerywanym tylko przenosinami z jednego miejsca postoju na drugie, niezbyt zresztą odległe. Chorych na malarię było niebawem tak wielu, że nie starczyło dla nich łóżek w szpitalach. Zorganizowano obóz malaryków, gdzie nieodmiennie przebywała połowa wojska i gdzie zabiegani lekarze i sanitariusze aplikowali tłumom trzęsących się pacjentów kilogramy chininy. Zdrowi jeździli czasem na przepustkę do Bagdadu, opowiadali po powrocie o upojnym wieczorze spędzonym w arabskim lokalu. Nabyć tam było można wszystkie osoby i rzeczy składające się na pojęcie żołnierskiego szczęścia, nabywali je więc pospiesznie i wracali bez grosza przy duszy do swoich pustynnych obozowisk. W nocy wyły im szakale i hieny, cała ciemność pełna była przeciągłych skowytów i chichotów, zewsząd zbliżały się one ku uśpionym namiotom i czuwającym wartom. Wieczorem mieszały się z tymi głosami mroku mosiężne, niskie dźwięki dalekiej dywizyjnej orkiestry. Grała ona capstrzyk czterem stronom ciemności, brzmiała zaś jak zespół złożony ze stu trąb jerychońskich i tyluż bębnów z piekła. Jedyne światło, jakie nie gasło wówczas w tym beznadziejnym ryku i skowycie, było światłem w namiocie Don Kichota.

Don Kichot był naszym pułkowym lekarzem w randze porucznika. Jeśli znałem kiedyś heroicznego mecenasa sztuk, to był nim on właśnie. Jeśli znałem towarzyski salon heroiczny, to był to właśnie jego namiot nad skorpionią dolinką. Don Kichot wymalował sobie nad składanym polowym łóżkiem herb wyobrażający świętego Jerzego, z napisem *„Malgré tout!“* — i postanowił gromadzić ludzi, z którymi mógłby porozmawiać. Sam był specjalistą od malarii, poetą, zbieraczem starych druków, wielbicielem perskich miniatur i mosiężnych toporków szyitów, niestrudzonym bywalcem ruin Niniwy i Babilonu oraz pierwszej w świecie biblioteki uczonego króla Assurbanapala. Był to poza tym jedyny znany mi człowiek, który dosłownie sczerniał od miłości.

Wszystkie wysiłki irackiego mecenasa były oczywiście równie kruche, jak kwitnienie tamtejszej wiosny. Koledzy Don Kichota z oficerskiego kasyna uważali go za obłąkańca, niektórzy powzięli nawet pewne polityczne wobec niego podejrzenia, był bowiem klasycznym inteligentem, czego nie mogli mu darować zawodowi oficerowie z prowincjonalnych garnizonów. W pułku znalazł jedynie dwóch podchorążych i jednego kanoniera, którzy z wdzięcznym sercem przyjmowali jego zaproszenia i okazywali mu cieplejsze uczucia. Jeden z podchorążych był architektem, uczniem Corbussiera, drugi malarzem o dość już znanym nazwisku. Osiemnastoletni kanionier był początkującym lirykiem.

W namiocie Don Kichota czekała na nich paląca się lampa, woda z lodem i otwarta już walizka gospodarza, pełna skarbów, przywiezionych z bagdadzkich antykwariatów. Angielski traktat o kręgach jazdanu i czcicielach diabła spoczywał tam obok francuskiej rozprawy o legendarnej wyprawie Aleksandra do królestwa amazonek w Kapadocji, wizerunek Nefretete sąsiadował z reprodukcją babilońskiej rzeźby przedstawiającej królową z Uhr, perska miniatura wyobrażająca mówiącego wiersze Omara wyłaniała się spod księgi dziejów Asyrii i fotografii cylindrycznych pałeczek z niniwskiego księgozbioru. Rozmawiano tak, jakby wczoraj dopiero odbyła się bitwa pod Arabelą i jakby błyskały jeszcze w dalekich ciemnościach diademy babilońskich księżniczek. Za namiotem stał nieprzenikniony mrok i wyły szakale, w namiocie oglądano obrazki i czytano wiersze. Obrazki dotyczyły dziejów dorzecza Eufratu i Tygrysu, wiersze były o Polsce. Don Kichot chodził nerwowo pomiędzy gośćmi, głośno marzył o zaproszeniu Broniewskiego, który był podobno w pobliżu, zapowiadał wizytę K., który — wyobraźcie sobie! — zawadził o Khanaquin w przedwojennych podróżach, i wizytę aktora N., który był ciężko ranny pod Tobrukiem i — wierzajcie! — jest prawdziwą kopalnią anegdot o warszawskim środowisku artystycznym. Namiot ten znajdował się gdzieś pośrodku, pomiędzy księżycem a Warszawą. Była to jednak oaza, gdzie odpoczywali strudzeni podróżni, oaza wartości, które rozpoznawali z westchnieniem ulgi i sięgali po nie pewną ręką. Nie musieli się ich bynajmniej wstydzić, jako że o nie w końcu walczyli na frontach i z nimi kojarzyli zakarbowane w pamięci nazwy miast rodzinnych. Niektórzy spośród gości Don Kichota znali się już wcześniej, inni, nieznani sobie, z zapałem przywodzili na pamięć okoliczności, w jakich mogli się byli spotkać. Przez namiot przewijały się tłumy ludzi, palono papierosy marki Lux, odświętniejsze od fasowanych Pleyersów, szydzono z głupoty cywilnej i wojskowej, zapominano o uśpionych oddziałach.

W oddziałach nie zapomniano jednak o Don Kichocie, w kasynie oficerskim po okresie wymownego stukania się w czoło nadszedł czas nienawiści. Nastrój ten podchwyciło czujne grono zawodowych podoficerów: rozmawiając z dowódcą pułku pozwalali sobie na strojenie głupich min, kiedy mowa była o Don Kichocie. W namiotach żołnierskich opowiadano szeptem, że do Don Kichota dobiera się „dwójka", której bano się jak ognia. Na tym ogromnym pustkowiu poza społeczeństwem była to władza udzielna, łącząca w sobie cechy średniowiecznej inkwizycji, filmowego niewidzialnego człowieka i szarej eminencji, przed którą prężą się poszarzali z bojaźni pułkownicy. Nikt dobrze też nie wiedział, dlaczego się „dwójka" zawzięła na Don Kichota i czy było tak naprawdę. Wiadomo było jednak, że o takich sprawach nigdy na pewno wiedzieć nie można i że coś w tym jest. Plutonowy Kielas, który po wieloletniej, nienagannej służbie w policji w Równem kontynuował działalność dla ojczyzny jako pułkowy fryzjer, wykrzykiwał raz po pijanemu, że wystarczy jego jedno słowo, żeby skończyli z Don Kichotem. Jedno słowo! Później dokądś podobno wzywano kilku oficerów, a szef dywizjonu rozpoczął na wszelki wypadek wojnę podjazdową z podchorążymi — przyjaciółmi Don Kichota. Podchorążowie jakoś sobie radzili, zwłaszcza że byli cenionymi dowcipnisiami a dowcipnisiów nie zwykł się, jak wiadomo, wyrzekać żaden pułk stacjonujący na odludziu. Gorzej było z kanonierem, któremu przydzielano odtąd co cięższe

obowiązki. Szef dywizjonu umiał je wynajdywać, kanonier prostował więc gwoździe, uprzątał magazyny, spełniał też rolę gońca maszerując w godzinach największego żaru długie kilometry. Jeden z takich spacerów zakończył się zresztą udarem cieplnym, i Don Kichot, który o niczym nie wiedział, zakipiał oburzeniem. Przerywanie żołnierzom popołudniowych godzin odpoczynku było zakazane i stanowiło naruszenie regulaminu. Kanonier nie skarżył się jednak nikomu, gdyż było mu to nie do honoru, nie pisnął słówka ani podchorążym, ani Don Kichotowi. Ten ostatni odesłał go z honorami do szpitala, po czym zajął się sprawą tak gwałtownie, że wkrótce usłyszano pogłoski, jakoby Don Kichot miał jakieś plecy w dowództwie. Ktoś widział go, jak wychodził od generała S., w cywilu znakomitego chirurga. Ktoś inny spotkał go w samochodzie z jakimś pułkownikiem ze sztabu. Zawodowi podoficerowie przestali więc stroić miny, ku pewnemu zadowoleniu dowódcy pułku, który zaspokoić mógł wreszcie pożerającą go ciekawość i złożył ceremonialną wizytę Don Kichotowi. — Eee — mówił potem — nic ważnego, powiadam panom. Przychodzę, powiadam, niechże pan, poruczniku, pokaże te swoje tajemnice. Tam zaś papierki, siekierki, oni zaś nic nie mówią, oglądają podobizny, wiersze odczytują, no i tyle. Słuchający tego przemówienia stołownicy kasyna spojrzeli po sobie znacząco i nie zabrali głosu. Po czym rozeszła się wiadomość, że Don Kichot otrzymał wariackie papiery, który to zwrot oznaczał, że Don Kichotowi wszystko wolno, gdyż uznano go za niepoczytalnego. Z pułku pozbyto się go zresztą zaraz przy pierwszej sposobności, wtedy mianowicie, gdy oddział wydzielony przejechać miał na południe i przyjąć ciągniki dla pułkowej baterii. Oddział, składający się z żołnierzy wszystkich trzech dywizjonów pułku, odjechał pod wodzą kapitana N. i Don Kichota. Ten ostatni zabrał obu podchorążych i kanoniera-ozdrowieńca, był to jedyny bodaj warunek, jaki postawił. Po czym rozbił nowy namiot, wspanialszy niż kiedykolwiek, od nikogo w praktyce niezależny. Wariackie papiery stanowiły dokument znakomity, kapitan N. był łagodnym pijakiem, bardzo zresztą zajętym pewną miłą dziewczyną z kobiecej kompanii transportowej. Któregoś dnia zjawił się z nią w namiocie Don Kichota, rycerski Don Kichot rewizytował z N. kobiecą kompanię transportową i powrócił stamtąd po kilku godzinach zakochany i niespokojny. Była to niestety jedyna sytuacja, w której wariackie papiery okazać się miały zawodne. Don Kichot szalał z większą jeszcze niż dawniej energią, ale na wieczornych rozmowach zjawiła się fałszywa nuta. Wszystko robił teraz i mówił dla niej, opalonej panny w czarnym berecie, używającej pomadki, perfum i pachnących pudrów, urzekającej posiadaniem drobnych flakonów z wodą kolońską, zgrabnych pudełek z kremem do rąk i maleńkich butelek z lakierem do paznokci, przedmiotów, które wszędzie na świecie wydają się banalne, ale nie tam, gdzie pustynia usypia ludzi. Przebudzenie ich przypomina za to eksplozję. Na pustkowiu nad Małym Zabem eksplozja taka zakończyła dzieje namiotu Don Kichota.

Pozornie było po dawnemu. Don Kichot zbierał obrazki, kupił naszyjnik ze skarabeuszy, nabył małego wypchanego krokodyla, wydostał skądś także wybór wierszy Tuwima, jeden z nielicznych w tej okolicy, gdyż dowództwo korpusu skonfiskowało cały transport książek, jakie nadeszły z Anglii. Niektórzy ludzie nie lubią wierszy — uspokajał przybyłych Don Kichot — cóż, nie widzę

na to rady, tym gorzej dla nich. Wypowiadał teraz okrągłe, staranne zdania, dbał o wytworność gestu i pilnował własnego uśmiechu.

W kobiecej kompanii po dawnemu chichotano jednak z Don Kichota, dziarscy oficerowie, którzy bywali tam co wieczór, przedstawiali go z pomocą owych małych, z uśmiechem wypowiadanych słówek, które po pewnym czasie czynią mędrca bucefałem, a geniusza idiotą, przynajmniej w powszechnym mniemaniu. N. odegrał w tym zresztą pewną rolę, Don Kichot stanowił nieodmienny temat jego rozmów w damskim towarzystwie. Mówił o nim zwykle z wyższością, życzliwie, tak mniej więcej, jak o narowistym kucu. Temat ten stanowił znakomitą odpowiedź na codzienne c o s ł y c h a ć, k a p i t a n i e, nadawał konwersacji satyrycznego polotu, poczciwy pijanica N. czuł to i nie rezygnował nigdy z nadarzającej się okazji. Wczoraj zagroził mi dymisją — opowiadał o Don Kichocie rozbawionym dziewczętom — jeśli nie nauczę się rozróżniać gatunków skarabeuszy. Wczoraj — opowiadał innym razem — kupił aparat fotograficzny i fotografuje szpaki. Wczoraj zwierzał mi się, że dla ukochanej kobiety nie zawahałby się okraść kasy pułkowej. Wczoraj rozpłakał się przy ordynansie, gdyż trąba powietrzna — tak nazywano wędrujące pustynią słupy wirującego piasku — porwała mu obrazek wycięty z gazety.

Opowieści tego rodzaju cieszyły się powodzeniem wśród słuchaczek a opowiadającemu N. wydawało się poza tym, że bardziej intelektualny nastrój, jaki dzięki Don Kichotowi opromienia jednostkę, stanowi jeszcze jeden listek wawrzynu na czole dowódcy. Intuicja nie zawiodła go zresztą, tak naprawdę przedstawiała się sytuacja z perspektywy kobiecej kompanii transportowej. Don Kichot był tylko podwładnym N. na papierach szaleńca, o poważnym traktowaniu jego uczuć nie było mowy, obaj podchorążowie, którzy zachodzili często do romansowych panienek, nie mieli co do tego żadnych złudzeń. Próby Don Kichota zawodziły, dziewczyna ze śmiechem pokazywała koleżankom fotografie, jakie jej ofiarował. Długie godziny pracował bowiem nad pomysłowymi fotomontażami. Przeobrażał miłą, zgrabną panienkę w babilońską księżniczkę, niebieską Baki z luksorskiego grobowca Amenhotepa, Terpsychorę tańczącą na tle płonącego krzaku jałowca. Głowę jej zdobiły od czoła wysokie korony równieśniczek Nefretete, tiary małżonek egipskich faraonów z pierwszych dynastii, promienne hełmy słonecznego boga Ra, ciężkie sploty włosów czarnej Ank, bogini przeznaczenia.

Ach, ile go zresztą kosztowało wysiłków, by zgodziła się pozować mu do zdjęć na okolicznym pogórku. Odmówiłaby chyba, gdyby nie interwencja podchorążego-malarza, którego darzyła w skrytości cieplejszymi uczuciami. Nic cię to przecież nie kosztuje — powiedział jej brutalnie — pójdziemy razem i zrobi nam kilka fotografii, to wszystko. Poszli więc, Don Kichot żartował nienaturalnie wysokim głosem, ustawiał, pstrykał, dziękował. Później zamknął się na kilka dni, wycinał i kleił swoje montaże. Podchorążowie i kanonier odetchnęli wtedy z ulgą, oni jedni wiedzieli, że Don Kichot stracił sen i zwyczajną dlań łagodność usposobienia.

Któregoś przedpołudnia stał się napastliwy, zerwał z N., pojechał do pułku z piekielną awanturą o jakieś głupstwo, obraził tam wszystkich po kolei i powrócił na swoją łączkę z miną błędnego rycerza zwalczającego potwory. Podchorążych doszły wieści, że podoficerowie znów stukają się w czoło i że plu-

tonowy Kielas raz jeszcze ryczał o tym jednym straszliwym słowie, co przynieść miało Don Kichotowi nieodwołalną zagładę. Zaczynała się druga faza świętej wojny. Tym razem Don Kichot stawał do niej bez uzbrojenia, nagle odeszła go wszelka pasja, nie zareagował nawet, gdy kanonier-przyjaciel odwołany został do pułku, na pastwę pomysłowego ogniomistrza i przemyślnych punktów regulaminu służby wewnętrznej. Niedługo pojedziemy na front, mój drogi — powiedział mu na pożegnanie — tam rozpoczniemy inne życie. Ja zamykam się w namiocie, nie mam z tymi ludźmi nic wspólnego.

N. przyjechał z pułku z tajemniczą miną i wieczorem odwiedził podchorążych w stanie ostatecznego opilstwa. To tylko panom powiem — bełkotał — że trzeba z tymi wizytami więcej uważać. Bo to wszystko źle się skończy, stary jest wściekły i tamci — tu szeroki ruch ręką i porozumiewawcze zmrużenie oczu — tamci coś mają...

Don Kichot zażywał już wtedy ogromnych ilości środków nasennych, zasypiał w składanym fotelu, budził się jednak po pół godzinie i nie spał już do rana. Chudł w oczach, stał się apatyczny, utrzymywał, że pracuje nad nowym typem kuracji przeciwmalarycznej, ale przyjaciele nie bardzo temu wierzyli. Swarliwe przedpołudnie zdawało się należeć do bezpowrotnie minionych dziejów. Sprowadzony z sąsiedniego oddziału doktor S. przyszedł pod pozorem kurtuazyjnej wizyty, zręcznie zaproponował w rozmowie lekarskie usługi i odszedł z niczym.

N. opowiadał dalej śmieszne historyjki o Don Kichocie, ale były one teraz o wiele gorsze. Przedtem stanowiły deformację rzeczywistych wydarzeń, teraz zaś bywały w całości wymyślone przez N., który jako wynalazca konceptów przedstawiał się banalnie. Brakło mu zwłaszcza realiów, opowieści stawały się niewiarogodne, czasem nawet dość ohydne. Wie pan, kapitanie, od kilku dni zbiera nam się na wymioty — mówili podchorążowie do N., który życzliwie kiwał głową i nie przypuszczając nic złego radził zasięgnąć opinii lekarza.

W kompanii transportowej nie zauważono zresztą jakościowych różnic w gawędach wieczornego bywalca. Don Kichotowi było to zaś obojętne, nikt nie powiadamiał go o anegdotkach pułkowego kolegi.

Salonowa kariera namiotu nad skorpionią dolinką była w każdym razie skończona. Wieczorami nie przychodził prawie nikt, wojsko rozjeżdżało się, kolumny samochodów pędziły na zachód, w kierunku egipskich portów. Któregoś wieczoru N. i podchorążowie złożyli pożegnalną wizytę znajomym pannom, zjawił się również Don Kichot z kwiatami, wszedł kulejąc, wyglądał na ciężko chorego. Patrzy na księżą oborę — mówił później N. — przekonacie się, bez szpitala tu się nie obejdzie.

Były to prorocze słowa. Kiedy ładowaliśmy się na okręty w Port Saidzie, Don Kichot pojechał z nami. Wyglądał, jak przystało na rycerza zacnego oblicza: skóra i kości, oczy błyszczące od gorączki, tyle tylko, że laska zamiast włóczni. Przeleżał później kilka miesięcy w szpitalu — milczący szkielet obciągnięty skórą cieniutką i do tego dziwnie pociemniałą. Sczerniał z miłości! Kiedy podniósł się wreszcie, przeniesiono go do innego pułku, podobno na własną prośbę. Podchorążowie spotkali się z nim w punkcie opatrunkowym batalionu piechoty, kiedy wybuchający pocisk z niemieckiego moździerza obdzielił ich kilkunastoma odłamkami, dosyć zresztą niegroźnymi, osłabionymi długim lotem. Z ożywieniem opowiadał przyjaciołom o Villa Borhese. Musi-

my zobaczyć się w Rzymie, koniecznie — żegnał ich, gdy wchodzili do czekającej sanitarki. Spoglądali na niego ze smutkiem, otępiali od ognia i dymu, zdumieni pocieszającą trwałością łagodnego świata, z którego wyglądała ku ich opuchniętym od bezsenności powiekom księżycowa, nieziemsko piękna twarz Nefretete.

RZEŹNIK Z PIŃSKA

Namiot pustynny z okolic Erbilu — zwierzał mi się innym razem Kazimierz L. — nazywam we wspomnieniach namiotem pińskiego rzeźnika. Mieszkałem z nim jakiś czas, zanim skierowano mnie do szkoły podchorążych. Niektóre wydarzenia codzienne ówczesnych tygodni wydają się tak dziwne, że aż mało prawdopodobne, a jednak jest to szczera prawda. Żyliśmy w piaszczystej głuszy i ludzie na tym pustkowiu zawierali ze sobą przyjaźnie o wiele szybciej niż zwykle. Niezwykły był również stosunek żołnierzy do przygodnych zwierząt, jakie znalazły się w obozowisku. W sąsiednim baonie wyrastał niedźwiadek, który figlował z żołnierzami podczas kąpieli w najbliższej rzece, Zabie. Figlował! Dobrze tak było mówić patrzącym! Człowiek, którego głowę figlarny miś trzymał pod wodą minutę albo i dwie, dziękuje opatrzności, że niedźwiadkowi znudziły się wreszcie zabawne igraszki.

Miś-żartowniś podrastał szybko, po kilku tygodniach wywrócił dla śmiechu trzytonową ciężarówkę, wieczorami przyjmował odwiedzających go wielbicieli. Siedział przed swoją jamą, na szyi miał obrożę przywiązaną do długiego łańcucha; kołysał się rytmicznie, a ściślej — przewalał się z boku na bok. Zdradzał też nieodmiennie ochotę do śmiesznych scenek. Lubił na przykład dobrotliwie machać łapą w kierunku najbliższego człowieczka, choć ten przyjazny i w najlepszych intencjach wykonywany gest miewał czasem epilog w izbie opatrunkowej. Przypadki takie nie wpływały jednak na pogorszenie się ogólnych stosunków z niedźwiadkiem, zwłaszcza że niektóre z jego wystąpień składano zupełnie słusznie na karb nadużytego alkoholu. Miś chętnie popijał, uwielbiał arak, wypić zawartość półlitrowej butelki było dla niego fraszką.

Mieliśmy także spektakl z tresowaną świnią. Kapral Kciuk, flecista z dywizyjnej orkiestry, nauczył ją tańczyć! Kciuk grał na flecie, świnia przebierała nogami i kołysała tłustym grzbietem. Nie było to wiele, ale wyglądało imponująco. Ujrzeliśmy w każdym razie rzecz niesłychaną: świński taniec.

Żołnierze mieli wtedy nieludzką do takich rzeczy cierpliwość. Tresowanie i hołubienie różnego rodzaju gadzin było ich jedynym zajęciem poza służbą, zajęcie to stawało się pasją i przybierało charakter epidemii. W kancelarii pułkowej trzymano gołębie, które skakały przez położoną na stole linijkę z jednej strony na drugą. W pobliskiej kompanii piechoty za jednym z żołnierzy biegał jak wierny piesek obłaskawiony cap. Wyćwiczono go tam zresztą w sztuce kilkukilometrowego rozbiegu, potężnego zamachu głową i wyrzucania w powietrze kukły, stojącej przed frontem kompanii. Obliczone to było wszystko na powszechnie nielubianego szefa, który też w powietrze niebawem wyleciał, trzaśnięty znienacka w zadek przez rozpędzonego capa. Działo się to na wieczornym apelu, po drobiazgowych przygotowaniach i niezliczonych próbach. Cap leci, leci, leci — opowiadał o wydarzeniu bombardier Zacharczyk — i jaaak nie wyrżnie! Szef jaaak nie poleci!

Przed jednym z namiotów naszej baterii spacerował wielki jaszczur, któremu sporządzono najprawdziwszą obrożę. Chodził na sznurku przytwierdzonym do tęgiego palika, wbitego w ziemię. Przed innym namiotem spacerował w obroży wielki sęp, którego znaleziono niedawno z przetrąconym skrzydłem. Były poza tym chmary psów egipskich, irackich i perskich, o psie potomstwo toczyły się boje, szczeniaki kupowano albo wykradano. Były koty. Była w kasynie podoficerskim nieduża, złośliwa małpka, podobna do miniaturowego pawiana, ze sztywnym ogonem, na długim i cienkim łańcuszku. Cały ten zwierzyniec pozostał w egipskim obozie, kiedy rozpoczęła się inwazja Włoch. Ale nad samochodowym konwojem ciągnącym z Palestyny do Egiptu unosiły się jeszcze stada gołębi. Szosą jechały jednakowe, ciężkie Studebakery, lecz gołębie nie myliły się nigdy: każdy lądował po jakimś czasie na s w o i m samochodzie, ku radości ptasiego opiekuna i jego towarzyszy podróży. Jak rozpoznawały swoje miejsce wśród setek identycznych maszyn? Był to zapewne ten sam instynkt, który nieomylnie kieruje powracające bociany do opuszczonych jesienią gniazd, zdumiewający zmysł przestrzenny pocztowych gołębi i wędrownego ptactwa. Bombardier Zacharczyk, który zawsze mówił z uznaniem o gołębim rozumie, składał wówczas hołd ptasiej orientacji. A oko u nich, ho, ho — rozmarzał się — jak u gajowego nie przymierzając.

Powróćmy jednak do okresu figlarnego misia i tańczącej świnki. Nasz kanonierski namiot nie obfitował w grubszą zwierzynę. Wojtek L., absolwent warszawskiego konserwatorium, hodował za to skorpiony. Trzymał je w metalowych pudełkach od papierosów, przezornie od góry podziurawionych: żeby mianowicie skorpiony miały dość powietrza, żeby mu się nie udusiły. Wojtek oznajmiał o tym z całą powagą, poważnie robił zresztą wszystko, jego biała twarz o połyskującej cerze przypominała zamyślone oblicze Buddy. Zmrużone oczy tego wysokiego chłopca patrzyły przeważnie w dół, choć głowę trzymał prosto, nie pochylając karku. Siadając na kocu, krzyżował nogi, jak czynią to Arabowie przy ognisku. W pozycji takiej grał na skrzypcach Mozarta dla siebie i krakowiaczki na zamówienie kolegów. Tak samo siedząc, z tak samo opuszczonymi powiekami, recytował Budda pieprzne utwory Fredry, ale to już za dodatkową porcję obiadową. Miał potężny apetyt, jedzenie tłuściło mu jednak w przedziwny sposób twarz tylko i brzuch. Reszta była chuda, a całość dosyć, dzięki temu, osobliwa. Utworów Fredry pamiętał dużo, pamięć miał bowiem świetną, kiedyś nauczył się w dwa tygodnie wszystkich słówek i zdań z podręcznika Eckersleya i nie było jego winą, że opanował język nikomu prócz niego nie znany, składający się z angielskich wyrazów, jakich nikt na świecie nie zwykł wymawiać tak, jak czynił to kanonier Budda z polskiego pułku artylerii. Kiedy to odkrył, rozpoczął naukę od nowa, pilniej zważając na fonetykę. Miał cierpliwość godną muła, powolnymi ruchami zamykał książkę i nie spiesząc się brał w ręce swoje dziwaczne pudełka. Oczywiście, po naradzie w namiocie wyrzuciliśmy je w końcu pod jego nieobecność. Trudno, powiedzieliśmy sobie. Dzień wcześniej skorpion zaciął straszliwie Alfreda S., który mieszkał w naszym namiocie, o dwa posłania na prawo od Wojtka. Zegarmistrz z Lublina odpoczywał po służbie wartowniczej, była to zresztą tropikalna przerwa, spał goły, jak go Pan Bóg stworzył, pod umyślnie namoczonym prześcieradłem: spali tak wszyscy chroniący się

przed żarem południa. Nagle podnosi się przeraźliwy wrzask, zrywamy się na równe nogi. Alfred Zegarmistrz trzyma się konwulsyjnie za okolice przyrodzenia puchnące z zawrotną szybkością. Odprowadziliśmy go do lekarza, a właściwie próżno staraliśmy się dotrzymać mu kroku. Biegł krzycząc z bólu, dano mu jakieś uśmierzające zastrzyki, ale i tak cierpiał kilka dni, nim znów pojawił się w namiocie. Pozostawił nam wspomnienie o nagusie biegnącym przez pustynię wielkimi susami, o piorunowym biegu, jaki zobaczyć można jedynie na zawodach sportowych z udziałem największych mistrzów. Nazajutrz po wypadku sprawa skorpionów i falang Wojtka była przesądzona. Zostały wrzucone do ognia pomimo protestów najmłodszego w naszym namiocie Bolka Tomczyka, rudawego chłopca, który marzył o karierze misjonarza w czarnej Afryce i łączył w sobie cechy bezinteresowności, lenistwa i swoistego sprytu wiejskiego roztropka. Tomczyk żałował przede wszystkim skorpionich pokazów, które Budda organizował co niedziela dla mieszkańców namiotu. Program popisu składał się z dwóch punktów. Pierwszy stanowiła walka skorpiona z falangą. Był to bój na śmierć i życie, w którym bronią falangi były śmiercionośne szczęki, a bronią skorpiona pancerny ogon zakończony banieczką z trującą cieczą i twardym żądłem. Falanga starała się chwycić ogon i przeciąć go nożycami szczęk. Skorpion uskakiwał na bok i walił w nią zwinnie ruchliwym ogonem. Kto zadał pierwszy trafny cios, stawał się od razu zwycięzcą ostatecznym i zostawiał na placu bitwy nieżywego przeciwnika. Arbitrem walki był Budda, trzymający w rękach dwa cienkie sznureczki, do których — Bóg raczy wiedzieć w jaki sposób! — przytwierdzał uprzednio falangę i skorpiona. Ten ostatni był także bohaterem następnej, równie okrutnej części popisu. Skorpiona stawiano na kwadratowej, nie większej niż dłoń przestrzeni, otoczonej drewienkami polanymi benzyną. Przytykano do nich zapałkę, wybuchały płomienie, skorpion biegał nerwowo i zawracał na wszystkie strony, by znaleźć wyjście z ognia. Po kilkunastu sekundach, stwierdziwszy beznadziejność swego położenia, popełniał samobójstwo: wznosił nad sobą ogon, uderzał się trującym żądłem, zastygał. Po chwili drewienka gasły i widać było, jak leży w małym czworoboku wyznaczonym przez ciemne linie popiołu. Z tego płynie dla nas nauka — powiedział raz z tej okazji mieszkający z nami kapral Bogiński — żeby nie popełniać pochopnie samobójstwa. Albowiem pożar może być sztuczny i krótkotrwały.

Bogiński był z zawodu weterynarzem. Przydzielono go do pułku artylerii zapominając widać, że samochodowy ciągnik zastąpił w tej wojnie końskie zaprzęgi i że weterynarz nie ma nic do roboty na działobitniach lat czterdziestych. Był jednak na razie z nami, czekał już drugi rok na zmianę przydziału i nauczył się przez ten czas kilkunastu okolicznościowych zwrotów o nieprzemijającej nigdy wartości. Stawał też zrezygnowany przed namiotem, kiedy rozpoczynały się występy cyrku Buddy. Nazywał jego skorpiony gladiatorami, zupełnie trafnie, spełniały bowiem identyczną rolę, choć nie krzyczały *morituri te salutant* i nie trudniły się zawodowo zapaśnictwem. Bogiński poszedł też z wszystkimi mieszkańcami namiotu do palmowego lasku, kiedy odkryto tam wielkie mrowisko. Budda zorganizował dzięki temu dramatyczną walkę pomiędzy mrówkami a skorpionem wleczonym na sznurku ku groźnemu kopczykowi. Skorpion byłby się z tej sytuacji sto razy zresztą wycofał, gdyby nie Budda, popędzany przez kanoniera Myszko. Ty Lenczykowski — krzyczał do

Buddy — nie bądź no taki miętki. Za sznurek go i na mrówki. Słyszałeś, Lenczykowski, na mrówki go stawiaj!

Skorpion wydawał w końcu desperacką bitwę. Błyskawicznymi ruchami ogona uśmiercał całe bataliony nacierających nań mrówczych szeregów broniących kopca. Ale szły one przeciw niemu niekończącym się strumieniem, szły, jak płynie potok górski i jak prąd przebiega, w tym samym nieubłaganym rytmie pracowitej zagłady. Jedne w nieomylnym instynkcie opanowywały zabójczy ogon. Wdarły się tam wreszcie, i kiedy stał się powolniejszy i ociężały, pokryły go zupełnie czarną chmarą, pod którą drżał tylko lekko, poruszając się z najwyższym wysiłkiem. Inne atakowały okolice oczu i pokrywały skorpionią głowę. W końcu widać było tylko białą plamę pancernego grzbietu i powolny ruch skorpiona wleczonego w głąb mrowiska. Świństwo, nie zabawa — powiedział Bogiński. Myszko tubalnie zarechotał. — Masz jeszcze jednego, Lenczykowski? No to ty go, Lenczykowski, puść! — Ale Budda nie miał już gladiatorów i Myszko się temu nie dziwił, gdyż Budda był bateryjną ofermą. Wracali więc do swego oddziału, mijali arabski kram obok szosy, wstąpili tam na chwilę, bo Król kupował chleb świętojański a Myszko butelkę araku z pływającym wewnątrz złotym kłosem. Poszli dalej, Tomczyk śpiewał w drodze piosenkę o żeglarzach, co płynęli po morzu i fali, a przy słowach „on całował usta koralowe i miłością upajali się" toczył po idących zadowolonym spojrzeniem. Bogiński klął, Myszko zaczął krótką opowieść matematyczną o pewnym swoim miłosnym sukciesie, Budda godził się pożyczyć Alfredowi funta na kupno zegarka w arabskim sklepie. Elektrotechnik z Łodzi, kanonier Baran, opowiadał bombardierowi Kłodyńskiemu, jakie były w Polsce przed wojną najlepsze żyletki. A ja tam zawsze brzytwą goliłem się — oświadczył wreszcie śpiewnie Kłodyński, rodem od Wilna — Polonia i Toledo żyletki może i dobre były, ale ja tam brzytwą goliłem się i goliłem się. Tym samym pojednawczym głosem opowiadał za chwilę, jak to polował na głuszce, był to bowiem zapalony myśliwy, Myszko nazywał go kłusownikiem i zawsze z tego powodu wybuchały między nimi awantury. Teraz jednak Myszko szedł z Tomczykiem i obyło się bez kłótni. Słuchaczami Kłodyńskiego byli prócz Barana pozostali mieszkańcy naszego namiotu: mały, ale żyrny i silny Król, wodzący za opowiadającym sprytnym niebieskim oczkiem; romantyczny Dyląg, jeden z młodszych, mitoman zadziwiający nas zwykle mnogością opowieści o towarzyskich swoich przewagach; małomiasteczkowy *bon vivant*, Trela, w cywilu pomocnik piekarza, w wojsku artyleryjski zwiadowca i elegant o nienagannie wyprasowanym mundurze; i wreszcie bombardier Mątwa, który przed wojną specjalizował się w wyborczych kampaniach na terenie swego powiatu. Gdy mianowicie sołtys Mątwa przyjmował opiekę nad oficjalnym kandydatem i oświadczał, że poseł rządowy dostanie tyle a tyle głosów, wiadomo było, że poseł otrzyma je naprawdę, jeśli tylko wręczy Mątwie pewną kwotę pieniędzy. Jakoś się żyło — zwierzał się nam kiedyś po pijanemu były sołtys i protekcjonalnie zapewniał, że gdyby który z nas, Bogiński na przykład, kandydował kiedy na posła, wtedy tylko do Mątwy, jak w dym.

Po spaleniu pudełek ze skorpionami, widowiska w palmowym gaju można było uważać za skończone. Urywał się zarazem jeden z głównych tematów rozmów wieczornych: gadziny Lenczykowskiego, czym je karmić, jakie są zmyślne i to jeszcze, że nie atakują nigdy człowieka i ogonem biją tylko wte-

dy, kiedy czują się zagrożone. Było to pocieszające, ale nie bardzo, gdyż pancerne pająki czuły się zagrożone ustawicznie.

Jak dziobnął Zegarmistrza, to chyba mu przedtem Zegarmistrz zrobił coś przez sen — argumentował nieśmiało Tomczyk, jedyny przeciwnik całopalenia. Śmiej się z tego — cedził w odpowiedzi Trela, wyciągając spod koca starannie złożone portki. Co wieczór skrapiał je lekko i kładł pod posłanie, by utrzymać na nich zabójczy kant, godny żołnierza-eleganta. Śmiej się z tego, Tomczyk, i wiedz, że całą menażerię dzisiaj jeszcze wyrzucamy z kwatery. Bogiński zdawał się przytakiwać, Kłodyński chrząkał niepewnie, kudłaty Król targał niespokojnie swoją niesforną parobczańską czuprynę i mruczał: won z tym całym cyrkiem... O wszystkim zadecydował ostatecznie Myszko. Zerwał się nagle, powiedział: gdzie to on trzyma te parazyty — i wyszedł z kilkoma pudełkami.

Ty, Lenczykowski, wiedz, że ci te pudełka wyrzuciłem do ognia — oznajmił też Buddzie, kiedy kolekcjoner skorpionów powrócił z warty. Budda przyjął wiadomość spokojnie. One by wam nic nie zrobiły — zauważył po prostu z kluskowatym uśmiechem i zabrał się do czytania. Po obiedzie odrecytował za dodatkową porcję ryżu od Barana znany fragment Fredrowskiego poematu o królowej P... Za paczkę daktyli ofiarowaną mu przez Dyląga odegrał tango *Jesienne róże*, którego Dyląg wysłuchał z jedną brwią wysoko uniesioną, kiwając głową do taktu i nucąc pod nosem.

Tego samego wieczora Myszko zainaugurował grę towarzyską, którą uprawiać miał następnie w namiotach Środkowego i Bliskiego Wschodu, pod niebem Egiptu i na polach słonecznej Italii, wszędzie, gdzie zjawił się on, kanonier Myszko, rzeźnik z miasta Pińska, pułkowy kucharz a później kierowca ciężarowego wozu terenowego z podłużną maską i podwójnym napędem. Myszko należał do tych przedstawicieli naszego zacnego gatunku, których spotkanie wieczorową porą w ciemnym zaułku nie należy do przyjemności. Miał maleńkie, rozbiegane oczka oprycha i jeśli nim nawet nie był, nie zmieniało to bogatej gamy uczuć, jakie wzbudzał jego wygląd. Latające oczka osadzone były w nalanej czerwonej twarzy poznaczonej bliznami. Kto cię tak, Myszko, pokiereszował? — zapytał kiedyś Bogiński i usłyszeliśmy w odpowiedzi gromki rechot pińskiego oprawcy cielaków. Niańka mnie, Bogiński, na rżysko upuściła — wyryczał wreszcie między jedną a drugą salwą duszącego go śmiechu. W śmiechu tym trząsł się jak beczka na wiejskim wozie. Twarz nabiegała mu krwią, purpurowiał niski i gruby kark, burzliwie wzdymał się i opadał rzeźnicki kałdun, ryki Myszki panowały nad namiotem i okolicą. Przypominały nam się wtedy biblijne dzieje Jerycha i z obawą spoglądaliśmy na brezentowe ściany naszego mieszkania. Trwały jednak. W samym kącie namiotu, po tej samej stronie, gdzie były posłania Buddy i Zegarmistrza, tarzał się z uciechy kanonier Myszko, jedyny, który nie miał przydomka, czemu zapewne nie będziecie się dziwili.

Myszko rzadko zabierał głos. Gawędy jego były krótkie i rzeczowe, nosiły one właściwie charakter dobitnych oświadczeń, z mocno zaznaczonym przedmiotem deklaracji. Mówił na przykład: kiedyś wziąłem na plecy knura, ważył sto pięćdziesiąt kilo, myśmy go w worek i na plecy, knury takie nosiłem, kiedy mi się spodobało. Mówił jeszcze: noża się nie boję, raz mnie zaczepił jeden bandzior jeszcze w Pińsku i za nóż, to ja wtedy za swój, i jak mu przy-

łożę, ciekawe, gdzie teraz jest ten bandzior. Mówił: rzeźnik zawód najzdrowszy, świeże mięso dobre jest dla zdrowia, żony rzeźników mają zdrowy wygląd, mówię wam, a ty, Kłodyński, najwyżej żywicą własny tyłek mogłeś wysmarować, a we wsi twojej kiedy deszcz padał, ratusz na kółkach wwozili do stodoły i psy tam psim swoim zadkiem szczekały na sołtysa...

W dosadności prześcigał go jedynie ogniomistrz Wodziański, autor kilku popularnych przed wojną zawołań do rekrutów. Gdybyś był taki duży, jakżeś jest głupi — brzmiało jedno z tych haseł — to byś mógł klęcząc księżyc w dupę pocałować. Gdyby cię pan Jezus zobaczył, jak maszerujesz — brzmiała inna wypowiedź ogniomistrza — zerwałby się na równe nogi, wziął krzyż w rękę i krzyknął bez namysłu: bić s.... syna.

Myszko nie miał takiej wyobraźni, Wodziański przepyskowałby go w dwie minuty. Rzeźnik z Pińska królował za to w namiocie, choć był to namiot niebanalnych indywidualności, żołnierzyków kanciastych w ruchach i nieoględnych w mowie. Inteligent Bogiński nie miał nic wspólnego z klasycznym myślicielem-słabeuszem, a Budda... Można by powiedzieć, że spokój i cierpliwość tego łowcy skorpionów równoważyły wszystkie jego fizyczne braki, przez które uważano go niegdyś za największego w pułku niedołęgę. Przewaga Myszki polegała jednak na zdobywczym rechocie, bezmyślnej sile i absolutnej nieumiejętności słuchania. O tym, żeby go o czymś przekonać, nie było mowy. Patrzył na mówiącego, jakby nie rozumiał słowa, i nikt nigdy nie doszedł, czy było tak naprawdę, czy też Myszko stosuje się po prostu do form postępowania, opracowanych przez całe pokolenia rzeźników z Pińska.

Machnięto też wkrótce ręką na próby dialogu z kanonierem Myszko, godząc się na nieograniczoną bezczelność jego poczynań. Kiedy wszyscy wietrzyli posłania, Myszko nie wietrzył. Dlaczego? Nie wiadomo. Oświadczył, że wietrzyć dzisiaj nie będzie i kropka. Nie był nawet niczym zajęty, palił papierosy przed namiotem i rechotał popatrując, jak Trela z Kłodyńskim trzepią koce. Trzepaczkę niech pan kupi, panie Bogiński — wył rozradowany własnym konceptem. A ty, Lenczykowski, straszniężeś te swoje manele upaskudził. I — po rechotliwym wybuchu śmiechu — znowu: A ty, Tomczyk, uważaj na skorpiona, żebyś misjonarzem się nie został. I dalej jeszcze, podobnie, do Kłodyńskiego, Buddy, Zegarmistrza, Mątwy, Barana, aż mu się to znudziło.

Z reguły odmawiał także, gdy przychodziła jego kolej, by zamieść w namiocie. Wyznaczał sobie inny dzień, proponował na swoje miejsce któregoś z sąsiadów, najchętniej Buddę. To samo powtarzało się przy wszystkich wzajemnie świadczonych sobie usługach. Suchy prowiant dla dwunastu mieszkańców namiotu fasowali kolejno wszyscy prócz Myszki. Wodę z pobliskiego zbiornika przynosili kolejno wszyscy, tylko nie on. Rzeźnik Myszko, postrach nieznanego nam, dalekiego zaułka w Pińsku, trzymał przy tym fason i uważał swoje przywileje na rzecz naturalną.

A tamci, dlaczego się na nie godzili? Nie powodował nimi strach, bo Baran, Kłodyński czy Król na pewno mogliby sobie poradzić z kanonierem Myszko, nawet w pojedynkę. Bogiński mógł poza tym wykorzystać przewagę swego stopnia. Wszyscy razem wreszcie mogliby doprowadzić go do porządku przy pomocy owych niezawodnych, sprawiedliwie złośliwych środków, jakimi dysponuje każdy zgrany zespół. Mogliby na przykład uważać go przez tydzień za nieobecnego i skłonić do skruchy. Gdyby wszystko zawiodło, mogliby go

w końcu postraszyć spraniem na kwaśne jabłko, co jest argumentem pełnym wagi nawet dla najbardziej dzielnych rzeźników z dużych i małych miast. A jednak ani im to było w głowie, gdyż Myszko jakoś ich bawił. Na tle jednostajnego programu wojskowych zajęć jego bezczelne sobkostwo nabierało cech oryginalności. W krajobrazie przesypującego się piasku i wędrujących trąb powietrznych, w latach zmiennego losu i kruchego życia — pewność siebie kanoniera Myszki stanowiła krzepiący punkt stały na płynnej mapie wojennego świata. Był to imponujący doprawdy bastion wszystkich magli i jatek globu ziemskiego, żywy symbol nieugiętej ich obecności.

Nigdy przy tym nie było o Myszce wiadomo, co zrobi i powie. Ciekawość, z jaką go traktowali, przypominała czasem zainteresowanie, które ludzie samotni okazują zadomowionym zwierzętom — psom, kotom, kanarkom. Ściślej, była to ich świnia tańcząca, odróżniająca jednak ich namiot od setek i tysięcy podobnych bud z brezentu wznoszących się nad okolicznymi piaskami.

Kiedy Myszko zainaugurował więc wieczorem swą grę towarzyską, zapanowała cisza pełna oczekiwania. Sytuacja taka powtarzać się miała dobre sto razy, ale nie obywało się później bez czyjegoś głębokiego westchnienia, chichotu Tomczyka czy cierpkiej uwagi weterynarza. Teraz jednak cisza była ogromna, słyszało się, jak brzęczą komary siadające na gęstej, chroniącej od moskitów siatce, rozwieszonej nad każdym z dwunastu posłań. Myszko wylazł już przed swoją siatkową osłonę, wychylili się i inni, słuchali ćmiąc papierosy, pełni uwagi. Myszko jako inicjator zabawy salonowej! Było to bardziej może niezwykłe od cyrku Buddy i tresowanego capa. Było to nie do wiary.

Opowiem wam gadkę — oznajmił Myszko — kogo ja w tej gadce wyliczę, ten mi odpowiada „ja, to ja jestem" i to zaraz, bo ja ciągnę moją gadkę i dalej mówię. Kogo wyliczam, ten krzyczy zaraz „ja", a jak zaraz nie wykrzyknie, psuje gadkę i płaci fanta, a będzie to ćwierć dynara albo facówka pod kocem. Ty, panie Bogiński, bądź sołtys. Ty, Baran, bądź sklepikarz. Ty, Kłodyński, policaj, a ty, Tomczyk, siostra miłosierdzia...

Obdzielił tak wszystkich prócz Buddy i po chwili przerwy zwrócił się wreszcie do niego: — A ty, Lenczykowski... Ty, Lenczykowski, bądź kurwa...

Słuchano tego w osłupieniu, Budda lekko się uśmiechał, Myszko ryczał. Leżał na wznak, z rękami pod głową, podkurczył kolana i założył nogę na nogę, stopą w grubej skarpetce kołysał na znak swego dobrego samopoczucia. Po minucie zaczęła się towarzyska gadka Myszki. Epilog jej był już wiadomy, ale ciekawe było, co nastąpi przedtem. Okazywało się jednak, że Myszko lekceważy wszystko prócz epilogu i nie zamierza się wysilać.

— Był sobie we wsi sklep, a w tym sklepie był sklepikarz, no Baran, krzycz „ja", jesteś sklepikarz, tak, a do tego sklepu przyszła siostra miłosierdzia, no, Tomczyk, ty krzyczysz „ja", kupowała oliwę i krupy. Koło sklepu przechodził sołtys, no, panie Bogiński, i na rowerze podjechał do niego policaj, to ty Kłodyński, od razu krzycz, i zaczęli ze sobą na ucho rozmawiać. Policaj, to ty Kłodyński, pytał się sołtysa, no, jeszcze raz, panie Bogiński, gdzie mieszka złodziej, ty, Zegarmistrz, na co czekasz, krzycz „ja", ale sołtys, „ja", panie Bogiński, nie wiedział, bo złodziej — „ja!" — wrzasnął już na całe gardło zrezygnowany Zegarmistrz wprowadzając odtąd ton obowiązujący w rzeźnickiej gadce — złodziej przeprowadził się do mieszkania hycla („ja!" dostojnie wołał

spod siatki Mątwa), a w tym mieszkaniu mieszkali jeszcze paser z alfonsem („ja!“ zawołali jednocześnie Trela z Dylągiem) a koło sklepu przechodził ksiądz („ja” krzyknął przerażony Król) i powiedział, że w tym mieszkaniu mieszka jeszcze stara kurwa...

Kiedy Budda Lenczykowski powiedział „ja“, Myszko wpadł w euforię. Przewalał się ciężko po swoim kocu, zasłaniał rękami ryczące usta, omalże nie pogryzł sobie palców. „Ja!” — powtarzał pękając z uciechy — „ja!” Dobywał się z niego głęboki zwierzęcy charkot, wyrażający najwyższe zadowolenie i najwspanialszy duchowy triumf pińskiego dowcipnisia.

Odtąd powtarzało się to każdego wieczora. Role zmieniały się nieznacznie, jednemu tylko Buddzie przypadał ten sam niewdzięczny udział w towarzyskiej grze naszego namiotu. A ty, Lenczykowski, będź kurwa — powiadał nieodmiennie Myszko i rozpoczynał gadkę dziejącą się przed sklepem, w którym siostra miłosierdzia kupuje krupy (wyraz ten bardzo go śmieszył) i wokół którego ksiądz, policjant, sołtys prowadzą rozmowę na temat złodzieja, sutenera, pasera, a czasem również i księżej gospodyni. Kończyło się to zawsze w identyczny sposób: Budda mówił „ja“ i następował głębinowy ryk Myszki. Później słychać było orkiestrę grającą capstrzyk, Myszko skręcał knot w naftowej lampie, w ciemności rozpoczynały conocny koncert szakale. Wyły, zawodziły, jęczały przeciągle pojękliwym psim skowytem, gdzieś daleko przyłączały się do ich chóru szczekające śmiechy hien. Myszko chrapał, Bogiński palił ostatniego przed snem Pleyersa, rozżarzający się od czasu do czasu papieros oświetlał jego zafrasowaną twarz i zmrużone, nieruchomo patrzące przed siebie oczy. Baran wzdychał przez sen, Dyląg niespokojnie przewracał się z boku na bok, w namiocie było duszno, daleko i ciężko.

Powtarzało się to noc w noc, w tej samej kolejności: gadka Myszki, szakale, ostatni papieros, oddechy uśpionych. W jednym tylko tygodniu wieczorowe gry towarzyskie uległy zawieszeniu: stało się to na wiosnę, gdy opuszczały nas odlatujące na północ szpaki. Odlatują — oznajmił któregoś popołudnia Kłodyński i wszyscy wyszli, żeby to zobaczyć. Ptaki obsiadały gęsto linki na pustych namiotach, zrywały się, zbijały w stada, ciągnęły ku skrzydlatemu obozowisku, z którego wzniosły się niebawem w długą drogę. Nazajutrz nie było po nich śladu, w namiocie zastanawiano się, którędy będą lecieć do Polski, pytano o to Bogińskiego, jedni mówili o Egipcie i wybrzeżu śródziemnomorskim, drudzy o Turcji i morzu Czarnym. Po kilku dopiero dniach wznowiono wieczorną zabawę donośnie wykrzykując na odczepnego „ja!“ i obserwując z ciągle żywym zainteresowaniem podniecenie kanoniera Myszki i nierychliwą jego pomysłowość.

Nie przypuszczałem wtedy — kończył mój rozmówca — że aż tak dobrze zapamiętam tę błahą w końcu scenę. Kiedy jednak przed paru laty ujrzałem nagle Buddę w przedziale gdańskiego pociągu, ledwo powstrzymałem się od zawołania: „ty, Lenczykowski, będź!” Całe szczęście, że się opamiętałem. Był z bardzo piękną żoną i dwojgiem dzieci, spędziliśmy we wspólnej podróży kilka godzin, poznałem dzięki temu prawdziwego cywilnego Buddę, dowcipnego człowieka o łagodnym obejściu i powszechnie cenionym muzycznym talencie. Ciekawe, że ani słowem nie wspomnieliśmy o pińskim rzeźniku. Może dlatego, że należał do tamtych nocy pustynnych z pogranicza jawy i snu? Może i z tej jeszcze przyczyny, że w następnych latach mieliśmy przeżycia o wiele

bardziej głębokie i poważne? Obaj byliśmy ranni, na pobojowiskach straciliśmy niejednego z przyjaciół, niejeden raz wydawaliśmy westchnienie ulgi, kiedy, po dokładnym wstrzelaniu się w nasze pozycje, artyleria niemiecka oddawała wreszcie salwę o kilkadziesiąt metrów mijającą się z celem. Proszę zresztą zauważyć, że jedynie dzięki owej błogosławionej niedokładności wypić mogłem w późniejszym okresie kilkanaście beczek wina i że tej samej wojennej okoliczności zawdzięczam przyjemność przebywania w waszym doprawdy miłym towarzystwie.

Po namyśle dochodzę jednak do wniosku, że o kanonierze Myszko milczeliśmy z Buddą przede wszystkim dlatego, że nie mogliśmy nic dobrego o nim powiedzieć. Rzymska maksyma, by zmarłych wspominać pochlebnie albo nie wspominać w ogóle, skłaniała nas do oględności w sądach i powściągliwości w gębie. Myszko zginął nad Chieti. Samochód jego wyleciał na minie a stało się to na polnej drodze obok niewielkiego włoskiego cmentarza, tuż przy wyniosłych tujach ocieniających zamkniętą bramę i czworobok murów. Znaleziono go o kilkanaście metrów od miejsca wybuchu, Baran i Budda nieśli go powoli do samochodowej kolumny, idący obok nich sanitariusz przecząco pokręcił głową ku następnym nadbiegającym żołnierzom i ręce rozłożył w bezradnym geście. Gdy stanęli obok nas, wiedzieliśmy już, czego się spodziewać. Ubrudzona piachem twarz Myszki była śmiertelnie blada, ściągnięta i poważna, oczy miał wpółprzymknięte, nogi straszliwie okaleczone. Kiedy złożono go na noszach, stanęliśmy na baczność. Bogiński zasalutował, Zegarmistrz zdjął hełm i szeroko się przeżegnał.

Rozumie się jednak samo przez się, że tego rodzaju wspomnienia nie nadawały się do rozmowy w przedziale gdańskiego pociągu, w którym spotkaliśmy się z Buddą. Była tam przecież jego żona, przysłuchiwały się nam dzieci, wśród podróżnych panowały nastroje wakacyjne, częstowano się truskawkami i papierosami, wymieniano żartobliwe uwagi na temat kapryśnej pogody, niepewnej kuchni we wczasowych domach, małego wyboru kostiumów kąpielowych w warszawskich sklepach. Nie, nie była to okazja, by wspomnieć o dziejach tak już odległych kanoniera Myszko. Nie mieliśmy zresztą na to najmniejszej ochoty.

NAMIOT NA JEDNĄ OSOBĘ

Trzy lata — opowiada mój rozmówca, Kazimierz L. — byłem posiadaczem namiotu zwanego indywidualnym. Obliczony był na jedną osobę albo dwie, z tym, że dwie dorosłe osoby mieściły się w nim z trudem. We dwójkę można było ulokować się względnie wygodnie, jeśli namiot stawiało się na wykopie o półmetrowej głębokości, dawało to zresztą mieszkańcom i tę korzyść, że umożliwiało im zachowanie pozycji pionowej. Wierzaj, że ma to duże znaczenie dla samopoczucia. Buda, która zmusza cię do chodzenia na klęczkach i akrobatycznych figur przy wkładaniu koszuli, zatruwa w końcu życie. Nie spędza się tam przecież jednej nocy jak w ciasnym wagonie sypialnym, nie żyje się perspektywą odetchnięcia w domu po trudach podróży. Odwrotnie, rozbicie takiego namiotu oznacza dla frontowego żołnierza krótszy albo dłuższy urlop od wydarzeń i sytuacji, których zabawność znacznie przekracza, jak wiadomo, nasze naturalne poczucie dowcipu i kłóci się z głęboko zakorzenio-

nym w naszej duszy dążeniem do dostojeństwa. Namiot indywidualny powinien był więc w zasadzie stać na wykopie i służyć, jak wskazuje nazwa, jednej tylko osobie. Zagęszczenie jego małej powierzchni — mniej więcej półtora na dwa metry — wpłynęłoby ujemnie na morale wojska i uprawdopodobniłoby znaną anegdotę o żołnierzu-samobójcy, który wyjaśnił swój rozpaczliwy krok pisząc na karteczce: obrzydło mi już to ciągłe rozbieranie się i ubieranie, żegnajcie. Pozostawmy jednak w spokoju denata i przejdźmy do kłopotów ludzi mniej zdesperowanych.

Zrobienie wykopu pod namiotem była to praca nielekka i mało opłacalna, zatrzymywano się często na dzień lub dwa najwyżej, nigdy właściwie nie było wiadomo, czy nie zwiniemy postoju za kilka godzin. Jako podchorąży mieszkałem jednak samotnie i miałem własny namiot, wpisany nawet do mojej karty przydziałowej. Jechał też za mną w bagażowych wozach dywizjonu, wśród setki podobnych namiotów i różnego żołnierskiego dobra, pozostawianego w akcji na drugiej linii, pod opieką ogniomistrza-szefa, pyskatej matki oddziału.

Podłużny worek z namiotem, palikami, składanym bambusowym masztem i drewnianym młotkiem otrzymałem w Port-Saidzie, tuż przed załadowaniem się na okręt płynący z wojskiem do Włoch. Otrzymanie tego namiotu i wleczenie go z sobą okazało się wtedy ciężkim ciosem, jako że do portu maszerowaliśmy długie kilometry, objuczeni jak wielbłądy. Pozbyliśmy się przedtem wszystkich rzeczy zbędnych, mieliśmy z sobą tylko to, co od biedy unieść można w obu rękach, na plecach i ramionach. Wszystkie ludzkie plecy, ramiona i dłonie były podobnie zajęte, obciążone i omdlewające pod górą ekwipunku. I oto niespodzianie doszły do tego namioty indywidualne. Patrzono na nie jak na przedmioty grozy, atrybuty piekielnych potęg, worki Belzebuba. Oglądano się za portowymi złodziejami, ale nikt nie zamierzał ukraść tych niedużych brezentowych domków. Oglądano się za samochodami, ale nowe pułkowe samochody były już po drugiej stronie morza, na wybrzeżu Włoch. Oglądano się na siebie, ale wszystkie twarze zdradzały podobną bezradność.

Biegacze po ukończeniu maratonu lepiej zapewne wyglądają od żołnierzyków, co dowlekli się wówczas do okrętowych kajut. Z portu odpłynął niebawem konwój złożony z kilkunastu towarowych i pasażerskich okrętów, eskortowany przez pięć zgrabnych i ruchliwych niczym żywe srebro kontrtorpedowców. Uwijały się koło wielkich statków, jak zmyślne i nieduże wiejskie pieski biegają wokół stada krów kroczących na pastwisko, były widoczne od świtu w coraz to innej stronie morza, nigdy zbyt blisko nas, ale zawsze w odległości, z jakiej śmigły wojenny stateczek zapewnić może względne bezpieczeństwo powierzonym jego pieczy transportom. Nad konwojem unosiły się początkowo srebrne i podłużne balony zaporowe, lecz kolejno porywał je zimowy śródziemnomorski wiatr i jeden tylko dotrwał do Taranto, w którym lądowano. Ale samoloty nie niepokoiły nas, jedyne maszyny, jakie przeleciały nad konwojem, były to patrolujące trasę hydroplany. Łodzie podwodne pokazały się niedaleko Krety, kontrtorpedowce wypełniły wtedy ciemność jazgotem szybkostrzelnych dział. Trwało to całą noc, aż do rana obowiązywał stan pogotowia, zakładano białe poduszki ratunkowe, patrząc na nie z nieufnością i powątpiewaniem. Wywieszony w kajutach regulamin pouczał, że skacząc do wody, obiema rękami odciągać należy poduszkę w dół, gdyż w przeciwnym wypadku

urwać może głowę. Skończyło się jednak na refleksjach i banalnych dolegliwościach morskiej przeprawy, po kilkudniowej podróży wpłynęliśmy o świcie do tarenckiej zatoki, spoglądaliśmy z pokładu na białe i czerwone domki wybrzeża, na ukośne tyki znaczące przestrzeń morskich ogrodów, na zimową pienistą falę barwy płynnego popiołu i oksydowanego metalu. Pozwoliliśmy łudzić się i zwodzić ciszy i spokojnemu pięknu tej chwili, sądzę zresztą, że nie było to głupie, albowiem nikt nie zna dnia ani godziny, a wiadomo, że po jej wybiciu trudno spodziewać się czegokolwiek godnego uwagi, jeśli idzie o sprawy uczuć i krajobrazów.

Na górskich odcinkach apenińskiego frontu walczyły już polskie oddziały, inne bataliony polskie utrzymywały przyczółek na zachodnim wybrzeżu, o którym codziennie czytano wówczas w wojennych komunikatach. Nim dołączyliśmy do pułków w akcji, minęło kilka dni: odbierano z okrętów sprzęt, przejmowano wozy z parku samochodowego, sposobiono działa i broń, fasowano dziesiątki potrzebnych i niepotrzebnych przedmiotów, motocykliści pędzili jakby oszaleli, przewożąc w nowiutkich mapnikach sterty meldunków, rozkazów, zarządzeń i odwołań, instrukcji i zleceń, przepisów i ostrzeżeń. Były to ostatnie dni panowania kwatermistrzów i dzierżymordów nad liniowym wojskiem, używali więc sobie jak mogli, w mocnym przeświadczeniu, że bez nich nie wystrzeli ani jeden moździerz i że ani jedna drużyna nie spożyje obiadu, jeśli nie dostanie wyraźnej w tym sensie dyrektywy. Starzy frontowcy wiedzieli jednak czego się trzymać, a po zajęciu stanowisk i otrzaskaniu się z atmosferą prawdziwej wojny pułk był nie do poznania. Nagle straszyć przestało widmo pozostawionej za morzem „dwójki", okazało się też, że cała przedwojenna glina trzyma się dzielnie odwodów, przejawiając szczególne upodobanie do uciążliwych funkcji w kompaniach wartowniczych i gospodarczych, a także w niewielkich jednostkach o charakterze usługowym, jak to: brygadowa fryzjernia, brygadowy pluton higieny, dywizyjne zakłady krawieckie, poczta polowa. Renesans myśli nastąpił w tych warunkach dość szybko, rozsznurowały się usta, o tym, co każdy wiedział przedtem osobno, wiedzieli teraz wszyscy razem. Tworzyły się już w jednym wojsku dwie mentalności, dwa światy mówiące różnymi językami, przeciwne sobie jak dzień i noc. Frontowy żołnierz dumny był ze swej godności, w świecie drugiej linii tytuł ten oznaczał pechowca. Kasztaniarz handlujący walutą i spekulujący na złotych funtach uważany był w linii za dziwacznego, maniakalnego kutwę. Ten sam osobnik cieszył się wśród kompanów z odwodu opinią poważnego i przezornego obywatela zabezpieczającego swój powojenny byt. W tym świecie ryzyko postradania życia praktycznie nie istniało, frontowe szyderstwa z kasztaniarzy dobiegały tu i trochę żenowały, ale nie za bardzo, zwłaszcza że było z kogo brać przykład. Powiadano sobie w linii i szeptano na tyłach, że generał N. kupił kamienicę w Kairze, że generał L. nabył majętność w Anglii, że adiutanci generała S. kursują na linii Włochy—Egipt, wymieniają w Egipcie funty papierowe na złote, że złote funty z Egiptu sprzedają na czarnym rynku we Włoszech, że jedna taka podróż w obie strony zamienia milion lirów w trzy miliony albo potraja ilość funtów rzuconych do transakcji. W świecie kasztaniarzy był to przedmiot zazdrosnych westchnień, w linii mówiono o tym z nutą pogardy i machano ręką, jakby odpędzając niegodne myśli. Niektórzy oburzali się jednak, przypominano sobie, że dowództwo otrzymuje na żołnierski żołd i oficerskie pobory

globalną sumę według stanowisk i etatów i że etatom odpowiadają stopnie o wiele wyższe od tych, jakie noszą zajmujący je w korpusie żołnierze i oficerowie. Kapral podchorąży spełniający obowiązki drugiego oficera ogniowego baterii otrzymywał około sześciu funtów miesięcznie, stanowisku temu odpowiadała w schematach organizacyjnych ranga porucznika i pobory w wysokości funtów dwudziestu. Tyle też dostawało dowództwo, co miesiąc zarabiając na podchorążym piętnaście funtów. Mówiono, że jest to reguła, że oszczędności takie dotyczą wszystkich stopni od pułkownika do starszego strzelca, że w skali korpusu daje to wielkie sumy, które procentują następnie na szlaku Neapol — Aleksandria.

Widziało się przy tym i czuło, że linie podziału przebiegają nie według stopni, lecz według mentalności. W pułkach frontowych sprawa wyposażeń nie była nigdy traktowana zbyt poważnie, na dobra tego świata patrzono inaczej, z względnością, jaką daje poczucie kruchości ludzkiego istnienia w artyleryjskim ogniu i obstrzale z broni maszynowej. Było to zacne i dzielne wojsko, nikomu nie przyszłoby tu do głowy podnieść wrzawę o funty. Inne bowiem rzeczy były tym ludziom na myśli i, dopóki nie skrwawili się na włoskich przedpolach, żyli w gorzkim poczuciu, że jedzą biały chleb, którego brak jest w kraju, że zbyt już długo wędrują, że nikogo z bliskich nie zbawią wartownicze noce po dawno zakończonej kampanii libijskiej. Biadolenie nad żołdem było tu tak samo niemożliwe, jak zachwyt nadmierny nad czymkolwiek, co nie było polskie albo z Polską związane. Front włoski stał się dla żołnierzy wszystkim: miejscem na ziemi, odkupieniem niezawinionych win nieobecności, ceną, którą z ochotą płaci się za ludzką swoją godność i podniesione czoło. W sztabach drugiej linii myślano już o obczyźnie, tutaj szło się do Polski. Kogo tutaj mogło obchodzić, że nie otrzymuje się podobno w całości należnej pensji? Nikt nie był ascetą, to prawda, było wino i romanse z pannami, były niesmutne domy z bajzelmamą i przeróżnymi szykanami, były dla niektórych wielkie piękności muzeów i pejzaży, były wreszcie życzliwe mieszkania włoskie i miłe traktorie niewielkich miast. Ale wszystko to działo się pomiędzy jedną a drugą bitwą, na kilkodniowym odpoczynku, na krótkim urlopie, podczas rekonwalescencji po odniesionej ranie, wszystko to następowało w przerwie działań wojennych. Główny był front, miary odwagi i moralnego samopoczucia kształtowały się na pozycjach, tam było jedyne miejsce, udzielające nie pisanych, ale ciężko nabywanych praw do całego tego szampańskiego fasonu, od którego trzęsły się tancbudy Taranto, Bari i Neapolu. Nie był to zresztą fason wyniosły i zadufany, gdyż Polacy i Włosi rozumieli się i lubili. W wyniszczonych i zdezorganizowanych gospodarczo okolicach udzielano sobie wówczas pomocy: dla wygłodniałej ludności stanowiły ją racje żołnierskie, dla bezdomnych żołnierzy — jeden choćby powoli mijający wieczór przy rodzinnym kominku, wokół którego nic się nareszcie ważnego nie dzieje.

Pod Taranto kampania włoska dopiero się zaczynała. Zacinał chłodny deszcz, na mokrej drodze wśród winnic i owocowych drzew sprzedawano czerwone wino i migdały, przybierająca na sile ulewa co dzień płoszyła wreszcie sprzedawców, którzy chronili się pod jakieś szałasy i daszki w rozległym polu, schodzącym ku morzu tarasami i łagodnym skłonem. Podczas tej zimy w Apulii rozbiliśmy po raz pierwszy małe namioty z Port Saidu i nocowaliśmy

w nich kilka nocy bezpośrednio po lądowaniu. Był to tydzień, kiedy mundury nasze i płaszcze bezustannie ociekały deszczową wodą. Mokliśmy i marzli beznadziejnie, bez żadnych widoków na ogrzanie się i schronienie w jakimś prawdziwszym budynku. W pobliżu nie było murowanych domów, nieliczne zabudowania w odległości kilku kilometrów zajęte były przez sztaby dywizji, na domiar złego nasze lilipucie i byle jak postawione namioty poddawały się ulewie i gwałtowniejszym podmuchom zrywającego się wiatru. Pierwszej nocy, gdy zakończyliśmy sprawdzanie i czyszczenie sprzętu i powrócili do legowisk, zastaliśmy ściskający gardło obraz zupełnego zniszczenia. Namioty, koce i plecaki walały się w grząskim czarnym błocie. Ogniomistrz-matka dywizjonu nie tylko niczego na miejscu nie poratował podczas naszej nieobecności, ale podobno zwalił jeszcze po pijanemu dwa namioty, żałośnie trzymające się na jednej linie. Stwierdzić miał przy tym, że jest to zasłużona kara za niedbałe wbijanie palików i że będzie to świetna nauka na przyszłość. Ten wychowanek małomiasteczkowych garnizonów nie miał zresztą za sobą większych racji, namokły i grząski grunt udaremniał i tak wszystkie próby solidniejszego koczowania. Był to jednak ostatni tego rodzaju występ ogniomistrza Ptaka, który po godzinie przeraził się swego niedawnego konceptu i przyszedł pomagać w podnoszeniu namiotów i wygarnianiu spod nich wody. Później zachowywał się przyzwoicie, rzadkie przypływy dawnego krasomówstwa wyładowywał na szczupłym gronie pułkowych fajfusów, którzy zbytnio się nim nie przejmowali.

Takie były początki namiotów na jedną osobę. Wślizgiwaliśmy się do nich nocą przemoczeni do nitki, leżeliśmy pod mokrym i zimnym brezentowym okapem, na posłaniu złożonym z gumowej peleryny i ciężkich od wilgoci koców. Nikt nie może sobie wyobrazić, jak strasznie marzliśmy wtedy na tym najbardziej na południe wysuniętym skrawku słonecznej Italii. Wojsko dygotało z zimna, z mokrych legowisk wyskakiwało się rano na lepkie błoto, czepiające się butów i płaszczy, żołnierze poprzeziębiali się, w nocy słychać było dudniący kaszel dobywający się spod sąsiednich namiotów.

Czerwone wino okazywało się wówczas napojem błogosławionym. Chodziliśmy spać z pełną manierką, napoczynaliśmy ją rzetelnie, rozgrzewało to i umożliwiało zaśnięcie. Szczękając zębami budziliśmy się w połowie nocy, wypijaliśmy resztę wina i czuliśmy niebawem rozchodzącą się wzdłuż ciała falę ciepła. Słońce grzało czasem łaskawiej w samo południe, krótko niestety, godzinę albo nieco dłużej. Na wyższych wzniesieniach Abruzzów leżał śnieg, przekonaliśmy się o tym jadąc na pozycję. Na linii piechoty chorowali niektórzy wskutek wilgoci na obrzęk nóg, kilku nie mogło ani chodzić, ani nawet założyć butów. Dolegliwość ta miała swoją nazwę. Była to s t o p a o k o p o w a znana z transzei pierwszej wojny światowej. Działa nasze ostrzeliwały już nieprzyjacielskie pozycje, nad stanowiskami artylerii przelatywały powolne samoloty obserwacyjne, łącznościowcy porozumiewali się z nimi przez radio zainstalowane przy topograficznym stole w dowództwie dywizjonu. Podnosiliśmy się wówczas z przygnębienia pierwszych dni. Tam, pod Taranto, osaczał nas mokry pejzaż, mokre mundury, mokre żagle namiotu, dżdżysty zmierzch ustępował miejsca noclegowi na przemokłych kocach, po którym następowało przebudzenie w błotnistej glinie i nowa chłodna szaruga apulskiego przedpołudnia. Pierwszy otrząsnął się z tego wszystkiego bombardier Zacharczyk, na dawnym jeszcze miejscu postoju. Była noc, deszcz padał ukośnie i ostro,

bateria maszerowała w ciemności z zaciśniętymi ustami, głodnawa i zziębnięta. Zacharczyk zaczął nagle ryczeć piosenkę o żołnierzu, co idzie sobie drogą i tak sobie śwista, po czym odgwizdał jak trzeba cały refren i rozpoczął od nowa. Nazajutrz zwijaliśmy namioty i z przyjemnością załadowałem na samochód podłużny brezentowy worek, z którego wyciekała woda. Tej zimy nie miałem go już więcej używać, sypiałem, albo i nie, w punkcie dowodzenia dywizjonu, często przebywałem również na stanowiskach obserwacyjnych z których kierowaliśmy ogniem obu naszych baterii, przywołując czasem do pomocy inne pułkowe działony. Z pozycji zjeżdżaliśmy w pogodne doliny, ku słonecznym wioskom, gdzie było ciepło i zacisznie i gdzie szybko nawiązywaliśmy towarzyskie stosunki z ludnością. *Poveri noi, povera Europa* — serdecznie żalili się Włosi nad sobą i nad nami, prosili na wino, z przejęciem opowiadali o zwyczajnych wojennych losach swoich miejscowości. Żegnaliśmy ich jednak, ledwo zdążyliśmy się zapoznać. Kto nie prowadził dziennika, ten także nigdy w życiu nie przypomni sobie, w jakim to miasteczku poznał księdza Barbanero, gdzie rozmawiał z zarośniętymi partyzantami schodzącymi z gór, gdzie zachwycał się straceńczą odwagą włoskich *parachadutisti*, którzy w ostatnim natarciu szli jak diabły u boku polskiego batalionu; i gdzie wreszcie, w Forlimpopoli, Porto Recanati, Montefano czy Petritoli, omal nie zadurzył się w dziewczynie, do której przysłał w następnym tygodniu kartkę z pozdrowieniami i nigdy nie urzeczywistnioną zapowiedzią przyjazdu. To samo dotyczyło zresztą wielu wydarzeń na pozycjach i mało kto zapamiętał, na jakim to na przykład odcinku nastąpiło słynne wstrzelenie się w cel kapitana Dziobula, jednego z najlepszych przed wojną polskich oszczepników. A przecież była to scena godna pamięci i wcale ciekawie wyglądał tamten górski punkt obserwacyjny, rozgromiony później przez niemiecką artylerię. Na położone w dolinie budynki wojskowe i skrzyżowania dróg prowadziły wówczas ogień pułki brytyjskie i polskie, wstrzeliwaniem się kierowali oficerowie z lornetkami przy oczach, śledzący z uwagą pasma dymu i wydający w wyniku tej obserwacji nowe komendy. Z przesuwania się pasemek dymu zorientować się było można, w jaki cel strzelają sąsiedzi, widać było na przykład, że Kanadyjczyk wstrzeliwuje się w drogę, a angielski major bierze w artyleryjskie widły daleki domek z wieżyczką. Pióropusz jednego z wybuchów przesłonił ją zupełnie, następny rozkwitł daleko za nią, trzeci był również poza celem, lecz znacznie bliżej. Major zgasił wówczas papierosa, ale zanim przekazał swym działonom nowy celownik, zastygł w niemym podziwie.

Trafione pociskiem polskiego pułku niskie zabudowanie nad rzeką wylatywało w powietrze z imponującym hałasem. Eksplozje następowały jedna po drugiej, nad obróconym w perzynę budynkiem zapalały się zielone i pomarańczowe błyski jakichś wybuchających potworów, później wszystko prychnęło w górę i straszliwie zadymiło. Kapitan Dziobul przyjmował z niedbałym uśmiechem gratulacje rycerskich sąsiadów i na nas tylko spojrzał niepewnie swoim zacnym okiem burego psa, kiedy zabraliśmy się z namaszczeniem do ściskania go i świadczenia uprzejmości. Przestańcie się wygłupiać — poprosił wreszcie, łypiąc ostrożnie ku wydającym komendy aliantom. A poza tym nie mówcie o tym staremu i w ogóle się ode mnie odczepcie. Ach, z jaką to pilnością zabrał się zaraz do kreślenia współrzędnych i obliczania celownika, jaką to miał olimpijską minę, jakie wysiłki nadludzkie czynił ten łagodny si-

łacz, by twarz jego wyglądała marsowo i by widniał na niej zarazem niezmącony spokój ducha. Trzeba go było znać, żeby należycie ocenić ukradkowe spojrzenia, jakie od czasu do czasu rzucał w naszą stronę. Jedna rzecz napełniała go zawsze przerażeniem i skłaniała do pospiesznej rejterady. Rzeczą tą była kpina. Wierny zaś przyjaciel Dziobula, porucznik Rymański, nie omieszkałby zawyć nad nim ze śmiechu na wieść o wydarzeniu. Stało się bowiem, że strzelający jak noga Dziobul trafił przypadkowo w niemiecki skład amunicji położony o całe dwa kilometry od celu, w który się wstrzeliwał. A jednak, mój drogi, jednak był to w końcu skład amunicji i nikt temu zaprzeczyć nie może — bronił się później przed Rymańskim, zadowolony, że sprawa nie nabrała rozgłosu. Mylił się co prawda, gdyż anegdota o strzelaniu Dziobula obiegła wszystkie okoliczne baterie. Była nawet tak popularna, jak opowieść o podchorążym K., który udał się w krzaki i ściągnął portki w tym samym momencie, kiedy rozerwało się na pozycji przegrzane pierwsze działo drugiej baterii. Wypał zagrzmiał głucho, zakończenie lufy rozkwitło nagle w groźną stalową różę, spod oksydowanej zielonej powierzchni wychynęły kanciaste i chropawe przekroje żywego metalu, w promieniu kilkuset metrów posypały się tęgie odłamki, na szczęście nieliczne. Jeden z nich poleciał, spadł, poszurał w trawie i ukazał się oczom zdumionego podchorążego akurat pod obnażonymi miejscami jego męskiego ciała. K. westchnął wtedy z podziwem i powiedzieć miał gromko za poetą: z żelaza, z żelaza być musimy, rodacy, która to wypowiedź okazała się przydatna w wielu okolicznościach żołnierskiego życia.

Sława opowieści o Dziobulu przygasła jednak szybko, nie miała podobnie użytecznej puenty, już nazajutrz bodaj bohaterem dnia stał się kucharz pułkowy W., który artyleryjską nawałę położoną na dywizjony pułku przeczekał w jakiejś dziurze, gdzie prał bieliznę. Powrócił zadyszany, w przekonaniu, że strzelano wyłącznie w niego. Ledwo wyprałem i powiesiłem na słońcu, zaraz zaczęli walić, mówię wam, całe salwy jedna za drugą, ażem zdjął przepierkę i w krzaki, ale jeszcze walą i jeszcze, i jeszcze. Rozmówcy, którzy ledwo wyszli ze schronów, byli wdzięcznymi słuchaczami i żądali szczegółów. Przeboleli nawet przypaloną zupę, którą rozgniewany kucharz przysłał im nazajutrz i dnia trzeciego, zanim ochłódł w zapalczywości.

Któregoś wiosennego wieczora anegdoty przycichły jednak i żartów krążyło mniej niż zazwyczaj. Rozbijaliśmy namioty pod wagonami kasyńskiego masywu, w wąwozie pod rozległą pętlą szosy. Oczekiwaliśmy wyjazdu na linię, ku drodze Inferno. Mój mały namiot zamaskowany był jak inne: tutaj nie było niestety żadnego powodu, żeby lekceważyć przepisy obrony przeciwlotniczej, ci, którzy z jakimiś zleceniami jeździli już w okolicę, skąd dobiegały odgłosy kanonady, powracali bladzi i nie mówili nic. Pod indywidualnym namiotem spędziłem wówczas kilka niezwykłych wieczorów. Odwiedzano się w owe dni jak nigdy, przychodzili z wizytą znajomi z piechoty i czołgów, rozmawiało się do nocy o byle czym, przypijano do siebie kwaśnym winem i rozstawano się niechętnie nad pustymi manierkami. Od okresu apulskiego deszczu dzieliło nas kilka miesięcy, ale wydawaliśmy się sobie tak bardzo inni, że aż nie mieściło się to w pojęciach kalendarzowego czasu. Zmieniły się również nasze namioty. Wznosiły się teraz pewnie na nowych zdobytych gdzieś kołkach, o wiele solidniejszych niż dawne. Były w namiotach popielniczki z metalowego dna

puszki po konserwach, były — na kwiaty polne — wazoniki z blaszanego pudełka od papierosów, były prawdziwe talerze z grubego fajansu i drobne zapasy, którymi można by podjąć niespodziewanego gościa. Na tym postoju nikt się jakoś nie lenił, pod każdym z namiotów znajdował się solidny wykop ze starannie przygładzonym dnem i jedną wyższą powierzchnią przeznaczoną na posłanie. Było za to wewnątrz wygodnie i nawet intymnie, spod równiutko złożonego koca wyglądały brzegi prześcieradła, przyciągnięta z kuchni drewniana skrzynka służyła za nocny stolik. Pokryty był włochatym ręcznikiem, stały nawet na nim maki albo drobne złocienie w blaszanym wazoniku, popielniczka, biały emaliowany kubek do herbaty, pocztówka oparta o brezentową ściankę, przedstawiająca madonnę z Loreto, widok niebieskiej zatoki albo zielony i złoty krajobraz w słońcu.

Pielęgnowano te drobne kilkudniowe wygody i przyjemności z zapałem i po gospodarsku, ale i dziwnie machinalnie, jakby bez większego udziału świadomości. Myśli były już tam, na górze piekielnej i niemożliwej do zdobycia. *Impossible* — mówili ochotnicy kanadyjscy, którzy sąsiadowali niegdyś z pułkiem, kiedy ani oni, ani ich rozmówcy nie wiedzieli jeszcze, kto następny przeprowadzić ma frontalne natarcie na klasztor. Zdobycie go w taki sposób jest niemożliwe — utrzymywali wzruszając ramionami. *Impossible.*

W namiocie pod pętlą szosy odwiedzili mnie przyjaciele, których nigdy więcej nie miałem już zobaczyć. Z jednego batalionu przyszedł Dyl, z drugiego Orłoś. Dyl przyniósł kilka swoich nowych rysunków, opowiadał o neapolitańskiej galerii i niedawnej podróży na Capri. Mówił o przygodzie, jaka spotkała tam jednego z żołnierzy ich oddziału, strzelca Z., w cywilu początkującego nauczyciela. Schronił się przed deszczem na ganku jakiejś willi, zauważono go niebawem i poproszono do środka. Ulewa nie ustawała, zaczęto rozmawiać, domownicy zapytali Z.: czy słyszał pan o Croce? Z. nie tylko nie słyszał, ale i dwa lata ślęczał nad jego estetyką w okresie studiów. Przywołany z sąsiedniego pokoju gospodarz przedstawił się: Croce. Benedetto Croce. Niesłychane wydarzenie, ale zapewniam cię, że to prawda — kończył Dyl. Był jednak trochę zgaszony, miał kłopoty z jakąś kobietą z Bari, wdową, którą poznał w znajomym włoskim domu. Spędził z nią kilka wieczorów, zostawał na noc, sądził, że i z jego, i z jej strony jest to mało znaczący ewenement, ale dostawał teraz od niej długie, niecierpliwe listy, okazało się, że nie ma poza nim nikogo bliskiego. Odpisywał więc, obiecał, że przyjedzie, jak tylko otrzyma urlop. W tym zaś, co powiedział za chwilę, mieściła się przyszłość najbliższa, obawy nie nazywane po imieniu i starannie unikane, ale żyjące w nas i obecne. Przesłałem jej wszystkie rysunki — oświadczył — tam będą pewne. Rzucił mi od niechcenia adres, mówił niedbale, jak się dochodzi do budynku, że przejść trzeba przez podwórze, oficyna w prawo, drugie piętro, na drzwiach tabliczka, Maria V. Opisywał to wszystko lekko, tak jak zdarzenie z Crocem, między jedną a drugą relacją o dobrze znanych nam dziwakach i nieokrzesańcach, którymi gorszyły się i chlubiły na przemian macierzyste oddziały.

Głos Dyla dźwięczał mi w uszach, kiedy w dwa miesiące później szedłem z gronem jego przyjaciół ulicami Bari. Okazało się, że o wszystkim pamiętam znakomicie, Dyl mówił znowu, jakby z taśmy magnetofonowej: podwórze, oficyna w prawo, tabliczka na drzwiach. Otworzyła nam Maria V., przyniosła

szkice i fotografie. Miała od niego wiadomość ze szpitala, ostatnią przed nieudaną operacją. Zostawiliśmy u niej wszystko, mieliśmy się zgłosić po rysunki później, może za pół roku, kiedy będzie już wiadomo, co z tym można zrobić. Rozstawała się z nami nie próbując się nawet uśmiechnąć, ani ładna, ani brzydka, z czerwonymi od łez powiekami, w zniszczonej sukni o zblakłych deseniach. Powoli dłoń kładła na klamkę, powoli otwierała drzwi i kiedy stanęliśmy w progu, wybuchła wysokim, gwałtownym płaczem, który rozdzierał serce.

Z Bari odjechaliśmy do Rzymu, podchorąży z batalionu Dyla opowiedział mi w drodze, jak zginął S. Szeregowiec S. zastrzelił się podczas natarcia. Wyskoczył w bok od ścieżki, którą biegła jego drużyna, i widziano, że palnął sobie w łeb z automatu. Nikt zresztą słówkiem nawet nie pisnął w dowództwie batalionu, S. pochowany został z wszystkimi honorami poległego żołnierza. Przypomnieliśmy sobie w samochodzie przysłowie z podchorążówki. Pamiętasz aforyzm L.? Wyobraźnia zostaje w drugiej linii, odbiera się ją po zejściu z pozycji. Pędziliśmy gładką asfaltową szosą, zostawialiśmy za sobą zielone podmiejskie pagórki, na jakichś ruinach zachowały się napisy umieszczone tu nie tak dawno przez gorliwych propagandystów faszystowskiego imperium. Jedno z tych haseł zapewniało inteligentnych i dowcipnych Włochów, że lepiej jest być jeden dzień lwem niż całe życie owcą. Inne było dużo krótsze i przemawiać miało w imieniu wszystkich. Jesteśmy przeciw wygodnemu życiu. *Noi siamo contra la vita commoda.* Wymalowane na zgliszczach słowa te zadziwiały pompatyczną głupotą i skłaniały do szyderczego uśmiechu. Ale z prawej oficyny w dalekim Bari spojrzały ku nam zapłakane oczy Marii V.

O Dylu myślałem często. Nie zawsze był to niezależny od mojej woli akt imaginacji. Był to również świadomy obrządek pamięci, chwila świeckiej mszy na intencję śmiertelnie ranionego w brzuch podczas zajmowania Sant Angelo. Kiedy któregoś wieczora zebrało się w moim małym namiocie trzech bateryjnych znajomków i gdy ciasno stłoczeni ocenialiśmy kaloryczne wartości miejscowego *rosso*, w pewnej chwili trąciłem się nieznacznie z pustą przestrzenią. Szepnąłem: twoje zdrowie, Dyl! i nagle przeraziła mnie myśl, że jest to może jeden z owych komedianckich gestów, jakich żywi nie szczędzą zmarłym w imię własnego spokoju i własnego dobrego samopoczucia. Nieobecność Dyla była nieodwołalna, nie żył, nie trącał się ze mną kubkiem wina, obraz jego z ostatniej wizyty, jaki przywołać mogłem w pamięci, był to wizerunek nagrobny, nic więcej. A jednak siedział kiedyś na posłaniu w tym namiocie i tak go widziałem: lekko pochylonego, z łokciami opartymi o kolana, ze splecionymi dłońmi. Patrzył na mnie z uwagą, zwracając się w moją stronę; gdy mówił, chwiała się jego jasna czupryna. Kiedy wybuchałem śmiechem, przerywał opowieść i zadowolony spoglądał przed siebie, w to właśnie miejsce naprzeciw mego legowiska, gdzie stawiałem zwykle biały, podłużny worek na rzeczy i zielony prostokątny plecak. Spakowałeś się już — westchnął odchodząc. Życzyliśmy sobie żartobliwie skręcenia karku, odprowadziłem go kawał drogi, szliśmy wąwozem obok szosy, na której rozpoczynało się wieczorne ożywienie. Jechały samochody, stukały kopyta mułów obładowanych amunicją i prowiantem, szybkiemu i niegłośnemu stąpaniu setek zwierząt towarzyszył metaliczny i chybotliwy dźwięk, który coś przypominał, coś, co wiązało się z brzękiem wiader i dudnieniem studziennej głębi. Żelazne na-

czynia z wodą — powiedział po chwili Dyl. Na liniach nie lubiono tego dźwięku. Alarmował nieprzyjacielskie pozycje, z których odzywała się zaraz broń maszynowa i wybłyskiwała czasem wyjąca salwa ciężkich moździerzy. Nie można się było obejść bez wody, ale woda ściągała ogień. Ciszej! — wołano gniewnym szeptem do greckich mulników. Ciszej! Na szosie nad nami rozmawiali dwaj konwojenci. Ta z takim brzękiem nie dojdą — mówił jeden z lwowska. Trzeba te bambeki lepiej umocować — przytakiwał zaradnie drugi i zaraz gdzieś pobiegli, aż po chwili w równym stukocie kopyt pojawiły się jakieś rytmy wolniejsze i potoczyły wzdłuż szosy, w tył kolumny. Zwierzęta przystawały, stanęły, słychać było jakieś dalekie okrzyki. Gdy kładłem się spać, muły posuwały się znowu swoim drobnym i sucho dźwięczącym truchtem, odgłosy tego pochodu dobiegały do namiotu całą noc. O świcie stukotowi kopyt towarzyszyło donośne już dzwonienie pustych skrzynek metalowych i próżnych blaszanek obijających się jedna o drugą na mulich grzbietach. Dźwięki przybliżały się teraz z przeciwnej strony. Kolumna wracała.

Dzień, który nastąpił, był dla mnie ostatnim dniem obozowania w wąwozie. Nazajutrz dołączyć miałem jako obserwator artyleryjski do batalionu piechoty. Dywizjony umieszczały się stopniowo na stanowiskach, w nocy podciągano działa, rozwijano niebawem fronty baterii, kopano i poprawiano schrony. Na masyw kierowały się zwolna lufy setek dział lekkich i ciężkich, w drzewach za działobitniami przycupnęły zamaskowane ciągniki, na mapy i stoły topograficzne naniesiono już dziesiątki celów i do szczegółów opracowane było przygotowanie artyleryjskie, które poprzedzić miało szturm nacierających kompanii.

Wąwóz powoli pustoszał, ale wieczorem, kiedy przyszedł Orłoś, było w nim jeszcze ludno i ruchliwie. Ucieszyłem się gościem, był to mój przedwojenny sąsiad warszawski, do czego zresztą dogadaliśmy się dopiero w wojsku. Wygląd miał ujmujący, twarz jego była jedną z owych twarzy przyjaznych, które na pewno gdzieś już widzieliśmy, tyle tylko, że nie możemy sobie przypomnieć, kiedy to nastąpiło i w jakich okolicznościach. Mieszkańcy Warszawy nazywają takie twarze warszawskimi, mieszkańcy Krakowa — krakowskimi, mieszkańcy małych prowincjonalnych miasteczek powiadają, że są to oblicza poczciwe, dziwnie swojskie i zacne. Gdy niegdyś przedstawiliśmy się sobie w pustynnej kantynie, jednocześnie przyszło nam obydwu do głowy, że chodziliśmy do różnych klas tego samego gimnazjum. Kiedy okazało się, że jesteśmy w błędzie, męczyliśmy się nad sobą dalej, pijąc herbatę zabarwioną leciutko mlekiem, zaciągając się papierosami i badawczo się sobie przyglądając. Wyjaśniło się wreszcie, że mieszkaliśmy w Warszawie na jednej ulicy, o trzy tylko domy od siebie, i że musieliśmy się wobec tego znać z widzenia. Nie ulegało to już dla nas wątpliwości. Musieliśmy i kropka.

Mieliśmy później przez jakiś czas wspólny krąg wojskowych kompanów, widywaliśmy się często, gdy jednostki nasze stacjonowały w tej samej okolicy. Wiedziałem już o Orłosiu, że studiował przed wojną elektrykę, że utrzymywał się z korepetycji i współpracował poza tym z redakcją jednego z warszawskich tygodników. W środowisku akademickim uważano go wówczas za człowieka lewicy o radykalnych poglądach i krewkim usposobieniu. Pierwsze lata wojny przebył gdzieś w północnym Kazachstanie, zgłaszał się tam co pewien czas do wojska, posłano go wreszcie do formujących się oddziałów pol-

skich, późniejszego Korpusu. Pierwszą noc w obozie zbornym spędził w glinianej lepiance, pełnej stłoczonych ludzi, czekających podobnie jak i on na komisję rekrutacyjną. Usiadł wśród nich na podłodze, zadowolony ze znalezienia kąta pod dachem, i wkrótce wywnioskował z ich rozmów i uwag, że trafił do grupy byłych policjantów. Powoływali się chełpliwie na znajomości w sztabie i dawne zasługi, opowiadali sobie z uciechą, że z komisji przepędzono dzisiaj kilku Ukraińców i dwóch Żydków, co nie umieli zmówić pacierza. Wydało mu się nagle, że śni, płonęły mu policzki, znalazł się w stanie apatycznego odrętwienia, w którym zamazywały się twarze rozmawiających sąsiadów i ciemniał w głębi izby skaczący płomyk świecy. Ktoś szarpał go za ramię, ale nie umiał już podnieść głowy ani wydobyć głosu. Ocknął się w tyfusowym oddziale wojskowego szpitala, a kiedy zaczął chodzić, skierowano go do pułku i trwał tam jeszcze w półśnie, lekki, dziwiący się swojej przezroczystej skórze na skroniach i zawstydzającej cienkości wychudłych nóg. Gdy dowiedział się, że wyjeżdżają do Persji, rozejrzał się w kompanii po żołnierzach. Wielu cieszyło się, niektórzy milczeli. A on? Zastanawiał się i osądził, że nie ma wyboru. Zostać? Nie można zostawać w ogóle, abstrakcyjnie, w ogromnym i nieznanym kraju, trzeba przecież dokądś się udać, do kogoś konkretnego, z kim można by chociaż poważnie się rozmówić. Ani jedna nazwa miasta nie kojarzyła mu się tutaj z czymś znajomym. Nie znał nikogo. Zadecydował też, że zda się na los, przyszedł do wniosku, że ta nieprzypadająca mu do gustu armia, z ułańskimi fasonami oficerów i tępą brutalnością zawodowych sierżantów, jest być może jedyną dla niego szansą żołnierskiego uczestniczenia w wojnie, w tej polskiej wojnie światowej. Powracał zresztą nieraz do owych wątpliwości, wtedy gdy szedł zamyślony ulicami Teheranu i później, kiedy przypatrywał się zdumionymi nieco oczami górskim serpentynom, pomarszczonym pniom oliwnych drzew przydrożnych, mijanym winnicom. Żołnierze z pułku Orłosia zmieniali miejsce postoju, w irackim obozowisku powitał ich gwałtowny podmuch hamsinu, poszli do kuchni po pierwszy obiad i powrócili z menażkami pokrytymi grubą warstwą żółtego piasku. Zasypiając z piekącymi powiekami pod chybocącym się na wichrze namiotem, Orłoś odnalazł wreszcie w sobie krzepę i rezygnację kilkunastu pokoleń swoich chłopskich przodków i machnął na wszystko ręką. Będzie co ma być — powiedział sobie.

Było zaś to najpierw, że do szalejącej „dwójki" popłynęły donosy na Orłosia, napisane skrzętnymi dłońmi dwudziestu co najmniej dawnych członków akademickich korporacji. Następnie było to, że, jak się rychło zorientował, jeden czy drugi podejrzanie przedstawiający się kamrat o śliskim spojrzeniu próbował wciągać go w rozmowy o charakterze, można by powiedzieć, ogólno-politycznym, odbiegającym wyraźnie od normalnego zakresu panujących w namiocie zainteresowań. Było wreszcie i to, że inteligentny i krzepki Orłoś pozostawał strzelcem nie awansując przez trzy lata i później dopiero, na którymś wojennym biwaku, powiadomiono go, że jesienią skierowany będzie na południe Włoch, do szkoły podchorążych.

Ani go to zresztą grzało, ani ziębiło. Wojsko jako instytucja wywoływało w nim niechęć graniczącą z obsesją, swoją wojskową służbę traktował nieodmiennie jako obowiązek uczestnictwa w wojnie. W wojnie, a nie wojsku, w wojnie, a nie w wojsku — powtarzał, kiedy przekornie wypominano mu jego

nienaganną postawę pistoleta. Był naprawdę wzorowym łącznościowcem swego batalionu, zajmował w oddziale miejsce uznane i niemal że wybitne, gotowi tam byli przysięgać na wszystkie świętości, że ich radiotelegrafista jest znakomitością, jaką poszczycić się nie mogłaby nie tylko każda dywizja, ale i cała nawet armia. Przekonanie takie zdawało się również panować w oficerskim kasynie. Trzy razy proponowałem go do podchorążówki i za każdym razem odrzucali wniosek — żalił się porucznik N., zwierzchnik Orłosia. Dwa razy występowałem o awans i nie dali mu ani jednej belki. No i cóż, poruczniku — odpowiadał dowódca batalionu przeciągając po kresowemu — czasem pech taki bywa albo ktoś do kogoś czuje coś niedobrego, ale próbować, poruczniku, trzeba, bo szkoda jest chłopaka. Na tym też stawało, N. odchodził ciesząc się, że stary udzieli mu poparcia przy nadarzającej się okazji, i wstępował po drodze do Orłosia, żeby dowiedzieć się, czy nie ogłaszano w radio czegoś ciekawego. Było to już bowiem prawo zwyczajowe, że Orłoś po naprawieniu często psującego się radioaparatu trzyma go u siebie kilka dni, dla sprawdzenia, czy wszystko jest w porządku. Wiadome też było, że sprawdzanie trwa tak długo, jak długo Orłoś ma na to ochotę, i nikt nie przeszkadzał mu w odbieraniu koncertów nadawanych z odległych, nie zniszczonych miast na zachodzie, gdzie sławne orkiestry stroiły instrumenty, chrząkała zebrana w wielkiej sali publiczność i rozpoczynała się wreszcie Ravelowska *Pawana na śmierć infantki.* W pustynnym namiocie na końcu świata, w piaszczystym i płaskim obozowisku pod Krzyżem Południa słuchał wtedy koncertu łącznościowiec Orłoś z batalionu piechoty.

Miał zresztą i inne zadośćuczynienia, gdyż była to natura bogata i rogata, o czym przekonywałem się w miarę postępowania naszej zażyłości. Jeszcze na irackim postoju, ale pod koniec już naszego pobytu, oświadczył mi, że otrzymał zaproszenie do arabskiego domu w miasteczku Q. i że mogę z nim pojechać. Zgodziłem się od razu, gdyż zaproszenie takie należało do wyjątkowych. Podczas wizyty zamarłem jednak z przerażenia. Ledwo wyszedł na chwilę gospodarz do drugiego pokoju i zostaliśmy sami z jego podającą nam do stołu najmłodszą żoną w czarnym, przesłaniającym twarz czarczafie, wydało mi się nagle, że Orłoś ją uszczypnął. Przyszły mi na myśl opowieści o straszliwej zemście, jaka spotyka każdego, kto targnie się na świętości tutejszych ognisk rodzinnych, wcale zresztą solidnie rozbudowanych. Przed oczami mignął mi sztylet, jakim zaraz za bramą zabija się niewiernego, i ujrzałem nas obydwu nieruchomych, zadźganych nożami, sponiewieranych, jak zwykł mawiać ogniomistrz Ptak, we własnym sosie. Zamknąłem oczy i osądziłem, że to niemożliwe, wszystko, co mogłem opowiedzieć Orłosiowi o sztyletach, znał on tak samo dobrze, jak ja, na pewno by jej nie dotknął. Uspokojony spojrzałem znowu w jego stronę i na czoło wystąpiły mi kropelki potu. Jednak ją podszczypywał, ona zaś, jeśli mnie słuch nie mylił, cichutko nawet pisnęła. Minęły sekundy długie jak wieczność, powrócił z owocami gospodarz, spoglądałem na jego siwiejącą, ostro zakończoną bródkę i oczy zmrużone w uśmiechu. Udaje — myślałem, przybierając najniewinniejszą i najbardziej pogodną minę, na jaką było mnie stać. Wychodziłem później strzygąc oczami na boki i odetchnąłem, kiedy ruszyliśmy już w powrotną podróż.

W Kairze zaczęła się historia z madame Solange. Egipską stolicę znałem dłużej od Orłosia, przyjeżdżałem do Kairu i Aleksandrii w okresie kampanii

libijskiej, kiedy jeszcze stopa jego nie postała na tutejszym gruncie. Ledwo się jednak zjawił, zadomowił się błyskawicznie i o wiele bardziej intymnie aniżeli najstarsi nawet ramzesi spod Tobruku. Madame Solange miała w swoich żyłach krew egipską, hiszpańską i włoską, mąż madame często wyjeżdżał za swoimi handlowymi sprawami, dni oczekiwania dłużyły się niepomiernie, samotność okazywała się męcząca i niesprawiedliwa. Orłoś płoszył więc nudę wieczorów Solange, a mąż jej, łagodny mężczyzna o umykającym spojrzeniu, miał być podobno nawet i zadowolony z takiego obrotu rzeczy. Tak przynajmniej utrzymywał Orłoś powołując się na opinię pani domu.

Wszystko to jednak nic w porównaniu z sukcesami Orłosia na ziemi włoskiej. Jego stosunki towarzyskie tak były rozległe, jak obszerny wykaz miejscowości, w których choćby na jeden dzień zatrzymywał się oddział. Do tego czasu panowało w batalionie niczym nienaruszone przekonanie, że najładniejsze dziewczęta wszystkich krajów szczególną sympatię okazują mundurom opatrzonym w skromne bodaj dystynkcje wojskowej władzy. Orłoś burzył jednak podobne przesądy za jednym zamachem. To o niego dopytywała się, nazajutrz po przyjeździe kompanii do F., smukła córka burmistrza, o której piękności chodziły później legendy. To on zamieszkał w R. u jasnowłosej, mocno zbudowanej kobiety o drażniących, zmysłowych ruchach i pytających oczach, na widok których zacny porucznik N. stracił poczucie rzeczywistości i poszedł się upić, żeby je odzyskać. To on bywał gościem studentki z Rzymu, którą działania wojenne zaskoczyły w P., i on, pierwszy chyba w całym wojsku, zaręczył się w T. z włoską dziewczyną, która później przeraziła się związku z nieznanym mimo wszystko mężczyzną i, kiedy odjechał, pozwoliła wyekspediować się do rodziny na przeciwległym krańcu półwyspu. Wszystko to on, Orłoś, wzorowy radiotelegrafista, meloman, pierwszy myśliciel i najtęższy kogut batalionu, on, który niebawem zaręczyłby się po raz drugi, gdyby nie przeszkodził mu zbieg okoliczności. Siedzieliśmy z tą dziewczyną z Imki — opowiadał — i byłbym się już oświadczył, ale zadrzemałem, bo wino było ciężkie, marsalla, siedziałem głupio uśmiechnięty, słyszałem, jak smali do niej cholewki Andrzejek B., jak się umawiają do kina, do teatru, na spacer, w ogóle umawiają się i mają mnie za hetkę pętelkę. Poderwało mnie jej spojrzenie, o, to było dosyć niedobre spojrzenie, fatalne dla drzemiących, i wtedy ocknąłem się nagle jako trzeci w towarzystwie, i tak już zostało. Wydawał się zresztą zadowolony z takiego przebiegu sprawy. Jak rzekłby ogniomistrz Ptak, nie trafiło na biednego.

Do namiotu w wąwozie nie przybywał jednak w charakterze króla życia, nigdy zresztą, o ile pamiętam, nie przybierał tego rodzaju pozy. Był taki, jaki był, nie usiłował przedstawić się korzystniej w niczyich oczach i nie starał się podobać nikomu z wyjątkiem owych kilkunastu kobiet. Nie zgłupiał też od zawrotnych w tej dziedzinie powodzeń, zachował zdrową głowę, wobec przyjaciół potrafił okrutnie kpić z samego siebie i zdawało mu się to nawet sprawiać pewne zadowolenie. Słuchając go, nie mogłem czasem opędzić się myśli, że sławetne szaleństwa Orłosia są umykaniem przed rozstrzygnięciem jakichś spraw, których rozwikłać nie może albo i nie pragnie. Umykanie i rozstrzyganie — krzywiłem się zaraz. Nie jest to myśl, ale tango. Oto — mówiłem sobie — pomysł znakomity, godny powieści psychologicznej dla damskiej obsługi magla: gorzki rycerz, szampańskie jego życie rycerskie, a w środ-

ku dusza jego rycerska i tak smutna, że wszystkim robi się niedobrze. Ucieczka przed problemem wewnętrznym ze szczypaniem zulejki i domem publicznym w Neapolu! Nie, można było oszczędzić sobie tak głębokich rozwiązań i zadowolić się czymś o wiele bardziej prawdopodobnym, tym mianowicie, że Orłoś, obok wszystkich innych cech swojej bogatej osobowości, ma również cechy dziwkarza. Prostsze i o wiele prawdziwsze. Był to ten sam dawny Orłoś, z trawiącym go niepokojem, z dawnymi wątpliwościami. Nie pozbył się ich, przeciwnie, z jego krótkich, rzucanych czasem uwag wywnioskowałem, że dokuczają mu coraz bardziej.

Z tym przyszedł też do namiotu w wąwozie. Wszystko, co na wstępie powiedział — jakieś batalionowe bagatele i pocieszności z miejsca postoju — wszystko to było pośpieszne, nijakie i nieważne. Siedział na tym samym honorowym miejscu, na którym wczoraj umieściłem Dyla, na posłaniu, w głębi namiotu. Milczeliśmy długą chwilę i nagle Orłoś rzucił:

Oczywiście, mój drogi, zdajesz sobie sprawę, że będą to jatki. Kto zjedzie stamtąd do szpitala, nie powinien się skarżyć na los, byłoby to niesprawiedliwe i przesadne.

Mówił zupełnie spokojnie, musiał to już sobie powtarzać wiele razy, nie przyszedł do mnie, żeby dyskutować. Kilkanaście zdań zaczął od „oczywiście", z lekką nonszalancją.

Oczywiście, wiesz o tym, że w Rosji jest także polska armia. Tamci także są na froncie, ale zachodzą między nami pewne różnice, oni nie jedzą na przykład pomarańczowego dżemu. Oczywiście, zdajesz sobie sprawę, że oni idą do Polski, a my maszerujemy do wszystkich diabłów, czym nasi landlordowie nie zdają się przejmować. Oczywiście, nie zwrócę jutro tornistra porucznikowi N., bo po pierwsze nie chcę mu robić przykrości a poza tym N. jest w tej samej sytuacji i jedyne, co nam obydwu pozostaje, to odprawić naszą samosierrę z najwyższym zapałem. Oczywiście, mówiłem ci już nieraz, że uczestniczymy w wojnie, a nie wojsku, i jest to dla mnie jedyne pocieszenie, zawsze to ta sama antyniemiecka koalicja i w bunkrach z naprzeciwka siedzą żołnierze z dywizji Goeringa. Oczywiście, powiesz mi...

Nie zabierałem jednak głosu, coś tam tylko wybąkałem o windzie górniczej, o której wiadomo, że się urwie, ale wewnątrz siedzą już ludzie i nie wolno im o tym powiedzieć. Trzeba więc zamknąć oczy, wsiąść, rozpocząć ostatnią jazdę, kropka.

Winda? — powtórzył Orłoś. Gdzieś o tym czytałem, ale niechaj będzie i tak. Oczywiście, mój drogi, dobrze wiesz, że lubię ten ziemski spektakl, ale nie do tego stopnia, żeby się okazać świnią, oczywiście, nie do tego stopnia.

Kiedy mówił o ziemskim padole, przez twarz jego przemknął cień uśmiechu. Przyniósł kawę w proszku, mieszaliśmy ją z wrzątkiem w emaliowanych kubkach, dzwoniły łyżeczki. W nieprzesłoniętym trójkątnym wejściu do namiotu widzieliśmy pierwsze gwiazdy, w krzewach obok klonów zaniosły się słowiki, szła ciepła noc majowa, bezchmurna, przywiewająca zielny zapach ziemi i roślin. Z linii nie dobiegał żaden dźwięk, później dopiero, kiedy odprowadziwszy gościa powracałem do wąwozu, zastukotały na szosie kopytka mułów.

Przystanąłem przed namiotem, zapaliłem papierosa, patrzyłem. Nigdy chyba nie widziałem tego wąwozu tak dobrze jak w owej chwili, kiedy mrok zamazywał już kontury obozowiska. Czułem w sobie wielki spokój, stałem, jak stoi

dom, wszystko, co spostrzegałem, zapadało we mnie, jak kamień wpada w powoli płynącą rzekę. Liście klonów i topoli wyraźnie rysowały się przede mną na tle ciemniejącego nieba, pod klonami pęczniał liściasty zagajnik, na lewo od zagajnika jaśniała piaszczysta wydma, okrągła, płaska, zsypująca się ku otaczającym ją trawom. W prawo od naszych namiotów, bliżej drzew i krzewiastej kępy, na podnoszącym się ku szosie stoku czerniał obszerny kwadratowy wykop, nie ukończony schron, który ktoś zaczął tu budować i niebawem przerwał, dowiadując się być może o rychłych przenosinach. Wyżej bielały kamienne słupki na skraju szosy zataczającej pętlę nad obozowiskiem. Z tyłu, za grupą naszych namiotów, wąwóz wybiegał ku drodze mokrą łąką. Przecinała ją jedna tylko zapadlina, był to niewielki jar, równoległy do szosy, zarośnięty akacjami i orlą paprocią, gubiący się o kilkadziesiąt metrów dalej, w miejscu, gdzie wznosiła się młoda pinia o kopulastej koronie. Wszystko to zdawało się niezwykle uporządkowane i ostateczne, chłonąłem w siebie ten widok, czułem, że osiada on w najtrwalszym pokładzie pomięci i wiedziałem, że panuję nad nim, że nie ujdzie mojej uwagi najdrobniejszy ruch i najmniejszy szelest. Zachwiała się lekko gałąź, zadrżały silniej liście na topoli, zaszeleściły jakieś źdźbła na piaszczystym poletku. Z lewej strony rozległy się ciche śmiechy, odciął się od jaśniejszego tła brezentu czarny stożek na przedniej ścianie namiotu, ktoś wyjrzał na zewnątrz. To ty, Kazimierz? Powiedzieliśmy sobie dobranoc. Dobranoc, Kazimierz, niech ci się przyśni noc poślubna i płacenie alimentów. Dobranoc, stary byku, jak ci się twoje będzie śniło, nie przewróć z radości namiotu.

Przed magazynem chodził już wartownik Król i ciekawie nadstawiał ucha. Pana szefa Ptaka pilnujemy, żeby nie poleciał. Gdzie ten złodziej, co go nie ma, panie podchorąży? A ty, Baran — zawołał przyjaźnie w ciemność — śpij, nie gadaj. Zaraz przyjdę cię budzić, wygadasz się jeszcze, Baran, nic się nie bój. Tamten odpowiadał zaspanym głosem, na szosie rozległ się warkot motoru i przybliżył w naszą stronę. Samochód zjeżdżał stokiem w dół, miał zgaszone światła, zahamował, dobiegły głosy porucznika R. i kierowcy. Na dzisiaj koniec z jazdą, Myszko, a jutro ruszamy o szóstej. Król szedł już w tamtą stronę. Jest telefonogram, panie poruczniku. Zapaliło się małe niebieskie światełko i zaraz zgasło. Król? Jutro pobudka o piątej. Wołajcie ogniomistrza, dobrze, że pan nie śpi, panie podchorąży, mamy tu jeszcze parę spraw do batalionu.

I znowu cisza zapada, ale niebo błyska już wszystkimi gwiazdami, drży welon galaktyki, Niedźwiedzica i Szale przypominają raz jeszcze pierwsze dziecinne wertowanie *Pana Tadeusza*. Były tam kolorowe ilustracje przedstawiające ogromne niebo i niskie gwiazdy: kiedy się na nie spoglądało, słyszało się w wieczornym pokoju dzwoniącą ciszę świata i przebiegał przez grzbiet dreszcz urzeczenia. Były i inne nieba pamiętne. Nadbałtyckie pachniało macierzanką i sosnami i rytmicznie rozjaśniało się nad idącymi, kiedy reflektor latarni w Rozewiu odwracał się od morza ku ziemi i obejmował ją na chwilę szybko się przesuwającą, podłużną smugą światła. Niebo mazowieckie wznosiło się nad wrzosowiskiem i wiślanym piachem, miało groźny smak młodzieńczej miłości i niepokój złego przeczucia. Gwiazdy nad wąwozem zapamiętywałem teraz równie dobrze, na całe życie. Tam, nad piramidami w Gizeh, nad libańskimi cedrami w Balbeku, nad masztami śródziemnomorskiego statku

świeciły konstelacje wędrówki, wydawało mi się niemożliwe, że to te same, które znałem od dawna, z innych okolic. W wąwozie spoglądałem na niebo uważniej, podobnie jak przedtem na krajobraz i — dziwna rzecz! — nie budziło już żadnych uczuć, od których mogłoby się ścisnąć moje serce. Wielki spokój krążył we mnie jak dym i nagle pojąłem: Dyl i Orłoś przyszli mi oznajmić, że pozałatwiali ze sobą swoje ludzkie sprawy i w piekle klasztornej góry dmuchać będą na zimne. Nie chciałem być gorszy od nich. W namiocie zapaliłem papierosa i ogarnęła mnie nie znana nigdy błogość pożegnania, którego nie zatruwa niczyja rozpacz. Tej nocy długo myślałem o sobie i noc z wąwozu wypełnić miała na zawsze mój mały namiot na jedną osobę.

Miałem wówczas dwadzieścia jeden lat, na wojnę poszedłem prosto ze szkoły, wspomnienia moje o warszawskich ulicach były wspomnieniami o mieście najwcześniejszej młodości. Czy w ogóle możliwe jest po latach odtworzenie dawnych rozmyślań, nie zniekształconych przez warstwy późniejszego czasu? Nie jestem tego pewny. Wydaje mi się jednak, że rozważania z nocnego wąwozu przedstawić mógłbym tak, jak formułowałem je ówcześnie. Pamiętam, że starałem się wtedy zamknąć krąg własnego życia: czyniłem to porządnie i spokojnie, stwierdziłem nawet, że jestem w wieku wojennego umierania i dobrze przypominam sobie to określenie. Rozumiałem przez nie, że życie moje rozpada się na dwie połowy, z których jedna dobiegała kresu, a druga... Druga mogła zacząć się u końca wojny i przesunąć moje w niej uczestnictwo ku pierwszym faktom obszerniejszej biografii. Mógłbym chyba się jeszcze uczyć, mógłbym pracować, drzemały we mnie pokłady nieskamieniałej czułości, trawiło mnie elektryzujące zaciekawienie godzinami nocy i dni. Byłbym kochankiem, założyłbym rodzinę nie wiedząc, kiedy to się stało, może zapukałby czasem do mnie stary Dyl albo kto inny, nieznany, którego — jeszcze nie wiedząc nawet, gdzie jest i jak wygląda — już teraz gotów byłem obdarzyć najprzyjaźniejszymi z uczuć. Wszystkie te sprawy łączyły się jednak z nazwami i okolicami miasta pamięci, które nie istniało. Należało ono do pierwszego kręgu życia, pierwszego i, być może, jedynego. Cóż było robić! Godziłem się i z taką możliwością, starałem się dla własnego spokoju uzasadnić ją, mówiłem sobie: jestem w najlepszym wieku wojennego umierania, nie otworzyła się jeszcze przede mną druga połowa spraw, a zamknęła się za mną pierwsza. Martwiłem się o matkę, ale wiedziałem, że, jeśli żyje, przywykła po trosze do mojej nieobecności i boleje nad dawnym synem, co niewiele ma już ze mną wspólnego. Wiedziałem, że szkolni koledzy — widziałem w myślach ich twarze i zdziwione oczy — uważają mnie za utopionego w ogromnej studni świata. Byłem dla nich nieobecny, umarły, zapowietrzony wojenną legendą egzotycznych nazw. A inni? Kilku nauczycieli, którzy, jeśli dotrwają, powiedzą sobie: wiecie, powrócił L., ten z ostatniej przedwojennej matury. I jeszcze Krystyna, wielka miłość szesnastoletniego mężczyzny, jedyny może niepokój, który nie jest zakończony, ale nie boli już, przysypany piaskiem i przygłuszony odległością niemożliwą do przebycia. Uważałem zresztą, że nie ma powrotu do tamtych niecierpliwych wzruszeń i oczekiwań, o których zawsze mówi się później z wyrozumiałym lekceważeniem, choćby i nawet zasmucała obawa, że nigdy już nie powtórzy się tak gwałtowne trzęsienie serca, niepomne na żadne względy, silniejsze od nieba i ziemi. Tak przynajmniej osądzałem wtedy, w namiocie pod pętlą drogi.

Pozostawały jeszcze za mną sprawy lat najostatniejszych, ale nie były to wydarzenia zobowiązujące mnie do czegoś więcej poza pamiętaniem. Patrzyłem na nie podobnie jak Orłoś, gorzka jego wiedza była przekonaniem również i moim. Żyłem jednak swoim życiem, inne miałem do pamiętania sytuacje, inne wydarzenia. Występowało w nich kilku ludzi, z którymi się zżyłem, kilkunastu, którzy zatruli mi kiedyś godziny albo i dni pustynnego tygodnia, kilkuset, których darzyłem lojalną uwagą. Odpłacali mi podobnym stosunkiem, tutaj też, między nimi, było miejsce najbardziej moje i własne, w otoczeniu tych ludzi mogłem bezpiecznie usnąć, oni, gdyby to okazało się konieczne, znieśliby mnie z pola. Nie było to bynajmniej przypuszczenie, ale szorstka pewność, wiedzieliśmy o sobie co najmniej tyle, ile wiedzieć trzeba o towarzyszach niespokojnych podróży. Obowiązywały nas wszystkich równe prawa i wzajemne powinności, żyliśmy tu na podobnych zasadach, choć obywaliśmy się bez pojęć wdzięczności i związanych z nią moralnych zadośćuczynień. Prawdopodobnie uniemożliwiał je pośpiech. Wszystkie wydarzenia, w których uczestniczyliśmy, były jednorazowe i z góry było wiadome, że nie nastąpi po nich ciąg dalszy. Każda sprawa dziejąca się na linii była oddzielna. W T. marzłem, w F. byłem lekko ranny, w S. wzięto jeńców, w L. strzelaliśmy pociskami rozpryskowymi. Krajobrazy biwaków nie przychodziły też po sobie płynnie, w rytmie pór roku i kolejnego następowania harmonijnie zmieniających się okolic. Ze śnieżnych pozycji górskich zjeżdżaliśmy w równiny pełne słońca. Z wesołego rynku w południowym miasteczku pędziliśmy w zadymioną dolinę, w której jęczeli konający. Spod artyleryjskiego obstrzału i leśnych łun wpadaliśmy w spokój wieczornych domów, na ulicę gitarzystów, śmiejących się dziewcząt i omszałych kamieni pachnących winem. W jednym z takich miasteczek poznałem dziewczynę, z którą spędziłem dwa tygodnie, ciężki od jej pieszczot, oszołomiony jej pragnieniami, zdumiony gwałtownością jej uczucia. Rozstaliśmy się nie żywiąc złudzeń, wyjeżdżałem na zawsze. W namiocie pod zakrętem drogi myślałem o niej z wdzięcznością, sądziłem, że te dwa tygodnie oddalają ode mnie żal niespełnienia, jeden z najcięższych. Była ona, było kilka przygodnych spotkań wieczornych, przed oczami przesunęły się twarze ledwo zapamiętane, usłyszałem moje imię wymawiane wysokim kobiecym głosem, w obcym języku. Później rozmawialiśmy z Dylem i Orłosiem w jerozolimskiej kawiarni, trąba powietrzna zasypywała namiot warstwą sypkiego piasku, w brezentowym naczyniu woda pachniała chlorem, trzaskało pożegnalne ognisko w szkole podchorążych, śpiewano: „bo to jest pieśń Sahary, melodia tęskna zapomnianych snów, nucił ją Arab stary..." Następna linijka miała w rymie nów, ale nie mogłem jej sobie przypomnieć. Wyliczałem powoli miejsca, w których bywałem, niektóre spojrzenia utrwaliły je znakomicie, z nazwami wkraczały zapamiętane krajobrazy, zielenie i niebieskości stały we właściwym sobie świetle, drzewa i chmury pojawiały się w rzeczywistym kształcie, towarzyszyły im ówczesne zmęczenia patrzącego, ociężałość powiek, niepowtarzalny smak przeminionych godzin. Pod ogrodem Getsmani spoglądałem w dolinę Józefata, przechodziłem przez gaj oliwny w libańskiej wiosce, jechałem egipskim pociągiem przypatrując się rozlewiskom Nilu i ciężkiej zieleni pól.

Był to zamknięty krąg rzeczy zakończonych. Pamięć o nich mogłaby pomocna mi być później, w następnych przypadkach życia, o których nie wie-

działem nic. Lata nadchodzące mogły nie nadejść i nie zamierzałem się nimi zajmować. Miałem w głębi duszy nadzieję, że przeżyję, i bałem się tej nadziei. Wiązała się z lękiem przed powolnym umieraniem, przed leżeniem w słońcu z otwartym brzuchem, przed kolczastą zardzewiałą koncertiną, od której nie można nawet oderwać osłabionych rąk. Nie bałem się śmierci, ale tego właśnie, długiego umierania pod okrutnym niebem, co nie chce się ściemnić. Owej nocy pozbyłem się i takiej obawy. Ujrzałem, jak leżę pod bunkrem, krzyczałem nie otwierając ust. Mówiłem sobie jednak, poskramiając tamten krzyk: Verdun, Gorlice, Kutno, ile tysięcy, ile milionów ludzi tak zginęło. Mieli mieszkania, domy i dzieci, ty nie masz nic. Milcz.

Uciszałem się. Kiedy przyszło mi do głowy określenie o wieku wojennego umierania, było już po wszystkim. W głębi tliła się tylko jedna, najmniejsza iskra nadziei, której nie mogłem już ugasić. Teraz nie nastręczała zresztą żadnych obaw i była mi nawet niezbędna: gdyby zgasła, pozbawiłaby mnie wszystkich uczuć i zdolności reagowania na zjawiska. Zabrałem ją ze sobą na przedpole, nie opuściła mnie, kiedy świat zapalił się nagle w ogniu armatnich salw i gdy zapomniałem o wszystkim, również i o niej. Obecność jej uświadomiłem sobie dopiero po załamaniu się pierwszego natarcia, kiedy podtrzymywany przez sanitariuszy schodziłem w dół ku Inferno. W dalszej drodze ostrzeliwała nasz samochód artyleria, ciężko ranni zrywali się wyjąc, krzyczeli z przerażenia nawet wówczas, gdy wypalały w pobliżu własne działa. To nasze, nasze — uspokajał konwojent. Lecz oni znali już tylko jeden dźwięk, groźny, szarpiący ciało i sprawiający cierpienie, nie rozróżniali w nim niczego oprócz niebezpieczeństwa. Byłem widocznie lżej ranny aniżeli oni. Bolało mnie udo pod bandażami, pulsowały dłonie pokaleczone o kamienie, dokuczało rozdarte odłamkiem ramię, ale wiedziałem, że mijamy teraz stanowiska lekkich, zajadle jazgoczących dwudziestopięciofuntówek, że strzelają już działa ciężkie, że tuż obok pękliwie i przeraźliwie wtórują im naziemnym ogniem peloty, że ciągle zjeżdżamy w dół, ku pętli nad wąwozem. W szpitalu dowiedziałem się, że nie żyje Orłoś. Dyla widział ktoś na punkcie opatrunkowym, nieśli go, był przytomny, ale w stanie beznadziejnym. Powiedział mi o nim doktor K., wspólny znajomy z północnej Afryki. Przyjechał stamtąd nie tak dawno, zabawiał mnie nowinami z egipskiego obozu, wymieniał nazwiska osób, które przypominałem sobie po chwili dopiero i z niemałym trudem. Kiedy odszedł, zadrzemałem gorączkowo, w uszach dzwonił mi jakiś niewyraźny głos, mówił jakby pod wodą, dobiegały mnie nie kończące się zdania złożone z powtarzających się samogłosek, słowa z jęków, westchnień i świstu. Wydłużyć celownik — chrypiał głos w ciemności. Osiemset yardów dalej, osiemset yardów dalej — powtarzał ktoś za mną przejmującym wołaniem. Przesłałem jej rysunki — przypominał Dyl. Później przemówił Orłoś: kto zjedzie stamtąd do szpitala, oczywiście nie powinien... Nie mogłem dosłyszeć dalszych słów. Przeraziła mnie nagła cisza i otworzyłem oczy. Przez salę przechodziła na palcach młodziutka siostra wojskowa, wydawała mi się mało rzeczywista, płynęła nad podłogą, w białym czepku, z wpółprzymkniętymi oczami.

Po dwóch tygodniach przeniesiono mnie do innej izby szpitalnej, pooperacyjnej. Był w niej patefon i kilka płyt, najczęściej słuchano popularnej wówczas melodii, kojarzącej się z elektrycznymi chórami wielkomiejskich aniołów, z nocnym lokalem, gdzie matowo połyskują saksofony, drżą ukryte nie-

bieskie światła, szeleszczą długie suknie kobiet wstających do tańca. Angielski refren śpiewała pieśniarka o niskim i miękkim głosie. Pouczała w nim: *begin the begin*, zaczynaj od początku.

Gwizdałem cicho tę czepiającą się uszu melodię, kiedy, po następnym miesiącu, ładowałem na samochód rzeczy przysłane mi z pułku w okresie rekonwalescencji. *Begin the begin*. Pogwizdując odbierałem je teraz ze szpitalnego magazynu i wrzucałem kolejno na tył ciężarówki. Umilkłem, gdy magazynier podał mi podłużny brezentowy worek. Znajdował się w nim mój mały namiot, wyczuwałem pod ręką bambusowe pręty masztu i ostro zakończone paliki, rozpoznawałem wymalowane na worku znaki mojej żołnierskiej tożsamości, dwie liczby rzymskie łamane przez trzy cyfry arabskie. W tej samej kolejności wyryte były również na okrągłej tabliczce, którą zawsze nosiłem na piersiach. Znałem je, jak zna się imię, nazwisko i miejsce urodzenia.

Wracając do oddziału, wiedziałem jednak, że nigdy już więcej nie rozbiję mego namiotu. Myśl o zamieszkaniu w nim wydawała mi się niedorzeczna i pozbawiona sensu, porzuciłem ją szybko, nie zamierzałem zaprzątać nią sobie głowy. Dlaczego to miałbym narażać się niepotrzebnie na wilgoć i chłód — mówiłem sobie. Można przecież zawsze przenocować w jakimś budynku, zbliża się jesień, w prawdziwym murowanym domu będzie mi dużo cieplej. Przypomniałem sobie, że dokucza mi trochę reumatyzm i że rany, ledwo zabliźnione, mogą mi się jeszcze dać we znaki. Rozmawialiśmy z kierowcą o wydarzeniach w pułku, częstowaliśmy się papierosami, szosa prowadziła nas prosto na północ pomiędzy rzędami przydrożnych topoli, poletkami rżysk, płaszczyznami winnic. Minęliśmy kilka sąsiadujących ze sobą miejscowości. Pogoda ich niewielkich uliczek i ludnych kwadratowych rynków usposobiała przyjaźnie i budziła niefrasobliwość. Cieszyła zieleń i złota dojrzałość ogródków, do życzliwości skłaniały intymne smugi dymów unoszące się nad dachami, radowały czerwone i żółte firanki w parterowych oknach sklepików. Obiad jadłem już w dywizjonie. Nasze czternastoipółcalówki stały na działobitniach, ale panował na razie spokój i przyjazd mój stał się okazją do małej uroczystości.

Przyszedł porucznik R., przymaszerował ciekawie Ptak, kolega z podchorążówki, Zbigniew U., znosił niestrudzenie gąsiory z winem, przydreptał Król, zdjął swój zielony beret, ucałowaliśmy się. Byłem znowu w pułku, nie miałem się już z nim rozstać do końca wojny.

Ale raz tylko i na bardzo krótko rozłożyłem mój namiot. Było to pod C., kiedy zluzował nas po akcji pościgowej inny pułk korpuśnej artylerii. Kilka kilometrów za C. zmieniła się zresztą sytuacja, trafiliśmy bowiem na umocnioną linię niemieckiej obrony. Poraził nas ogień z dział samobieżnych i broni maszynowej, tankietki batalionu utknęły na rzece, która rozdzieliła na razie oba wojska. Okolica była gęsto zaminowana, kilkanaście razy słyszeliśmy tego dnia wybuchy eksplodujących min talerzowych. Mieliśmy zabitych i rannych. Niedaleko nas wyleciał w powietrze samochód, w którym kapelan odwoził poległych żołnierzy. Ich po raz wtóry okaleczone ciała odnaleźliśmy w krzakach, o kilkanaście metrów od miejsca eksplozji. Jeden spośród nich zawisł na gałęziach jabłoni i szukano go prawie godzinę. Kapelan leżał martwy obok drogi. Oszalałego z bólu kierowcę dopadli sanitariusze: biedak ten

biegł przed siebie wydając przeraźliwy nieustający skowyt, w miejscu prawej jego ręki dostrzegliśmy jakiś okropny strzęp, na który ciężko było patrzeć.

Zluzowani, oczekiwaliśmy dalszych rozkazów na pozycjach pod C. Wśród okolicznych zabudowań wyróżniał się rozległy dwupiętrowy budynek z obszernym dziedzińcem i uroczystą bramą, nad którą wyryto napis: *ricovero*. Było to schronisko dla starców. Kiedy tam wszedłem, wybiegła mi naprzeciw siostra zakonna i życzliwie zaprosiła do wnętrza. W oficynie za dziedzińcem siedziała przy kominku liczna grupa pensjonariuszy zakładu, kilkudziesięciu staruszków suchych, wyprostowanych i niepojęcie spokojnych. Słychać było bliską kanonadę i warkliwe ujadanie automatów, ale starzy ludzie zachowywali się, jakby byli z drewna, milczeli nieporuszeni i nieobecni. Oni nie słyszą — powiedziała siostra. Po chwili spojrzeli w naszą stronę, zainteresowali się może moim mundurem i bronią, czułem ich daleki, badający wzrok, niektórzy odwracali się już ku kominkowi przerywając krótką, nie natrętną obserwację. Teraz dopiero uderzyła mnie cisza panująca w dużej, ciemniejącej izbie. Może przerwali rozmowę, kiedy wszedłem — pomyślałem pojąwszy zaraz niedorzeczność tego przypuszczenia. Ale mogliby się przecież ze sobą porozumiewać, jakoś się przecież ze sobą zwykle porozumiewają. Może więc w tym milczącym, zapamiętałym skupieniu starają się posłyszeć jeden, najcichszy choćby odgłos z wojennego świata, który grzmiał i wybuchał za murami ich domu? Oni są głuchoniemi — szepnęła siostra. Głuchoniemi.

Spoglądałem na nich jeszcze, zauważyłem, że reagują tylko na błysk, dostrzegłem, w jakim patrzą kierunku. Siedząc przy kominie zwracali nieznacznie oczy ku niewielkiemu oknu. Kiedy rozjaśniło się nagle od niedalekiego wypału, ujrzałem wśród nich oznaki niepokoju i usłyszałem, jak zaskrzypiały ławy, na których siedzieli.

Wychodząc ze schroniska wpadłem w ciemności na podchorążego Z. Szliśmy w jedną stronę, do dowództwa dywizjonu. Dowiedzieliśmy się tam, że działobitnie nasze znajdują się już daleko za linią a bliższe serie z thompsonów, które słyszeliśmy wieczorem, oznaczały likwidację ostatnich gniazd nieprzyjacielskiego oporu. Front odsuwał się od nas, w akcję weszły czołgi, piechota dość szybko rozszerzała przyczółek po drugiej stronie rzeki. My zaś mieliśmy się na razie nie ruszać, czekać. Czuwaliśmy też całą noc, zapadając czasem w krótką drzemkę na pozycjach i przy telefonach.

Nazajutrz wyjaśniło się, że zarządzono dla nas kilkudniowy odpoczynek. Z. zaproponował wtedy nocleg w *ricovero*. Przytulimy się, mówił, miejsca tam dużo, nic im się od tego nie stanie. Poszliśmy w trójkę, porucznik R., Z. i ja, przyjęto nas gościnnie, zaofiarowano izbę z trzema łóżkami. W niskim i małym pokoju o wąziutkim oknie panowała jednak duszność tak trudna do zniesienia, że wycofaliśmy się nie zagrzewając miejsca. Rozbijam namiot — oświadczyłem w drodze powrotnej — a wy jak chcecie. R. poszedł na łaskawy chleb do dowódcy dywizjonu. Z., podobnie jak i ja, wytaszczył namiot z ciągnika. Umieściliśmy się pod prawdziwym bobkowym drzewem na pobliskiej łączce, rozbiliśmy namioty wcale solidnie, z zadowoleniem zapaliliśmy papierosy spoglądając na ukończone dzieło. Spaliśmy do obiadu, drzewo nad nami pachniało mile i mocno, Z. utrzymywał później, że śniła mu się zupa z bobkowymi listkami. Pod wieczór złożył mi sąsiedzką wizytę, ucieszyłem się z tego, nie czułem się bowiem dobrze.

Wnętrze mego namiotu zmuszało mnie od kilku godzin do odprawiania jakichś magicznych obrzędów, które wykonywałem machinalnie, jakby należało to do milczącej umowy zawartej między mną a wysłużonymi brezentowymi ścianami. Działy się wśród tych ścian sprawy niezależne od mojej woli i zmuszające mnie do zawstydzającego w nich uczestnictwa. Przeszłość panowała tu nad teraźniejszością, układała rygorystyczne konwencje postępowania, zmuszała mnie do przybierania odpowiedniego wyrazu twarzy i, nie pytając mnie o nic, narzucała mi rozmyślania na nie przeze mnie obierane tematy. Próbowałem się buntować, nie na wiele się to jednak zdało. Ledwo wszedłem, zacząłem zachowywać się sztucznie i zauważyłem to, ale na próżno przywoływałem się do porządku. Robiłem dziarskie miny, godne bohatera filmu o zdobywcach pustyni. Złapałem się na teatralnym geście przypominania sobie o czymś — z podnoszeniem do góry wskazującego palca i porozumiewawczym spojrzeniem w stronę widowni. Zauważyłem, że składam ubranie w sposób haniebnie pedantyczny, tak jakbym czynił to w oczach tysiąca wymagających świadków, na których opinii niesłychanie mi zależy. Nawet papierosa paliłem marszcząc brwi i mrużąc oczy, nawet popiół strącałem do pustego pudełka po zapałkach z miną admirała zwyciężającego w wielkiej bitwie i udającego się prosto na cokół najświetniejszego z pomników.

Ci jednak, dla których odgrywałem te niegodne scenki, nie zadowalali się widać samym tylko zewnętrznym okazywaniem im uwagi. Rób swoje, zdawali się mówić, nie śpiesz się, poczekamy, mamy wiele czasu, mamy go aż za dużo. Tak, nie byli ponurzy, chwilami błyskały w ich oczach wesołe iskierki, nie byli też złośliwi ani gderliwi. Najchętniej milczeli. I wreszcie ujrzałem ich wszystkich, kiedy, zrezygnowany, porzuciłem owe sztuczne zajęcia, jakimi uzasadnić miałem długie nienawiązywanie z nimi rozmowy. Tak, byli tu oni wszyscy, nie trudno było zauważyć, że wlepiali we mnie oczy i że twarze ich były nieruchome, tak bardzo nieruchome, że aż przypominające naturalnej wielkości fotografię. Gdy zbudziłem się z pierwszego snu i poszedłem na obiad, powiedziałem półgłosem: do widzenia. Kiedy wróciłem, skłoniłem się w stronę posłania, gdzie na mnie czekali, i gestem gospodarza postawiłem na tornistrze otwarte pudełko papierosów. Spoglądali nadal cierpliwie, ciekawi, co im powiem; siedzieli poważnie, rzędem, jeden obok drugiego, zajmowali całe posłanie. Kilku usiadło po przeciwległej stronie namiotu. Podchodząc do mego leża, powiedziałem: Przepraszam — i ujrzałem przed sobą przyjazne oczy Dyla. Był tu również Orłoś, był także Dziobul, który odwiedził mnie w miesiąc przed swoją śmiercią, był uśmiechnięty lekko Franek Olejniczak, który powiadał niegdyś o sobie „ja lwowska chłopaka", był Kłodyński, myśliwy o pogodnym spojrzeniu i wielkiej sile, młodziutki Tomczyk, starający się nawet teraz wyglądać po męsku i poważnie. I było kilku jeszcze innych, może kilkunastu, może i więcej. Osaczali mnie w tym małym namiocie, który nazywał się przecież indywidualny i przeznaczony był tylko na jedną osobę. Ale bałem się nawet tak pomyśleć, żeby ich nie dotknąć. Dyl i Orłoś nie przejęliby się zresztą moim wyrzekaniem, co najwyżej spojrzeliby może trochę inaczej, z życzliwą drwiną. Oni dwaj byli tutaj u siebie, najbardziej wyraźni i obecni. A wraz z nimi przychodziła noc z wąwozu przed bitwą, zamykająca cały krąg życia, dla mnie pierwszy, dla nich ostatni. Nie było między nami równości, czułem się ich dłużnikiem, każdy dzień powiększał mój dług. W tam-

tą noc tak samo przygotowani byliśmy do odejścia, ale naprawdę odeszli tylko oni. Teraz nie odstępowali mnie, patrzyli na mnie z mroku rozumnie i wyczekująco, aprobowali każdy mój krok, zdawali się pragnąć jedynie tego, bym wiedział o ich obecności. Wiedziałem też o niej od pierwszej chwili, nie mogłem nie wiedzieć.

Podchorąży Z., który przyszedł wieczorem, zauważył widać radość, z jaką go powitałem, gdyż skrzyknął zaraz błąkających się w pobliżu kompanów. Przyszedł R. ze starym Optułowiczem, ogólnie lubianym podoficerem zwiadowczym dywizjonu, obaj byli już lekko podchmieleni i prosili o jeszcze. Towarzyski Z. przewidział to zawczasu. R. opowiedział nam niebawem, po raz drugi tego wieczora, jak kwatermistrz pułku budował sobie schron, że działo się to dwadzieścia kilometrów od frontu i, za usłużną poradą R., schron wykopano w pobliżu wygódki. Kwatermistrz siedział w schronie cierpliwie i bohatersko, aż nazajutrz przyjechał nie znający się na żartach kapelan i zbawił kwatermistrza, przynajmniej od złośliwości bliźnich.

Tego właśnie wieczora szepnąłem w pewnej chwili: Twoje zdrowie, Dyl — i trąciłem się nieznacznie z ciemnością. Nikt tego oczywiście nie zauważył. Optułowicz przedstawiał pewne gorszące aspekty przedwojennego życia w miasteczku P., podchorąży przekonywał nas, że najpiękniejszym miasteczkiem na wybrzeżu adriatyckim jest Recanati, R. powrócił do anegdoty o kwatermistrzu. Wyobrażacie sobie, cieszył się znowu, przychodzę, patrzę, a on rzeczywiście siedzi w dziurze koło wygódki, ale na jego szczęście przyjechał ksiądz i tak się to skończyło.

Noc była cicha, pogodna, prawie jak wtedy, gdy obozowaliśmy w wąwozie. Wychodząc z namiotu za moimi gośćmi, raz jeszcze spojrzałem pod brezentowe ścianki. Nie krępuj się, zaczekamy, zdawały się mówić nieruchome twarze. Dyl pochylał głowę, Orłoś siedział wyprostowany, oczy mieli skierowane w moją stronę i trochę jakby większe niż dawniej. Nadawało to im wyraz lekkiego zdziwienia, który zauważyłem już wcześniej, zdziwienia i życzliwego zakłopotania.

Poszedłem do dowództwa dywizjonu i zaciągnąłem tam Z. Może będą nowiny z przyczółka, tłumaczyłem w drodze, a Z. szedł ze mną chętnie, gdyż należał do grona tych miłych kompanów, którzy zawsze gotowi są dokądś jeszcze pójść, byle tylko przedłużyła się rozmowa i nie nastąpiła smutna konieczność zamknięcia towarzyskiego spotkania. Dowództwo mieściło się niedaleko, w opuszczonym kamiennym domu o szczelnie zasłoniętych oknach. Było tam teraz pusto, przy telefonie tylko ślęczał dyżurujący Zacharczyk, zauważyłem, że obok żelaznych skrzyń w kącie stoją oparte o ścianę dwa złożone łóżka polowe. Zacharczyk podniósł na nas zaspane oczy, ożywił się, po wymianie pierwszych słów obejrzał nas uważniej i uśmiechnął się zadowolony z własnej dociekliwości. Wino tu niczego — powiedział dyskretnie i rzeczowo — daje się pić. Nowin z przyczółka oczywiście nie było, gdyż być ich nie mogło, dyżurny telefonista, tak nawet zacny i bystry jak Zacharczyk, nie jest w końcu szefem sztabu.

Rozstaliśmy się z Z. przed jego namiotem, ja jednak poszedłem do siebie tylko na chwilę i po dziesięciu minutach meldowałem się z kocami i plecakiem u Zacharczyka. Zatrzęsienie komarów — oświadczyłem nie patrząc w jego stronę — prześpię się chyba tutaj. Nazajutrz postawiłem obok żelaznych

skrzyń i polowego łóżka resztę moich rzeczy. Był wśród nich również mój mały namiot. Nie nadawał się już do użytku, przynajmniej dla mnie. Zbyt wielki panował w nim przymus pamięci, smugi cienia i chłodu trwały w nim nieporuszone, na zawsze.

Zdemobilizowałem się w północnej Francji — kończył L. Oddałem wtedy, wraz z książeczką wojskową, hełmem, tornistrem i kilkoma innymi przedmiotami, również i mój mały namiot na jedną osobę. Po biwaku w C. nie rozbijałem go nigdy; na postojach leżał zwykle w kącie izby, którą zajmowałem; gdy wyjeżdżaliśmy na nowe pozycje, wkładałem go do ciężarowego samochodu. Zdejmowany stamtąd po zakończeniu kolejnej akcji, wędrował znowu na kwaterę i działo się tak do końca wojny.

Pierwsze moje powojenne miesiące spędziłem we Francji. W Paryżu otworzono wówczas kilka sklepów wyprzedających wojskowe płaszcze wełniane i zielone mundury, które cywilni nabywcy farbowali następnie na inny kolor. Było jeszcze trudno o materiały, ludzie obdarli się w czasie okupacji i chętnie kupowali niezbyt eleganckie, ale trwałe za to i tanie rzeczy z demobilu. Tak je właśnie nazywano — rzeczy z demobilu — i były wśród nich nie tylko ubrania, lecz również wszelkie zdemilitaryzowane dobro: jedwabne spadochrony, z których kobiety szyły sobie bluzki, skórzane kurtki i wysokie sznurowane buty dla motocyklistów, menażki, manierki, kieszonkowe latarki i scyzoryki, emaliowane garnuszki, przybory do szycia, maszynki do golenia. Przechodząc na bulwarach koło jednego z takich sklepów, zauważyłem, że na wystawie znajdują się także namioty, takie same, jakie fasowaliśmy niegdyś w Port Said. Oczyszczone i doprowadzone do porządku, wydawały się za wystawową szybą zgrabne i poręczne. Wielki napis zwracał na nie uwagę niedzielnym wycieczkowiczom i miłośnikom wędrownych wakacji. *Campeurs!* Oto rzecz dla was! Wygodne, tanie, łatwe do przenoszenia. Kupowano je zapewne, skoro znikły po jakimś czasie z wystawy i więcej się już na niej nie pokazały.

Z namiotem na jedną osobę zetknąłem się przecież jeszcze raz w następnym roku.

Którejś letniej niedzieli wybrałem się z J. do Compiègne. Kilka kilometrów za tą miejscowością, nad leśnym brzegiem Aisne, zjedliśmy śniadanie przy wystawionym na powietrze stoliku niewielkiej restauracji. Okazało się, że właścicielem jej jest Polak, krzepko jeszcze wyglądający weteran Legii Cudzoziemskiej, suchy, opalony, w niebieskiej koszuli. Kiedy posłyszał, że rozmawiamy po polsku, przysiadł się zaraz, żeby pogawędzić, i zasypał pytaniami J., który do Francji przyjechał z kraju niedawno, jako korespondent jednego z warszawskich pism. Zaspokoiwszy pierwszą ciekawość i upewniwszy się, że J. nie zna niestety ani krewnych jego pod Bydgoszczą, ani przyjaciół spod Ciechanowa, były legioner wskazał na przycumowaną do brzegu łódź i oświadczył, że bardzo prosi, byśmy się nie krępowali i korzystali z niej, kiedy tylko zechcemy.

Podziękowaliśmy więc i popłynęliśmy wzdłuż brzegów Aisne. Trafiliśmy niebawem na zaciszną łachę rzeczną, ocienioną przez opadające ku wodzie gałęzie wierzb, brązową od podwodnej roślinności. Kosmate pląsające łodygi sięgały powierzchni i oplątywały się wokół wioseł. Zawróciliśmy stamtąd z niemałym trudem ku rzece i pozwoliliśmy znosić się prądowi. Minęliśmy ludną przystań pełną opalających się plażowiczów w kolorowych kostiumach, zosta-

wiliśmy za sobą kilka białych domków z zielonymi okiennicami i kwadratowymi tarasami na piętrze, przepłynęliśmy obok niebieskich i pomarańczowych parasoli kawiarni, z której dobiegała nadawana przez radio muzyka, stukające, rytmiczne melodie wykonywane przez jazzową orkiestrę.

Wylądowaliśmy o dwa kilometry dalej, na niewielkiej polanie, której słoneczna zieleń prześwitywała pomiędzy gałęziami drzew nadbrzeżnych i gęstwiną krzewów. Brzeg był w tym miejscu dość płaski, bez trudu wciągnęliśmy nań łódź i wyszliśmy na pobliską ścieżkę. Po drugiej stronie polany, pod zasłoną jaśminów i akacji, młodzi wycieczkowicze zakładali swój jednodniowy biwak. On zdążył się już rozebrać i uwijał się w krótkich kąpielowych majtkach, ona krzątała się obok w szarych spodniach i lekkim czerwonym golfie. Mieliśmy przed sobą jedną spośród tysięcy par tak charakterystycznych dla niedzieli w okolicach Paryża, młodych par ruszających wczesnym ranem z dusznego miasta, sadowiących się pod drzewami nad Sekwaną, Aisne albo Oise i wracających wieczorem na rowerach, metrem, czasem na motocyklu. Ci z polany należeli widać do wycieczkowiczów solidnych i zapobiegliwych. Przyjechali tu na motorze z przyczepą, przywieźli obfite zapasy i nawet patefon.

Nie odrywałem jednak oczu od namiotu, który rozbijali, i ledwo powstrzymać się mogłem od rzucenia uwagi, że niezbyt dobrze trzymają się paliki i trochę krzywo postawiony jest maszt. Mały, znajomy namiot! Tuż obok mnie leżał porzucony w trawie brezentowy worek i gotów byłem przysiąc w owej chwili, że dostrzegam na nim wyraźne, choć zatarte znaki: dwie cyfry rzymskie łamane przez trzy arabskie.

Przenieśmy się gdzieś dalej, moglibyśmy im tu przeszkadzać — powiedział J., w którym odezwała się rycerska delikatność, nie opuszczająca nigdy warszawskich rodaków w zagranicznych podróżach. Zawróciliśmy ku łodzi i przysiedliśmy jeszcze na brzegu, żeby odpocząć. Milczeliśmy, było spokojnie, pogodnie i dobrze. Nie zdziwiłem się, gdy, odpływając, usłyszałem nagle znajomy refren.

Begin the begin — śpiewała pieśniarka. Tamci na brzegu puścili już pierwszą płytę.

Artur Międzyrzecki

Magdalena Wroncka

KOCHANKOWIE

Gniazda ruchu gorące
wiją w rdzeniu przedmiotów
przegryzają go trzaskiem
prostackich
materializacji

skrzypią
skrzypce drzew obumarłych
porosłych pluszem

rozszczepieni wracają
w korę ciał utraconą
kołysze nimi

ocknienie ulicznej latarni
światło wozu na zakręcie

zrośnięci
wahadłem pieszczoty

przyśpieszają

czas materii zastygły

1954

DZIECKO

Jesienią
kochali się
wiosna ich rozdzieliła

po biurkach zasmarowanych
postukują
swe kulawe piosenki

dziękujemy
zdrowa
zdrowe

małe kółka skrzypiące
odpadają od godzin
pochyleni reperują
zatrzymany czas

w pustce między dwoma
pierwsze kroki

w milczeniu
niesłyszanym
gniazdo snu

w piasku
ruchomym
zabawa

1955

PALEOLIT

Rozlewają pomiędzy siebie
płaszczyznę stolika
zastygła
skamieniała
siedli

od zimnych łokci
krzewem trójkątnym
wyrasta mróz

to nie łagodne
spojrzenia dymu
to uścisk szronu
na szybie miękkiej

rysunki czasu
groty zasnute

popiół daremny
paleolitu

z kraterów kawy
ściszony wybuch

mieszkańcy nudy
znajomi sobie
po kres formacji

przed roztajeniem
chronią się w białe
lodowce gazet

1956

Magdalena Wroncka

Zbigniew Herbert

JASKINIA FILOZOFÓW

PROLOG

Muzyka. Na tle hałasu bębna i miedzi przeszywający głos piszczałki. Scena pusta bez żadnych dekoracji. Wchodzą osoby chóru ubrane w krótkie jasne sukienki, na głowach papierowe szpiczaste czapeczki. Twarze mocno upudrowane.

CHÓRZYSTA I

(Z głębokim ukłonem)

Rzecz o Sokratesie, synu akuszerki i kamieniarza.

CHÓRZYSTA II

Opowieść z pestką.

CHÓRZYSTA III

Pełna słów, aluzji i pauz.

CHÓRZYSTA IV

Niestety bez akcji.

CHÓRZYSTA V

Kto nie zabrał z domu jedzenia, może się jeszcze wycofać.

CHÓRZYSTA VI

Cena biletu zostanie zwrócona.

CHÓRZYSTA I

Sztuka, jako się rzekło, o filozofie.

CHÓRZYSTA II

Który żył długo.

CHÓRZYSTA III

Działał na niwie oświaty.

CHÓRZYSTA IV

Ale nie umarł śmiercią naturalną.

CHÓRZYSTA V

Co daje postaci posmak sensacji.

CHÓRZYSTA VI

A także szczyptę heroizmu.

CHÓRZYSTA I

Przez trzy akty trzeba wysilać dociekliwość.

CHÓRZYSTA II

Aby rozwiązać ten węzeł.

CHÓRZYSTA III

Wzniosłych kłamstw i płytkich hipotez.

CHÓRZYSTA IV

Dlatego będziemy musieli posługiwać się cudzymi oczyma.

CHÓRZYSTA V

Znajdzie się tu zatem coś dla krótkowidzów i coś dla dalekowidzów.

CHÓRZYSTA VI

Najmniej dla tych, którzy widzą dobrze.

CHÓRZYSTA I

Autor kazał przeprosić i powiedzieć, że odpowiedzi nie da.

CHÓRZYSTA II

Mówi, że sam nie wie.

CHÓRZYSTA III

Powiada, że jakby wiedział, to by napisał dzieło po niemiecku.

CHÓRZYSTA IV

A nie zwoływałby aktorów i nie szarpałby za sznurek.

CHÓRZYSTA V

No cóż, ale nie wie.

CHÓRZYSTA VI

I my, którzy sztukę godzenia się na wszystko doprowadziliśmy do szczytu, musimy się także z tym pogodzić.

CHÓRZYSTA I

Okolicznością łagodzącą jest fakt, że sztuka pochodzi z czasów zamierzchłych.

CHÓRZYSTA II

Wtedy technika przesłuchań stała na niskim poziomie.

CHÓRZYSTA III

Sokrates dopiero wynalazł dialektykę.

CHÓRZYSTA IV

Podręcznik dialektyki dla sędziów śledczych został opracowany znacznie później.

CHÓRZYSTA V

Dlatego oskarżony tak długo broił.

CHÓRZYSTA VI

A głowa jego, wyrzucona na wysoki brzeg naszych czasów, ma zamazane rysy.

CHÓRZYSTA I

My nie zrobimy potomnym takiego kawału.

CHÓRZYSTA II

Wszyscy wysłani na tamtą stronę będą mieli do szyi przytwierdzony kamień z paragrafem, na który umarli.

CHÓRZYSTA III

Wszystkie inne materiały zostaną zniszczone, aby nie stanowiły pokusy dla psychologów.

CHÓRZYSTA IV

Paru niewinnych i nieomylnych zabalsamujemy. Dzieła ich też zabalsamujemy i będziemy pokazywać motłochowi. Całkiem bezpłatnie.

CHÓRZYSTA V

W ten sposób ludzkość wyzwolona będzie od dramatów i od sztuki, która rodzi się z wątpienia.

CHÓRZYSTA VI

I zostanie tylko historia dowiedziona sposobem geometrycznym.

(odgłos przypominający świst bata)

CHÓR

Zaczynamy.

AKT I

Scena 1

Więzienie kamienne. Mrok. Na pryczy człowiek okryty płaszczem. Schody po lewej stronie. Małe okno. Wchodzi wysłannik Rady i strażnik.

WYSŁANNIK

Śpi?

STRAŻNIK

Śpi. Wciąż śpi. Śpi w południe i w nocy.

WYSŁANNIK

Chory?

STRAŻNIK

Nie. Mówi, że przyzwyczaja się do śmierci. Oryginał.

WYSŁANNIK

Zbudź go.

STRAŻNIK

Prosił mnie wczoraj, aby dać mu spokój. Przychodzą tu wciąż ludzie i męczą go. Ty jesteś jego uczniem?

WYSŁANNIK

Nie. Urzędowa sprawa.

STRAŻNIK

A, to co innego. *(potrząsa ramieniem śpiącego i woła)* Człowieku! Z mrocznej krainy marzeń wróć na ziemię jałową i kamienną! Przyzywam cię! *(leżący budzi się, spuszcza nogi z pryczy, przykłada ręce do oczu. Strażnik śmieje się)*

WYSŁANNIK

Ja do ciebie, Sokratesie.

SOKRATES

Aaa.

WYSŁANNIK

Przerwałem ci sen?

SOKRATES

Tak.

WYSŁANNIK

Co ci się śniło?

SOKRATES

Nicość — żywioł łagodny i kołyszący.

WYSŁANNIK

Rozumiem, coś jak morze. Poznajesz mnie?

SOKRATES

Nie.

WYSŁANNIK

Jestem wysłannikiem Rady. Przychodzę tu z misją. *(do strażnika gest, aby zostawił ich samych)*

Scena 2

WYSŁANNIK

Pojutrze, jak ci wiadomo, przypływa statek z Delos. To znaczy pojutrze wypijesz truciznę. Sam chyba rozumiesz, że wygrzebaliśmy ten stary przepis religijny po to tylko, aby ułatwić ci ucieczkę.

SOKRATES

Tak.

WYSŁANNIK

Więc Rada jest zaniepokojona twoją opieszałością. Co ty właściwie sobie wyobrażasz?

SOKRATES

Po prostu jestem zadowolony z lokalu. Przedtem chodziłem po ulicy i moje wykłady miały charakter przypadkowy. Był to właściwie zbiór mniej lub więcej dowcipnych aforyzmów. Teraz mam szkołę jak szanujący się sofista. Dzięki wam stworzę rzecz godną podziwu — system.

WYSŁANNIK

Nie żartuj. Po mieście krąży plotka o twoim ostatnim wykładzie na temat prawa. Mówią, że był świetny, chociaż bardzo reakcyjny.

SOKRATES

No, no.

WYSŁANNIK

Postawiłeś tam tezę, że praw trzeba słuchać.

SOKRATES

Tak.

WYSŁANNIK

Nawet gdy są dla nas okrutne.

SOKRATES

Nawet wtedy.

WYSŁANNIK

Ja, Sokratesie, jestem zwykłym urzędnikiem i chciałbym to dobrze zrozumieć. Bo rzecz wydaje mi się ważna.

SOKRATES

I tak jest bez wątpienia.

WYSŁANNIK

Tylko ty mi nie przeszkadzaj, jak będę mówił. Odpowiadaj tak lub nie. Kupcy feniccy podają, że w głębi Afryki żyją plemiona, które składają ofiary z ludzi. Takie jest ich prawo. Prawo lakedemońskie nakazuje uśmiercać słabe dzieci. Cóż ty na to, Sokratesie?

SOKRATES

(milczy)

WYSŁANNIK

Gdyby u nas zjawił się tyran i wydał ustawę, że wszystkim dorosłym Ateńczykom należy obciąć prawą dłoń — co byś powiedział o Ateńczykach, którzy poddaliby się temu prawu? Zapewne, że spadli do rzędu niewolników.

SOKRATES

(milczy)

WYSŁANNIK

Oczywiście możesz powiedzieć, że za naszym prawem stoi mądrość ludu, a za tamtymi szaleństwo tyranów. Ale chyba w gruncie rzeczy to wszystko jedno, kto jest autorem, jeden głupiec czy pięciuset. Chodzi o to, czy się wszyscy na to godzą. Czy nie jest tak, jak mówię?

SOKRATES

(milczy)

WYSŁANNIK

A to, czy się godzą, po czym się poznaje? Czy po minach zadowolonych, czy po procesjach chłopców z pochodniami? Sam wiesz dobrze, że to zawsze można zrobić. Więc po czym? Po tym, że wszyscy słuchają praw, choćby się wewnętrznie buntowali. Tak więc, Sokratesie, twoja obrona praw jest w gruncie rzeczy obroną władzy. I to władzy absolutnej. Jesteś totalistą.

SOKRATES

Mów dalej.

WYSŁANNIK

Od kilku lat żaden wyrok w Atenach nie był wykonany. Skazani wychodzą z więzienia w biały dzień, idą do Pireusu, wsiadają na okręt, a potem piszą z Krety lub Miletu obelżywe listy. Czasem przysyłają parę oboli „za niezapomniany pobyt w uroczym hotelu u stóp Akropolu". My wiemy, co cię najbardziej boli. Nie brak kultury filozoficznej ateńskich szewców i rzeźników, ale — miękkość Hellady. Młodzież powtarza twój aforyzm: „Nic tak nie wzmacnia duszy i ciała, jak ranne wstawanie i alternatywa".

SOKRATES

Czy to wszystko, co masz do powiedzenia?

WYSŁANNIK

Nie, jeszcze wniosek. Nie udało się uleczyć logiką, chcesz nas ratować zbrodnią. Chcesz, abyśmy poczuli twoją krew. Chcesz nowej siły, a choćby tyranii i okrucieństwa. Bo dopiero po tym, jak sądzisz, może przyjść nowa wolność i Perykles, i symetria, dobra architektura i poezja. A także całe dostojeństwo życia, dostępne teraz tylko w teatrze. W gruncie rzeczy jesteś politykiem z tendencjami do zamachu stanu. Dlaczego nic nie mówisz?

SOKRATES

Myślę o czymś z żalem.

WYSŁANNIK

O czym?

SOKRATES

Że mam niewiele czasu i że wyzwoliłem potwora.

WYSŁANNIK

Spróbuj go znowu usidlić.

SOKRATES

Za późno.

WYSŁANNIK

Nigdy nie jest za późno. Żyjesz jeszcze. Jutro znów tu będę. Wolałbym zastać pustą celę.

Scena 3

STRAŻNIK

Nie podobał mi się ten twój nowy znajomy. Uczeń?

SOKRATES

Nie. Urzędnik.

STRAŻNIK

To znaczy też goły. Czas, Sokratesie, przyjmować ludzi bogatych. Nie masz jakiegoś znajomego bankiera?

SOKRATES

Nie.

STRAŻNIK

Szkoda. Bo widzisz, w pierwszych dniach taksa za zwolnienie jest bardzo niska. Potem dochodzą koszta utrzymania. Ja tam o sobie nie mówię. U mnie cena stała: pięć oboli. Przestępstwo też nie gra roli. Wszystko mi jedno, czy „zakłócenie porządku w stanie nietrzeźwym", czy „matkobójstwo". Ale naprzód musisz z tymi na górze załatwić. A ci na górze mówią, że trzeba stosować progresję. Bo inaczej doszlibyśmy do zupełnej anarchii.

SOKRATES

Wszędzie ta hierarchia wartości.

STRAŻNIK

Niby tak. A ciebie to, muszę powiedzieć, żal mi.

SOKRATES

Dlaczego?

STRAŻNIK

Że przyjaciół nie masz. Tylu się koło ciebie kręci, a żaden nie wyłoży.

SOKRATES

Może by nawet który wyłożył. Tylko, widzisz, stary jestem. Ryzyko.

STRAŻNIK

Takich rzeczy to ty mi nie mów. Jakbyś miał kogo bliskiego, to by za ciebie wyłożył. I mógłbyś uciec. A tak to co — zginiesz. Do sprzedania nie masz co?

SOKRATES

Nic.

STRAŻNIK

Tak. Widziałem twoją żonę i synów — biednie wyglądają. Ty też nienajlepiej. Żeby ci przynajmniej pojutrze jakiś lepszy płaszcz przynieśli. Ja bym ci pożyczył, ale się boję, że mi z nim uciekniesz na drugi brzeg. *(śmieje się)* Ja to nawet ciebie lubię. Ale ludzie ciebie nie lubią. Mówią, że jesteś zarozumiały i że bogów nie uznajesz.

SOKRATES

Kto tak mówi?

STRAŻNIK

Ludzie.

SOKRATES

A ty co mówisz?

STRAŻNIK

Ja ciebie mało znam. Ale myślę, że ludzi trzeba szanować nawet wtedy, gdy wierzą w bogów. Religia to piękna rzecz. Łatwo kochać żonę, która śpi przy tobie, ale Afrodytę...

SOKRATES

A ty wierzysz w bogów?

STRAŻNIK

Wierzę, jak grzmi. Ale nawet kiedy jest pogoda, modlę się.

SOKRATES

Do kogo?

STRAŻNIK

Do nieba. Wznosi się serce do góry i zaraz na piersi spływa ciepło *(na schodach ukazuje się Platon).*

PLATON

Już jesteśmy, mistrzu. Czy można ich zawołać?

SOKRATES

Wchodźcie. *(do strażnika)* Przerwali nam. Nawet nie wyobrażasz sobie, jak mnie te lekcje nudzą. Z tobą to co innego. Od razu do zagadnień najważniejszych.

STRAŻNIK

Słuchaj, Sokratesie. Pomów z nimi. Może któryś z nich za ciebie wyłoży. Mówią, że Platon ma dużo pieniędzy.

SOKRATES

Dobrze, dobrze. Idź już.

Scena 4

(Wchodzą uczniowie)

UCZNIOWIE

Witaj, mistrzu!

SOKRATES

Dzień dobry. Może Ksenofont powie, o czym mówiliśmy ostatnio.

KSENOFONT

Ostatnio rozważaliśmy prawdziwość równania: rozum = dobro = szczęście. Podaliśmy definicję tych pojęć. Szereg przykładów z życia. Potem była dyskusja.

SOKRATES

Kto zabierał głos?

KSANTIASZ

Ja.

SOKRATES

Słuchamy, Ksantiaszu.

KSANTIASZ

U nas w Tebach żył bardzo mądry człowiek imieniem Sofron. Kiedy umarła mu córka — powiesił się.

FAJDROS

Tak było. I nikt nie mówił „Sofron przed śmiercią zgłupiał", tylko: „To była jego jedyna córka".

PLATON

Ja cię pytałem, Sokratesie, dlaczego Edyp, który niewątpliwie był mądry i dobry, nie był szczęśliwy. Mądrość jest jednym z warunków szczęścia, ale jest jeszcze przeznaczenie.

FEDON

Kiedy budzę się w nocy i uświadamiam sobie nagle, że jestem, odczuwam ból. Wtedy powtarzam twój katechizm. „Kim jesteś? Człowiekiem. Kim jest człowiek? Zwierzę śmiejące się i rozumne. Co trzeba człowiekowi? Wiedzieć. A szczęście? Szczęście jest dzieckiem wiedzy." Wtedy zamiast lęku czuję w sobie pustkę. Dotykam twarzy. Znów wraca lęk.

SOKRATES

Sądziłem, że dorośliście do abstrakcji, tymczasem wy naprawdę rozumiecie tylko obrazy. No cóż, za mało czasu na nauczanie mądrości, więc może parę uwag z zakresu higieny. Laches! Ty zdaje się nie jesteś niedoszłym poetą.

LACHES

Nie, Sokratesie. Uczyłem się rzeźby.

SOKRATES

Masz zatem kwalifikacje na filozofa. Wyobraź sobie, Lachesie, że masz w piaskowcu wyrzeźbić głowę Apollina. Co ci do tego potrzeba?

LACHES

Narzędzi i bloku.

SOKRATES

Czy możesz sobie wyobrazić blok piaskowca?

LACHES

Zanim to powiedziałeś, wyobraziłem sobie.

SOKRATES

Widzisz, doskonale się rozumiemy. Będzie to zatem biały sześcian. Załóżmy, że będzie to sześcian o gładkich ścianach, a stosunek szerokości do długości będzie budził w nas uczucie zadowolenia. Teraz uderzasz dłutem...

LACHES

Zanim uderzę, myślę, że kamień ginie i nie wiadomo, czy to, co się z niego wyłoni, będzie doskonalsze od prostego sześcianu o pięknych proporcjach.

SOKRATES

Tak, ale teraz już wiesz, że wszystkie rzeczy tego świata rodzą się z prostych kształtów i do nich kiedyś powrócą. Spójrz chłodno na linie zamykające przedmioty: widzisz stożki, kule, sześciany. Są bez barwy. Leżą w przestrzeni, jakby je ułożyła ręka szukająca ładu. Spośród wszystkich zmysłów najmądrzejsze są oczy. Oczy chronią duszę od zamętu. Uleczy was spokój, jaki zsyła linia gałęzi położona na tło zimowego nieba. Ty, Fedonie, jeśli budzisz się w nocy, zapalaj światło. Nie leż w ciemności, bo wtedy zatopią ciebie mętne muzyki. Zapalaj światło i obserwuj przedmioty swego pokoju. Wszystko jedno co: może to być sandał albo krawędź stołu. Nauczcie mi się skorupy świata, zanim wyruszycie szukać jego serca. Koniec na dzisiaj. Odejdźcie.

(Wychodzą. Ściemnia się)

Scena 5

SOKRATES

(mówi do nadchodzących cieni)

Kiedy po ostatnim pytaniu
następuje milczenie
kiedy biały kamyk spokoju
poczyna kruszyć się w palcach
słyszę —
przez ciszę puszystą jak sierść
widzę —
przez czarne i białe pasmo
falującego powietrza

dwa flety
dwa rogi
wynurzone nad krawędź
rzeczywistości.

Przychodzisz Dionizosie
po stokroć zabijany
i po stokroć wstający z martwych
który trzepotałeś jak ryba
w sieci sylogizmów
któremu ranę śmiertelną
zadał mój mechaniczny
potwór dialektyki
którego wlokłem za włosy
przez ulice Aten
przychodzisz i mówisz:
„Ja i moi centaurowie
odmówimy nad twoimi zwłokami — czcigodny
Sokratesie
solenną litanię
śmiechu".

I dalej:
„Natrudziłeś się mizeroto
chciałeś wyzwolić człowieka
od niepokoju od męki wcieleń
dlatego złapałeś dwa najdalsze wyrazy
i zszyłeś śmieszną formułę
rozum równa się szczęściu.
Czy słyszysz rechot
czy widzisz jak trzęsie się
przenajświętszy brzuch
matki Natury?"

A oto moja odpowiedź:
Zaprawdę to przykra rzecz
być bogoburcą i walczyć z diabłem
i w końcu być pokonanym przez diabła
bo wedle wszelkiego prawdopodobieństwa
zwycięstwo należy się tobie
Dionizosie.
Być może rozum — jak twierdzisz —
jest instynktem śmierci
echem nicości.

Zapędziłeś mnie do tej pieczary
i otoczyłeś tłumem postaci
noszących moje imię
to jest ostatnia twoja pokusa

o Kusicielu.
Przychodzą i pytają
kto jest prawdziwy Sokrates?
Chcesz abym doznał zawrotu głowy
na widok moich podobizn
i abym ratując się od szaleństwa
ukląkł przed boską lekkomyślnością
i świętą grą pozorów.
Masz dwie noce Dionizosie
abyś mnie uwodził
ja mam dwa dni
abym się uczył trwania
i może w końcu
zrywając maskę po masce
odczytam martwiejącymi palcami
własną twarz.

Kurtyna

Pierwsze intermedium chóru

Scena jak w prologu. Trzech chórzystów siedzi na ziemi i gra w kości. Rozmawiają trzej stojący nad tymi, którzy grają.

CHÓRZYSTA I

Co słychać w mieście?

CHÓRZYSTA II

Nic.

CHÓRZYSTA III

Cebula podrożała.

(Cisza, stuk kości)

CHÓRZYSTA I

Mówią, że będzie wojna.

CHÓRZYSTA II

Kto mówi?

CHÓRZYSTA I

Bankierzy.

CHÓRZYSTA III

Et, oni zawsze.

CHÓRZYSTA I

Ale Spartanie urządzają raz po raz manewry na granicy, będzie wojna najdalej w jesieni.

CHÓRZYSTA III

Będzie albo nie będzie.

(Cisza, stuk kości)

CHÓRZYSTA I

W porcie zastój.

CHÓRZYSTA II

Mieli przyjechać Fenicjanie po ceramikę i tkaniny.

CHÓRZYSTA III

Nie przyjechali. Jedno jest pewne. Pojutrze statek z Delos przyjedzie.

CHÓRZYSTA I

A propos, co z Sokratesem?

CHÓRZYSTA II

Siedzi. Wszyscy namawiają go do ucieczki. Ale on się uparł. Demon mu odradza.

CHÓRZYSTA III

Dziwak.

(Cisza, stuk kości)

CHÓRZYSTA I

Ja wam powiem, dlaczego Sokrates nie ucieka.

CHÓRZYSTA III

No?

CHÓRZYSTA I

On nie znosi morza. Na sam widok wymiotuje.

CHÓRZYSTA II

Jeszcze jeden dowód, że nie jest Grekiem. Nie lubi morza, nie lubi chłopców. Wina też nie lubi.

CHÓRZYSTA III

Odmieniec. Mówią, że jego pradziad po stronie matki był niewolnikiem trackim.

CHÓRZYSTA I

Bardzo możliwe.

(Cisza, stuk kości, jeden zgarnia bank)

CHÓRZYSTA I

Kto wygrał?

CHÓRZYSTA IV

Ja.

CHÓRZYSTA I

Gracie dalej?

CHÓRZYSTA IV

Gramy do końca. A potem jeszcze raz.

AKT II

Scena 1

Następny dzień rano. Ta sama sceneria, co w akcie I.

WYSŁANNIK

Śpi?

STRAŻNIK

Śpi. Wciąż śpi. Dziś w nocy krzyczał przez sen.

WYSŁANNIK

Co krzyczał?

STRAŻNIK

Nie wiem. Wołał kogoś a potem go odpędzał.

WYSŁANNIK

Imienia nie słyszałeś?

STRAŻNIK

Nie.

WYSŁANNIK

Słuchaj, czy wy się tu dobrze z nim obchodzicie?

STRAŻNIK

Pewnie, że dobrze. Cóż ty myślisz! On tak sam z siebie krzyczał.

WYSŁANNIK

A jak tu z wiktem?

STRAŻNIK

Nienajlepiej. Mówi, że jest głodny. Czasem nawet wypija oliwę z kaganków.

WYSŁANNIK

Zbudź go.

STRAŻNIK

Sokratesie! Ten pan z Rady. Wstawaj. Już dość tego spania.

(Sokrates budzi się. Spuszcza nogi. Przeciera twarz.)

WYSŁANNIK

Dzień dobry, Sokratesie.

SOKRATES

Dzień dobry. Czy nie rozumiesz, że nie można budować dramatu na takiej monotonii?

WYSŁANNIK

Przychodzę po raz ostatni.

SOKRATES

A więc zaczynaj.

WYSŁANNIK

Zaczynam. Długą chwilę stałem nad tobą, gdy spałeś. Twoja twarz we śnie zwierza się. Wklęsłe skronie, zapadnięte usta i głębokie bruzdy przez środek policzka mówią jedno: jesteś u kresu sił. Śpisz dużo, ale sen nie przynosi ci odpoczynku. Budzisz się pełny niesmaku i zamętu. Czujesz, jak ciało twoje ucieka od ciebie. Ręce i nogi cierpną, serce nie nadąża za oddechem. Zostaje tylko imię, które łączy luźne części. I tęsknisz do chwili, gdy obce ręce zanurzą imię w kamieniu. Jesteś, Sokratesie, śmiertelnie zmęczony i marzysz o odpoczynku głębszym niż sen.
Jeśli to nie jest prawda, zaprzecz.

SOKRATES

(milczy)

WYSŁANNIK

To jest normalne. Ale nienormalna jest w tobie pokusa teatralności. Wiemy dobrze, jak drobiazgowo opracowałeś z uczniami wszystkie twoje „przypadkowe" spotkania na ulicy, w lesie czy na rynku. Cudzoziemcom to się po-

dobało, ale my patrzyliśmy na to jak na ograną farsę. Więc czując teraz, że zbliża się śmierć, sięgnąłeś po maskę tragiczną. Sokrates, który przeziębił się wracając z uczty i umarł na zapalenie płuc, czy Sokrates, ginący w więzieniu, skazany przez lud, który nie potrafił udźwignąć jego mądrości. Nie ma wątpliwości, co wybrać. A więc wybrałeś to, co łatwiejsze. Prawda?

SOKRATES

(milczy)

WYSŁANNIK

A z tą twoją szkołą. Za rok, dwa rozpadłaby się ostatecznie. Młodzi chłopcy, którzy przychodzą do ciebie z daleka, nie chcą uczyć się w nieskończoność logiki. Chcą wiedzieć, ilu jest bogów, na czym opiera się ziemia i co dzieje się z człowiekiem po śmierci. Z tych trzech pytań tylko na jedno będziesz znał odpowiedź i to dopiero jutro. Tak więc uciekasz w śmierć przed samotnością i opuszczeniem. To jest twój czyn bohaterski. Wiesz, co robi wódz po klęsce?

SOKRATES

Wiem.

WYSŁANNIK

No więc. Na górze wszystko załatwione. Możesz wybrać sposób, jaki ci się podoba. Jeśli chcesz, przyślemy ci felczera, który bezboleśnie otwiera żyły.

SOKRATES

Dziękuję. W tym wszystkim, co mówisz, widzę wielkie udręczenie.

WYSŁANNIK

Dręczy mnie sposób, w jaki uwikłałeś nas w swoją śmierć. Myśmy naprawdę ciebie nie chcieli skazać. Teraz nie możemy się wycofywać. Apelujemy przeto do twojej lojalności. Do jutra musisz zniknąć. Jeśli ucieczka z ciałem wyda ci się zbyt ciężka — zostaw je tutaj.

(Wychodzi)

Scena 2

STRAŻNIK

No?

SOKRATES

Nic.

STRAŻNIK

Źle z tobą.

SOKRATES

Tak sądzisz?

STRAŻNIK

Na górze wszystko przygotowane. Mówią, że jakbyś chciał dzisiaj, to możesz dzisiaj. Wszystko gotowe.

SOKRATES

Wiesz, mój drogi, Sokratesa też trzeba przygotować.

STRAŻNIK

E, tobie to wszystko jedno — twardy jesteś. Mówili, żebym cię namawiał. Jutro napcha się tu pełno ludzi, przyjdą kobiety, będzie krzyk. A dzisiaj można spokojnie, po cichutku.

SOKRATES

Wczoraj namawiałeś mnie do ucieczki i dziś znów namawiasz mnie do ucieczki.

STRAŻNIK

Nie, dzisiaj już nie. Teraz już wszystko przygotowane.

SOKRATES

Myślę, że jeszcze nie wszystko. O, choćby — uczniowie. Zaczepiłem płaszcz o krzak i teraz boję się ruszyć — żal mi płaszcza.

STRAŻNIK

Widzę, że przygadujesz się o ten płaszcz. No dobrze, dobrze. Jeśli jutro nie przyniosą ci z domu — pożyczę tobie. Nie możesz pić trucizny w takim łachu. *(Wychodzi)*

Scena 3

(Platon ukazuje się na górze schodów)

PLATON

Witaj, mistrzu.

SOKRATES

Jak się masz.

PLATON

Wracamy z próby chóru. Będziemy śpiewali na twoim pogrzebie fragment Eurypidesa:

O zacny ojców płodzie ty,
O płodzie zacnych matek.

Jutro wszystko tak, juk ustaliliśmy?

SOKRATES

Tak.

PLATON

Przyjdziemy tu przed zachodem słońca.
Ostatnie promienie
padają na głowę mędrca
uczniowie
z płaszczami zarzuconymi na głowę
stopień po stopniu
wchodzą
w noc.

SOKRATES

Napisałeś elegię?

PLATON

Ty nie rozumiesz tego. Czego się dotknę, muszę nazywać.

SOKRATES

Ucz się geometrii, Platonie.

PLATON

Może do tego w końcu dojdzie. Pośród słów nie jestem szczęśliwy.

SOKRATES

Wiem o tym.

PLATON

Widzę świat jak w rozbitym lustrze — załamany i postrzępiony. Nie ma związku między przedmiotem a jego wyglądem, między nazwą a myślą. Pragnąłbym poznać choćby najdrobniejszą rzecz dokładnie z wszystkich stron, od środka, od tego, co czuje i czym jest w oczach gwiazdy. Gdybym to wiedział o najnędzniejszym kamieniu — zbudowałbym wiedzę o sprawach ludzkich i boskich.

SOKRATES

Cierpisz od pozorów.

PLATON

Tak. Świat składa się z pozorów. Wszędzie cienie, tylko cienie. Ale gdzie jest rzecz, która rzuca cień?

SOKRATES

Mówiłem o tym, Platonie.

PLATON

Ty wciąż mówiłeś o człowieku, jaki ma być, co to jest dzielność, co to jest dobro. To nie jest najważniejsze. Najważniejszy jest świat. Tajemnice skał,

powietrza, światła i wody. Na człowieka też trzeba patrzeć jak na rzecz. To pozwala łatwiej znosić miłość i śmierć.

SOKRATES

Osobliwy przypadek. Dwa potwory walczą o ciebie: potwór poezji i potwór rzeczywistości.

PLATON

Powiem ci coś jeszcze. Niedawno umarł mój przyjaciel. Na wieść o jego śmierci poczułem natchnienie. Napisałem poemat. Potem dopiero ogarnął mnie prawdziwy żal. Zacząłem cierpieć.

SOKRATES

Pisz, Platonie, wiersze. Trzeba świat pokrzepiać fałszywymi łzami.

PLATON

To wszystko, co mi zostawiasz?

SOKRATES

Wszystko.

PLATON

Trochę kpin.

SOKRATES

Coś więcej, Platonie. Trochę ironii.

Scena 4

(Wchodzą uczniowie)

UCZNIOWIE

Witaj, mistrzu!

SOKRATES

Witajcie. O czym była mowa na ostatnim wykładzie?

UCZEŃ I

Jak zwykle, że rozum równa się szczęściu. I dygresje o sposobach patrzenia. O tym, aby dostrzegać ostre krawędzie rzeczy.

SOKRATES

Musicie wybaczyć. Dzisiejszy wykład będzie trochę niesystematyczny. Jestem bowiem pod wrażeniem snu. Śniło mi się, że usnąłem na dnie kamiennego wąwozu. Była noc. Cisza. Nagle usłyszałem zbliżający się tętent. Rósł. Ktoś

pędził, aby mnie stratować. Naraz wszystko ucichło, jakby się oddaliło. Cisza. I znów ten ohydny, zbliżający się hałas.

UCZEŃ II

To Dionizos nawiedza cię w nocy, Sokratesie.

UCZEŃ III

On lubi przychodzić nocą.

UCZEŃ IV

U nas we wsi opętał trzy dziewczęta. Poszły w góry. Teraz żyją z dzikimi kozłami.

SOKRATES

Nie ma Dionizosa. Dwa wieki temu dopadli go na skalnym pustkowiu i obdarli ze skóry. Składacie ofiary gnijącemu bogu. To, o czym mówię, to sprawa krwi. Jest w nas krew jasna i ciemna. Jasna obmywa nasze ciało i krzepi je. Określa kształt człowieka. Gromadzi się pod czaszką. Ciemna bije głęboko w piersi. Jest to źródło mętnych obrazów wróżbiarzy i poetów. Jeśli usłyszycie w sobie tętent, jest to głos ciemnego źródła. Kiedy dotrze do serca, nie ma ucieczki przed lękiem.

UCZEŃ I

Mnie się zdaje, Sokratesie, że nie tylko w nas bije ciemne źródło. Jest ono w środku wszystkich rzeczy: w drgającym powietrzu nocy, na dnie świetlistych wód a nawet w żółtej pięści słońca. Dla ciebie świat jest wykuty z kamienia. Ale wiedz, serce kamieni drży czasem jak serce małych zwierząt.

UCZEŃ II

Lęk łączy się z lękiem, wszystko, co żyje i przemija, pociesza się w lęku. My, cząstki rozgrzanego powietrza, my, kwiaty, my, ludzie, jednoczymy się przeciw nieodwracalnej katastrofie.

SOKRATES

Jeśli nawet jest tak, jak mówicie, naszą rzeczą jest przebić się ku temu, co ponad chaosem źródeł trwa jak gwiazda.

UCZEŃ II

Ale czy wolno zdradzić ziemię?

SOKRATES

Nie ma ciebie i cienia drzew i ptaków, ziemi i nieba. Jest tylko nieruchoma jedność.

UCZEŃ II

Tylko cyfra.

SOKRATES

Bez początku, bez końca, nieruchoma, niepodzielna.

UCZEŃ II

Ciało i dusza schodzą w głąb. W ciemnym wnętrzu ziemi usychają i rodzą się nowe istoty. Tysiące nowych stworów niepodobnych do niczego, co było przedtem, różnych od tego, co będzie potem.

SOKRATES

Cóż. Nie przekonam was. Zbyt młodzi jesteście. Ogłuszeni kłótnią życia i śmierci. Ale kiedyś porzucicie dom pełen hałasów. I zacznie się wasza podróż w górę. Ku nieruchomej, białej, niepodzielnej liczbie. Późno już, wracajcie do domu.

Scena 6

SOKRATES

(sam)

I. Naprzód do Ciebie. Prośba, abyś mnie nie opuścił. Abym do końca czuł twoją chłodną rękę na czole. I nieruchome oczy w moich oczach. I blask.
II. Daj jeszcze trochę sił. Wiesz, jak kocham kształt i określoność. Zawsze byłem przywiązany do ciała i jego tylko pewny. Więc kiedy zaczną mi odbierać wszystko od władzy w nogach do ostatniej myśli — spraw, abym nie krzyczał.
III. Nie wiem, czy zechcesz coś ocalić. Mówią, że spośród rozrzuconych kości wyjmujesz płomyk, który krąży po mokrych łąkach świata. Nie chcę takiej nieśmiertelności. Jeśli mam istnieć dalej pod jakąkolwiek postacią, spraw, abym był istotą kochającą definicję.
IV. Dziękuję Ci za życie, które upłynęło tak, że nigdy nie zaparłem się trzeźwości. Nie wstydziłem się także zawrotów głowy, jakie zsyła pełna świadomość.
V. Nie głosiłem Twego imienia. Nie składałem Tobie ofiar. Nie zachęcałem uczniów do kultu, wiedząc, że jest Ci to doskonale obojętne. Chwaliłem Cię w koniunkcji i dysjunkcji, a także w małej świątyni zbudowanej z sylogizmów.
VI. Więc na koniec zwracam się do Ciebie z prośbą, abyś mnie nie opuścił. Abym do końca czuł Twoją chłodną rękę na czole. I nieruchome oczy w moich oczach. I światłość.

(Podchodzi do okna)

Sokrates pozdrawia drzewo za oknem. Teraz wiemy oboje, że wszystko, co ma się zdarzyć, przychodzi do nas. Losu nie należy szukać — mówiłeś. Trzeba dojrzewać, rosnąć w górę, rzucać nasiona i cień — czekać. Aż, kiedy przyjdzie to, co ma przyjść — przyjąć. Cokolwiek to będzie: wiatr wiosenny czy topór. Mam głowę pełną siwych włosów i ładu. Ty masz głowę pełną zielonego szumu. A jednak od ciebie nauczyłem się mądrości trwania. Korzeniom twoim kłania się Sokrates.

Kurtyna

Drugie intermedium chóru, jak poprzednio

CHÓRZYSTA I

Co słychać?

CHÓRZYSTA II

Nic.

CHÓRZYSTA III

Mówią, że się zacznie.

CHÓRZYSTA I

Co?

CHÓRZYSTA III

Tego nie mówią.

CHÓRZYSTA II

Bzdury.

(cisza, stuk kości)

CHÓRZYSTA I

W mieście słyszałem, że w Sparcie zanosi się na rewolucję.

CHÓRZYSTA II

Jak sobie krwi upuszczą, może nie będzie wojny.

CHÓRZYSTA III

Wojny zawsze będą.

CHÓRZYSTA I

Dopóki lud nie ujmie władzy w swoje ręce.

CHÓRZYSTA III

Wtedy będzie się zabijało wrogów ludu. Zwolennicy króla będą ćwiartowali zwolenników demokracji.

CHÓRZYSTA II

Tak, tak. Wiecznie to samo. Ci sami spryciarze na górze. Ci sami oszukiwani na dole. Te same mowy, pomniki, więzienia.

CHÓRZYSTA III

Jedno wielkie świństwo.

(cisza, stuk kości)

CHÓRZYSTA I

A propos. Co z Sokratesem?

CHÓRZYSTA II

Siedzi. Jutro egzekucja.

CHÓRZYSTA III

Wszystko to jest dość zagadkowe.

CHÓRZYSTA II

A ja w tym widzę polityczną robotę. Dostał od kogoś złoto, aby skompromitować nasz wymiar sprawiedliwości.

CHÓRZYSTA I

Dla mnie sprawa jest prostsza. Sokrates jest dla Ateńczyków człowiekiem niepokojącym, nikt właściwie nie wie, co w nim siedzi. Chcą go roztłuc i zobaczyć, co tam w środku.

(cisza, stuk kości. Jeden zgarnia)

CHÓRZYSTA I

Kto wygrał?

CHÓRZYSTA IV

Ja.

CHÓRZYSTA I

Gracie dalej?

CHÓRZYSTA IV

Gramy do końca. A potem jeszcze raz.

Kurtyna

AKT III

Scena 1

STRAŻNIK

Jak się masz, Sokratesie?

SOKRATES

Dzień dobry.

STRAŻNIK

Dla mnie dobry, ale ty, nieboraku, nie będziesz dzisiaj oglądał gwiazd. Nie chciałbym być w twojej skórze.

SOKRATES

To nie jest takie straszne, tylko te ostatnie godziny się dłużą.

STRAŻNIK

Widzisz, trzeba było wczoraj, tak jak radziłem.

SOKRATES

Słuchaj, widziałeś tu jakieś egzekucje?

STRAŻNIK

Parę widziałem.

SOKRATES

Czy wiesz, co się wtedy czuje?

STRAŻNIK

Przy cykucie to jest tak: naprzód szpilki po całym ciele. Potem drętwienie nóg, jakbyś spił się ciężkim winem. Głowa najdłużej działa. Można także mówić. Wreszcie przychodzi czkawka i dreszcze. No i koniec. Co potem, to już ty sam powinieneś wiedzieć.

SOKRATES

Ba!

STRAŻNIK

Żeby trucizna szybciej działała, trzeba po wypiciu chodzić.

SOKRATES

O widzisz! To jest cenna rada. Prawdziwie przyjacielska rada.

STRAŻNIK

Na młodych działa szybciej niż na starych. Wszystko zależy od tego, jak krew chodzi. Więc trzeba się rozruszać. Masz dzisiaj prawo do dłuższej przechadzki po podwórzu.

SOKRATES

Chętnie z tego skorzystam.

STRAŻNIK

No to chodźmy!

Scena 2

Po chwili wchodzi Ksantypa, Siada na pryczy. W jakiś czas potem Platon.

PLATON

Witaj!

KSANTYPA

Witaj!

PLATON

Czekasz na niego?

KSANTYPA

Czekam. Myślałam, że to już po wszystkim.

PLATON

Czekamy na statek.

KSANTYPA

Czy na pewno dzisiaj przyjedzie?

PLATON

Tak, powinien już być.

KSANTYPA

Powinien już być. Jestem niespokojna. Wczoraj oparł głowę na moich piersiach i plecy zaczęły mu dziwnie drżeć.

PLATON

Boisz się o niego?

KSANTYPA

Nie, boję się o siebie. Jestem stara. Nie ma we mnie już miejsca na uczucie. Chcę, aby odszedł ode mnie taki, jakim był — nieznany.

PLATON

Zastanawiam się, co was połączyło!

KSANTYPA

Spotkałam go na ulicy, potem zaczął chodzić za mną jak cień. Czułam jego oczy we włosach, na twarzy, na skórze. Argus.

PLATON

Inni nazywają to miłością od pierwszego wejrzenia.

KSANTYPA

To był strach. W tym czasie Sokrates był młodym, tęgim chłopcem. Był lubiany — to znaczy przeciętny. Oczy, które na niego patrzyły, były to oczy przyjazne, niczego nie oczekujące.

PLATON

Chcesz powiedzieć, że w twoich oczach znalazł pytanie.

KSANTYPA

Nie, lęk. Bałam się go jak zwierzę. I myślę, że Sokrates na tej podstawie wywnioskował, że jest w nim nieznana siła, i zaczął szukać tej siły.

PLATON

Siłą Sokratesa jest jego mądrość.

KSANTYPA

Mylisz się. Siłą Sokratesa była jego tajemnica. Zobaczył ją w moich oczach. Człowiek sam jest ślepy. Musi mieć wokół siebie lustra albo inne oczy. Kocha — to znaczy przygląda się sobie.

PLATON

I ty odkryłaś jego tajemnicę?

KSANTYPA

Nie, Platonie. Tajemnic się nie odkrywa. To był błąd Sokratesa, który zabrał się do tego jak do rozwiązywania sandałów. Zresztą dla mnie najważniejsze było uwolnić się od strachu. Myślałam, że najlepszy sposób to będzie wyjść za niego za mąż.

PLATON

Wybacz, ale to nie jest bardzo logiczne.

KSANTYPA

Tak, to była pomyłka. Pamiętam tę pierwszą noc. Był ciężki jak kamień i milczał. Pierwsze słowo chciał usłyszeć ode mnie. Gdybym wtedy powiedziała „Sokratesie, będziesz królem" — zostałby królem.

PLATON

A ty powiedziałaś, że będzie filozofem.

KSANTYPA

Nie, ja milczałam. Czułam okrutny wstyd, więc zacisnęłam oczy i pięści. Powinien był zapytać, tak jak pytają wszyscy mężczyźni: „kochanie, czy jesteś szczęśliwa?" Skłamałabym, że tak, i odtąd byłabym szczęśliwa. Może nawet pokochałabym go.

PLATON

A tak zjawiła się nienawiść.

KSANTYPA

No widzisz — bardzo proste rzeczy można wyrozumować. Tak, to była nienawiść. Szła za nim jak ogromny cień. I znów Sokrates pomyślał, że jest wielki. Po raz drugi jego wielkość zamknęła się we mnie, w mojej nienawiści.

PLATON

Można by pomyśleć, że poza tobą nie było Sokratesa.

KSANTYPA

A jednak był. Kiedy spostrzegł, że nic ze mnie nie wydobędzie, przestał mnie zauważać. Gdy mówił do mnie, unikał mego imienia, bał się nawet

zaimków wskazujących. Stwierdzał: „matka powinna troszczyć się o wychowanie dzieci" lub „bałagan w kuchni dowodzi nieporządku w duszy". Nie mogąc mówić wprost, zaczął myśleć abstrakcyjnie.

PLATON

To już naprawdę za dużo. Przeceniasz, Ksantypo, swój wkład. Prawdziwy Sokrates, Sokrates, że tak powiem, publiczny jest dziełem swoich uczniów. Kiedy kilkanaście lat temu odkryli go, był jak śpiewak uliczny, niewątpliwy talent, ale bez żadnej kultury. Homera nie znał, dialektykę miał amatorską i żadnych zainteresowań metafizycznych — słowem prymityw. Obmyślono cały system dokształcania, podsuwając mu niby przypadkowych rozmówców, od szewca do sofisty. Ogromna praca.

KSANTYPA

Spieramy się o prawdziwego Sokratesa, jakbyśmy grali w kości o jego płaszcz. Możemy zgodzić się na tymczasową definicję: prawdziwy Sokrates to ten, który musi umrzeć.

PLATON

Tak, musi umrzeć ze względu na swoją szkołę filozoficzną. Zabłysnął na intelektualnym firmamencie Aten i musi zgasnąć, zanim zaczną analizować ten blask, zanim zapytają Sokratesa o system. Tylko my wiemy, że nie ma żadnego systemu. Aby tę tajemnicę zachować, trzeba poświęcić Sokratesa. Reszta należy do komentatorów.

KSANTYPA

Sokrates musi umrzeć, aby Ksantypa nie zakochała się w nim. Kiedy parę dni temu oparł głowę na moich piersiach, uczułam nieznany przypływ czułości. Był mały i bezradny. Jak myślisz, czy on się boi śmierci?

PLATON

Ach, skądże znowu. Od czasu, kiedy rozwiązał problem nieśmiertelności duszy.

KSANTYPA

Ja nie pytam, co Sokrates sądzi o duszy, tylko czy się boi śmierci.

PLATON

Będziesz go mogła o to sama zapytać.

KSANTYPA

Zakładam szczerość.

PLATON

Szczerość to ostatnia maska człowieka żywego. Następną nakłada śmierć.

KSANTYPA

A ona jak się nazywa?

PLATON

Spokój.

Scena 3

(Wchodzi Sokrates)

SOKRATES

Witajcie! Przyszliście pożegnać się?

KSANTYPA

Tak.

SOKRATES

No więc żegnaj, Ksantypo.

KSANTYPA

Żegnaj, Sokratesie. Nie mam do ciebie żalu.

SOKRATES

Dziękuję.

KSANTYPA

To wszystko, co nas różniło, wydaje się teraz nieważne. Czy nie trzeba ci czego jeszcze?

SOKRATES

Bardzo wielu rzeczy, Ksantypo. Ale o nie sam muszę się postarać.

KSANTYPA

Co mam powiedzieć synom?

SOKRATES

Że ojciec myślał o nich w ostatnim dniu i prosił bogów, aby wyrośli na uczciwych obywateli.
Jak myślisz Platonie, czy będą mieli do mnie pretensję, że umarłem w więzieniu?

PLATON

Nie ma obawy.

SOKRATES

Ja też tak myślę. Nie ma faktu, co do którego Ateńczycy byliby jednomyślni. Więc żegnaj, Ksantypo, dziękuję ci za wszystko.

(Ksantypa wychodzi)

SOKRATES

A teraz z tobą, Platonie. Czego ci życzyć?

PLATON

Ostatnią prośbę mamy do ciebie, Sokratesie.

SOKRATES

Jaką?

PLATON

Czy możemy być przy twojej śmierci?

SOKRATES

Czy to konieczne?

PLATON

Obiecywałeś.

SOKRATES

No tak, ale zostało mi jeszcze dużo do pogadania z samym sobą.

PLATON

Nie będziemy tobie teraz przeszkadzali. Przyjdziemy przed samą egzekucją. Będziesz jak bohater umierający na tle chóru.

SOKRATES

No dobrze, dobrze. Chociaż wolałbym, aby ten chór wystawił kto inny.

PLATON

A czy powiesz nam coś o nieśmiertelności duszy? Myślę, że to byłoby najstosowniejsze zakończenie.

SOKRATES

Idź już, Platonie. Nie przychodźcie wcześniej niż przed samą egzekucją. *(Sokrates cofa się w kąt. Teraz reflektor rzuca na niego ogromny cień pajęczyny, którym Sokrates spętany jest jak mucha)*

SOKRATES

Długo dziś ciebie wołałem, musiałeś być zajęty. Pewnie obserwowałeś. Przyznam się, że najbardziej lubię cię w tej roli. Dwa pilne koraliki oczu i to doskonałe opanowanie współczucia. Ludzie mówią, że także pewien rys sadyzmu. Nie wiem. Wiem tyle, że bystra obserwacja to połowa filozofii. Druga połowa to mocna sieć. Ważne jest, aby w pierwszej chwili była niezauważalna. Ofiara czuje się spętana przez powietrze. Wierzy, że walczy z żywiołem, i dlatego ulegnie. Potem dopiero widzi cienkie nici oplątujące jej ciało. Wtedy można zacząć udowadniać jej, że umrze, za pomocą rozumowania opartego na racjonalnych przesłankach. Ja to robiłem zupełnie inaczej. Założyłem, że moje ofiary są to zwierzęta rozumne, dlatego zacząłem od definicji sylogizmów, a dopiero potem, i to bardzo dyskretnie, ukazywałem im perspektywy metafizyki. Ty okazałeś się lepszym psychologiem: naprzód obezwładnić, rzucić w otchłań, a potem dać egzegezę lęku, cierpienia i tych tam innych rzeczy. No cóż, masz lepszą metodę. Wobec niesprawdzalności wyników znaczy to, że masz lepszą filozofię. Miałeś zresztą łatwiejsze zadanie. Twoje ofiary były na ogół słabsze od ciebie. Natomiast między mną a okazami, na które polowałem, nie było żadnej różnicy gatunkowej. Moja sieć musiała być mocna, musiała budzić zaufanie. Gdy się w końcu sam wplątałem, nie mogę im pokazać, że potrafię ją zerwać jak pajęczynę i przejść na drugą stronę wolności. To jest sprawa, pojmujesz, szacunku do własnej sieci. Zagadnienie moralne.

Scena 5

(Kriton zostaje wprowadzony przez strażnika)

KRITON

Wzywałeś mnie, Sokratesie.

SOKRATES

Ach, Kritonie! Proszę cię, siadaj. Bardzo mi jesteś potrzebny.

KRITON

Pewnie coś w rodzaju testamentu.

SOKRATES

Nic podobnego. Ja się tutaj samymi głupstwami zajmuję. Czy nie przypominasz sobie, jak się nazywał nasz wspólny kolega? Taki mały, rudy chłopak. Mieszkał koło nas na rogu ulicy Sandalników. Bawiliśmy się zawsze razem.

KRITON

Chyba Menajchmos. Wyjechał potem z rodzicami do Miletu. Miał zajęczą wargę.

SOKRATES

Tak, to ten.

KRITON

Menajchmos... rudy... z zajęczą wargą... Bardzo silny. Na rękę wszystkich kładł. Ale w zapasach ty byłeś lepszy. Jak już kogoś wziąłeś w podwójną klamrę — ani zipnął.

(obaj śmieją się)

SOKRATES

A pamiętasz wyścigi naszych okrętów?

KRITON

Oczywiście. Najlepsze okręty były z kory. Nigdy nie tonęły. Żeby szybciej płynęły, przytwierdzało się do dna kawałek żelaza. Sezon zaczynał się na północnym potoku w połowie kwietnia. Meta była koło mostku. Kto wygrywał, zabierał okręty przeciwnika. Raz wygrałeś z Menajchmosem. Nie mógł przeboleć straty, zaczaił się na ciebie i uderzył kamieniem. Rozciął ci czoło. Myśleliśmy, że cię zabił.

SOKRATES

Kiedy przyszedłem do domu, miałem twarz zalaną krwią. Ale mimo to dostałem od mamy lanie. A wszystkie okręty poszły do pieca. Tak, tak, Kritonie, każde zwycięstwo zaprawione jest klęską.

(śmieją się)

KRITON

Tak, tak, Sokratesie. W szkole nie mogli sobie z tobą dać rady. Potem, jak coś zbrojono i nie było sprawcy, mówiono: to pewnie ten diabeł, Sokrates.

SOKRATES

A z chrabąszczami ten kawał, pamiętasz?

KRITON

A jak pożar zrobiłeś na korytarzu? O mały włos nie spaliła się buda. Antyfon wrzeszczał, jakby go obdzierano ze skóry.

SOKRATES

Antyfon to ten gramatyk.

KRITON

Nie, ten od geometrii. Strasznie nudny. Mówił przez nos: „słuchajcie, matołki! Czemu równa się tanges alfa? Tanges alfa równa się..."

SOKRATES

Czy to ten, który nie lubił znajdować zaskrońców w swojej kieszeni?

KRITON

On. Wiesz, czasem śnią mi się egzaminy. Pytają, a ja nic. Nawet nie wiem, czemu równa się suma kątów w trójkącie.

SOKRATES

Ach, stare to były czasy.

KRITON

Piękne, mimo że mieliśmy ręce i pośladki czerwone od dyscyplin.

SOKRATES

Ilu nas zostało?

KRITON

W Atenach tylko dwóch. Reszta wyemigrowała, pomarła.

SOKRATES

Dlaczego tak patrzysz na mnie?

KRITON

Szukam w twojej twarzy...

SOKRATES

Czego?

KRITON

Blizny od kamienia Menajchmosa.

SOKRATES

Zarosła pewnie. To było dawno.

KRITON

Przysuń się bliżej, to było tuż nad łukiem brwiowym. Jest! Mała jak obol, ale jest. Tak, nie ma wątpliwości.

SOKRATES

Dziękuję ci, stary. Mieć koło siebie w takiej chwili człowieka, który pamięta nasze dzieciństwo, to jednak pomaga.

KRITON

Zamknę ci oczy. Cóż więcej mogę zrobić?

SOKRATES

No, pogadaliśmy sobie.

KRITON

Tylko myślę, że te wspomnienia rozmiękczają człowieka.

SOKRATES

Ani trochę. Teraz mogę powiedzieć zupełnie spokojnie: „Był sobie człowiek imieniem Sokrates."

Scena 6

(wchodzą uczniowie)

PLATON

Sokratesie, statek przyjechał.

SOKRATES

Dobra wiadomość.

UCZEŃ I

Przyszliśmy się pożegnać.

SOKRATES

Żegnam was. Nie miejcie do mnie żalu, że niewiele was nauczyłem. Uczenie to w ogóle trudna rzecz. Przekonacie się, gdy będziecie ojcami.

(uczniowie stoją w pozycji wyczekującej)

SOKRATES

Widzę, że czekacie na pożegnalny wykład. Coś o nieśmiertelności duszy — mówił Platon. A może lepiej o pogodzie? O tym, że nocą przymrozki i winnice mogą zmarnieć? Ale mówią owczarze, że już niedługo spadnie ciepły deszcz i wszystko pokryje zieleń. Wszystkich pokryje zieleń.

KRITON

Słuchajcie, moi drodzy. Nie męczcie go teraz. Będziemy tu z nim do końca, zamkniemy mu oczy, pomodlimy się i pójdziemy do domu. Ale teraz dajmy mu spokój.

(milczą wszyscy długą chwilę. Napięcie nie do zniesienia)

SOKRATES

Idą!

KRITON

Nie, zdawało się tobie.

SOKRATES

Wolę teraz mówić.
Godzinę przed moją śmiercią przychodzi mój przyjaciel. A propos: powiedziałem „moją śmiercią". Ten zaimek jest bardzo charakterystyczny. O czym on świadczy? Świadczy o tym, że staramy się z tym zjawiskiem oswoić, zaadoptować niejako. Jest to, jak się zdaje, jedyna słuszna droga.
Druga alternatywa: uznać to za gwałt i buntować się. To prowadzi do religii albo do szaleństwa. Filozof powinien oswajać konieczność. A teraz sam termin nie wydaje mi się właściwy. Jest to abstrakcja i to abstrakcja zbudowana niepoprawnie. Zawiera ona w sobie długi odcinek czasu zwany umieraniem. Te wszystkie wytrzeszczania oczu, duszności, podnoszenie się na łokciu i walenie serca, dalej jęk zmieszany z ostatnim oddechem a w końcu ta sztywna obcość i zacięte milczenie ciała. Te różne stany ochrzczone jednym terminem. Takie krótkie słowo, jakby nożem ciął.
Otóż chcę wam zwrócić uwagę na ciągłość i wielofazowość tego zjawiska. Jest również rzeczą zastanawiającą niemożność znalezienia punktu, od którego zaczyna się ten proces, oraz punktu, w którym można go uznać za definitywnie skończony. To prowadzi do wniosku, że życie jest pełne śmierci, a śmierć pełna skurczów życia. Inaczej mówiąc, od urodzenia umieramy i wy w kwiecie wieku jesteście do kolan martwi.
Przyzywając na pomoc geometrię można to sobie przedstawić jako wektor albo odcinek AB, po którym posuwa się punkt „X".

Sytuacja komplikuje się, jeżeli chcemy wyobrazić to sobie w postaci koła. Po przebiegnięciu całego obwodu „X" znajduje się w punkcie wyjścia. Znaczyłoby to możliwość podjęcia jeszcze raz tej drogi, co w dalszej konsekwencji prowadzi do pojęcia nieskończoności i nieśmiertelności. Jest to koncepcja niewątpliwie ciekawsza, gdy pierwsza — nie powiązanych, urywających się nagle odcinków — prowadzi do chaosu, choćbyśmy nad tym postawili mechaniczną konieczność czy inne pojęcie jednoczące te strzępy w racjonalny obraz świata. Za czym opowiedzieć się... ale zdaje się, że tym razem idą.

PLATON

Tak, już idą.
(wchodzi dwu strażników i chłopak z pucharem. Sokrates wypija. Przechadza się. Po chwili staje. Chwieje się. Uczniowie ujmują go pod ramiona — zanoszą na pryczę)

STRAŻNIK

Odjęło ci już nogi, biedaku.

SOKRATES

Tak. *(po chwili wolno, każde słowo osobno)*
Nie zapomnijcie ofiarować koguta Esklepiosowi.

(po chwili gorączkowo i bez związku)

Tak, Polosie... sprawiedliwość... ofiarować... całe życie... Apollo... Polosie... pamiętaj... całe życie... dlaczego... nie ma...

(cisza)

PLATON

Zanim zdejmiemy mu maskę, ustalmy ostatnie słowa: „Nie zapomnijcie ofiarować koguta Esklepiosowi". Potem to był już bełkot. Zapisujemy ostatnie słowa, żeby potem nie było sporów.

UCZEŃ I

Jak je rozumiesz?

UCZEŃ II

Po prostu jakaś zaległa ofiara, którą sobie nagle przypomniał.

UCZEŃ III

Ee, to byłoby banalne.

UCZEŃ IV

Zresztą nigdy nie chorował.

PLATON

Ja to rozumiem jako wyrażenie przenośne, coś w rodzaju wielkiej metafory.

UCZEŃ III

Wielkiej metafory?

PLATON

Tak.

Kurtyna

Epilog chóru

CHÓRZYSTA I

Co słychać?

CHÓRZYSTA II

Brzęczenie komarów.

CHÓRZYSTA III

To już jest plaga.

CHÓRZYSTA IV

Małe Erynie.

CHÓRZYSTA V

Wszystko teraz mniejsze.

CHÓRZYSTA VI

Także bogowie ze swoimi epidemiami.

CHÓRZYSTA I

A poza tym ta cisza.

CHÓRZYSTA II

Cisza i malaria.

CHÓRZYSTA III

Malaria oznacza kres cywilizacji, a cisza wyrzuty sumienia.

CHÓRZYSTA IV

O nikim się teraz nie milczy, tylko o nim.

CHÓRZYSTA V

O kim?

CHÓRZYSTA IV

O Sokratesie.

CHÓRZYSTA I

Tak, to nie było w porządku.

CHÓRZYSTA II

Przelano krew niewinnego.

CHÓRZYSTA III

Trzeba to będzie odrobić.

CHÓRZYSTA IV

Został spalony na koszt państwa.

CHÓRZYSTA V

Niektórzy przebąkują o pomniku.

CHÓRZYSTA VI

Może nawet beatyfikacja.

CHÓRZYSTA I

O, idzie opiekun zwłok.

CHÓRZYSTA II

On zawsze ma zdrowy sąd o rzeczach

CHÓRZYSTA III

i świeże wiadomości.

OPIEKUN ZWŁOK

Witajcie, o czym to tak, szanowni obywatele?

CHÓRZYSTA IV

O Sokratesie.

OPIEKUN ZWŁOK

W tonie podniośle mistycznym czy krwisto-patriotycznym?

CHÓRZYSTA V

Raczej to pierwsze.

OPIEKUN ZWŁOK

Bzdury, moi drodzy. To jest prosta sprawa. Sokrates pochodził z proletariatu. Jego ojciec utrzymywał się jeszcze z warsztatu, ale on już nie mógł. Konkurencja, wielkie warsztaty, manufaktury, rozumiecie. On musiał wyjść na ulicę i zarabiać gadaniem — warunki ekonomiczne zrobiły z niego filozofa.

CHÓRZYSTA IV

A kto zrobił z niego męczennika?

OPIEKUN ZWŁOK

On sam — ściślej: niezrozumienie mechanizmu historii. Jako proletariusz powinien być wyrazicielem dążeń proletariatu. Zostałby trybunem ludowym, agitatorem. Program miał gotowy: walka z reakcyjną górą burżuazji, a szukanie kontaktu z jej dołami postępowymi. To jasne. Ale on wolał arystokrację i ulubione jej dysputy — o tym, co dobre, a co złe, o abstrakcyjnej sprawiedliwości z księżyca. No i spadł z księżyca prosto do więzienia. Tak się płaci za zdradę swojej klasy. No, żegnam. Tępcie komary i idealizm.

(wychodzi)

CHÓRZYSTA I

Wiecie co? Zagrajmy w kości.

CHÓRZYSTA II

Dobra myśl.

CHÓRZYSTA III

Gramy.

CHÓRZYSTA I

Gramy do końca a potem jeszcze raz.

Zbigniew Herbert

Antonio Machado

ZBRODNIA BYŁA W GRENADZIE
(FRAGMENT)

Widziano go, jak pośród karabinów
idąc długą ulicą
wyszedł na zimne pola,
gdy jeszcze gwiazdy świeciły, przed świtem.
Kiedy wschodziło słońce,
zabili tam Federico.
Żaden z plutonu zbrodniarzy
nie śmiał mu spojrzeć w źrenice.
Spuścili wszyscy powieki:
„Nie broń go, Boże", prosili.
Padł Federico martwy
— we krwi miał czoło, ciało ołowiem przebite.
Że zbrodnia była w Grenadzie,
w jego Grenadzie, pomnijcie.

SONET

O pani, zgliszcza słońca o wieczorze,
wtargnąwszy poprzez chmur burzowych zwały,
malują właśnie na szarości skały
w górach dalekich — płomienistą zorzę.

Zorzę zakrzepłą w lodowatej ścianie,
która podróżnych okrutniej przeraża
niż ryk niedźwiedzia, leśnego mocarza,
albo z królewskim zwierzęciem spotkanie.

Pośród pożaru miłości, wiedziony
przez sen rodzący nadzieję i trwogę,
idę ku morzu, w zapomnienia strony.

I nie jak owa skała w nocną drogę,
kiedy przekręci się glob zaciemniony.
— Nie oczekujcie mnie: wrócić nie mogę.

KU NISKIEMU KRAJOWI

(FRAGMENT)

Kiedyś wiosenną nocą,
na plaży pod Sanlúcar,
słyszałem głos, co śpiewał:
Nim księżyc zalśni w górze.

Nim księżyc zalśni w górze,
na brzegu morskich fal
mam ja dwa słówka tobie
powiedzieć sam na sam.

O plażo w Sanlúcar!
O wiosenna nocy!
I ten śpiew samotny
nad morzem szumiącym!

Na skraju gorzkiej wody,
gdzie nikt nas nie zobaczy,
nim księżyc zacznie wschodzić.

*

* *

Kochana, wiatr obwieścił
twą czystą szatę jasną...
Nie ujrzą ciebie oczy —
czeka cię serce moje!

Przyniosły mi powiewy
twe imię tego rana;
echem twojego kroku
wąwozy się ozwały...
Nie ujrzą ciebie oczy —
czeka cię serce moje!

Na ciemniejących wieżach
ponuro biją dzwony...
Nie ujrzą ciebie oczy —
czeka cię serce moje!

Uderzeniami młoty
wspomniały skrzynię czarną
i głosząc miejsce dołu
jęknęła gdzieś łopata...
Nie ujrzą ciebie oczy —
czeka cię serce moje!

*

* *

Uciekająca i wiecznie
niedaleka, czarnym płaszczem
źle zakrywszy pogardliwy
wyraz twojej twarzy bladej,
nie wiem, dokąd śpieszysz, kędy
twa czysta piękność przystani
szuka w nocy ani jakie
pod powieką sny zatajasz
i kto niegościnnej twego
łoża uchylił kotary.

. . . . . .

Wstrzymaj swój krok, nieuchwytna
piękności, wstrzymaj go dla mnie.

Całować chciałbym ten smutny,
ten gorzki kwiat, twoje wargi.

Przełożył
Janusz Strasburger

Jarosław Iwaszkiewicz

JAN LECHOŃ
(WSPOMNIENIE)

Przypadkiem otworzyłem radio dziś rano o godzinie 8-ej i trafiłem na rozgłośnię „Kraj". Eichlerówna mówiła wiersze Jana Lechonia przy muzyce Karola Szymanowskiego. Ktoś bardzo dobrze grał *Preludia* i *Etiudy,* Eichlerówna cudownie mówiła wiersze (zachowując — o dziwo! — rytm i respektując przecinki i kropki). Była to jedna z najpiękniejszych audycji, jakie słyszałem. Wiersze Lechonia nabrały innej barwy, innego znaczenia w chwili spełnienia się jego tragicznego, żałosnego losu. I tak to współbrzmiało doskonale z muzyką Szymanowskiego — tego najstarszego skamandryty. Przypomniałem sobie emigracyjny wiersz Lechonia pt. *Niebo:*

Śniło mi się dziś niebo: zaraz je poznałem
Po zapachu koniczyn i śpiewie skowronka,
Cykały w trawie świerszcze, falowała łąka,
I wiem, że był tam Pan Bóg, choć Go nie widziałem.

Nie widziałem aniołów, ale nad ugory
Z szumem białe swe skrzydła podniosły bociany,
I były jeszcze jakieś buki i jawory,
Które w wiatru poszumie grały jak organy.

A później niby wielki robak świętojański,
Srebrny księżyc rozświetlił Akropolu gruzy,
Nad którymi wysoko stał Paweł Kochański
I grał w tej boskiej ciszy „Źródło Aretuzy".

I kiedy tak słuchałem tej audycji, ujrzałem wyraźnie namacalne pokrewieństwo pomiędzy tą muzyką i tą poezją. Coś nieoczekiwanie wspólnego.

...Pytasz, co w moim życiu z wszystkich rzeczy główną.
Powiem ci: śmierć i miłość — obydwie zarówno...

Istnieje wspólne im obu zamiłowanie do rzeczy ostatecznych, miłości i śmierci, owo natężenie muzyki i poezji jak naprężonej wstęgi jedwabnej, co łączy

ich twórczość wspólnym pomostem; stąd tak trafnie ilustrowała „srebrne i czarne" wiersze pozłocista muzyka. Myślałem sobie: tak oni w tej chwili wyglądają, już zawarci w wielkim ogólnym nurcie polskiej kultury, tak wyglądają z perspektywy śmierci, która ich otoczyła tumanem wieczności — potargawszy wprzódy „jak żagle rozpięte".

Ale w mojej pamięci istnieją oni zupełnie inaczej. Właśnie tak, jak ich ostatni raz razem widziałem, w zacisznym, choć położonym niedaleko Pól Elizejskich hoteliku „Atala", kiedy śmieli się i żartowali, gadali to o przygotowywanym w Operze Paryskiej przedstawieniu *Harnasi, to* powtarzali paryskie plotki lub opowiadali kawały, popijając p o r t o. Byli najzwyczajniejszymi ludźmi. Działo się to w listopadzie czy w grudniu 1935 roku. Tak widzę ich jeszcze dzisiaj na brązowych aksamitnych fotelach „rezydencji" (broń Boże słowa „hotel"!) „Atala", dwóch najosobliwszych ludzi, z jakimi mnie los zetknął.

Bo indywidualność Jana Lechonia nie wyczerpywała się w jego wierszach. Przeciwnie, wydaje mi się, w wierszach zawarła się mniej wartościowa — czy może mnie osobliwa — część jego istoty. Lepsza część była dla życia — a raczej dla myślenia, a przede wszystkim dla mówienia o życiu i wszelkich jego przejawach. Lechoń był najświetniejszym „rozmawiaczem", jakiego znałem, rozmawiaczem na wielką, wszechświatową miarę; jak o Wildzie można o nim powiedzieć, że talent swój oddał sztuce, a geniusz ... rozmowie.

Nie mogę powiedzieć, jak Słonimski, że Lechoń był „przyjacielem mojej młodości". Raczej musiałbym powiedzieć, że był „nieprzyjacielem mojej młodości". Trzeba bowiem chyba tak to określić. Od pierwszej chwili, od momentu kiedy Grydzewski wymienił sakramentalne słowa, „koledzy się jeszcze nie znają", na trójkątnym placyku, dziś nieistniejącym, który łączył Szpitalną ulicę z placem Wareckim, i kiedy podaliśmy sobie dłonie, połączyło nas dziwne uczucie: coś jakby niechęć, coś jakby rywalizacja, coś jakby zniecierpliwienie wzajemne naszymi mankamentami, coś jakby wzajemny szacunek, którego nie chcieliśmy sobie okazać, pokrywając go drwinami, wyśmiewaniem wzajemnym — i bardzo pokazową młodzieńczą „nieprzyjaźnią".

Bo też po prawdzie wszystko nas w owej epoce dzieliło. Ja byłem przybyszem z dalekiej Ukrainy, niewątpliwie przyzwyczajony do szerszego oddechu zagadnień i większego rozmachu życiowego, Lechoń był prawdziwym, nieodrodnym dzieckiem Warszawy, obdarzonym przy tym niezwykłą, błyszczącą inteligencją, rozświetlaną błyskawicami humoru, który, co prawda, nie zawsze odznaczał się wykwintem.

Mimo wszystkie zastrzeżenia jednak trzeba powiedzieć, że dowcip Lechonia bywał znakomity w chwilach, kiedy był pozbawiony wysiłku, by bawić za wszelką cenę. Rzadko był czysto słowny. Pamiętam: kiedyś Lechoń i Słonimski byli u nas na obiedzie w Podkowie Leśnej. Podano na jednym półmisku dwa pieczone ptaki. Moja żona powiedziała, że jeden to kura, a drugi cietrzew, którego mój teść przywiózł właśnie z polowania. Na co Lechoń nie namyślając się: „To znaczy, że kura jest zacietrzewiona, a cietrzew zakurzony". Ale raczej humor jego był głębszy, sięgający bardziej istotnych spraw — jako redaktor *„Cyrulika Sewilskiego"* czy — jak mówili złośliwi — *„Cyrulika Serwilskiego"* — wykazał, że nawet w oficjalnym piśmie sanacyjnym mógł od czasu do czasu zabłysnąć znakomitym powiedzonkiem czy żartem. Co zaś się tyczy Lechoniowych

piosenek w Szopkach „Picadora“ odróżniały się one swoim wybitnie poetyckim charakterem i znacznie głębszym humorem niż piosenki Tuwima czy Słonimskiego, które zresztą nie tak bardzo różniły się między sobą.

Trzeba jednak przyznać, że Lechoń gotów był dla żartu zrobić bardzo wiele, zaryzykować wszystko a nawet poświęcić najserdeczniejszą przyjaźń. Zresztą Lechoń miał zbyt wielu „przyjaciół”, aby naprawdę cenić sobie ich przyjaźń. Ostrym dowcipem zrażał sobie wszystkich — a nie było dla niego nic świętego. Gdy podczas mojego ślubu w kościele brwinowskim podszedłem po obrzędzie do grupy moich kolegów wskazując pierścionek na palcu i mówiąc: „no, klamka zapadła!” — powiedział mi: „nie martw się — to tylko na sześć tygodni”. Chwalić Boga w tych dniach obchodziłem trzydziestą czwartą rocznicę ślubu.

Mówiąc jednak o Lechoniu przekonuję się coraz bardziej, że istota tego człowieka wymyka mi się z wszelkiej próby określenia. Trudno mi jest opisać go komuś, kto go nie znał. Był to naprawdę bardzo nieuchwytny gość — i czar jego umysłu także nie daje się uchwycić. Nie zawarł się on ani w jego wierszach, ani w satyrach, ani we wspaniałej prozie oratorskiej.

Na ogół był nieporównany. Takiego drugiego nie było. Nie miał w sobie nic z dobroduszności Tuwima, który w gruncie rzeczy był przede wszystkim bardzo dobrym człowiekiem. Nie miał też owej oschłości intelektualnej, która charakteryzowała Słonimskiego. W momencie kiedy go poznałem, był to mimo wszystko umysł prowincjonalny. Imponowało mu zbyt wiele rzeczy — a po uszy tkwił w atmosferze tak zwanego „towarzystwa warszawskiego“, co się odbijało i na jego twórczości, zwłaszcza satyrycznej. Ale miał coś z Lucjana de Rubempré.

Niektóre partie *Rzeczypospolitej Babińskiej* już od razu wymagały komentarza. Trzeba było być do nich dobrze przygotowanym przez atmosferę warszawską! W Krakowie były już niezrozumiałe. A dzisiaj są one porządnie zwietrzałe — o ile nie chodzi oczywiście o takie arcydzieło, nawiązujące bezpośrednio do satyr Krasickiego, jak *Pani Paderewska.*

Nic też dziwnego, że przybyły z daleka, najzupełniej obcy atmosferze Warszawy, której nie zakosztowałem od dziecinnych lat, zupełnie nie orientowałem się w większości przedmiotów poruszanych przez Leszka w jego żartach, rozmowach i aluzjach, w jego satyrycznych prozach, czytanych na pierwszych wieczorach „Picadora”. Dla ocenienia ich i całkowitego pojmowania trzeba było wiedzieć, kto to jest „Hermanka”, a przynajmniej pani Buba Grossmanowa, i znać się na wszystkich tak licznych rozgałęzieniach rodziny Natansonów. Oczywiście gubiłem się pośród tych wszystkich finezji i aluzji — nawet nie wiedziałem, kto to był Jentys i na czym polegał dowcip nazwania go „burgrabią Paderewskiego”. (Tadeusz Jentys — zresztą krewny mojej przyszłej żony — był administratorem hotelu „Bristol”, który w głównej swej części należał do Paderewskiego — dzisiaj znowu trzeba objaśniać te efemeryczne dowcipy!). Nie mogłem uczestniczyć na równych prawach w tych pełnych lekkości i persyflażu rozmowach, jakie prowadzili warszawscy pikadorczycy — i od razu odbiło się to ujemnie na opinii o moich zdolnościach orientacyjnych, jaka zapanowała w tym środowisku.

Niestety spostrzegam, że pragnąc mówić o Lechoniu ciągle powracam do mojej osoby i powtarzam zaimek „ja”, „mnie” i „dla mnie” nieskończoną ilość razy. Bardzo jest trudno pisać wspomnienia o kimś w takiej formie, aby się

ustrzec nadmiernego mówienia w pierwszej osobie. To przekleństwo wszystkich wspomnień osobistych jest ostatecznie zrozumiałe. Wspomnienie jest właśnie mówieniem o tym, jak wspominany był związany z osobą wspominającego, jak się odbijał w jego pojmowaniu, jak działał na niego. W samym założeniu wspominanie jest mówieniem o sobie — nie można więc stawiać tego typu zapiskom czy gawędom zarzutu egocentryzmu, jak to się nieraz spotyka. Mnie się to wydaje nieuniknione.

Ten egotyzm tym bardziej jaskrawo występować musi w moich wspomnieniach o Lechoniu, z którym sprzęgła nas owa zadziwiająca przyjaźń — pełna niechęci i rywalizacji. Miała ona swoje bardzo głębokie podstawy. Lechonia interesowała łatwość (bardzo względna) i obfitość mojego tworzenia, podczas gdy jego pisanie spotykało się z ciężkimi do przezwyciężenia oporami wewnętrznymi. Dość obejrzeć jakikolwiek rękopis Lechonia, nawet karty jego listów — gdzie co krok spotykane poprawki i bardzo charakterystyczne, staranne wymazywania słów świadczą o trudnościach porodu w najprostszym nawet zdaniu.

Z drugiej strony trzeba przyznać, że nie byłem entuzjastycznym zwolennikiem wierszy Lechonia. Raził mnie tradycyjny, „patriotyczny" ton pikadorskich jego wierszy. Wszyscy wówczas za przykładem Antoniego Słonimskiego łudziliśmy się, że „odrzuciliśmy z ramion płaszcz Konrada". Lechoń bynajmniej tego Konradowskiego płaszcza nie odrzucał, przeciwnie, zdawał się go jeszcze piękniej na swych plecach drapować. Jego poetyka nie mieściła się w tej epoce, którą przeżywaliśmy w latach 1918—1921. Nie mieściła się i w późniejszych. Tej poezji potrzebna była emigracja i tragiczna sytuacja powrześniowa.

Wtedy, w kraju, w niezwyłym momencie jesieni 1918 roku nie pasowała ona do powszechnego entuzjazmu, powszechnego krzyku. Słonimski zachłystywał się swoją potężną *Czarną wiosną* i śpiewał rewolucyjną Carmaniolę, Tuwim ogłaszał się „pierwszym w Polsce futurystą", Wierzyński upajał się codziennością. Nawet moja poezja, pozornie chłodna i abstrakcyjna, była jakimś wysiłkiem stworzenia czegoś nowego, upojenia się „poezją czystą", o której nikt nic jeszcze nie wiedział — a którą ja wysnuwałem po prostu z poezji Staffa i Micińskiego.

Lechoń był temu wszystkiemu obcy. Nie chciał ani nowości, ani radości. Tworzył podług bardzo znanych wzorów — dzisiaj dopiero widzimy, ile w nim było Słowackiego, ile Wyspiańskiego, a ile po prostu Or-Ota... Jego strofy, jego chłodne aleksandryny, nie wzburzone — zdawałoby się — żadnym gwałtowniejszym poruszeniem, chciały być smutne, najwyżej cyniczne.

Z tym właśnie najtrudniej nam się było pogodzić: z cynizmem Lechonia, tak bardzo afiszowanym, tak bardzo podkreślanym przez niego. Za bardzo podkreślał on ten cynizm, aby mógł być szczery. Ale w momencie powszechnego entuzjazmu — jak zgrzyt po szkle brzmiały takie wiersze, jak *Rozmowa z weteranem* — nie włączona przez Lechonia do żadnego tomiku wierszy i ogłoszona dopiero w *Wierszach zebranych,* jakie się ukazały za granicą niedługo przed śmiercią poety. Ale czytywał on nam ją często:

Z sześćdziesiątego roku siwym weteranem,
Kiedy w świetle się lampy blask dzienny rozpłynie
I głośniej cyka zegar w nakryciu swem szklanem,
Rozmawiać lubię czasem o szarej godzinie.

Ma dla mnie jakiś urok rozkosznie leniwy.
Poduszek białych sterta na łóżku w izdebce,
Kot szary cicho mruczy lub mleko wychłepce,
Figurki z porcelany gadają mi dziwy.

Weteran mój powiada, że liczne brał rany,
Że w bitwie padł pod konia pokłuty lancami,
A wtenczas, jak mgłą, oczy zachodzą mu łzami;
Wiem, że w czasie tej bitwy spał w karczmie pijany.

I cieszę się, że jeśli w nim także się zbudzi
Nieufność dla tych cudów, co co dzień mu kłamię,
Pozwoli, bym mu łzy swe wypłakał na ramię,
A jutro znów w niezwykłych zabawim się ludzi.

Zasiądziem. Stół włóczkową przykryty serwetą,
Raz po raz cyka zegar w nakryciu swem szklanem,
I czujem się: staruszek — prawdziwym ułanem,
Ja, biedny, głupi kłamca — prawdziwym poetą.

Zresztą i Lechoń — co tu dużo gadać — związany był z Młodą Polską. Ale może nie tak wyraźnie z literaturą, jak z muzyką i malarstwem. Przed chwilą mówiliśmy o wewnętrznych powiązaniach refleksyjnej liryki Lechonia *(Srebrne i czarne)* z muzyką Karola Szymanowskiego. Głęboki związek istnieje także pomiędzy tą poezją a malarstwem Jacka Malczewskiego. Realizm i konkretne przedstawianie przedmiotów — pomieszane z symbolizmem, gdzie symbole, chociaż niejasne i nie tłumaczą się od razu, traktowane są jak najrealniejsze w świecie zjawiska — toż to przecie i Jacek Malczewski, i Lechoń. Lechoń z *Pani Słowackiej*, z *Mochnackiego*, z *Matejki* ... Zresztą o tym pokrewieństwie świadczy najlepiej wiersz poety poświęcony Malczewskiemu:

Srebrzyste mają skrzydła, kąpane w zórz tęczach,
Nabrzmiałe mlekiem piersi i jurną pogodą
W południe ciche, letnie, po łąkach tan wiodą,
Wirują lekko, sennie w ogromnych obręczach.
Przychodzą do mnie latem przez okna otwarte,
Popsutych koła młynów ruszają z chichotem,
Muskają twarz mi skrzydłem i włosów swych złotem,
Z żołnierzy moich szydząc stawianych na wartę.
Parobków przewalają leniwych po łąkach,
Spętane kare konie roznoszą pastwiskiem:
Do dziewuch starych faunów rozśmieją się pyskiem,
Umilkną zasłuchane w podniebnych skowronkach...

. . . . . .

To spokojne nawiązywanie do tradycji (bo przecież nie tylko Malczewskiego w przytoczonych dopiero co wierszach widzimy), to nawiązywanie świadome

i bezpośrednie do swoich najbliższych poprzedników nie mogło się nam podobać, nam, którzyśmy chcieli być przede wszystkim „nowi". Było to złudzenie, wiem dzisiaj dobrze. Ale tak się nam wówczas wydawało.

Lecz kiedy blady poeta w swoim dziwacznym ubraniu stawał na małym podium w położonej przy najruchliwszej ulicy Warszawy kawiarni i blednąc jeszcze bardziej i trzęsącymi się ze wzruszenia rękami ściskając niepotrzebny rękopis zaczynał deklamować, zapominało się o „passeizmie" tych wierszy. Porywał i nas, poetów, nie mówiąc już o „młodszej młodzieży", w której imieniu tak pięknie ostatnio pisał o Lechoniu Jan Alfred Szczepański.

Dopiero później, a może dopiero teraz, przyszła refleksja, i myśląc o Lechoniu powiadaliśmy sobie: „Mój Boże! O cóż tu chodzi? Przecie tutaj nie ma nic nowego!", jak gdyby można było naprawdę w poezji znaleźć coś „nowego", tak „nowego", jak radio, telewizja czy helikopter.

Przypuszczam, że Lechoń interesując się moim procesem tworzenia nie lubił moich wierszy. Zresztą chyba dostatecznie dał mi to do zrozumienia kładąc zawsze akcent na moją prozę, a lekceważąc poezję.

Lechonia raził „brak idei" w mojej poetyce. Za bardzo mu się wydawała ta poezja werbalną. Wprawdzie podobały mu się *Oktostychy*, którymi debiutowałem w *„Pro Arte"* i w *„Pikadorze"* — ale potem załamywał ręce nad dalszym moim pętaniem się i plątaniem w gmatwaninach niedojrzałości pisarskiej.

Szczęśliwym trafem dochował się u mnie list Lechonia skierowany w roku 1923 z Krakowa do Warszawy, do Grydzewskiego. Ponieważ ten list zawierał pewne ostre słowa pod moim adresem, Grydzewski oczywiście, jak to czynią zawsze życzliwi przyjaciele, zaraz mi go pokazał, a nawet przekazał, i tym sposobem ocalał on z pożogi wojennej w moich archiwach. W liście tym znajdujemy dużo ciekawych rzeczy, które Lechoń pisze o twórczości swoich kolegów. A oto co pisze z powodu mojej powieści poetyckiej *Wieczór u Abdona* drukowanej podówczas w *„Skamandrze"*:

„Jarosław — cztery kolumny zamazane, bez sensu — »elemele-duperele« — to znaczy mieć wielki talent i ani odrobiny krytyki." (Nawiasem mówiąc słowo „duperele" było jeszcze czymś zupełnie, oszałamiająco nowym.)

Niestety nie zachował się mój list do Grydzewskiego, ukryta odpowiedź na te zarzuty. Było tego cztery strony strasznych wymysłów i insynuacji. Należy żałować, że się ten list spalił wraz z całym archiwum *„Wiadomości Literackich"*. Zresztą łatwo domyślić się, w jakie czułe strony Lechonia uderzałem w mej diatrybie: w jego warszawskość w pejoratywnym znaczeniu — był typowym przecie „warszawistą", w gruncie rzeczy młodszym bratem Stefana Krzywoszewskiego i Wacia Grubińskiego — poza tym w snobizm, nieokiełznany i naprawdę piramidalny, a wreszcie w najboleśniejsze miejsce, w jego impotencję twórczą.

Powiedziałem już, że Lechoń był specyficznie związany ze środowiskiem warszawskim. I to nie z tą burzącą się i sfermentowaną Warszawą, gdzie nasze pikadorskie wstąpienie tonęło w powszechnym oszołomieniu i powszechnej radości, która tak prędko okazała się zawodna, nie z tą Warszawą, która walczyła, ale z tą Warszawą, trochę nieprzewietrzaną z dawnych lat i umeblowaną wypłowiałymi i postrzępionymi meblami. Sam Lechoń mówi o tym w wierszu *Stara Warszawa*. I jeżeli wiersz ten może naprawdę wzruszyć, to najmniej prze-

mawiają do nas w nim owe „meble pluszowe, jedwabne poduszki" mieszczańskiego mieszkania warszawskiego, do których wzdycha poeta:

Dobra Parka raz jeszcze nawleka swą igłę,
I jeszcze wciąż nie wierzysz, że w końcu nić przetnie.
Nic jeszcze nie chcę żegnać, lecz już widzę świetnie
To wszystko, co stracone i co niedościgłe.

Jedną mgłą więc zachodzą: miłość niedzielona,
Mnie tylko znane winy, śmieszna złuda sławy,
I tylko złote słońce, co nade mną kona,
Żywszym blaskiem oświeca dach starej Warszawy.

Czuję, płynie przez okno zapach dawnych kwietni,
Widzę meble pluszowe, jedwabne poduszki,
A ja, z Stasiem Balińskim, obaj siedmioletni,
Śpiewamy w chórze dzieci piosenkę Moniuszki.

Tak, Lechoń był związany z Warszawą całkiem specyficzną; jego „stara" Warszawa oznacza zupełnie co innego niż Warszawa Norwida czy chociażby Or-Ota. Tu właśnie zachodzi największa różnica pomiędzy Lechoniem a Słonimskim.

Słonimski nie uznawał żadnych autorytetów. Dla Lechonia każdy bardziej popularny na bruku warszawskim człowiek był autorytetem. Gotów był porzucić na środku ulicy przyjaciela, z którym szedł pod rękę rozprawiając o poezji — aby towarzyszyć — nie już Marysi Brydzińskiej, bo to była urocza kobieta — ale po prostu Owerlle czy Gierosińskiemu. Pani Lewentalowa z *„Kuriera Warszawskiego"* imponowała mu jak lady Macbeth. I co gorsza, przed Olchowiczami, Wasilewskimi — wstydził się trochę swoich ubogo ubranych, nieco trącących cyganerią przyjaciół. Nigdy nie zapomnę chwili, kiedy w parę dni po powrocie Lechonia ze szpitala, po odratowaniu, odwiedziłem go w jego mieszkaniu. Byłem z moim przyjacielem Rytardem. Na nieszczęście zastaliśmy u niego Adolfa Nowaczyńskiego i piękną panią Helenę Sulimę (pierwsza Rachel z *Wesela).* Gorszego przyjęcia nie doznałem nigdy i nigdzie. Po kilku chwilach wstałem i wyszedłem. A było to po zamachu samobójczym Lechonia, kroku spowodowanym bardzo zawiłymi przyczynami natury moralnej i materialnej, po tym, kiedy wszyscy jego przyjaciele, i ja w tej liczbie, okazali mu bardzo wiele serca. A on jednak wstydził się nas wobec takich gwiazd, jak Nowaczyński i Sulima!

Jednym słowem chwilami był to bardzo mały człowiek. Wspominałem jednak, że mówiąc swoje wiersze przeobrażał się zupełnie. Stawał się piękny. A przecież znana była szpetota tego człowieka, powiększana jeszcze w początkowej epoce naszej znajomości przez dziwaczny i zaniedbany ubiór. Ojciec Lechonia był drobnym urzędnikiem, matka nauczycielką, żyli w bardzo trudnych warunkach materialnych. Na początku epoki „Picadora" Lechoń został posiadaczem jedynego stroju: czarnego żakietu (jaskółki) i szarych sztuczkowych spodni, znoszonych i wypchniętych na kolanach do ostatnich granic możliwości. Wszystko to często ozdobione czarno-szarym szalikiem w wężowe podłużne pasy,

który to osobliwy szczegół został uwieczniony w znanym portrecie Romana Kramsztyka.

Twarz Lechonia, niezmiernie charakterystyczna, o dużym, nieco skrzywionym nosie, zapadniętych ustach i zaniedbanych zębach, była daleka od klasycznej urody. Głos miał głęboki, nieco jednak seplenił. W zimie stroju tego dopełniał czarny płaszcz i sztywny melonik — lub wynalazek Grydzewskiego, płaska czapka studencka — biała z malinową obwódką.

W momentach mówienia wierszy wszystko to się przeobrażało — i strój, i twarz, całość nabierała zupełnie innego charakteru. To chciał wyrazić Kramsztyk w swoim portrecie, który nawet zatytułował *Poeta* — ale mu to nie wyszło. Przede wszystkim dał na obrazie Lechoniowi w rękę książkę, z której ten czyta. A przecież Lechoń nigdy nie czytał z książki. Pamięć miał zadziwiającą, fenomenalną.

Toteż do moich najgłębszych przeżyć poetyckich na zawsze należeć będzie wspomnienie o tych momentach, kiedy „Leszek mówił wiersze". Czasami się go o to prosiło — i wtedy nic nie wychodziło. Ale czasami zaczynał sam i wtedy trwało to całymi godzinami, całymi nocami. W najrozmaitszych okazjach, w najdziwniejszych miejscach. Przy stoliku w Ziemiańskiej, na kanapce w „Astorii" podczas kolacji, chodząc Nowym Światem, placem Trzech Krzyży, Alejami w noc letnią, aż do białego świtu, odprowadzając kolegów od bramy do bramy w czas listopadowej szarugi, z sylwetą Giewontu na horyzoncie, w Paryżu na ławce przy bulwarze St. Germain, wszędzie tak samo, z jednakowym zapałem. Kochanowski, Trembecki, Mickiewicz, Słowacki, Norwid — bez końca, całymi godzinami. I jakiekolwiek miewałem żale do Leszka, jakkolwiek twierdziłem, że go „nie lubię", jak mnie złościł i niecierpliwił — w takich momentach skoczyłbym za nim do piekła. „Jeszcze, Leszek, jeszcze" — mówiło się, gdy kończył jeden wiersz, a on zaczynał inny, zupełnie z innej dziedziny, po Norwidzie Staffa, po Wyspiańskim Słonimskiego. Umiał na pamięć wszystkie swoje wiersze i prawie wszystkie nasze. Przeobrażał się tak — stawał się innym człowiekiem, prawdziwym człowiekiem — i dopiero w takich chwilach miało się wrażenie, że się chwyta istotę jego charakteru, treść jego „bytu".

Właśnie niedawno spostrzegłem, że „brzoza Jana Lechonia" uschła — i nawet nie wiem, kiedy zabrano jej sztywny, nie okryty liśćmi pień. Tak nazywaliśmy z moją żoną drzewo, które stojąc na skraju lasu w Podkowie Leśnej schylało się pięknym łukiem nad drogą. Tutaj kiedyś Lechoń, pozostawiwszy Stasia Balińskiego i Antoniego Słonimskiego przy krokiecie z Rytardami, siedział z nami i bardzo długo mówił swoje i cudze wiersze.

Ilekroć potem przez długie lata przechodziliśmy pod tym drzewem, które się przechylało na coraz bardziej cywilizującą się drogę, otoczone coraz większą ilością domków, przypominaliśmy sobie ów koncert Lechonia. Było to na jesieni, bodaj że w ten sam dzień „zacietrzewionej kury", i brzoza była żółtawa, listki niektóre już opadły. Powiedziałem potem wieczorem do żony, już po wyjeździe przyjaciół: „Czy może być coś bardziej polskiego, jak taki jesienny pogodny wieczór, zachód słońca za lasem i u stóp łukiem schylonej brzozy te wiersze mówione ustami bladego poety...?" Oczywiście powiedziałem to wszystko prościej. Ale czy mogło mi wtedy przyjść do głowy, że ten tak bardzo polski pisarz niedługo wyjedzie z kraju na zawsze i spędzi resztę życia w Paryżu i w Nowym

Jorku — miejscach bardzo atrakcyjnych, ale jak najmniej stworzonych dla człowieka tego pokroju?

Powinien był zostać pochowany pod taką brzozą — nie w dalekiej i jakże prawdopodobnie dla niego obcej Ameryce.

Niczym nieposkromiony snobizm Lechonia wyrażał się w tym, że musiał znać wszystkich i bywać wszędzie. Było w tym bardzo wiele pasji życia, głodu świata — ale także nerwowej chęci zagłuszenia najgorszych przeczuć bezpłodności. Chociaż Lechoń swoje pokazywanie się demonstracyjne w teatrze i na ulicy, swoje bywanie „w świecie" uważał za coś jakby „stracony czas" Prousta i wszystkich łudził, że odnajdzie ten czas w jakimś potężnym i wiekopomnym dziele — w gruncie rzeczy wiedział, że nigdy nie stworzy takiego arcydzieła. Na tym polegał jego dramat, że rozpraszał swój wielki talent, że wygadywał całą swą treść wewnętrzną, wylewał ją w nieskończonych nocnych rozmowach, gdzie inteligencja jego (i intuicja — mam wrażenie, że połowy książek, o których mówił, nigdy nie czytał) błyskała tysiącem fajerwerków, porównań, skojarzeń, dowcipów — a dla twórczości pozostawało w nim już mało. Pisał małe — po pierwszym wybuchu karmazynu — raczej już nikłe wierszyki, w których drzemie dużo jeszcze głębokiej liryki, ale jest i mnóstwo teatralnego sztafażu, i pseudoromantycznej dekoracji.

Mimo ogromnego przywiązania do życia nie opuszczała go myśl o śmierci. Może to właśnie pod ową brzozą po raz pierwszy powiedział nam ten wiersz pamiętny, traktujący „o rzeczach ostatecznych", który chyba najbardziej lubię z całej jego poezji:

Im głębiej idziem w życie, coraz większa troska,
Coraz większa nas nęka obawa tej chwili,
Gdy wreszcie się ostatnia zasłona rozchyli:
Biedna ludzka komedia — okaże się boska.

I serce zakochane raz po raz rozrywa
Sieć złotą, którą samo splątało niebacznie,
I zanim dla wieczności jak gwiazdy drgać zacznie,
Dla książek, jak ta mądrych, swe wnętrze odkrywa.

I radość w tym znajduje, że bije w nim wściekła
Ulewa Bożych przestróg, i modłów dziecinnych
Za siebie nie odmawia. Już tylko za innych:
Chce, by weszli do raju, nie schodząc do piekła.

Niestety biedny twórca *Karmazynowego poematu* przeszedł zapewne przez wszystkie piekła ziemi, zanim rozchyliła się przed nim ostatnia zasłona.

Nie odpowiada ściśle rzeczywistości, że Lechoń po wydaniu tomiku *Srebrne i czarne* zamilkł zupełnie. Od czasu do czasu pisał jakiś wierszyk — był to wielki ewenement. „Leszek napisał wiersz" — ta wieść biegła z telefonu na Złotej, od Grydzewskiego, pomiędzy przyjaciółmi. Pamiętam, jaka była heca, kiedy w roku 1929 czy 30-tym Lechoń wydrukował swój wiersz nie w „koncernie" Grydzewskiego, tylko w *„Drodze"* u Horzycy. Wiersz ten nosił tytuł *Czerwone wino* i był w kilkanaście lat potem ozdobą wydanego na emigracji tomu *Lutnia po Bekwarku.*

Bardzo wcześnie jest jesień. Coraz wcześniej słońce
Za jezioro z ołowiu w drżące spada trzciny.
Dzień jest po to, by sennie płynęły godziny,
A wieczór, by oglądać gwiazdy spadające.

Renoir chyba w sadzie pomalował śliwy,
Tak ich skórka zielona a brzegiem liliowa,
I wszystko tu coś znaczy, tylko brak nam słowa,
Ach! jak tu odpowiedzieć: czy jestem szczęśliwy?

Jak nurek schodzi w mroki tajemniczych głębin,
Gdzie się przepych koralu bogato rozpina,
Tak ja wypijam wzrokiem czerwoność jarzębin
Lub próbuję wargami czerwonego wina.

Jest to wiersz pisany w jakiejś przelotnej szczęśliwej chwili, kiedy nerwy wrażliwego poety doznawały chwilowego odprężenia. Prawdopodobnie powstał on w domu Tadeuszostwa Jackowskich, w Poznańskiem, gdzie Lechoń chętnie przebywał otoczony siostrzaną opieką pani Niusi (siostry Leona Schillera). Później uciekał do tych samych ludzi z Paryża do Brukseli.

Wiersz to typowy dla Lechonia. Rzeczywiście sceneria cała tchnie rzeczami znanymi i ogranymi. A jednak prawdziwy poeta potrafi jakoś tak zrobić, aby ograne słowa brzmiały niby coś nowego. Jak to powiada Słonimski?

... i bez tak pachniał jak bez,
i słowo „pachnieć" pachniało
i łzy były pełne łez...

U niego właśnie łzy są zawsze pełne łez.

Lechoń był rozpieszczony przez wszystkich: przez rodziców, przez kolegów, przez przyjaciół, przez kobiety. Zachowywał się zbyt często jak primadonna i niejedną przykrość sprawiał najbliższym dziwacznością swojego zachowania. Zresztą był tak rozbrajający, że z przyjemnością wybaczało mu się wszystko. Nawet ten niemożliwy tryb życia. Myśmy wszyscy jakoś tam zarabiali: Tuwim w „Czarnym Kocie", potem w „Qui-pro-quo", Słonimski w pismach satyrycznych (niedużo oczywiście), ja swoim belfrowaniem po prywatnych domach. Lechoń nie miał ani grosza — i żył sobie jak ptaszek.

Oto treść pierwszego bileciku z paczki, dość pokaźnej, listów Leszka czy „Leszeczka", jakeśmy go nazywali czasami, skierowanych do mnie. List jest bez daty, na zmiętej kartce już wówczas pożółkłego papieru pisany, zapewne z maja 1919 roku. Od tego zaczyna się nasza korespondencja:

Drogi Jarosławie!

(tu pewne wyrazy nieparlamentarne w sprawie pewnego sporu ortograficznego) ...proszę Cię więc po raz x-owy, znów na tym samym papierze i znów o to samo. Jeżeli tylko możesz, to zrób mi tę prawdziwą przysługę, o którą

b. b. mocno proszę i do dnia 1 czerwca pożycz w gotowiźnie mrk. 100, a będę regularny jak kobieta, wdzięczny jak uczeń — proszę Cię b. b. mocno.

Bądź tak dobry i przed g. 9-tą wieczór zostaw to, o co proszę, u swego stróża. Liczę na Ciebie bardzo, bardzo.

Całuję Cię mocno i jeszcze raz proszę

Leszek

Jeżeli nie masz sam, może Ci nie zrobi różnicy pożyczenie dla mnie na ten krótki termin.

L.

Bardzo proszę.

Poufne!! W sprawie krótkoterminowej pożyczki!

Pilne!!

Nawiasem powiedziawszy suma 100 mrk. była wówczas wcale pokaźna. Takie same liściki otrzymywali Tuwim, Słonimski i inni zamożniejsi przyjaciele Lechonia. Wiedzieliśmy doskonale, że pieniądze te pójdą na jakąś niezwykle kosztowną książkę, którą Lechoń chce komuś ofiarować, na przepiękne róże, które posyłał za kulisy, na jakiś piękny krawat na imieniny dla innego przyjaciela. Lechoń dawał tylko wspaniałe prezenty. Stawiał tylko wspaniałe kolacje. Koniecznie w Hotelu Europejskim, kiedy Tuwim np. nawet swoją poślubną kolację urządził w „Mordowni" na Zielnej. Wiedzieliśmy wszyscy, że to są pieniądze wyrzucone za okno, ale dawaliśmy mu zawsze. Tego dnia, kiedy otrzymałem powyższą kartkę, stróż pałacu Raczyńskich (Krakowskie Przedmieście 5) przed godziną 9-tą wieczorem otrzymał „to, o co Lechoń prosił".

Czasam Lechoniowi udało się pożyczyć tyle pieniędzy, że urządzał u siebie przyjęcie. Oczywiście na przyjęcie to otrzymywali zaproszenie wszyscy, tylko nie ci, którzy dali ową forsę. Nic zabawniejszego jak te przyjęcia. Rodzice Jana Lechonia mieszkali wówczas (Lechoń wspomina w jednym z wierszy, że przedtem mieszkali przy ulicy Mokotowskiej 15) na ulicy Przyrynek, koło rynku Nowomiejskiego, naprzeciwko kościoła Panny Marii, w staroświeckiej kamieniczce, w mieszkaniu amfiladowym, jakich się już teraz nie widzi. W małych pokoikach na tych przyjęciach było bardzo tłoczno. Bufet sprowadzano z hotelu Bristol czy Europejskiego, usługiwali znajomi kelnerzy albo znowu jacyś chłopcy w białych rękawiczkach. Lechoń podśmiewał się kiedyś ze śniadań u Aleksandra Lednickiego, że bywają tam: „arcybiskup i Arcybaszew *), Radziwiłł i Radziwiłłowicz". Ale u niego samego spotykało się jeszcze większą mieszaninę. Ci sami ludzie zebrani u Anieli Zagórskiej stapiali się pod wpływem ciepła i dobroci tej niezwykłej kobiety w jeden krąg wzajemnie życzliwych i uprzejmych przyjaciół. U Lechonia atmosfera była sztuczna i niezdrowa i raczej ludzie popatrywali na siebie wilkiem. Aleksander Skrzyński nie miał nic do powiedzenia Grydzewskiemu, a profesor Szymon Aszkenazy Marysi Bry-

* Rosyjski pisarz Arcybaszew przebywał na emigracji w Polsce, tu umarł i pochowany jest na wolskim prawosławnym cmentarzu.

dzińskiej, która jeszcze nie stała się gospodynią Jabłonny po pani Tyszkiewiczowej, pani Vauban i rudej pani „Żeńci" Potockiej. Ludzie się trochę podśmiewali, a sam gospodarz — jeszcze po parysku nie obyty — myślę, że kiedy wszystko minęło, żałował, iż zadał sobie tyle trudu z bawieniem gości. Zebrania te były w większej części nieudane.

Mimo to Lechoń był mistrzem ceremonii wielkich przyjęć u jednego z księgarzy warszawskich, L. F., które to przyjęcia cieszyły się w owoczesnej Warszawie wielką sławą. Niestety, nie mogę o nich nic powiedzieć, gdyż nie byłem do nich dopuszczany (tak samo jak do słynnych „Łabardanów" u Ferdynanda Goetla). Wiedziałem o zbliżaniu się takiego przyjęcia przez to, że Lechoń i Wierzyński zajmowali osobny stolik w „Astorii" i w niekończących się koncyliabulach układali spisy zaproszonych i spisywali listy gości. Na listach tych nigdy nie widniały nazwiska Słonimskiego lub Iwaszkiewicza. Lechoń się trochę nas wstydził i nie uważał za *„Salonfähig"*.

Snobizm Lechonia odbił się nawet na jego języku. Używał wyszukanych i „dystyngowanych" zwrotów. Np. zamiast spytać mnie: „jak zdrowie twojej matki?" powiadał: „jak się miewa pani Iwaszkiewiczowa?" Głupiałem na takie pytanie, bo nie wiedziałem, o kogo tu chodzi.

Jednym z najpiękniejszych wierszy Lechonia jest wiersz pt. *Włosy Słowackiego:*

W gumowych rękawiczkach, jak trupie rękami,
Profesor śrut wsypywał w puste oczodoły,
Ażeby mógł być z tego pożytek dla szkoły
I pragnąc zmierzyć Ciebie ziemskimi miarami.

Szuflami oto sypią w trumnę hebanową
Grudy ziemi francuskiej, co jest twym popiołem,
I tylko pukiel włosów nad kościanym czołem
Ten sam jest, który lśnił się nad twą żywą głową.

Patrzymy nań w milczeniu, bo żadna cię tkliwość
Jak za życia i teraz po włosach nie gładzi.
Lecz gdzie chciałeś, tam wracasz. Bierzemy cię bladzi
I wiemy. Nie ma śmierci i jest sprawiedliwość.

Tę trumnę całą w kwiatach, tę drogę wspaniałą,
Bicie dzwonów i blask ten, co kościół rozjarzył,
Kiedyś sobie ubogi suchotnik zamarzył.
Padły państwa olbrzymie, aby tak się stało.

Jak większość dobrej poezji, jest to wiersz okolicznościowy. Związany z pogrzebem Słowackiego, w którym Lechoń brał czynny udział. Został wyznaczony wraz z Or-Otem do asystowania przy ekshumacji zwłok autora *Mazepy* na cmentarzu Montmartre w Paryżu, a potem był konwojentem na kanonierce, która wiozła „trumnę hebanową" z Le Havre do Gdyni. Jak wiadomo, trumna została przełożona na statek wiślany, który płynął w górę rzeki z Gdańska do Warszawy.

Nigdy nie zapomnę tego momentu, kiedy statek wiozący trumnę Słowackiego podpłynął do wybrzeża przy moście Poniatowskiego. Na środku pokładu, na niewysokim wzniesieniu, jak gdyby wprost na deklu okrętu, stała mała trumna przykryta sztandarem. A przy niej na warcie mały Or-Ocik w swoim pułkownikowskim mundurze i blady jak trup, szalenie wysmukły, łamiący się jak gdyby w tej wysmukłości Lechoń we fraku i białym krawacie. W takich podniosłych momentach wzruszenie malujące się na jego twarzy nadawało rysom jakąś wewnętrzną szlachetność, zapominało się o jego brzydocie — a przede wszystkim widziało się, jak intensywnie ten człowiek przeżywał wszystko, co miało coś wspólnego z poezją. Pogrzeb Słowackiego nadszarpnął jego zdrowie.

Trumna Juliusza stała przez noc w katedrze. Tłumy ludzi, katedra pełna kwiatów, do trumny doszliśmy prawie o trzeciej w nocy i to po najpiękniejszym przedstawieniu Schillera, po *Samuelu Zborowskim*. Odprowadzałem trumnę na dworzec — i niespodziewanie ktoś mnie zaprosił do pociągu. Pojechałem do Krakowa w towarzystwie Lechonia i innych pisarzy. W Krakowie asystowałem przy całym pogrzebie. Nieśliśmy z Lechoniem wieniec od pisarzy. (Na pogrzebie Żeromskiego nieśliśmy z nim i z Wierzyńskim ordery.) Bardzo długo staliśmy na deszczu czekając na wyruszenie konduktu do katedry. Tutaj mi Lechoń opowiedział wrażenia z otwarcia grobu Słowackiego. W trumnie była tylko czaszka pokryta nietkniętymi włosami. Poza tym w trumnie paryskiej znaleziono masę brązowego prochu, który szuflami przełożono do trumny —trumienki raczej, była bardzo mała — przewiezionej na Wawel. Widziałem potem fotografie tej czaszki z włosami. Robiła niesamowite wrażenie, zwłaszcza dzięki jamom niezmiernie otwartych oczodołów. Słowacki musiał mieć olbrzymie oczy. Z tego wszystkiego najpodobniejszy (do czaszki) jest rysunek Kurowskiego, który na ogół wydaje się nam przeszarżowany. Fotografie z otwarcia grobu Słowackiego, przechowywane w archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych, nie były nigdy publikowane. Zapewne zaginęły.

Wieczorem zostaliśmy nieoczekiwanie (tylko my dwaj z pisarzy!!) zaproszeni na kolację do Starego Teatru. Ponieważ znalazłem się w Krakowie niespodziewanie, wprost z dworca, nie miałem fraka. Musiałem pożyczyć koszulę frakową od mojego byłego ucznia, inżyniera Jerzego Jaczewskiego, a frak od ówczesnego dyrektora Teatru im. Słowackiego, dzisiejszego emigracyjnego dziennikarza, który o mnie rozmaite tam rzeczy wypisuje, Zygmunta Nowakowskiego. Wysztafirowaliśmy się (Lechoń mieszkał u Morstinów, ja też gdzieś prywatnie) i stawiliśmy się na wieczerzę. Prezydował arcybiskup Sapieha i Piłsudski. Przed kolacją zakąski podano przy osobnym stole, na stojąco. Kiedyśmy spożywali owe dary boże (Lechoń odznaczał się ogromnym apetytem, w Ziemiańskiej zjadał po dwanaście ciastek!), zbliżył się do nas Piłsudski, przywitał się i powiedział do Lechonia: „Dobrze się sprawiałeś! Zasłużyłeś na dobrą kolację!" Było to podziękowanie za uciążliwą podróż do Paryża i z powrotem. Kanonierką podobno tak rzucało, że Or-Ot wysiadł w Antwerpii i dojechał do Gdyni lądem.

Do tego podziękowania się nie ograniczono. Lechoń od 1918 (i wcześniej jeszcze) był pod silnym wpływem piłsudczyzny. Co prawda nie pisał poetyckich panegiryków ku czci Piłsudskiego. W wierszu noszącym w tytule nazwisko dyktatora jest raczej opisany, odtworzony przy pomocy luźnych obrazów nastrój jesieni 1918 roku, a jedyna linijka poświęcona Piłsudskiemu („a on mówić nie

może, mundur na nim szary") nie może być uważana za jakieś specjalne kadzidło. Natomiast Lechoń po przewrocie majowym został redaktorem albo — jak to na jednym z listów jego do mnie widnieje, z francuska wydrukowane — „dyrektorem" pisma satyrycznego *„Cyrulik Sewilski"* — bardzo zresztą dobrze „dyrygowanego", ale całkowicie oddanego sanacyjnemu reżimowi. Rozwój myśli politycznej Lechonia — acz nie bez przerażających otrzeźwień — całkowicie układał się podług linii polityki sanacyjnej. Nie przerwała tego sposobu myślenia katastrofa wojenna; i Lechoń do końca pozostał nieprzejednany i bardzo mało rozumiejący z tego, co się dzieje w kraju. A jego „płaszcz Konrada" stawał się czasami płaszczem Rydza-Śmigłego. Niestety bez guzików.

Tragedia Lechonia zaczęła się od dawna. Zaczynał ze zbyt wielkim rozpędem. Nie mówię tu o trzech tomikach wierszy, wydanych, gdy miał lat trzynaście. Nie okazywał się w nich Minou Drouet ani Jagusią Błażejewską. — Ale wiersze pikadorskie pisał mając lat osiemnaście, swe wielkie mowy o Sienkiewiczu i na śmierć rektora Brudzińskiego, które zwróciły na niego powszechną uwagę, tworzył jeszcze wcześniej. Oczekiwano po nim „rzeczy wielkich" — i on sam się do nich sposobił. Tymczasem przyszła bezpłodność, bezsiła. Wielka kultura i wielka wrażliwość zawisały w próżni. Jeżeli mówiłem o tych rzeczach w moim liście do Grydzewskiego, to można to tylko tłumaczyć okrucieństwem młodości. Poruszałem bezlitośnie zbyt wielką tragedię.

Pierwszy znak, wielki alarm tej tragedii, to zamach samobójczy. Dawka veronalu była jednak zbyt silna, organizm nie zdołał jej absorbować i poetę odratowano. Było to na przedwiośniu roku 1921. Potem zaczęła się odyseja Lechonia po sanatoriach i szpitalach. Odwiedzałem go i w Rabce, dokąd go zabrali Kadenowie, i w Krakowie, w sanatorium dr. Piltza, gdzie spędził kilka sezonów, opiekował się nim uroczy dr Artwiński, którego poznałem przez niego. Ciągnęło się to dobrych parę lat. Wyleczył go „ostatecznie" dr Onufrowicz z Krakowa.

Leszek ciągle opowiadał o swoich zamiarach pisarskich, ale wszystko pozostawało w sferze projektów. Olbrzymim przeżyciem było dla niego odkrycie Prousta (po śmierci tegoż), z którego życiem wciąż przeprowadzał paralelę swojego żywota. Pocieszał się, że po okresie obserwacji nastąpi „czas odnaleziony". Niestety, ten wymarzony okres twórczości nie przychodził.

Lechoń, jak powiedziałem, miał bardzo wielu przyjaciół. Opiekowali się nim oni i martwili. Ryszard Ordyński, który nie był wielkim artystą, ale niezwykle dobrym człowiekiem i uczynnym przyjacielem, pani Niusia Jackowska — kłopotali się losem poety, nie mówiąc już o przyjaciołach „reżimowych", jak Wieniawa czy Beck, którzy chcieli i poecie pomóc, i dla siebie jakąś korzyść osiągnąć. Kiedy coraz jaśniejsze się stawało, że nie ma co spodziewać się po Lechoniu samorodnej twórczości, zdecydowano pchnąć go na drogę dyplomatyczną. Wysłano go za stypendium (rządowym czy prywatnym, Bóg raczy wiedzieć!) na parę lat do Paryża, po czym został mianowany attaché kulturalnym (była to wtedy wielka nowość) przy ambasadzie.

Przy końcu wiosny roku 1931 otrzymałem w Stawisku taką kartę od Lechonia:

Drogi Jarosławie! Mam zaszczyt notyfikować Ci objęcie przeze mnie roboty propagandowej w Paryżu w charakterze pomocnika Eksc. Mühlsteina zawiadującego tym działem. — Aczkolwiek pobudką moją przy objęciu tej posady była chęć za-

robku, który by umożliwił dłuższe zamieszkiwanie w Paryżu — ale oczywiście będę robił wszystko, aby mądrze się wywiązać ze swego zadania i rok rocznie parę wartościowych rzeczy przygotować... (itd. itd.)

Kiedyś wyznał mi Lechoń, że ostateczna decyzja wyjazdu na stałe za granicę nastąpiła po nieprzespanej nocy, podczas której wyliczał osoby w całej Warszawie, z którymi jest na „ty". Gdy doszedł do trzystu nazwisk, postanowił porzucić Warszawę. *Si non è vero è ben trovato.*

Chodziło mu prawdopodobnie o ucieczkę z miejsca, gdzie go wszyscy znali i wszyscy oczekiwali od niego niesłychanych rzeczy, a przynajmniej pięknych wierszy, których nie mógł z siebie wykrzesać. Męczył się w Warszawie i zdawało mu się, że w Paryżu będzie mu lżej.

Jednakże i w Paryżu działały jego snobizmy. Postawił sobie za punkt honoru, aby i tu poznawano jego obecność w teatrze po niezmiernie charakterystycznym, głośnym i nieco histerycznym śmiechu, jakim witał w teatrach warszawskich dowcipy, które mu się podobały na scenie, lub żarty powiedziane (najczęściej przez niego samego) w antraktach. Po pewnym czasie zdaje się postawił na swoim; jego głośny śmiech znano i w „Comédie Française", i w „Odéonie", i w „Ambigu".

Dostał także szoku snobistycznego na temat koronowanych głów. W licznej z owego czasu korespondencji ze mną rzuca się w oczy dość duża kolekcja pocztówek z różnymi królami, książętami, pretendentami do tronu i królewskimi dziećmi, pocztówek, którymi mnie zasypywał. Była to zresztą niewinna słabość.

To są oczywiście sprawy błahe. Ale zaszły w nim i poważniejsze zmiany. Rolę swoją w Paryżu zaczął traktować rzeczywiście na serio. Zdawał sobie sprawę, że stał się we Francji innym człowiekiem. Oto jak kończy jeden z owoczesnych listów do mnie: „Bardzo często myślę o tobie, o rozmowach z Panią Hanią i z tobą, byłoby to pięknie zobaczyć się niedługo w Paryżu. Mam wrażenie, że zmądrzałem i jestem wcale niezłym, choć nieładnym mężczyzną".

Od tego momentu Lechoń zaczął żyć innym życiem. Była to chwila przełomowa. Teraz był radcą Lechoniem, ubranym jak z igły, w nowym kapeluszu, z wysztyftowanymi zębami. Nie zawsze był miły w tej roli nawet dla dawnych przyjaciół — ale był niezwykle czynny. Po długich trudach owoczesnych — w momencie kiedy Francja zraziła się mocno do Polski przez pakt nasz z Niemcami — udało mu się wystawić *Harnasi* Szymanowskiego w Operze Paryskiej (1936). Uczynił to dla człowieka, którego uwielbiał („Jeżeli dotąd nie pisałem o Karolu — mówi w liście z 1938 roku — to dlatego, że jego śmierć, po dwu latach niemal codziennego z nim obcowania, była dla mnie przeżyciem, o którym trudno mówić publicznie."), ale także zdając sobie sprawę ze znaczenia tego spektaklu dla stosunków polsko-francuskich.

Zmienia się wówczas całkowicie zachowanie Lechonia w stosunku do mnie. Jest z pewną atencją, ale może mniej szczery. Podczas moich wizyt w Paryżu, moich i mojej żony, spotykamy się często i na długie rozmowy. Pamiętna rozmowa „pogodzeniowa" z moją żoną w Café du Rond Point trwała do 2-ej w nocy — bo przedtem porządnie się popsztykali. Kiedyś zaprosił nas na kolację i mimo że potem chciał go gdzieś wyciągnąć „sam" Ignacy Matuszewski z Haliną Konopacką, przyszedł na umówione miejsce. Zabrał nas co prawda do tej restauracji, gdzie miał nadzieję spotkać Matuszewskiego, i bezskutecznie pod-

czas całej rozmowy popatrywał na drzwi wejściowe — ale wytrwał wiernie przy nas. Stawiał wówczas na moją karierę.

Niepotrzebnie jestem złośliwy. Zrobił bardzo dużo dla mnie w Paryżu. Przede wszystkim wydał *Panny z Wilka* i *Brzezinę* po francusku, w tłumaczeniu Pawła Cazin i z przedmową najbardziej wziętego krytyka owoczesnego, Edmonda Jaloux. Poza tym zaaranżował całą sprawę przyjęcia *Lata w Nohant* do „Comédie Française". W sprawie tej zachowała się obfita korespondencja. Ostatecznie dyrektor „Comédie Française", Bourdet, zaakceptował moją sztukę. Czytał ją w przekładzie Teresy Koerner. Sztukę miał zaadoptować komediopisarz Stève Passeur i miała pójść w sezonie 1939—1940. Wojna, a potem rychła śmierć Bourdeta stanęły na przeszkodzie temu projektowi.

Lechoń załatwiał te wszystkie sprawy niesłychanie kosztownie i bardzo niebiurokratycznie. Słynna była historia jego rachunków za telefony; tylko przez tedefon omawiał z Warszawą sprawy „Baletu Polskiego", który Szyfman przygotowywał podówczas dla Paryża. Lechoń nie miał cierpliwości do pisania listów — wolał telefonować. Ale to kosztowało sumy bajońskie. Był też w gorącej wodzie kąpany i nie zawsze umiał dopilnować rozpoczętych spraw. Tak na przykład zgadzał się ze mną w ujemnej ocenie przedmowy Jaloux do *Panien z Wilka* — ale jednocześnie tłumaczył się, że „nie dopilnował" tego, ponieważ wyjeżdżał do Jackowskich do Brukseli.

Jego stosunek do mojej twórczości zmienił się także kardynalnie. O *Pannach z Wilka* pisał do mnie do Kopenhagi:

„Jest to piękne, proste, mądre, nowe, a nie nowinkarskie, jest doskonałe, a mimo to wzruszające."

Po *Czerwonych tarczach* przysłał mi entuzjastyczny list, w którym były rzeczy i słuszniejsze, i lepiej napisane niż w obszernym artykule, jaki drukował na ten sam temat w *„Gazecie Polskiej"*. Najważniejszą częścią tego listu jest skonstatowanie powagi naszej skamandryckiej literatury, tego, że to mimo wszystko nie są „duperele", ale sprawa serio.

> Mam dziwne wrażenie — pisze Lechoń — że patrzę na coś, o czym niegdyś mówił Tomasz Mann — że nie może oto wyjść z podziwu, iż jest on tym samym niepoważnym i wesołym Tomaszem Mannem, który kiedyś był redaktorem *„Simplicissimusa"* i jednym z wielu, a jest oto dzisiaj jednym z „królów życia". ... I kiedy myślę, że to napisałeś Ty, który zawsze będziesz częścią mej młodości — myślę z melancholią i jakimś metafizycznym zdziwieniem: Ach! więc to już takie ważne rzeczy się zrobiły z tego...

Znałem dwóch Lechoniów: Lechonia warszawskiego i Lechonia paryskiego. Nie wiem, jaki był Lechoń amerykański. Z emigracji nie zwrócił się do mnie ani jednym słowem. Ale chwyta mnie prawdziwe przerażenie, już nie „metafizyczne zdziwienie", kiedy wyobrażam sobie, jak ten sam chłopiec, który dla kawału budził mnie późną nocą telegramem: „Czekam u Lija * sama. Mąż wyjechał. Loda" — skacze z dwunastego piętra hotelu „Hudson" w New Yorku. Musiał on przebyć daleką i straszliwą drogę, o której już nic nie wiem.

Sierpień 1956

Jarosław Iwaszkiewicz

---

* Lij — popularna restauracja Lijewskiego naprzeciw kościoła św. Krzyża.

Jean-Paul Sartre

ROZWAŻANIA O KWESTII ŻYDOWSKIEJ

J. P. Sartre'a „Rozważania o kwestii żydowskiej" napisane były w latach 1944—46, wydane w roku 1946. Jest to ciekawe studium socjologiczno-psychologiczne, w którym wyraźnie występują wszystkie leitmotivy filozofii egzystencjalistycznej. Ponieważ poza trzema sztukami i parozdaniową wypowiedzią w „Przeglądzie Kulturalnym" zarówno powieści Sartre'a, jak i całe jego dzieło filozoficzne są w Polsce całkowicie nieznane, wydawało nam się słusznym zamieszczenie w całości jego znakomitej i bynajmniej nie przebrzmiałej jeszcze rozprawy pt. „Rozważania o kwestii żydowskiej".

Redakcja

I

O kimś, kto osobiste swe nieszczęścia czy też nieszczęścia swego kraju przypisuje w całości lub w części obecności w społeczeństwie elementów żydowskich, kto uważa, że można zaradzić temu stanowi rzeczy pozbawiając Żydów pewnych praw, odsuwając ich od pewnych funkcji ekonomicznych czy społecznych, wypędzając ich z kraju czy też dokonując masowej ich eksterminacji — zwykło się mówić, że ma antysemickie poglądy.

Prawda, jakie to niewinne słówko?... Używa go zwykle pani domu, przerywając dyskusję, która grozi zadrażnieniem. Słówko to sugeruje, że wszystkie zapatrywania są równouprawnione, uspokaja nas i nadaje myślom pozór jak najbardziej niewinny, upodobniając je do zwyczajnych gustów. Są gusty i guściki, wszystkie poglądy są dopuszczalne: o gustach, kolorach i poglądach nie ma co dyskutować. W imię wszystkich instytucji i zdobyczy demokratycznych, w imię wolności poglądów antysemita żąda dla siebie prawa głoszenia wszędzie antyżydowskiej krucjaty. My tymczasem, przyzwyczajeni od czasów Rewolucji Francuskiej do widzenia każdej rzeczy w sposób analityczny, jako zespół elementów dający się w każdej chwili rozłożyć na czynniki pierwsze, patrzymy na otaczające nas osoby i rzeczy jak na mozaiki, w których każdy kamyczek współistnieje z innymi nie wywierając na nie najmniejszego wpływu ani też sam nie podlegając z tego powodu żadnej alteracji. I tak pogląd antysemicki wydaje nam się molekułą, która może, bez szkody dla swej natury, współistnieć z innymi, najczęściej zresztą mało ważnymi, molekułami. Człowiek może być dobrym ojcem i wiernym mężem, światłym obywatelem i wyrafinowanym intelektualistą, filantropem a ponadto antysemitą. Może być amatorem wędkarstwa i jeszcze większym amatorem rozkoszy łoża, może być tolerancyj-

ny w sprawach wiary, wypowiadać najszlachetniejsze oburzenie z racji położenia Murzynów w Afryce Środkowej a ponadto nie znosić Żydów. A nie znosi ich, jak powiadają, dlatego, że na własnej skórze przekonał się, jacy są źli, że w różnych statystykach wyczytał, jacy są niebezpieczni, że wreszcie pewne dane historyczne tak a nie inaczej ukształtowały jego sąd. Tak więc ów pogląd wydaje się być skutkiem przyczyn czysto zewnętrznych i badacze tego zagadnienia nie zajmują się w najmniejszym stopniu osobowością antysemity, sięgają natomiast do cyfr ilustrujących udział Żydów w wojsku podczas wojny 1914 roku, do statystyk wyjawiających ilość żydowskich bankierów, przemysłowców, lekarzy i adwokatów, wreszcie do całej historii Żydów we Francji. Badaczom tym uda się niewątpliwie zaobserwować pewną sytuację jak najbardziej obiektywną, warunkującą pewien nurt opinii publicznej — równie zresztą obiektywny — który nazwą antysemityzmem i którego fluktuacje śledzić będą mogli z powodzeniem na mapie nastrojów politycznych Francji od 1870 do 1944 roku.

Tak więc z jednej strony antysemityzm wydaje się być określonym, czysto subiektywnym upodobaniem, tworzącym w połączeniu z innymi upodobaniami i gustami to, co zwykliśmy nazywać osobowością ludzką, i — jednocześnie — bezosobowym zjawiskiem społecznym, dającym się ująć w cyfry i wykresy, uwarunkowanym każdorazowo konstantami ekonomicznymi, historycznymi i politycznymi.

Nie twierdzę, że te dwie koncepcje są ze sobą zasadniczo sprzeczne. Twierdzę tylko, że są niebezpieczne i fałszywe. Zgodziłbym się ostatecznie, że można mieć swój pogląd na politykę rządu w sprawie importu wina, innymi słowy, że pochwala się czy też potępia, na podstawie rzeczowych argumentów, sprowadzanie wina z Algeru bez cła, ale bo też chodzi tu jedynie o wyrażenie swego zdania o sprawach administracji państwowej. Ale nie mogę się zgodzić, aby nazywano „poglądem" doktrynę skierowaną wyraźnie przeciwko pewnej grupie ludzi i mającą na celu pozbawienie ich praw czy też wręcz ich eksterminację. Żyd, którego zniszczyć chce antysemita, nie jest istotą schematyczną i określoną jedynie przez swoją funkcję — jak w prawie administracyjnym; czy przez swoją sytuację i swe czyny, jak w prawie karnym. Jest Żydem, synem Żydów, łatwo rozpoznawalnym po swym wyglądzie, kolorze włosów, może też i po ubraniu, a jak twierdzą niektórzy, także i po charakterze. Antysemityzm nie należy do tych poglądów i myśli człowieka, które chronione być mogą przez konstytucyjną wolność przekonań.

Zresztą nie jest to ani pogląd, ani myśl. To przede wszystkim namiętność. Co prawda zdarza się często, że występuje pod maską propozycji teoretycznych. Antysemita „umiarkowany" jest uprzejmym, dobrze wychowanym panem, który wypowiada się dobrodusznie: „Ja wcale nie nienawidzę Żydów, tylko z tych czy innych względów uważam, że ich udział w życiu społecznym winien być ograniczony". Jednak w chwilę później, gdy tylko wydaje mu się, że pozyskał nasze zaufanie, dorzuca zwierzenie: „Widzi pan, w tych Żydach jednak musi coś być: czuję do nich fizyczną odrazę". Argument ten, który tylekroć słyszałem, zasługuje na uważne zbadanie. Przede wszystkim należy on do arsenału logiki uczuciowej. Trudno sobie bowiem wyobrazić kogoś, kto mógłby poważnie twierdzić: „Coś w tych pomidorach musi jednak być,

bo ja ich nie znoszę". Jednocześnie argument ten wskazuje na to, że nawet w swej postaci najbardziej umiarkowanej, najbardziej cywilizowanej antysemityzm pozostaje całością najzupełniej synkretyczną, wyrażającą się w zdaniach pozornie składnych i rozumnych, ale mogącą, przy sprzyjających okolicznościach, powodować nawet zmiany cielesne. Zdarza się, że mężczyźni ulegają nagle niemocy płciowej, dowiadując się, że kobieta, z którą obcują fizycznie, jest Żydówką. Istnieje odraza do Żyda, tak jak gdzie indziej istnieje odraza do Chińczyka czy do Murzyna. Źródła tej odrazy oczywiście nie są fizyczne, nie wypływają z ciała, skoro ten sam człowiek może kochać się w Żydówce, dopóki nie wie o jej pochodzeniu. Odraza ta podyktowana jest przez umysł, antysemityzm jest bowiem zaangażowaniem całej duszy ludzkiej i to tak silnym, namiętnym i całkowitym, że wpływa na stany fizjologiczne, zupełnie tak samo jak histeria.

Owo zaangażowanie całej duszy nie jest bynajmniej spowodowane osobistym doświadczeniem. Pytałem setki osób o powody ich antysemityzmu. Większość ograniczała się do wyliczania wad, które tradycyjnie przypisuje się Żydom. „Nie znoszę ich, bo są interesowni, nachalni, nietaktowni, bez przerwy intrygują itd." — „Czy przynajmniej zna pan choć paru Żydów, czy utrzymuje pan z nimi jakieś stosunki?" — „Ależ broń Boże, jeszcze by tego brakowało!" Pewien malarz powiedział mi: „Jestem przeciwny Żydom, bo ich obyczaj krytykowania wszystkiego i wszystkich demoralizuje nam służbę, która staje się krnąbrna i nieposłuszna". A oto dokładniejsze doświadczenia. Młody aktor, zupełne beztalencie, oświadcza mi, że Żydzi przeszkodzili mu w zrobieniu kariery na scenie, utrzymując go bez przerwy w podrzędnych rolach. Pewna młoda kobieta powiada mi: „Miałam straszne doświadczenia z kuśnierzami. Jeden mnie okradł, inny spalił futro, które mu powierzyłam. Oczywiście to wszystko byli Żydzi". Ale dlaczego postanowiła nienawidzić Żydów, a nie kuśnierzy? Dlaczego Żydów albo kuśnierzy, a nie jakiegoś konkretnego Żyda czy jakiegoś konkretnego kuśnierza? Ponieważ już uprzednio nosiła w sobie skłonność do antysemityzmu. Kolega mój, profesor gimnazjalny, twierdzi, że Żydzi „denerwują go" z powodu tysiąca drobnych niesprawiedliwości, jakie „zażydzone" ciała społeczne popełniają bez ustanku na ich korzyść. „Jeden Żyd zdał egzamin agregacyjny w tym samym roku, kiedy ja go oblałem, a nikt mi nie wytłumaczy, że ten facet, którego ojciec przyjechał gdzieś z Krakowa czy ze Lwowa, lepiej ode mnie rozumie wiersz Ronsarda czy eklogę Wirgiliusza". Z drugiej strony przyznaje, że pogardza agregacją, że to jest w ogóle „ślepy traf" i że wcale się nie przygotowywał do egzaminów. Aby więc wytłumaczyć swe niepowodzenie, używa on jednocześnie i niezależnie od siebie dwóch argumentacji, zupełnie jak ten wariat, co to w delirium wrzeszczy, że jest królem węgierskim, a zagadnięty znienacka przyznaje, że jest szewcem. Jego myśl porusza się jednocześnie na dwu różnych płaszczyznach, ale jemu to wcale nie przeszkadza. Więcej, nawet swoje ówczesne lenistwo będzie tłumaczył tym, że przecież nie było sensu przygotowywać się do egzaminu, do którego chętniej dopuszczają Żydów niż dobrych Francuzów. Zresztą i tak był dwudziesty siódmy na liście. Lepiej od niego zdało dwudziestu sześciu, z czego dwunastu uzyskało agregację, a czternastu oblało. Gdyby Żydów nie dopuszczono do egzaminu, rezultat byłby taki sam. A nawet gdyby był trzy-

nasty na liście, nawet gdyby jury, eliminując jednego z kandydatów, mogło go przyjąć na miejsce tamtego, to powstaje pytanie, na jakiej zasadzie miałby być eliminowany Żyd Weil, a nie na przykład Normandczyk Mathieu czy Bretończyk Arzell? Aby się tak oburzać, kolega mój musiał był z góry przyjąć takie, a nie inne mniemanie o Żydach, o ich charakterze i roli społecznej. I aby tak zdecydowanie twierdzić, że spośród dwudziestu sześciu szczęśliwszych od niego kandydatów tylko ten jeden jedyny Żyd ukradł mu jego miejsce, musiał był z góry założyć, że kierować się będzie w swoim życiu jedynie logiką uczuciową. Nie tylko więc z doświadczenia nie wypływa bynajmniej pojęcie Żyda jako takie, ale wręcz przeciwnie, dopiero pojęcie Żyda pozwala w pełni zrozumieć sens tych różnych doświadczeń. Gdyby Żydów nie było, wymyśliliby ich antysemici.

No, dobrze, powiedzą niektórzy, ale skoro nie można wytłumaczyć antysemityzmu doświadczeniem, to trzeba chyba szukać jego korzeni w historii. Bo przecież nie bierze się on z powietrza. Łatwo mi na to będzie odpowiedzieć: historia Francji nic nam o Żydach nie mówi. Do 1789 roku byli prześladowani, po Rewolucji zaś brali czynny udział w życiu narodu, korzystając oczywiście z wolności konkurencji i wypierając słabszych, ale w takim samym stopniu, w jakim robili to inni Francuzi: nie popełnili nigdy żadnej zbrodni przeciwko Francji, nigdy jej nie zdradzili. A jeśli niektórzy twierdzili, że ilość żołnierzy pochodzenia żydowskiego była w roku 1914 mniejsza, niż należało się spodziewać, to tylko dlatego, że zaczęli szperać w różnych statystykach, nie był to bowiem fakt rzucający się w oczy i żaden żołnierz sam z siebie nie mógł wpaść na myśl, że właściwie widzi wokół siebie zbyt mało Żydów. A ponieważ dane, jakie podaje nam historia o roli Izraela, zależą w pierwszym rzędzie od tego, jak sobie tę rolę wyobraża historyk, wydaje mi się, że lepiej będzie sięgnąć do historii obcego narodu, znaleźć tam dobitny przykład „zdrady żydowskiej" i zastanowić się nad wpływem, jaki ta „zdrada" wywarła na formowanie się współczesnego antysemityzmu. W czasie bohaterskich rewolt i powstań polskich, które zakrwawiły cały dziewiętnasty wiek, Żydzi warszawscy, oszczędzani przez carat ze względów taktycznych, okazywali powstańcom daleko idącą obojętność; z tego też powodu, nie wziąwszy udziału w powstaniach, udało im się zachować a nawet zwiększyć swe obroty towarowe w kraju zrujnowanym przez represje. Nie wiem zresztą, czy ten szczegół historyczny odpowiada prawdzie. Faktem jest jednak, że wielu Polaków tak sądzi i ten „przykład historyczny" nie pozostaje bez wpływu na ich obecny stosunek do Żydów. Ale gdy przyjrzymy się temu z bliska, łatwo tu dostrzec jakieś błędne koło: carat, jak powiadają, wcale nieźle traktował Izraelitów polskich, organizując jednocześnie liczne pogromy przeciwko Żydom rosyjskim. Ten różny sposób traktowania Żydów wypływał z jednej i tej samej przesłanki: rząd rosyjski uważał mianowicie, że zarówno w Rosji jak w Polsce Żydzi są w społeczeństwie elementem obcym, nie podlegającym asymilacji i, stosownie do potrzeb swej polityki, to maskarował ich w Moskwie i Kijowie, uważając, że osłabiają oni jedność imperium moskiewskiego, to znów faworyzował ich w Warszawie, aby w ten sposób utrzymać źródło niezgody w narodzie polskim. Polacy ze swej strony pełni byli nienawiści i pogardy dla Żydów polskich, ale powód był ten sam: oni też uważali, że Izraelici są elementem obcym, nie podlegającym

asymilacji. Będąc więc Żydami w oczach caratu i Żydami w oczach Polaków, broniąc, często nawet mimo woli, interesów żydowskich wśród obcego sobie społeczeństwa, cóż dziwnego, że ta mniejszość narodowa zachowała się wówczas zgodnie z mniemaniem, jakie o niej miano? Innymi słowy, nie „przykład historii" jest, jak widać, decydujący, lecz mniemanie o Żydach ludzi tworzących historię. To właśnie mniemanie każe współczesnym Polakom żywić pretensję do Żydów za ich ówczesne postępowanie: wyrzucanie wnukom win popełnionych przez dziadów świadczy w ogóle o dość prymitywnym poczuciu odpowiedzialności. Ale nie tylko: znaczy też, że mniemanie o współczesnych Żydach urobiono sobie na podstawie postępowania tamtych, dziewiętnastowiecznych, znaczy też, że niesposób spodziewać się po dzieciach czego innego, niż dokazali ojcowie, znaczy też nareszcie, że charakter żydowski należy uważać za dziedziczny. I wobec tego Polacy w 1940 roku traktowali Izraelitów jako Żydów, dlatego tylko, że tak traktowali współczesnych sobie Izraelitów ich przodkowie z 1848 roku. I być może niewiele brakowało, aby, przy sprzyjających okolicznościach, to tradycyjne o nich mniemanie kazało dzisiejszym Żydom polskim zachować się tak, jak zachowali się ich przodkowie w dziewiętnastym wieku. Jak więc widzimy, nie w historii szukać należy źródeł takiego czy innego mniemania o Żydach, ale, wręcz przeciwnie, to z góry powzięte mniemanie o Żydach wydaje się często determinować bieg historii. A ponieważ wysuwa się często także argument „społeczny", przyjrzyjmy mu się z bliska a i tu znajdziemy to samo błędne koło. Powiadają, że we Francji jest za dużo adwokatów Żydów. Ale czy przyszłoby komu na myśl twierdzić, że we Francji jest za dużo adwokatów rodem z Normandii? A gdyby nawet wszyscy Bretończycy byli lekarzami, czy nie mówiono by po prostu, że „Bretania zaopatruje całą Francję w lekarzy"? No, nie, powiedzą niektórzy, to przecież nie to samo. Oczywiście, że nie to samo, ale właśnie dlatego, że Normndczyków uważamy za Normandczyków, a Żydów za Żydów. I tak z każdej strony wracamy do mniemania o Żydach, do pojęcia Żyda, które wydaje się zawsze decydujące.

Jasne już dla nas się stało, że żaden czynnik zewnętrzny nie może wprowadzić antysemityzmu do mentalności antysemity. Antysemityzm jest wolnym, całkowitym, totalnym wyborem samego siebie, stanowiskiem globalnym, które zajmuje się nie tylko w stosunku do Żydów, ale także w stosunku do innych ludzi, do historii i do społeczeństwa; jest to jednocześnie i namiętność, i światopogląd. Niewątpliwie u niektórych antysemitów jedna cecha charakteru będzie bardziej rozwinięta niż u innych, ale wszystkie cechy antysemity istnieją jednocześnie w każdym antysemicie i wzajem na siebie oddziaływują. Tę to właśne synkretyczną całość postaramy się teraz opisać.

Napisałem przed chwilą, że antysemityzm ma wszelkie cechy namiętności. Każdy rozumie, że chodzi o uczucie nienawiści czy też gniewu. Ale na ogół zarówno gniew jak nienawiść są czymś spowodowane: nienawidzę tego człowieka, bo zadał mi ból, drwi ze mnie czy mnie obraża. Tymczasem, jak widzieliśmy, namiętność antysemicka bynajmniej nie potrzebuje żadnej podniety z zewnątrz: wyprzedza ona fakty, które miałyby ją sprowokować, wymyśla je sama, aby móc w nich znaleźć dla siebie pożywienie, i nawet musi je często odpowiednio interpretować, aby mogły wyglądać obraźliwie.

Zresztą wystarczy zagadnąć antysemitę o Żydów, żeby natychmiast okazał najwyższą irytację. A wiedząc skądinąd, że nasz gniew nigdy się nie objawia bez naszego przyzwolenia, że jak to słusznie podkreśla etymologia, człowiek się zawsze musi rozgniewać, przyjąć musimy, że antysemita wybrał ten uczuciowy sposób bycia. Nie jest to zresztą rzeczą rzadką, że ludzie wybierają raczej uczuciowy niż rozumowy sposób bycia. Ale na ogół kocha się przedmioty swego uczucia: kobiety, sławę, władzę, pieniądze. Skoro jednak antysemita wybiera nienawiść, wnioskować należy, że lubuje się on w stanie namiętności, a nie w jej przedmiocie. Zazwyczaj ten rodzaj namiętności nie budzi sympatii: mężczyzna, namiętnie pożądający jakiejś kobiety, jest wprowadzony w stan namiętności przez kobietę, a nie przez namiętność. Trzeba się wystrzegać rozumowania emocjonalnego, które stara się wszystkimi sposobami dowieść słuszności zdania podyktowanego przez miłość, zazdrość czy nienawiść; trzeba się wystrzegać obłędów uczuciowych i tego, co nazywamy *idée-fixe*. Tymczasem właśnie taki sposób rozumowania wybiera zawsze antysemita. Ależ jak można, spytają niektórzy, świadomie wybierać fałszywe rozumowanie? Można, gdy się chce być nieprzeniknionym. Człowiek kierujący się rozumem męczy się i szuka, wie, że jego rozumowanie jest najwyżej prawdopodobne, że jakieś nowe względy rychło je znów obalą, on nie wie, dokąd zdąża, jest „otwarty", niektórzy sądzą, że ciągle się waha. Ale są też ludzie, co marzą o niewzruszoności kamienia. Chcieliby być nieprzeniknięci, z jednej bryły, nie chcą się zmieniać: gdzieżby ich zmiana doprowadziła? Chodzi tu o pierworodny strach przed sobą samym i przed prawdą. A boją się nie tyle treści prawdy, której nawet nie podejrzewają, ile samej jej formy, przedmiotu nieskończonego zdążania. To tak jakby ich własne istnienie wisiało wiecznie na włosku. A tymczasem oni chcą istnieć całkowicie i zaraz, natychmiast. Wzdragają się oni przed poglądami nabytymi drogą doświadczenia czy rozumowania, uznają tylko wrodzone; a ponieważ jak ognia boją się rozumowania, wybierają ten sposób bycia, w którym rozumowanie i poszukiwanie prawdy mają jedynie podrzędne znaczenie, w którym szuka się tylko tego, co się już było znalazło, w którym człowiek staje się tylko tym, czym już uprzednio był. Namiętność jest właśnie takim sposobem bycia, i tylko ona. Jedynie silna namiętność może zapewnić człowiekowi olśniewającą pewność, jedynie ona może utrzymać na więzi władze rozumowe, ona jedynie oprzeć się potrafi doświadczeniu i przetrwać niewzruszona przez całe życie. Antysemita wybrał nienawiść, bo nienawiść jest wiarą objawioną; raz na zawsze dokonał wyboru, będzie odtąd deprecjonował słowa i argumenty. Spójrzcie, jak on się teraz swobodnie czuje, jak śmieszne i niemądre wydają mu się wszystkie dyskusje o prawach Żydów: on postawił się z miejsca na innej płaszczyźnie. Jeśli jeszcze, przez uprzejmość, godzi się od czasu do czasu bronić swego punktu widzenia, robi to jakby półgębkiem, jakby od niechcenia. Nie argumentuje, usiłuje jedynie przekazać innym intuicyjną pewność swych racji. Cytowałem uprzednio kilka takich antysemickich powiedzonek, wszystkie były równie bzdurne. „Nienawidzę Żydów, bo uczą służbę krnąbrności, bo kuśnierz Żyd mnie okradł itd". Ale nie myślcie, że antysemici nie zdają sobie zupełnie sprawy z bzdurności tego rodzaju argumentów. Wiedzą oni doskonale, że słuszność tych racji jest co najmniej wąt-

pliwa, wręcz śmieszna, ale ich to właśnie bawi. Ich przeciwnik, i owszem, on ma obowiązek dobierania właściwych słów i argumentów, bo on wierzy w słowa; oni nie, oni mają prawo bawić się słowami. Zresztą oni nawet lubią bawić się w ten sposób, bo podając idiotyczne argumenty deprecjonują tym samym powagę swych przeciwników; nieuczciwość intelektualną uprawiają z rozkoszą, bo nie chodzi im przecie o przekonanie przeciwnika mądrymi argumentami, lecz o zdezorientowanie go i onieśmielenie. Jeśli przyciskacie ich do muru, zamykają się natychmiast i oświadczają dumnie, że już minął czas potyczek słownych; nie dlatego, aby bali się, że ktoś ich przekona: boją się tylko ośmieszenia czy też wrażenia, jakie ich zakłopotanie wywrzeć będzie mogło ewentualnie na kimś trzecim, kogo chcą pozyskać dla swej wiary.

Jeśli więc antysemita jest, jak każdy mógł się przekonać, nieprzenikniony zarówno wobec doświadczenia jak i wobec rozumowania, to bynajmniej nie dlatego, że przekonanie jego jest tak silne. Przeciwnie, właśnie dlatego przekonanie jego jest tak silne, że postanowił z góry być nieprzenikniony.

Postanowił też z góry, że będzie groźny. Wszyscy boją się go irytować. Nikt nie wie, do jakich skrajności może go doprowadzić obłęd jego namiętności; on jeden wie, bo namiętność ta nie jest sprowokowana z zewnątrz. Pozostaje on zawsze jej panem, popuszcza jej na tyle tylko, na ile chce, czasami daje jej trochę luzu, czasami ściąga cugle. On się nie boi sam siebie, ale w oczach innych ludzi widzi jakiś niepokojący obraz, który jest jego obrazem, i usiłuje swoje słowa i czyny upodobnić do tego obrazu. Ten model zewnętrzny zwalnia go z poszukiwania swej osobowości w sobie samym; postanowił istnieć tylko zewnętrznie, nigdy nie odwracać się ku sobie, być niczym innym jak strachem, którym napawa innych: stokroć bardziej jeszcze od rozumu boi się swojej własnej świadomości. Ale, powiedzą może niektórzy, jeśli on jest taki tylko w odniesieniu do Żydów? Jeśli we wszystkich innych sprawach swego życia zachowuje się rozumnie? Odpowiadam, że to niemożliwe. Wiem o pewnym handlarzu ryb, który w 1942 roku, rozdrażniony przez konkurencję, jaką mu robiły dwa inne sklepy rybne należące do ukrywających się Żydów, pewnego pięknego poranku napisał na nich donos do Gestapo. Zapewniano mnie, że był to skądinąd miły i sympatyczny człowiek, najspokojniejszy typ pod słońcem. Nie wierzę. Człowiek, który potrafi wydać innych ludzi na śmierć, nie może mieć takiego samego jak my pojęcia o tym, co ludzkie. Nawet jeśli jest dla kogoś dobry, to jego dobroć jest specyficzna, jego ofiarność i łagodność nic nie mają wspólnego z naszą łagodnością i z naszą ofiarnością. Namiętności niesposób zlokalizować.

Antysemita chętnie przyznaje, że Żydzi są inteligentni i pracowici; może się nawet zgodzić, że nie dorównuje im pod tym względem. Takie wyznanie niewiele go kosztuje: obie te cechy charakteru ujął w cudzysłowy. Albo raczej cała wartość cech charakteru polega dla niego na tym, kto nimi dysponuje: Żyd, im więcej posiada cech dodatnich, tym jest niebezpieczniejszy. O sobie natomiast antysemita nie ma wygórowanego wyobrażenia. Uważa się za zwykłego człowieka, za przeciętność, ba, prawie za miernotę: nie ma wypadku, żeby antysemita rościł sobie pretensje do przewagi intelektualnej nad Żydami. Ale nie należałoby sądzić, że ta jego mierna przeciętność go zawsty-

dza, przeciwnie, lubuje się w niej, powiedziałbym nawet, że ją wybrał. Człowiek ten obawia się wszelkiej samotności, tak samotności geniusza, jak i samotności zbrodniarza: to jest człowiek z tłumu. Choćby był nie wiem jak małego wzrostu, on i tak jeszcze się schyla w obawie, aby przypadkiem nie wychylić głowy ze stada i nie popatrzeć w oczy samemu sobie. Jeśli stał się antysemitą, to dlatego, że nie można nim być w pojedynkę. Słowa „nienawidzę Żydów" należą do tych, które wymawia się wspólnie z innymi ludźmi; wypowiadając je przystępuje się do pewnej tradycji i do pewnej wspólnoty ludzkiej — do wspólnoty przeciętności. Trzeba jednak podkreślić, że ta jego zgoda na przeciętność bynajmniej nie kryje w sobie ani pokory, ani skromności. Wprost przeciwnie: istnieje namiętna wręcz duma ludzi przeciętnych, a antysemityzm jest właśnie próbą rewaloryzacji przeciętności jako takiej, próbą utworzenia elity przeciętności. Dla antysemity inteligencja jest cechą żydowską, może też nią pogardzać w spokoju ducha, jak zresztą i wszystkimi innymi żydowskimi zaletami. Według niego są to jedynie namiastki, używane przez Żydów w zastępstwie owej zrównoważonej przeciętności, która jest dla nich niedościgła. Prawdziwy Francuz, wrośnięty korzeniami w glebę swojej prowincji, swojego kraju, niesiony dwutysiącletnią tradycją, korzystający z mądrości nagromadzonej przez pokolenia przodków, prowadzony przez obyczaje wypróbowane przed wiekami, n i e p o t r z e b u j e być inteligentny. Podstawą jego mądrości jest przyswojenie sobie wartości włożonych przez pracę stu pokoleń w otaczające go przedmioty, podstawą jego mądrości jest własność prywatna. Oczywiście własność odziedziczona, nie kupiona. Antysemita wykazuje całkowite, zasadnicze niezrozumienie wszelkich innych, współczesnych form własności, jak pieniądze, akcje etc. To są wszystko abstrakcje, pojęcia, które są może zrozumiałe dla oderwanej inteligencji semity. Akcja nie należy do nikogo, skoro może należeć do wszystkich, a poza tym jest to tylko oznaka bogactwa, a nie konkretne jakieś dobro. Antysemita uznaje tylko jedną formę przywłaszczenia, najprymitywniejszą, feudalną, opartą na jakimś wręcz magicznym stosunku posiadania, w której zarówno przedmiot posiadania jak i posiadający połączeni są więzami wspólnego uczestnictwa w jakimś mistycznym misterium; zaiste antysemita jest mistykiem renty gruntowej. Przeistacza ona posiadającego i obdarza go szczególną i konkretną wrażliwością. Oczywiście wrażliwość ta nie jest zwrócona ku prawdom wiecznym, wartościom powszechnym: to, co powszechne, jest żydowskie, bo jest przedmiotem dociekań rozumu. Wrażliwość ta natomiast uczulona będzie właśnie na to, czego rozum, inteligencja uchwycić nie może. Innymi słowy zasadą antysemityzmu jest, że konkretne posiadanie jakiegoś pojedynczego przedmiotu zapewnia w sposób magiczny zrozumienie jego sensu. Tak twierdzi przynajmniej Maurras: żaden Żyd nigdy nie będzie w stanie zrozumieć wiersza Racine'a:

Dans l'Orient désert, quel devint mon ennui.

A dlaczego j a, ja, miernota intelektualna, dlaczego ja mogę zrozumieć wiersz, którego sens i piękno wymykają się najbardziej subtelnemu umysłowi, najbardziej wyrafinowanej inteligencji? Bo p o s i a d a m Racine'a, bo Racine do mnie należy. I Racine, i język, którym mówię, i ziemia, po której

stąpam. Żyd może przemawiać piękniejszą francuszczyzną ode mnie, może lepiej ode mnie znać składnię i gramatykę, może być nawet pisarzem — to wszystko nie jest ważne. On mówi tym językiem dopiero od lat dwudziestu, a ja od lat tysiąca. Poprawność jego francuszczyzny jest abstrakcyjna, wyuczona; moje zaś błędy językowe są zgodne z duchem języka. Łatwo w tym rozumowaniu rozpoznać tok myślenia Barrèsa w jego filipikach przeciwko giełdziarzom. Czy Żydzi nie są zresztą giełdziarzami narodu? Wszystko, co można zdobyć inteligencją, wszystko, co można kupić za pieniądze, oddajemy im z ochotą — to się nie liczy. Liczą się jedynie wartości irracjonalne, a te są dla nich na zawsze niedostępne. W ten sposób antysemita, od samego początku, staje się faktycznie wyznawcą irracjonalizmu. Przeciwstawia się Żydom tak, jak uczucie przeciwstawia się rozumowi, jak poszczególne przeciwstawia się powszechnemu, jak przeszłość przyszłości, jak konkret abstrakcji, jak właściciel nieruchomości właścicielowi ruchomości. Zresztą, jeśli o to chodzi, wielu antysemitów — może nawet ich większość — rekrutuje się właśnie spośród drobnej burżuazji miejskiej; są to przeważnie urzędnicy, pracownicy umysłowi, drobni kupcy nie posiadający żadnego majątku. Ale właśnie przeciwstawiając się Żydom budzą oni w sobie nagle świadomość posiadaczy: wyobrażając sobie Żydów jako złodziei stawiają się w przyjemnym położeniu ludzi, którzy mogliby być każdej chwili okradzeni; ponieważ Żydzi chcą im ukraść Francję, to znaczy, że Francja do nich należy. Wybrali więc oni antysemityzm jako sposób urzeczywistnienia swej cechy posiadaczy. Żyd ma więcej pieniędzy od nich? Tym lepiej, to znaczy, że pieniądze też są żydowskie, będą mogli pogardzać nimi, tak jak pogardzają inteligencją. Ubożsi są od właściciela ziemskiego z Périgord czy bogatego kułaka z Beauce? Nie szkodzi: wystarczy, aby wzbudzili w sobie szlachetny, mściwy odruch gniewu przeciwko tym izraelickim złodziejom, a poczują zaraz wokół siebie obecność solidarną całego narodu. Prawdziwi Francuzi, dobrzy Francuzi są wszyscy równi, bo każdy z nich posiada dla siebie na własność całą niepodzielną Francję. Dlatego też chętnie nazwałbym antysemityzm pewnego rodzaju snobizmem ubogich. Wydaje się bowiem, że większość ludzi bogatych raczej wykorzystuje tę namiętność, niż się jej poddaje: mają oni co innego do roboty. Namiętność ta natomiast szaleje wśród klas średnich, właśnie dlatego, że nie posiadają one ani ziemi, ani pałaców, ani domów, tylko trochę płynnej gotówki i czasami parę akcji. To wcale nie przypadek sprawił, że drobna burżuazja niemiecka w 1925 roku była tak gwałtownie antysemicka. Ów „proletariat w sztywnych kołnierzykach" marzył tylko o tym, żeby się czymś odróżnić od prawdziwego proletariatu. Zrujnowany przez wielki przemysł, upokarzany przez junkrów, właśnie junkrom i wielkim przemysłowcom oddał wszystkie swe siły i marzenia. Oddawał się antysemityzmowi z takim samym zapałem, z jakim nosił miejskie ubranie — d l a t e g o, że robotnicy byli internacjonalistami, dlatego, że junkrzy byli właścicielami całych Niemiec, a on też chciał być właścicielem. Antysemityzm to nie tylko zresztą rozkosz nienawidzenia, darzy on także rozkoszami pozytywnymi: traktując Żydów jako złowrogie istoty niższego gatunku, dowodzę tym samym, że ja należę do elity. A ta elita, różniąca się całkowicie od elit współczesnych, opierających się na zasługach, pracy czy umiejętności, do złudzenia przypomina arystokrację z urodzenia. Niczego nie muszę dokonywać, aby za-

służyć na tę wyższość, i choćbym nie wiem co popełnił, nie może mi ona być odebrana. Jest ona dana raz na zawsze: to już jest rzecz.

Nie należałoby mylić tej zasadniczej wyższości z wartością. Antysemicie wcale tak bardzo nie zależy, aby być człowiekiem wartościowym. Wartości trzeba szukać, tak samo jak prawdy, zdobywa się ją z trudem, trzeba sobie na nią zasłużyć, a gdy się ją osiągnie, stale pozostaje pod znakiem zapytania. Wystarczy jeden fałszywy krok, jeden błąd i już po niej. Dlatego bez ustanku, od początku do końca naszego życia, jesteśmy odpowiedzialni za to, ile jesteśmy warci. Antysemita ucieka przed odpowiedzialnością, jak ucieka przez własnym sumieniem. Tak jak umysł jego wybrał mineralną niewzruszoność głazu, tak moralność wybiera skalę sztywnych, skamieniałych wartości. Wie, że cokolwiek uczyni, pozostanie na szczycie tej skali, tak jak Żyd, cokolwiek uczyni, nie przekroczy nigdy najniższego jej stopnia. Zaczynamy powoli rozumieć sens tego wyboru samego siebie, jakiego dokonał antysemita: w obawie przed wolnością wybrał nieuniknioność, w obawie przez samotnością — przeciętność, i tę nieuniknioną przeciętność próbuje teraz, powodowany dumą, przekształcić w rodzaj arystokracji. Dla dokonania tych wszystkich subtelnych operacji istnienie Żydów jest absolutnie niezbędne: inaczej komu okazywałby swą wyższość? Więcej. Dopiero wobec Żydów i jedynie wobec Żydów antysemita może się urzeczywistnić jako podmiot prawa. Gdyby jakimś cudem wszyscy Żydzi, zgodnie z jego marzeniem, ulegli nagle zagładzie, stałby się na powrót zwyczajnym stróżem czy handlarzem w społeczeństwie mocno zhierarchizowanym, gdzie godność „prawdziwego Francuza" nie miałaby żadnej wartości, bo wszyscy by ją posiadali, straciłby poczucie wyłączności swych praw do ojczyzny, bo nikt by ich nie kwestionował, a ta głęboka równość i solidarność, jaką dzielił z arystokratą i bogaczem, rozwiałaby się nagle jak mgiełka, będąc wartością jedynie negatywną. Swoje niepowodzenia w życiu, które przypisywał dotychczas nielojalnej konkurencji żydowskiej, musiałby czym prędzej przypisać czemu innemu albo też zastanowić się nad sobą; w rezultacie popadłby w zgorzknienie i melancholiczną nienawiść do klas posiadających. Tak więc antysemita ma to osobliwe nieszczęście, że nie może się obyć ani chwili bez wroga, którego tak bardzo chce zniszczyć.

Ów egalitaryzm, tak skrzętnie poszukiwany przez antysemitę, nie ma zresztą nic wspólnego z równością wypisaną w programach wszystkich demokracji. Ta ostatnia winna być urzeczywistniona w społeczeństwie gospodarczo zhierarchizowanym i nie powinna być sprzeczna z różnorodnością funkcji społecznych. Ale antysemita żąda równości Aryjczyków przeciwko hierarchii funkcji społecznych. Antysemita nic nie rozumie z podziału pracy i nic go on nie obchodzi. Dla niego każdy obywatel ma prawo uważać się za Francuza, nie dlatego bynajmniej, że współuczestniczy na swoim miejscu, w swoim zawodzie, razem z innymi, w życiu gospodarczym, społecznym i kulturalnym kraju, ale dlatego, że posiada, tak samo jak każdy inny „prawdziwy" Francuz, wrodzone, niezaprzeczalne prawa do całego, niepodzielnego terytorium Francji. Tak więc ideałem społeczeństwa dla antysemity jest społeczeństwo solidarystyczne, jak zresztą łatwo było się domyślić, skoro ideałem własności jest dla niego renta gruntowa. A ponieważ antysemitów jest niemało, każdy z nich przyczynia się do ukonstytuowania w łonie zorganizowanego społeczeństwa pewnej wspólnoty

nacechowanej mechaniczną solidarnością. Stopień przynależności każdego antysemity do tej wspólnoty jak i jego zabarwienie egalitarne zależne są od tego, co nazwałbym temperaturą społeczeństwa. Proust pokazał, na przykład, jak dalece antydreyfusizm zbliżył księcia pana do jego woźnicy, w jaki sposób burżuazja, dzięki swej nienawiści do Dreyfusa, potrafiła sforsować niedostępne dla niej uprzednio salony arystokratyczne. Bowiem owa wspólnota egalitarna, na którą powołuje się antysemita, jest podobna do tłumu czy do tych społeczności spontanicznych, które rodzą się przy okazji lynchu czy skandalu. Równość jest w niej wynikiem nierozróżniania funkcji społecznych. Jedyną więzią społeczną jest gniew; społeczność ta nie ma innego celu przed sobą, jak wywarcie na pewnych osobnikach pewnej sankcji represyjnej; impulsy i wyobrażenia kolektywne tym łatwiej narzucają się poszczególnym jednostkom, że żadna z nich nie jest chroniona swą specjalizacją w jakiejś funkcji społecznej. Toteż osobowości toną w tłumie i sposób myślenia, reakcje grupy są najzupełniej prymitywne. Oczywiście tego rodzaju wspólnoty rodzą się nie tylko z antysemityzmu: jakieś rozruchy, jakaś zbrodnia, jakaś niesprawiedliwość mogą je błyskawicznie powołać do życia. Ale są to wówczas formacje przejściowe, które rozwiązują się wkrótce, nie pozostawiając żadnych śladów. Antysemityzm jednak przeżywa każdą wielką falę nienawiści przeciwko Żydom i bynajmniej nie zanika; społeczność uformowana przez antysemitów istnieje jakby w stanie spoczynku także i w czasie spokoju i każdy antysemita chętnie się na nią powołuje. Nie rozumiejąc zasad współczesnej organizacji społeczeństwa, tęskni on do okresów zaburzeń społecznych, gdy budzi się nagle prymitywna wspólnota i osiąga temperaturę wrzenia. Marzy o tym, aby jego osobowość roztopiła się nagle w tłumie i została uniesiona przez wezbrany, kolektywny potok gniewu. Tę to właśnie atmosferę pogromów ma na myśli, gdy wielkim głosem woła o „zjednoczenie wszystkich Francuzów". W tym sensie zresztą antysemityzm jest w demokracji podstępną formą walki obywatela z władzami republikańskimi. Spytajcie którego z tych młodych ludzi, którzy łamiąc cichaczem prawo rzucają się kupą w ciemnej ulicy na bezbronnego Żyda: powie wam na pewno, że pragnie rządów silnej ręki, które zdjęłyby z niego przytłaczającą odpowiedzialność własnego myślenia. Ponieważ Republika jest rządem słabej ręki, zamiłowanie do posłuszeństwa popycha go do łamania prawa. Ale czy naprawdę chodzi mu o rządy silnej ręki? W rzeczywistości chciałby innych poddać bezwzględnej dyscyplinie zachowując dla siebie przywilej nierządu bez żadnej odpowiedzialności; chciałby postawić się ponad prawem i umknąć jednocześnie świadomości swojej wolności i swojej samotności. Używa więc pewnego wybiegu: Żydzi uczestniczą w wyborach, są czasami w rządzie — to znaczy, że władza legalna jest zgniła od podstaw; ba — że w ogóle jej nie ma i że wobec tego wolno nie podporządkowywać się jej dekretom. Nie ma tu nawet mowy o nieposłuszeństwie, nie można być nieposłusznym wobec czegoś, co nie istnieje. W ten sposób dla antysemity istnieje Francja r z e c z y w i s t a z r z e c z y w i s t y m, choć nie istniejącym rządem i Francja abstrakcyjna, oficjalna, zażydzona, przeciwko której należy walczyć. Oczywiście ta permanentna rebelia jest wyrazem całej grupy, antysemita bowiem w żadnym wypadku nie jest zdolny do myślenia czy działania w pojedynkę. Grupa ta zresztą też nie występuje jako zorganizowana partia

opozycyjna: bowiem partia polityczna musi ułożyć jakiś program, ustalić jakąś linię generalną postępowania a to wszystko suponuje inicjatywę, odpowiedzialność, wolność. Tymczasem grupy antysemickie nie chcą niczego wymyślać, nie chcą podejmować żadnej odpowiedzialności, odżegnywują się ze wstrętem od sugestii, że reprezentują część francuskiej opinii publicznej. Wtedy trzeba by wymyślać program, szukać legalnych sposobów działania. Im wystarczy przeświadczenie, że wyrażają w całej rozciągłości i w całkowitej bierności pogląd całego rzeczywistego kraju. Każdy antysemita jest więc, w różnym zresztą stopniu, wrogiem legalnej władzy państwowej, chce być zdyscyplinowanym członkiem niezdyscyplinowanej grupy. Kocha porządek, ale porządek społeczny. Można by powiedzieć, że usiłuje zburzyć porządek polityczny, aby na gruzach jego restaurować porządek społeczny. Ten ostatni widzi w postaci społeczeństwa prymitywnie egalitarnego i solidarystycznego, o dość wysokiej temperaturze, z którego Żydzi byliby wykluczeni. Dzięki tym swoim zasadom antysemita używać może dość dziwacznej niezależności, którą nazwałbym wolnością na opak. Bo autentyczna wolność zaczyna się od pojęcia odpowiedzialności, a wolność antysemity sprowadza się do uniku przed własną odpowiedzialnością. Zawieszony w powietrzu pomiędzy społeczeństwem autorytatywnym, którego jeszcze nie ma, a społeczeństwem oficjalnym i tolerancyjnym, którego uznać nie chce, antysemita może pozwalać sobie na wszystko bez obawy, że uznany będzie za anarchistę, co napawałoby go wstrętem. Surowa powaga jego celów, której nie jest w stanie wyrazić żadna rozmowa, żadne przemówienie, żaden czyn, pozwala mu na pewną lekkość i niefrasobliwość w sposobie bycia. Jest chuliganem, robi kawały, bije Żydów, odsiaduje drobne kary więzienia, kradnie — wszystko to dla wyższych celów. Jeśli rząd jest silny, fala antysemityzmu opada, chyba że antysemityzm jest wpisany do programu rządowego. Ale wtedy już zmienia on swój charakter. Mimo iż jest wrogiem Żydów, antysemita nie może się bez nich obejść; mimo iż jest antydemokratą, antysemita jest naturalnym wytworem demokracji i egzystować może jedynie w ramach Republiki.

Zaczynamy więc rozumieć zwolna, że antysemityzm nie jest tylko „poglądem" na sprawę żydowską, że jest natomiast zaangażowaniem się całej osobowości antysemity. Ale na tym jeszcze nie koniec. Antysemityzm nie zadowala się bynajmniej ustalaniem dyrektyw moralno-politycznych, jest także, sam w sobie, sposobem myślenia i światopoglądem. Niesposób bowiem twierdzić tego, co on twierdzi, nie powołując się tym samym na pewne określone postawy intelektualne. Żyd, głosi on, jest całkowicie zły, całkowicie żydowski. Jego zalety, przyjąwszy nawet, że ma zalety, zamieniają się w wady z tego tylko powodu, że należą do niego. Przedmioty, wychodzące z jego rąk, napiętnowane są żydostwem: jeśli wybuduje most, ten most, będąc żydowskim mostem, będzie zły od pierwszego do ostatniego przęsła. Ten sam uczynek wykonany przez Żyda i przez chrześcijanina nie ma bynajmniej tego samego znaczenia w obydwu wypadkach. Żyd kala wszystko, czego się tylko dotknie. Niemcy w pierwszym rzędzie zakazali Żydom wstępu na baseny pływackie — wydawało im się, że jeśli ciało Żyda zanurzy się w tej uwięzionej wodzie, cała ona będzie skalana. Żyd — jak najbardziej dosłownie — kala także powietrze, którym oddycha. Jeśli spróbujemy sformułować w pojęciach oderwanych za-

sadę, na jaką powołuje się powyższe rozumowanie, otrzymamy twierdzenie następujące: całość jest czymś więcej i czymś innym niż suma składników, całość decyduje o sensie i właściwościach komponujących ją składników. Nie istnieje jedna i ta sama odwaga, na przykład, wchodząca w skład charakteru Żyda czy też chrześcijanina, tak jak tlen wchodząc w związek z azotem tworzy powietrze, a z wodorem — wodę. Przeciwnie, każda osobowość tworzy całość nie podlegającą rozkładowi na elementy pierwsze, posiadającą swoją odwagę, swoją ofiarność, swój sposób myślenia, śmiania się, picia i jedzenia. Nie znaczy to nic innego, jak tylko to, że antysemita, aby zrozumieć świat, ucieka się do myślenia syntetycznego. Tylko syntetyczne myślenie pozwala mu wyobrazić siebie w nierozłącznym związku z całą Francją rzeczywistą. W imię myślenia syntetycznego pogardza on typowo analityczną i krytyczną myślą Izraelitów. Ale trzeba to sprecyzować dokładniej, bowiem od pewnego czasu, na prawicy i na lewicy, zarówno wśród konserwatystów jak i wśród socjalistów, daje się zauważyć nawrót do zasad myślenia syntetycznego przeciwko myśleniu analitycznemu, które legło u podstaw demokracji burżuazyjnej. Ale nie mogą to być te same zasady dla jednych i drugich, a raczej jedni i drudzy inaczej tych zasad używają. Przyjrzyjmy się z bliska, jaki użytek robi z nich antysemita.

Antysemityzm jest niespotykany wśród robotników. A to dlatego, powiadają niektórzy, że nie ma wśród nich Żydów. Argument absurdalny, bowiem przyjmując, że to prawda, byłby to właśnie dodatkowy powód do rozgoryczenia. Hitlerowcy zdawali sobie dobrze z tego sprawę i wtedy, gdy nastawili swą propagandę na proletariat, zaczęli lansować slogan „żydowskiego kapitalizmu". A przecież klasa robotnicza myśli kategoriami syntetycznymi, nie używa jednak metody antysemickiej. Nie rozdziela całości według danych technicznych, ale według funkcji ekonomicznych. Burżuazja, chłopstwo, proletariat — oto są całości syntetyczne, jakimi się zajmuje. W tych całościach z kolei dostrzega drugorzędne struktury syntetyczne: robotnicze związki zawodowe, syndykaty fabrykantów, trusty, kartele, partie polityczne. W ten sposób jej interpretacja zjawisk historycznych doskonale odpowiada zróżnicowanej strukturze społeczeństwa, opartego na podziale pracy. Według klasy robotniczej historia wynika z działania czynników ekonomicznych i ze współoddziaływania na nie grup syntetycznych.

Większość antysemitów natomiast należy do klas średnich, to znaczy do ludzi posiadających taką samą, jeśli nie wyższą, stopę życiową, jak większość Żydów, albo, jeśli kto woli, do warstw nieproduktywnych ekonomicznie (fabrykanci, kupcy, urzędnicy, wolne zawody, pośrednicy, różnego rodzaju pasożyty). W rzeczywistości bowiem burżuazja nie produkuje: ona kieruje, administruje, rozdziela, kupuje i sprzedaje. Jej funkcją społeczną jest stały kontakt z konsumentem, innymi słowy działalność jej polega na ustawicznym kontakcie z ludźmi, podczas gdy klasa robotnicza, z racji wykonywanego zawodu, utrzymuje stały kontakt z rzeczami. Każdy sądzi o historii według wykonywanego przez siebie zawodu. Nauczony, uformowany przez codzienne swoje zmagania z materią robotnik widzi w społeczeństwie produkt rzeczywistych sił społecznych, działających z bezwzględną logiką praw ekonomicznych. Jego „materializm" dialektyczny oznacza po prostu, że w ten

sam sposób podchodzi do świata zjawisk społecznych, jak do świata materii. Burżuj natomiast, a antysemita w szczególności, woli interpretować historię jako wynik działania subiektywnej woli ludzkiej. Czyż nie od niej zależy, w wykonywanym przez niego zawodzie, jego własny los? * W stosunku do zjawisk społecznych zachowują się tak, jak prymitywne plemiona dzikich, obdarzające wiatr czy słońce jakąś duszą. Intrygi, zmowy, nikczemność jednego człowieka, odwaga i uczciwość innego — oto co stanowi o losach ich prywatnego handelku, oto co stanowi o losach świata. Antysemityzm, zjawisko burżuazyjne, wygląda więc na próbę interpretacji zjawisk społecznych poprzez inicjatywę osób prywatnych.

Zdarza się zresztą, że proletariat karykaturuje na swoich afiszach czy też w swojej prasie „burżuja" tak, jak antysemita karykaturuje „Żyda". Ale to zewnętrzne podobieństwo nie powinno nas mylić. Dla robotnika burżuj jest jedynie produktem określonego porządku społecznego, określonych czynników zewnętrznych, dlatego też można go sprowadzić do pewnej całości syntetycznej tych wszystkich czynników zewnętrznych. Jest to kompleksowy zespół r e a k c j i. Dla antysemity Żyd jest Żydem dlatego, że posiada w sobie pewną dozę „żydostwa". Jest to taki pierwiastek żydowski, analogiczny do flogistyki czy też do właściwości usypiających maku. Nie dajmy się zwieść: wszelkie tłumaczenia, oparte na dziedziczności i rasie, dorobione zostały dopiero później i służą jako pseudonaukowe alibi temu prymitywnemu przekonaniu. Na długo przed Mendlem i przed Gobineau istniał wstręt do Żydów i ci, którzy go odczuwali, mogli go uzasadnić jedynie w taki sam sposób, w jaki Montaigne uzasadniał swą przyjaźń do La Boëtie: „Bo to jest on, bo to jestem ja". Bez tej metafizycznej właściwości wszelkie machiawelliczne działania przypisywane Żydom pozostawałyby najzupełniej niezrozumiałe i niewytłumaczalne. Jak można by bowiem sobie wytłumaczyć obłędny upór bogatego kupca żydowskiego, któremu, gdyby był rozsądny, powinnoby przecież zależeć na dobrobycie kraju, w którym żyje i pracuje, a który, jak nam tłumaczą, marzy o tym, aby kraj ten doprowadzić do ruiny i upadku? W jaki sposób zrozumieć by można ów nieszczęsny kosmopolityzm ludzi, których więzy rodzinne, uczucia, przyzwyczajenia, interesy, rodzaj i źródło ich fortuny winny wiązać na zawsze z losami jakiegoś poszczególnego kraju? Najsprytniejsi przebąkują, że Żydzi zamierzają opanować cały świat: ale i tu, jeśli nie mamy metafizycznego klucza, nie będziemy mogli zrozumieć, jakimi drogami zrealizować chcą oni to zamierzenie. Raz bowiem za postacią Żyda każą nam widzieć międzynarodowy kapitalizm, imperializm trustów i handlarzy armat, a raz bolszewizm z nożem w zębach. Nie wahają się tak samo obarczać odpowiedzialnością za komunizm bankiera-izraelitę, przerażonego na samą myśl o nim, jak obarczają odpowiedzialnością za imperializm kapitalistyczny nędznych Żydów zamieszkujących brudne nory ulicy des Rosiers w Paryżu. Ale wszystko staje się jasne, skoro nie wymagamy od Żyda rozumnych i zgodnych z jego interesami reakcji, skoro widzimy w nim natomiast pierwiastek metafizyczny, który zawsze i wszędzie popycha go do czynienia zła, choćby miał przy tym sam siebie zniszczyć. Pierwiastek ten, jak łatwo się domyślić, jest magiczny: częściowo jest samą istotą, substancją jego

* Robię tu wyjątek dla inżynierów, przedsiębiorców i uczonych, których wykonywane zawody zbliżają do proletariatu i którzy zresztą należą dość rzadko do antysemitów. *(Przyp. aut.)*

osobowości, i Żyd, choćby nie wiem jak się starał, nie jest w stanie jej zmienić, tak samo jak ogień, choćby nie wiem jak się starał, nie może nie płonąć. Ale częściowo tylko, jako że trzeba móc nienawidzić Żyda, a nie można nienawidzić trzęsienia ziemi czy stonki ziemniaczanej. Na ten pierwiastek magiczny składa się więc także wolność. Jednakże wolność ta jest skrupulatnie ograniczona: Żyd jest wolny, ale może czynić tylko zło, a nie dobro, ma akurat tyle wolnej woli, aby w pełni móc ponosić odpowiedzialność za popełnione przez siebie zbrodnie, ale już nie tyle, aby móc się poprawić. Zaiste dziwna to wolność, która zamiast wyprzedzać i tworzyć istotę, całkowicie jest jej poddana, jest jedynie irracjonalną jej cechą, a pomimo to jest wolnością. Jedno jedyne tylko stworzenie, o ile wiem, jest w ten właśnie sposób wolne i jednocześnie przykute na wieki do zła — a mianowicie sam Duch Zła, Szatan. W ten sposób Żyd upodabnia się właśnie do Ducha Zła. Wola jego, odwrotnie niż kantowska, jest wolą, która postanowiła zawsze i wszędzie, bez żadnego powodu, być złą, jest złą wolą. Przez niego przychodzi wszelkie zło na ziemi, wszystko, co złe w społeczeństwie (kryzysy, wojny, głód, zaburzenia i rewolty), jemu należy pośrednio lub bezpośrednio przypisać. Antysemita boi się dokonać odkrycia, że porządek świata jest zły; wtedy trzeba by było wymyślić coś innego, szukać, zmieniać i człowiek stałby się znów panem swego losu, obarczonym przerażającą i nieskończoną odpowiedzialnością. Dlatego woli umiejscawiać w Żydach wszystko zło na świecie. Jeśli narody prowadzą wojny, to nie dlatego, że pojęcie nacjonalizmu w obecnej swej formie kryje zarodek imperializmu i powoduje sprzeczności interesów. Jeśli istnieje walka klas, to nie dlatego, że organizacja ekonomiczna społeczeństwa jest niedoskonała: to tylko żydowscy podżegacze, „krzywonosi" agitatorzy podburzają robotników. Tak więc antysemityzm jest od pierwszej chwili rodzajem manicheizmu; tłumaczy on losy świata poprzez ustawiczną walkę Dobra ze Złem. Pomiędzy tymi dwoma pierwiastkami żaden układ nie jest możliwy: trzeba, aby jeden zatriumfował, a drugi został zniszczony. Weźmy przykład Céline'a: jego wizja świata jest katastroficzna, Żydzi wdarli się wszędzie, ziemia jest stracona, Aryjczykowi pozostaje jedynie nie kompromitować się, nie wchodzić w układy ze Złem. Ale niech uważa na siebie: nawet oddychając utracić może swoją czystość, bo powietrze, które napełnia jego płuca, już jest skalane. Jakbyśmy słyszeli apokaliptyczną przepowiednię manicheisty. Jeśli Céline lansował „socjalistyczne" tezy hitlerowców, to jedynie dlatego, że mu za to płacono. W głębi serca nie wierzył w nie: dla niego nie ma innego wyjścia jak kolektywne samobójstwo, zanik prokreacji, śmierć. Inni — Maurras czy ideolodzy PPF* — byli mniej pesymistyczni: przewidywali długą walkę o różnych kolejach losu, zakończoną triumfem Dobra — walkę Ormuzda z Arymanem. Czytelnik już zrozumiał, że antysemita nie odwołuje się do manicheizmu jako do drugorzędnego systemu interpretacyjnego. To właśnie pierworodny wybór manicheizmu tłumaczy i warunkuje antysemityzm. Musimy się więc zastanowić, co też oznacza, dla współczesnego człowieka, tego rodzaju wybór pierworodny.

Spróbujmy porównać rewolucyjną ideę walki klas z manicheizmem antysemickim. W oczach marksisty walka klas nie jest bynajmniej walką Dobra

---

* PPF — *Parti Populaire Français*, francuski odpowiednik NSDAP. *(Przyp. tłum.)*

ze Złem: jest to sprzeczność interesów klasowych różnych grup społecznych. Rewolucjonista dlatego przyjmuje punkt widzenia proletariatu, że przede wszystkim ta klasa jest j e g o klasą, następnie dlatego, że jest uciskana, że jest najliczniejsza ze wszystkich i że jej los wobec tego może być utożsamiony z losami ludzkości, wreszcie, że w konsekwencji zwycięstwa klasy robotniczej znikną w społeczeństwie klasy. Celem rewolucjonisty jest zmiana organizacji społeczeństwa. W tym celu należy oczywiście zburzyć stary porządek świata, ale to bynajmniej nie wystarcza: trzeba przede wszystkim budować nowy ład społeczny. Gdyby jakimś, niemożliwym zresztą i niewytłumaczalnym cudem klasy posiadające chciały uczestniczyć w budownictwie socjalistycznym i dały oczywiste dowody swej dobrej woli, nie byłoby żadnego istotnego powodu do ich odepchnięcia. A jeśli pozostaje rzeczą wysoce wątpliwą, aby zechciały one dobrowolnie pomóc w budowie socjalizmu, to tylko i jedynie dlatego, że nie pozwala im na to ich pozycja społeczna klas uprzywilejowanych, a nie dlatego, że są opętane nie wiadomo jakim demonem wewnętrznym, który, wbrew ich woli, każe im czynić zło. W każdym razie odpryski tych klas, jeśli odłączają się od nich, mogą być stale asymilowane przez klasę uciskaną i odpryski te sądzone są po swoich czynach, nie zaś po swojej „istocie". „Mam w dupie pańską wieczną istotę" — powiedział mi kiedyś Politzer.

Na odwrót, antysemicki manicheista cały nacisk kładzie na sprawę zniszczenia. Nie ma tu mowy o żadnej sprzeczności interesów, ale o szkodach, jakie wyrządza stale społeczeństwu zła, zbrodnicza siła. Przy takim ustawieniu sprawy Dobro polega przede wszystkim na zniszczeniu Zła. Pod zgorzknieniem antysemity kryje się optymistyczne przeświadczenie, że gdy tylko Zło zostanie zniszczone, społeczeństwo samo odnajdzie harmonię. Jego działalność jest więc całkowicie negatywna: nie chodzi bynajmniej o budowę nowego społeczeństwa, chodzi tylko o uzdrowienie istniejącego. Dla uzyskania tego celu pomoc Żydów dobrej woli jest niepotrzebna i nawet szkodliwa, a zresztą Żyd nie może być człowiekiem dobrej woli. Jako Rycerz Dobra, antysemita jest uświęcony, tak samo jak i Żyd jest uświęcony na swój sposób: na sposób nietykalnych pariasów lub dzikich, na których ciąży tabu. Tak więc walka prowadzona jest na płaszczyźnie religijnej i skończyć się tylko może świętym zniszczeniem. Zalety takiego ustawienia sprawy są rozliczne: po pierwsze umożliwia ono lenistwo umysłowe. Widzieliśmy już, że antysemita nie rozumie zasad organizacji współczesnego społeczeństwa, że nie potrafiłby opracować żadnego programu konstruktywnego, działalność jego nie może podnieść się do poziomu techniki, musi pozostać w dziedzinie namiętności. Woli od długofalowego przedsięwzięcia nagły wybuch wściekłości podobny do amoku u Malajów. Jego działalność intelektualna nie wychodzi poza i n t e r p r e t a c j ę: poszukuje on gorączkowo w historii dowodów działania złej siły. Stąd te wymysły niedorzeczne i skomplikowane, które upodobniają go do wielkich paranoików. Ale poza tym antysemityzm kieruje ciśnienie rewolucyjne mas przeciwko pewnym ludziom, a nie instytucjom; antysemicki tłum będzie uważał, że wszystko załatwione, gdy zmasakruje paru Żydów i spali synagogę. Występuje więc antysemityzm jako klapa bezpieczeństwa klas posiadających, które podsycają go i w ten sposób chytrze zamieniają niebezpieczną nienawiść przeciwko reżimowi w bynajmniej mu nie zagrażającą nienawiść do poszczególnych osób. I wreszcie ten naiwny dualizm jest wysoce kojący dla antyse-

mity: jeśli chodzi tylko o to, aby zniszczyć Zło, to znaczy, że Dobro jest już z góry d a n e. Nie trzeba wcale szukać go w przerażeniu, w rozpaczy, nie trzeba go wymyślać, wypróbowywać cierpliwie, gdy się je znalazło, poddawać próbie życia, sprawdzać jego owoców i wreszcie podejmować ciężkiej odpowiedzialności za dokonany wybór moralny. Nie jest bynajmniej przypadkiem, że za wielkimi uniesieniami gniewu antysemitów kryje się błogi optymizm: antysemita zdecydował się na zajmowanie się Złem, aby nie musiał zajmować się Dobrem. Im bardziej zajęty jestem zwalczaniem Zła, tym mniej czasu mi pozostaje na zastanawianie się nad Dobrem. O Dobrze się nie mówi, ono pozostaje zawsze w domyśle, zarówno w słowach jak i w myślach antysemity. Gdy wykona on swą świętą misję niszczycielską, Raj Utracony sam powróci na ziemię. Na razie tyle roboty na niego czeka, że nie ma czasu o tym myśleć: jest na barykadach, walczy i każde jego gniewne uniesienie jest jeszcze jednym pretekstem, aby nie szukać Dobra w rozpaczy i przerażeniu.

Ale to jeszcze nie wszystko. Musimy jeszcze sięgnąć do psychoanalizy. Manicheizm kryje zwykle głęboki pociąg do Zła. Zło jest udziałem antysemity, jego „jobem". Inni po nim przyjdą, którzy zajmą się Dobrem, jeśli to okaże się konieczne. On jest w awangardzie społeczeństwa, odwrócony tyłem do czystych cnót, których broni: ma do czynienia jedynie ze Złem, jego obowiązkiem jest tropić je i ujawniać, badać, jak wielkie uczyniło postępy. Zajmuje się też wyłącznie zbieraniem anegdot, które opowiadają o lubieżności Żydów, o ich miłości do pieniądza, o ich podstępach i zdradach. Z lubością pławi się w tych świństwach. Przeczytajcie sobie *La France juive* Drumonta: ta księga „wysokiej moralności francuskiej" jest zbiorem obrzydliwych i nieprzyzwoitych anegdot. Nic lepiej nie odzwierciadla złożonej natury antysemity: jako że nie chciało mu się dokonać wyboru s w o j e g o Dobra i w obawie przed wyróżnieniem się z tłumu dał sobie narzucić obiegowe pojęcie Dobra, moralność jego nie jest oparta nigdy na intuicji ani na tym, co Platon nazywa Miłością; objawia się ona jedynie poprzez najsurowsze zakazy czy też bezwzględne i niczym nie usprawiedliwione nakazy. Jakby zafascynowany, zwrócony on jest stale w stronę Zła, i tu nie brak mu wcale ani intuicji, ani nawet pewnego upodobania. Potrafi więc rozkoszować się aż do obsesji opowiadaniem o lubieżnych czy kryminalnych czynach, które poruszają go głęboko i zadowalają jego niezdrowe skłonności, ale ponieważ jednocześnie przypisuje te czyny pogardzanym przez siebie i znienawidzonym Żydom, zaspokaja swoje wstydliwe skłonności bynajmniej nie kompromitując się moralnie. Znałem w Berlinie pewnego protestanta, u którego pożądanie przybierało postać oburzenia. Widok kobiet w kostiumach kąpielowych doprowadzał go do wściekłości, ale wściekłość tę widać bardzo sobie chwalił, bo cały wolny czas spędzał na basenie. Taki sam jest antysemita. Jednym ze składników jego nienawiści jest głęboki, seksualny pociąg do Żydów. Jest to przede wszystkim fascynująca ciekawość Zła. Ale także, i może nawet w większym stopniu, rodzaj sadyzmu. Żeby bowiem w pełni zrozumieć antysemityzm, trzeba stale pamiętać, że Żyd, przedmiot tak okrutnej nienawiści, jest najzupełniej niewinny, powiedziałbym nawet — bezbronny. Toteż antysemita ciągle wymyśla jakieś tajne stowarzyszenia żydowskie, jakieś groźne i niebezpieczne loże masońskie. Ale gdy styka się z jakimś Żydem na ulicy, jest to przeważnie istota słaba, która,

nieprzystosowana do gwałtu, nie potrafi nawet się obronić. Antysemita wie dobrze o tej słabości indywidualnej Żydów, która bezbronnych ich oddaje na łup pogromów, i z góry się nią delektuje. Jego nienawiści do Żydów nie można w żaden sposób porównać do nienawiści, jaką Włosi w 1830 roku żywili do Austriaków czy Francuzi w 1942 do Niemców. W obu tych wypadkach chodziło o ciemiężycieli, ludzi twardych, okrutnych i silnych, którzy mieli broń, pieniądze i władzę. W każdej chwili mogli wyrządzić rebeliantom sto razy większą krzywdę niż tamci im szkodę. W tego rodzaju nienawiściach nie objawiają się wcale skłonności sadystyczne. Ale skoro Zło, dla antysemity, wcielone jest w tych ludziach bezbronnych i bynajmniej niegroźnych, nie musi się on nigdy zdobywać na niemiłą ostateczność heroizmu: być antysemitą to bardzo z a b a w n e. Można bez obawy bić i torturować Żydów, co najwyżej odwołają się oni do prawa, a prawo w Republice jest łagodne. Ów pociąg sadystyczny antysemitów do Żydów jest tak silny, że nierzadko widzi się takich przysięgłych wrogów Izraela w otoczeniu przyjaciół-Żydów. Oczywiście, nazywają ich „wyjątkowymi Żydami", mówią: „Oni nie są tacy jak inni". W pracowni malarza, o którym wspomniałem i który bynajmniej nie potępiał pogromów kieleckich, wisiał na ścianie portret jego przyjaciela, Żyda rozstrzelanego przez gestapo. Ale te ich zapewnienia o przyjaźni nie są szczere, bo nawet „dobrych Żydów" nie zamierzają w przyszłości oszczędzić. Zresztą przyznając, że w kręgu swych znajomych mają paru „dobrych Żydów", nie dopuszczają już nawet myśli, że ich rozmówca, w kręgu swoich znajomych, mógł też spotkać „dobrych Żydów". W rzeczywistości opiekują się tymi paroma osobami w rezultacie pewnej inwersji sadyzmu — po prostu chcą mieć stale przed oczyma żywy wizerunek znienawidzonego przez siebie narodu. Kobiety antysemitki, na przykład, odczuwają w stosunku do Żydów jednocześnie i odrazę, i pociąg fizyczny. Znałem taką jedną, która utrzymywała dość intymne stosunki z pewnym polskim Żydem. Często przychodziła do niego do łóżka i pozwalała gładzić się po piersiach i ramionach, ale to było wszystko. Świadomość, że partner pozostaje posłuszny, choć poniżony, że jego gwałtowna pożądliwość została poskromiona i upokorzona, wystarczała jej do całkowitego zaspokojenia zmysłów. Później, z innymi mężczyznami, utrzymywała normalne stosunki płciowe. Jest w słowach „piękna Żydówka" bardzo określone znaczenie seksualne, zupełnie różne od tego, które zawarte jest w słowach „piękna Rzymianka", „piękna Greczynka" czy też „piękna Amerykanka". Słowa te jak gdyby pachną gwałtem i krwią. Piękna Żydówka, to ta, którą carscy kozacy wloką za włosy po ulicach płonącej wioski. Dzieła pornograficzne, opiewające akty biczowania, specjalne miejsce poświęcają zawsze pięknym Izraelitkom. Ale nie trzeba uciekać się do literatury sprzedawanej „pod płaszczykiem". Od słynnej Rebeki z *Ivanhoe* aż do Żydówki z *Gilles'a*, poprzez wszystkie bohaterki Ponson du Terraila, Żydówki odgrywają w najpoważniejszych powieściach bardzo określoną rolę: często gwałconym i bitym, udaje im się czasami ocalić honor za cenę życia; te, które zachowały cnotę, są wiernymi służkami i poniżanymi kochankami chrześcijan żeniących się z Aryjkami. Nie trzeba więcej przykładów, wydaje mi się, aby w pełni ogarnąć, jaką to wartość symbolu seksualnego przybiera Żydówka w tradycji literackiej.

Niszczyciel z urzędu, sadysta z własnej przyjemności, antysemita jest w głębi

swego serca zwyczajnym zbrodniarzem. Pragnie on, przygotowuje on śmierć Żydów.

Jasne, wszyscy wrogowie Żydów bynajmniej nie żądają głośno ich zagłady, ale proponowane przez nich środki, wszystkie mające na celu poniżenie Żydów, upokorzenie ich, wygnanie, są jedynie namiastkami morderstwa, jakie antysemici medytują w sobie: są to wszystko zabójstwa symboliczne. Tylko że antysemita ma czyste sumienie: jest mordercą w imię słusznej sprawy. To przecież nie jego wina, jeśli poruczono mu tępienie Zła przez Zło; jeśli rzeczywista Francja powierzyła mu wymiar najwyższej sprawiedliwości. Nie co dzień oczywiście ma on sposobność wykonywania tej sprawiedliwości, lecz nie łudźmy się: te wszystkie gwałtowne ataki szału, te potoki przekleństw, jakie wylewa co pewien czas na głowy „parchów" — to są wszystko symboliczne wykonania wyroków śmierci. Antysemita postanowił być zbrodniarzem i w dodatku białym zbrodniarzem. Nawet w zbrodni unika odpowiedzialności, nie dopuszcza do głosu swoich instynktów zbrodniczych, ale znalazł sposób na to, aby je zadowalać nie przyznając się do nich jednocześnie wobec samego siebie. Wie, że jest groźny i zły, ale skoro czyni Zło w imię Dobra, skoro cały naród wyczekuje od niego ratunku, uważa się jednocześnie za świętego. W wyniku jakiejś dziwnej inwersji wszystkich wartości — której przykłady znaleźć można w niektórych wierzeniach religijnych, na przykład w Indiach, gdzie istnieje pojęcie świętej prostytucji — antysemita uważa, że gniew, nienawiść, rabunek, morderstwo i wszelkie formy gwałtu winny być otoczone powszechnym szacunkiem, poważaniem, ba, nawet entuzjazmem, i właśnie w momencie, gdy osiąga paroksyzm złości i nienawiści, napełnia go lekkość i błogi spokój, jakie zapewniają tylko czyste sumienie i poczucie dobrze wypełnionego obowiązku.

Portret skończony. Jeśli nie rozpoznało się w nim wiele osób twierdzących ochoczo, że nie znoszą Żydów, znaczy to, że w rzeczywistości wcale ich nie nie znoszą. Nie lubią ich także. Nie zrobiłyby im nic złego, ale też nie podniosłyby nawet małego palca w ich obronie. Nie są one antysemitami, nie są niczym, a ponieważ mimo wszystko trzeba udawać, że się czymś jest, zamieniają się w echo, w pogłoskę, chodzą i bezmyślnie powtarzają bzdurne, wyuczone formułki, które zapewniają im wstęp na niektóre salony. I tak osoby te rozkoszują się tym, że formułki owe są jedynie pustym dźwiękiem, że w głowie huczą im bez przerwy jakieś pewniki, tym szacowniejsze, że wypożyczone. Dla nich antysemityzm jest jedynie usprawiedliwieniem. Lekkomyślność tych osób jest zresztą tak daleko posunięta, że z ochotą gotowe są w każdej chwili zmienić to usprawiedliwienie, byleby na inne, równie dystyngowane. Bo antysemityzm jest dystyngowany, jak wszystkie te manifestacje irracjonalnej duszy kolektywnej, usiłujące zbudować okultystyczny i konserwatywny mit Francji. Wszystkim tym wartogłowom wydaje się, iż powtarzając wszędzie, że Żydzi szkodzą narodowi, wykonują jeden z obrzędów rytuału inicjacyjnego, dzięki któremu mogą czerpać ciepło z pewnych źródeł energii społecznej: w tym sensie antysemityzm zachował w sobie coś z dawnych ofiar ludzkich składanych bogom. Posiada on wreszcie niepoślednią zaletę w oczach tych wszystkich ludzi, którzy, świadomi swej tragicznej błahości, nudzą się: pozwala im stroić się w pozory namiętności, a ponieważ z reguły, od czasów romantyzmu, przywykło się mylić namiętność z osobowością, ci antysemici

z drugiej ręki w tani sposób zdobywają sobie nader agresywną osobowość. Jeden z moich przyjaciół opowiadał mi nieraz o swoim starym kuzynie, który często bywał na obiedzie w jego domu i o którym mówiono zawsze z wielce domyślną miną: „Juliusz wprost chorobliwie nie znosi Anglików". Mój przyjaciel nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek powiedziano o nim coś więcej. Ale to wystarczało: pomiędzy Juliuszem a jego rodziną zawierała się cicha umowa, ostentacyjnie unikano w jego obecności rozmów o Anglikach, kuzyn Juliusz nabierał w oczach swoich bliskich pewnych pozorów istnienia a sam zaznawał przyjemnego uczucia uczestniczenia w jakimś tajemnym rytuale. Po czym nagle, przy wielkiej jakiejś okazji, ktoś z rodziny po długim namyśle rzucał jakby przez nieuwagę słówko aluzji do Wielkiej Brytanii czy też jednego z jej dominiów. Wtedy kuzyn Juliusz wprawiał się w wielki — udawany oczywiście — gniew, przez chwilkę zdawało mu się, że naprawdę istnieje, i wszyscy byli bardzo zadowoleni. Wielu jest antysemitami w taki sam sposób, w jaki kuzyn Juliusz był anglofobem, i, oczywiście, w najmniejszej mierze nie zdają sobie oni sprawy, jakie treści wyraża w rzeczywistości ich stanowisko. Czyste odbicia lustrzane, trzciny szargane przez wiatr, nigdy by nie wymyślili oni antysemityzmu, gdyby świadomy antysemita nie był go im podszepnął. Ale to właśnie oni, przy całej swej obojętności, zapewniają trwałość antysemityzmu i sztafetę pokoleń w tym niesławnym biegu.

■

Jesteśmy teraz w stanie zrozumieć antysemitę. To po prostu człowiek, który się boi. Nie Żydów oczywiście — samego siebie, swego sumienia, swojej wolności, swoich instynktów, swojej odpowiedzialności, samotności, zmiany, społeczeństwa i świata — jednym słowem wszystkiego, tylko nie Żydów. Jest to tchórz, który przed samym sobą nie chce się przyznać do swego tchórzostwa; morderca, który powściąga swe mordercze instynkty nie mogąc jednak nad nimi zapanować i który, pomimo wszystko, odważa się zabijać tylko symbolicznie albo też wśród anonimowego tłumu; malkontent, który nie waży się zbuntować w obawie przed konsekwencjami swego buntu. Przystając do antysemityzmu nie tylko przyjmuje pewien określony pogląd, ale dokonuje zasadniczego wyboru samego siebie. Wybiera niewzruszoność i trwanie kamienia, całkowitą nieodpowiedzialność żołdaka, który słucha swych dowódców — ale on nie ma dowódców. Nic nie chce zdobywać, na nic zasługiwać, chce, aby wszystko mu było dane na podstawie jego urodzenia — a przecież nie jest arystokratą. Wybiera wreszcie Dobro już skończone, uzgodnione, nie podlegające dyskusji, i nie śmie podnieść na nie oczu, aby nie być zmuszonym do rewizji swych sądów, do szukania sobie innego Dobra. Żyd jest tu tylko pretekstem — w innych stronach świata posługuje się Murzynem lub Żółtym. Istnienie Żydów pozwala tylko antysemicie zdusić w zarodku swe przerażenie życiem, wytłumaczyć sobie, że jego miejsce od dawna było naznaczone na świecie, że czekało na niego i że, na mocy tradycji, ma prawo je zająć. Jednym słowem antysemityzm to strach przed problemami bytu ludzkiego. Antysemita jest człowiekiem, który chce być bezwzględnym głazem, szalejącym potokiem, piorunem niszczycielskim — wszystkim, tylko nie człowiekiem.

II

Żydzi mają jednak sprzymierzeńca: demokratę. Ale słaby to obrońca. Wprawdzie głosi on, że wszyscy ludzie są równi, wprawdzie założył Ligę Obrony Praw Człowieka. Ale te wszystkie deklaracje właśnie wskazują na słabość jego pozycji. Raz na zawsze wybrał, w osiemnastym wieku, analityczny sposób myślenia i nie umie od niego odejść. Nie rozumie konkretnych syntez, jakie historia stawia mu przed oczyma. Dla niego nie ma Żyda, Araba, Murzyna, burżuja ani robotnika — dla niego istnieje tylko człowiek, zawsze i wszędzie taki sam. Każdą społeczność rozdziela na elementy indywidualne. Ciało fizyczne jest dla niego sumą molekuł, ciało społeczne — sumą indywiduów. A przez pojęcie „indywiduum" rozumie on szczególne wcielenie powszechnych cech charakteryzujących naturę ludzką. Toteż antysemita i demokrata nieznużenie prowadzą swój wieczny dialog, nie zdając sobie sprawy, że nie mówią bynajmniej o tych samych rzeczach. Jeśli antysemita wyrzuca Żydom ich skąpstwo, demokrata odpowiada na to, że zna Żydów, którzy nie są skąpi, i chrześcijan, którzy mają węża w kieszeni. Ale antysemita wcale nie jest przekonany: on chciał powiedzieć, że istnieje „żydowskie" skąpstwo, skąpstwo specjalnie napiętnowane przez tę syntetyczną całość, jaką tworzy osobowość żydowska. I przyznaje z obojętnością, że rzeczywiście są i skąpi chrześcijanie, ale dla niego skąpstwo żydowskie i skąpstwo chrześcijańskie to są dwie zupełnie różne rzeczy. Tego już demokrata nie rozumie. Dla niego skąpstwo jest pewną cechą uniwersalną i niezmienną, która może się dołączyć do innych cech charakteru, tworzących razem osobowość ludzką, i która zawsze pozostaje taka sama: nie można być skąpym na dwa różne sposoby, albo jest się skąpym, albo nie. W ten sposób demokrata, tak samo jak uczony, zapomina o tym, co szczególne i indywidualne: indywiduum jest dla niego jedynie sumą pewnych cech uniwersalnych. Wynika z tego jasno, że jego obrona ocala Żyda jako człowieka, ale unicestwia go jako Żyda. W przeciwieństwie do antysemity demokrata nie boi się samego siebie, on obawia się właśnie wielkich form kolektywnych, w których lęka się rozpłynąć. Dlatego też wybrał analityczny sposób myślenia, bo analityczne myślenie nie dostrzega tych rzeczywistości syntetycznych. Z tego też powodu obawia się, aby w Żydach nie obudziła się „żydowska świadomość", to znaczy świadomość przynależenia do żydowskiego kolektywu, tak samo jak boi się, u robotników, przebudzenia ich „świadomości klasowej". Jego obrona polega na przekonywaniu ludzi, że istnieją w stanie izolacji. „Nie ma Żydów — powiada — nie ma kwestii żydowskiej." To znaczy, że chciałby odseparować Żyda od jego religii, rodziny, społeczności etnicznej i przepuścić przez demokratyczną maszynkę, z której wyjdzie samotny i nagi, jako indywidualna partykuła, podobna do wszystkich innych partykuł. To właśnie się nazywało, w Stanach Zjednoczonych, polityką asymilacyjną. Prawo imigracyjne dowiodło, że polityka ta poniosła klęskę, a razem z nią ów demokratyczny punkt widzenia. Jakżeby mogło być inaczej? Dla świadomego Żyda, który jest dumny z tego, że jest Żydem, który głośno zaznacza swą przynależność do społeczności żydowskiej nie umniejszając bynajmniej więzów łączących go z kolektywem danego narodu, nie ma właściwie tak wielkiej różnicy pomiędzy antysemitą a demokratą. Jeden chce zniszczyć w nim człowieka i pozostawić jedynie Żyda, pa-

riasa, nietykalnego; drugi natomiast chce zniszczyć go jako Żyda i pozostawić jedynie człowieka, abstrakcyjny i uniwersalny podmiot praw człowieka i obywatela. U najbardziej liberalnego demokraty można odnaleźć pewien odcień antysemityzmu: jest przeciwny Żydom w tym stopniu, w jakim uważają się oni za Żydów. Ta jego wrogość wyraża się na przykład w pobłażliwej i uśmiechniętej ironii, z jaką mówi o swoim przyjacielu, którego pochodzenie żydowskie jest łatwo dostrzegalne: „on jest jednak za bardzo żydowski, to przesada" albo kiedy powiada: „jedyna rzecz, którą mam Żydom do zarzucenia, to ich instynkt stadny: wystarczy, żeby jeden gdzieś wlazł, już ciągnie za sobą dziesiątki innych". Podczas okupacji demokrata był szczerze i głęboko oburzony prześladowaniem Żydów, ale od czasu do czasu wzdychał: „Żydzi powrócą z obozów tak pewni siebie i tak żądni zemsty, że obawiam się, czy nie będziemy świadkami nowego wzrostu antysemityzmu". W rzeczywistości bał się tylko, aby prześladowania hitlerowskie nie rozbudziły w Żydach pełniejszej świadomości samych siebie.

Antysemita zarzuca Żydowi, że jest Żydem, demokrata chętnie by mu zarzucił, że uważa się za Żyda. Pomiędzy swym przeciwnikiem a obrońcą Żyd znajduje się w dość trudnej sytuacji: wydaje się, że ma do wyboru jedynie sos, w którym ma być zjedzony. Teraz więc my postawić sobie musimy pytanie: czy Żyd istnieje? A jeśli istnieje, to kim jest? Przede wszystkim człowiekiem czy przede wszystkim Żydem? Czy rozwiązanie tego problemu polegać może na wytępieniu wszystkich Żydów, czy też na ich kompletnej asymilacji? Czy nie można by spróbować inaczej postawić to zagadnienie i inaczej je rozwiązać?

(Dokończenie w następnym numerze)

Przełożył
Jerzy Lisowski

POWIEŚĆ JAROSŁAWA IWASZKIEWICZA

Wstępna lektura pierwszego tomu nowej powieści Jarosława Iwaszkiewicza * budzi liczne sprzeciwy. Nad powieścią, której zakrój wydaje się bardzo ambitny, dominuje ów kameralny urok, właściwy wielu utworom autora *Panien z Wilka*. Między podwieczorkiem a domowym koncertem, między jednym a drugim pożegnaniem nieśmiałych kochanków upływa historia, wybuchają i gasną wojny, kruszą się i powstają państwa, umierają i rodzą się obyczaje, gusty i style. Nastawia się uszy na dźwięk surm, a słyszy się fortepian, chce się zmieniać mapy, wywracać trony, rozgrywać bitwy, a tu chodzi się na spacery, zjada się sporo dobrych rzeczy i miło rozmawia na tematy ogólne i rodzinne.

Powieść wymija główne szlaki historii. Pierwszy rozdział *Sławy i chwały* kończy się w pierwszych dniach sierpnia 1914 roku, drugi rozpoczyna już jesienią 1917 roku — po wybuchu rewolucji i rozgrywa się na jej peryferiach, wśród ludzi uciekających przed jej pożarami. Raz jeden grzmią armaty, ale nie w bojach rewolucyjnych: w dziwnym, tragicznym, polskim boju pod Kaniowem. Charakterystyczny jest rozdział trzeci: rozgrywa się w roku 1920 — w dniach tego pamiętnego lata bohater powieści zgłasza się na ochotnika do wojska, ale tuż przed decydującą bitwą wyjeżdża do Zakopanego. W rozdziale tym armaty także milczą. Rozdziały następne tkwią już głęboko w latach dwudziestoletniego pokoju i zajmują się rozlokowywaniem bohaterów *Sławy i chwały* w nowym życiu, w nowym społeczeństwie, w nowej problematyce.

Sława i chwała przypomina więc slalom narciarski: jej fabuła nie biegnie równolegle z historią, ale wydarzenia historyczne wymija raz z prawej, raz z lewej strony. Na czoło bohaterów wychodzi w końcu Janusz Myszyński. Młody hrabia o niezdecydowanych zainteresowaniach i talentach (nawet nie bardzo bogaty i herbu marnego) wydaje się za nikły wobec spraw, których przyszło mu być świadkiem. Czym jest jego los? Wypadkową historii? Oczywiście nie: zbyt wiele jest uników w jego życiu. Doświadczeniem intelektualnym? Nie zdaje się go wcale poszukiwać — temu romantycznemu Polakowi daleko do żarliwości wewnętrznej pewnego niemieckiego inżyniera. Ów inżynier przeżył

* Jarosław Iwaszkiewicz: *Sława i chwała*. Warszawa 1956. PIW; str. 530.

całą epokę w ciągu siedmiu lat pobytu w szwajcarskim sanatorium. Byroniczny hrabia z Mańkówki przeżywa tylko własne życie.

Hansowi Castorpowi opuszczającemu Davos pozostało sprzed siedmiu laty tylko nazwisko. Odmienił duszę, ciało, nawyki, ubranie, twarz. Do Komorowa w 1926 roku zjeżdża natomiast ten sam, tylko o dziewięć lat starszy Janusz, który w 1917 opuścił Mańkówkę. Ani bohater okryty bliznami, ani filozof z odnalezioną lub straconą równowagą, ani poeta ze złamanym skrzydłem. Unikał krwawych bitew, niewiele myślał, wierszami dopiero zamierza się parać. W swoich wędrówkach po świecie nic nie traci prócz majątku i nic nie zyskuje prócz skromnego zabezpieczenia. Wchodzi w powieść zerem dwudziestoletnim — i wtedy ma dużo wdzięku, kończy swą rolę w pierwszym tomie zerem trzydziestoletnim — i wtedy już jest nudnawy. Ma dużo wdzięku, gdy w Odessie pisze naiwne, płomienne listy do Ariadny, podpisywane niezmiennie „Janusz hr. Myszyński". Jest już nudnawy, gdy milczy na zebraniach towarzyskich u Ariadny w Paryżu lub niezbyt ciekawie odzywa się u Gdańskiego czy u Hani Wolskiej. W Krakowie i Komorowie przy swojej Zosi jest już wręcz mdły — mdły, po sienkiewiczowsku. I wtedy już widać, kto zjeżdża do Komorowa, kto wraca pod swoją strzechę, do białego dworku: nie Rafał Olbromski z *Popiołów,* nie Piotr Biezuchow czy Kola Rostow z *Wojny i pokoju,* ale po prostu Stach Połaniecki. Sienkiewiczowska jest i owa Zosia, którą Janusz poznaje w identycznych prawie okolicznościach, jak Połaniecki Marynię: tamten zjawia się w Krzemieniu jako bezwzględny wierzyciel Pławickiego, ten jako obojętny kupiec z wyroku licytacji. Ten i tamten nie czuje nic prócz litości, za którą otrzymuje nienawiść, ten i tamten zdobywa rękę wybranej, szansę powrotu do ukochanych pomidorów, ten i tamten w niej i w pomidorach szuka radości życia, prostej i własnej jak wspomnienie z dzieciństwa. Sienkiewiczowska historia miłości, sienkiewiczowski finał. W obu powieściach narzeczeństwo i ślub odcelebrowuje się z tą samą rzewną radością, przy użyciu motywów najbardziej zadomowionych w polskiej tradycji uczuciowej. Ostatni obraz powieści — Zosia w słońcu — aż prowokuje sielskim tradycjonalizmem:

„Zosia szła przodem dźwigając na ręce ów snop białych kwiatów i kiedy Janusz postępował za nią, wydawało mu się, że bukiet to kształt dziecka, które jego żona niesie idąc przed nim polną ścieżką. I widok ten ucieszył go i zaniepokoił zarazem... Zosia doszła do miejsca, gdzie ścieżka wchodziła w kamienny mur, który był granicą ich ogrodu, i tam zaczekała na męża. Ujrzał ją z kwiatami objętymi obu dłońmi, uśmiechniętą pod jasnym kapeluszem, całą w słońcu, szczęśliwą i nad wszelki wyraz drogą. Wydała mu się prosta i całe przyszłe życie wydawało mu się proste i zwyczajne: Komorów, żona, dziecko, może wiersze, hodowla kwiatów, owoców" (str. 528—9).

Ten finał pierwszego tomu wielkiej powieści Jarosława Iwaszkiewicza napełnia nas niepokojem. Nie dlatego, abyśmy mieli przyjmować za ostateczny jej wynik komorowską sielankę. „Życie zazwyczaj tak prosto się nie rozwiązuje, nie od samego siebie człowiek zależy" — myśli Janusz postępując za swoją jasną Zosią. I my wiemy, że dalsze życie Janusza nie będzie składało się z miłości do żony, pisania wierszy i hodowania kwiatów. Przyjdą ciężkie chwile dla rodziny Myszyńskich: nad dach komorowskiego domu spłyną dymy płonącej Warszawy, ciche pokoje wypełnią się może uchodźcami, kto wie, co się stanie z Ja-

nuszem i w jakich przebraniach zjawią się w następnych tomach powieści inni jej bohaterowie: Spychała, Walerek, Jasio Wiewiórski, może Wołodia.

Tak, przyjdą ciężkie chwile na wszystkich bohaterów *Sławy i chwały,* bardzo wiele odmienią w ich sytuacji życiowej. Ale o czym zdoła ich przekonać przyszłe życie oraz historia, którą ujrzą jeszcze na własne oczy — względnie jakie przekonania zdoła im odebrać to, co przeżyją?

Trudno oczekiwać niespodzianek. Żaden z bohaterów nie odmieni swej drogi, każdy dotrze do tego celu, który przeznaczają mu przemiany wojennej i powojennej socjologii. Świadomość bohaterów *Sławy i chwały* nie ulega żadnej zmianie, wątpić należy, czy ulegnie w dalszym toku powieści. Co więcej, każde z tego grona dotrze do mety z poczuciem zwycięstwa, z nieutraconą godnością, z niezachwianą równowagą. Albowiem bohaterowie Iwaszkiewicza, mimo różnej kondycji społecznej i różnej nawet pozycji ideowej, są wyznawcami jednej i tej samej filozofii. Kto żyje, ten zwycięża. Kto żyje, ten jest dla kogoś dobry i w jakiś sposób potrzebny, kto żyje, ten o czymś jeszcze marzy, stwarza jakieś wartości. Los człowieka nie zależy od niego samego, ale człowiek sam nadaje sens swemu istnieniu i sam decyduje o jego wartości. Kto ośmieli się rozdzielić te tłumy skołowanych biedaków na sprawiedliwych i niesprawiedliwych, kto ośmieli się wydać sąd ostateczny, póki życie trwa?

Komorowska sielanka w finale *Sławy i chwały* i nawet to ostatnie „A teraz możesz mnie pocałować" staje się przewrotnym trochę symbolem: na przekór całemu piekłu współczesnego świata zaczynamy normalnie żyć i pokażemy, że coś z tego jeszcze wyjdzie dobrego. Postawa Jarosława Iwaszkiewicza wydaje się zbliżona do tej, którą w swych ostatnich opowiadaniach reprezentowała Maria Dąbrowska. Ale tylko z pozoru. Niewątpliwie i w *Gwieździe zarannej,* i w *Sławie i chwale* mamy do czynienia z pewnego rodzaju konformizmem. Jednakże konformizm Dąbrowskiej ma podłoże społecznikowskie: Dąbrowska wierzy w dobry rezultat wszelkiej konstruktywnej pracy, wierzy, że w pracy człowiek odnajduje godność, wiarę w świat, zgodę z istnieniem. Natomiast konformizm Iwaszkiewicza jest metafizyczny. Jego treść nie wyczerpuje się na melancholijnej pochwale życia i jego pożytecznych zajęć. Życie daje bohaterom Iwaszkiewicza nie tylko możność spełniania dobra i stwarzania piękna, nie tylko zapewnia im poczucie zwycięstwa nad nietrwałymi formami społecznego bytu i moc opierania się kapryśnym falom historii. To jest jego siła pozytywna, pozwalająca wśród bitew kochać się, komponować i śpiewać pieśni, zawierać przyjaźnie. Jest jednak jeszcze negatywna siła życia: daje ona człowiekowi zdolność ujrzenia jego własnej małości. Tej zdolności nikt nie odbierze człowiekowi, tej nie utraci on, choćby stracił wszystko — i ona to stanowi o jego wiecznej godności. Ujrzeć siebie naprzeciw nieskończoności, oto wszystko, co da się osiągnąć. Miłość, sztuka, lęk przed śmiercią — oto chwile, w których małe serce człowieka, rozedrgane małymi bólami, zamiera w ekstatycznym przeczuciu nieskończoności. Każdy z bohaterów *Sławy i chwały* ma chociaż jedną taką chwilę:

„Przerwali Elżuni jej ćwiczenia i Ola poprosiła ją, aby zechciała jej akompaniować ową *Ukrytą miłość.* Elżunia usiadła do fortepianu bez wielkich nadziei, ale chętnie. Pierwszy frazes w ustach małej Oli zabrzmiał niepewnie i z wysiłkiem, ale nagle owa kwarta „o lass" wyszła tak pięknie, pełnymi pier-

siami i wiolonczelowym brzmieniem. Pieśń w ustach Oli brzmiała coraz pewniej i pełniej. Elżunia siedząc przy fortepianie czuła, jak za jej plecami dzieje się coś i wzrasta, dreszczem ją przenika — ze zdziwieniem obejrzała się i zobaczyła za sobą Olę spokojną, choć bladawą, z twarzą podniesioną do góry i z oczami pełnymi przezroczystych łez. Spychała siedział w kącie pokoju rozstawiwszy swoje cienkie nogi i trzymając oburącz za chude skronie obciągnięte żółtą skórą" (str. 52).

Ola, przyszła pani Gołąbkowa, żona warszawskiego cukiernika, przyszła otyła mieszczka, dziś, w przeddzień wybuchu wielkiej wojny, żegna tak Spychałę, przyszłego karierowicza i pieczeniarza, snoba i podskakiewicza z arystokratyczno-dyplomatycznych salonów. Dalsze losy potoczą się tak, jak tego zechce historia, ulokują ich w takiej formie społeczno-obyczajowej, jaką przysposobi dla nich nowa socjologia. Ale ani jedno, ani drugie nie uroni tej chwili, przeniesie ją przez wszystkie swe upokorzenia i małości, jej zawdzięczać będą oboje piękno wewnętrzne — ludzkie piękno, którego nie brak żadnemu z bohaterów powieści Iwaszkiewicza.

Edgar Szyller w łowickiej kolegiacie, w czasie *Magnificat* śpiewanego przez garbatego organistę; Walerek, gdy wspomina trupa na odeskiej plaży, Janusz podczas wycieczki w Tatry — każdy ma tę chwilę, która wraca potem w życiu jak temat muzyczny, wywołując wciąż ten sam lęk, ten sam dreszcz, ten sam smutek czy zachwyt.

„W tej chwili (Edgar) zastanawiał się nad swoją samotnością. Dlaczego jego muzyka jest tak mało ceniona? Czy naprawdę nie jest to dobra muzyka? Garbaty Rysio, stary pan Myszyński bardzo wysoko cenili jego utwory. Garbaty Rysio słuchał ich z nabożeństwem. Na parę tygodni przed śmiercią słuchał, jak Artur Malski grał jego sonatę — i płakał. Ale płakał dlatego, że już był chory i czuł, że umrze. Płakałby wtedy może przy najgorszym graniu. Helena mówiła swoim niskim, nieużyczliwym głosem: „Jemu się chce umierać, bo on myśli, że będzie aniołem i nie będzie miał w niebie garbu! Ale jemu nie chciało się umierać i płakał dlatego."

„...Zadziwiająca rzecz ta muzyka — pomyślał. — Jak bardzo działała na mnie wówczas, kiedy Rysio improwizował w łowickiej kolegiacie, i jak mnie nudzi tutaj, kiedy największy pianista świata gra przed królem i prezydentami" (str. 365).

Tego samego wieczoru, na przyjęciu w ambasadzie, Janusz wspomni nagle swą wycieczkę w Tatry:

„...Nie pamięta pan?" — pyta go natarczywie jakiś młody człowiek towarzyszący orkiestrze góralskiej, której występ miał stanowić atrakcję galowego wieczoru w ambasadzie. — „Przy Morskim Oku. Ja byłem z moim przyjacielem Piotrusiem... zostawili nas panowie w schronisku, jużeśmy się potem nigdy się spotkali... Piotruś zginął na Zamarłej Turni."

Dlaczego tutaj akurat ten chłopiec? W tłumie świetnych gości? Działa prawo muzycznego tematu.

I jeszcze tego samego wieczoru radca ambasady Spychała, podniecony wieścią o śmierci starej księżnej Bilińskiej (wieścią, która mogła radykalnie zmienić jego sytuację), ni z tego ni z owego doznaje wielkiego wzruszenia z powodu małej, zapłakanej dziewczynki podniesionej z trotuaru:

„Odczuł przy swoim sercu bicie dziecinnego serca tak wyraźnie, jak miotanie się ptaka w klatce. Nieoczekiwanie ścisnęło mu się gardło, opanowała go niewytłumaczona żałość"... (str. 376).

Chwile uniesienia smutów, lęków, radości — stanowią niejako drugi plan powieści, różny i niezależny od porządku, w jakim rozgrywają się społeczne biografie bohaterów, jak różne i niezależne jest niebo od ziemi, czas od zegara, śmierć od ludzkich zamiarów. Pomiędzy historią i nieskończonością zataczają kręgi małe, ludzkie figurki, unosząc ze sobą przekonanie o tym, że droga, jaką dążą, jest jedyna, że jej wybór nie od nich zależał i wreszcie, że skoro jedyna, to najlepsza i najmarniejsza zarazem. Historia ją wyznaczyła, śmierć z niej wyzwoli. Słuchać historii i czcić śmierć to wszystko, czego od człowieka należy wymagać. Oto formuła metafizycznego konformizmu, który leży u podłoża *Sławy i chwały*. Nie trzeba dodawać, że powieść ta kontynuuje wątki ideowe całej twórczości Jarosława Iwaszkiewicza. Na karcie tytułowej powieści można położyć jeszcze jedno motto, tym razem wyjęte z wierszy autora *Sławy i chwały:*

Wszystko jest bez sensu,
Wszystko poplątane,
Jak te winorośla
Gąszcze cmentarniane...

. . . . . .

Która leżysz w trumnie
Pomiędzy kwiatami,
Wiedz, że Dionizios
Modli się za nami...

Wiedz, że przyjdzie święty,
Ramieniem ogarnie,
Wszystkie wytłumaczy
Przebyte męczarnie.

(Piosenka dla zmarłej)

Jasna Zosia, sielanka komorowska, wizja pracowitej przyszłości domowej — to nie wyraz wiary w spokojny nurt dziejów. To znów jedna z owych chwil, które jednają człowieka z porządkiem życia, śmierci i historii. To właśnie manifestacja owego metafizycznego konformizmu, który powiada: w ostatecznej rachubie wszystko jest sprawiedliwe, w ostatecznej rachubie wszystko się wyrównuje.

I na tę formułę zżyma się współczesny czytelnik — aktywny świadek współczesnej historii. Bierze on na siebie część ryzyka, część chwały, hańby i rozpaczy, które stały się udziałem ludzkości podejmującej walkę o wolność. Walka ta jest treścią naszego stulecia, treścią lat, w których rozgrywa się powieść Iwaszkiewicza. Jest to nie tylko walka narodów i klas uciśnionych, nie tylko

walka nowej sztuki, nowej obyczajowości i nowej moralności. Jest to przede wszystkim walka rozumu ludzkiego o nowy sens bytu — o wyzwolenie z niezmiennych determinant czasu — walka o ujarzmienie historii i śmierci. Kult historii — przeczenie śmierci, kult śmierci — przeczenie historii; mundur i Absolut, sport i eschatologia — oto krańce myśli i sztuki dwudziestowiecznej. Powieść Iwaszkiewicza jest gruntownym zapisem szaleństw dwudziestego wieku. Ich wspaniałą paradą jest zwłaszcza rozdział czwarty powieści, opisujący pobyt Janusza w Paryżu — salon Ariadny i Wiktora Gdańskiego, koncert Paderewskiego i wieczór w Ambasadzie; później, w rozdziale piątym bardzo ciekawa jest podróż Janusza do Niemiec i jego zetknięcie się z prefaszystowskimi organizacjami burszowskimi, z kultem Georga etc. *Sława i chwała* jest jednakże poza tymi szaleństwami — wspomina je, utrwala, lecz żadnego nie zasila własną wiarą.

Jarosław Iwaszkiewicz znakomicie widzi i rozumie swoją epokę. Omija jednakże jej pożary, kluczy między nimi, odwraca od nich wzrok, bacząc, aby oczy i uszy bohaterów jego nie zatraciły zdolności łowienia dalekich ech i refleksów tego, „co trwalsze niż ziemia", tego, „co się nie przemienia". Bohaterowie *Sławy i chwały* przeżyli wszystko, co współczesne, lecz na półmetku epopei znaleźli się nietknięci: ani w chwale, ani w hańbie, ani w triumfie, ani w rozpaczy — śledzą mijające ich epoki z zawsze tym samym spokojem i tą samą pogodą, jakby byli świadkami przemieniania się pór roku. W powieści jest cały dwudziesty wiek, lecz widziany jak przez mgłę oddalenia; wzburzony ocean, uspokojony wielkim imieniem nieskończoności, objawiającej się na krótkie chwile w dreszczach sztuki, uniesieniach miłości i smutkach śmierci.

I cóż dziwnego, że trudno pogodzić się z tą powieścią człowiekowi, który miłość jedną i całe piękno istnienia znajdował w tworzeniu historii lub ginął milion razy nie zdążywszy nawet nazwać swej śmierci imieniem sprawy lub człowieka, dla którego zgodziłby się umierać.

II

Jest to więc powieść o współczesnych czasach, ale nie o współczesnym człowieku.

I tak Jarosław Iwaszkiewicz wyszedłszy od metafizyki doszedł — rzecz paradoksalna! — do opisowości. *Sława i chwała* składa się ze znakomitych rysunków socjologiczno-obyczajowych oraz owych „chwil", czyli po prostu bardzo pięknych, nastrojowych nowel — tak właśnie, jak wspomniana wycieczka w Tatry, śpiew Rysia, śmierć Józia Royskiego pod Kaniowem i in. (Wielką rolę w nastroju powieści odgrywa muzyka, którą Jarosław Iwaszkiewicz oddaje wprost mistrzowskim słowem — za przykład niech posłuży przytoczony wyżej opis śpiewu Oli.)

W zakresie obyczajowo-socjologicznej opisowości Iwaszkiewicz okazuje imponującą spostrzegawczość i pamięć oraz sprawność pióra. Na kartach powieści ożywają typy ludzkie, środowiska, sytuacje, które w wyobraźni młodszego pokolenia już nawet nie istnieją, a przecież widzi się je i czuje nieomal jak współczesność. Iwaszkiewicz jest przy tym ogromnie wszechstronny. Wyliczmy

tylko pobieżnie środowiska, jakie pojawiają się w pierwszym tomie *Sławy i chwały:* polska i rosyjska inteligencja w przededniu rewolucji i w czasie jej trwania; martwy pałacyk Bilińskiej w Warszawie, zaraz po wojnie; pałac na Sycylii, snobistyczny salon artystyczny w Paryżu; salon dyplomatyczny; warszawskie drobnomieszczaństwo; półchłopska rodzina Spychały; folwarczki ogrodnicze byłych ziemian z Ukrainy; robotnicza rodzina Jasia Wiewiórskiego; pracownia cukiernicza; fabryczka naboi myśliwskich na Targówku; wojsko wreszcie — znakomity opis marszu Hallera i bitwy pod Kaniowem. Ile krajów! Rosja, Francja, Włochy, Niemcy. Nie należę do pokolenia, które własnym doświadczeniem mogłoby sprawdzić wierność tych opisów. Wystarczy mi jednak — jako krakowianinowi — przeczytać spacer Janusza z dworca kolejowego przez Planty do Grand Hotelu, aby mieć absolutną pewność, że hotel przy Corso Umberto w Palermo, w którym zatrzymał się Spychała, został opisany z równą precyzją, jak ten przy Sławkowskiej ulicy w Krakowie.

Sława i chwała jest dziełem ogromnej pamięci i wspaniałej kultury. Jest dziełem nawet w większym stopniu pamięci i kultury niż ideologii. Stąd zapewne jej „niedzisiejsza" atmosfera — obca trochę czasom, których sztuka jest tworem i narzędziem przede wszystkim ideologii. Stąd także pewna staroświeckość jej formy. Powieść ta kontynuuje tradycyjną formę powieściową, przejętą wprost z mieszczańskiego realizmu, z pewnymi unowocześnieniami dokonanymi przez międzywojenny psychologizm. Jest to powieść z wielowątkową fabułą, konstruowaną według wszelkich prawideł powieściopisarskiej dramaturgii, powieść w pełni zadowalająca czytelnika, który szuka romansowych emocji, powieść o tradycyjnych, niezachwianych proporcjach dialogu, opisu i autorskiej relacji, pilnie przestrzegająca zasady prawdopodobieństwa sytuacyjnego i psychologicznego, powieść zatem — krótko mówiąc — wolna od wszelkiej „awangardowości".

Oczywiście, „awangardowości" formalnej już chyba nikt nie uważa za cechę nowoczesności. Istnieje natomiast jakiś dzisiejszy ideał powieści, powstały niewątpliwie w drodze odchodzenia zarówno od tradycjonalizmu, jak i awangardy — ideał powieści, którą nazwałbym „programową". Propagowała go u nas *„Kuźnica"*, propagują go dotąd jej pogrobowcy (np. Flaszen), bo — jak wiadomo — po *„Kuźnicy"* nic nowego w naszej krytyce nie było. Jest to ideał powieści o pełnym współbrzmieniu z problematyką ideową epoki, powieści o celowo podporządkowanej założeniu ideowemu selekcji materiału epickiego, o zdyscyplinowanej konstrukcji, służebnej w stosunku do filozoficznej czy publicystycznej nadbudowy utworu, powieści z bohaterem, ponoszącym wszystkie konsekwencje historii, doświadczającym najistotniejszych udręk swego czasu, powieści o sile uogólniającej i wykładności pojęciowej wszystkich swych zdarzeń.

Programowość powieści to nie tylko postulat ideologiczny, to także jej samoobrona przed nierówną konkurencją z filmem, który ma większe możliwości frapowania fabułą oraz plastycznego przedstawienia. To także samoobrona przed usuwaniem się powieści do rzędu lektury rozrywkowej, który to proces można obserwować nie od dziś. To wreszcie samoobrona przed naciskiem tradycji, który zagraża powieści współczesnej, odkąd weszło w modę czytanie klasyków i odkąd dla przeciętnego czytelnika lektura współczesna jest przede

wszystkim kontynuacją dawnej. Moda czytania klasyków jest stosunkowo niedawna i znacznie zmieniła odbiór literatury współczesnej. Czytelnik XIX-wieczny, a raczej owa „piękna czytelniczka", do której zwracali się we wdzięcznych apostrofach ówcześni powieściopisarze, czytała nowości. Czytelniczka Balzaka już nie sięgała po *Nową Heloizę* czy po Richardsona, czytelniczkę Zoli nudził Balzak. Jeszcze w dwudziestoleciu Balzaka zostawiano urzędniczkom pocztowym — należało czytać Prousta. Dopiero, być może, awangardowe kierunki literackie i coraz pogłębiający się rozdźwięk między gustami elity twórczej a gustami szerokiej publiczności, przywróciły klasyków zarówno masom jak i elicie. Ta sytuacja pogłębia się u nas po 1949 roku, kiedy czytanie Kraszewskiego należało już do snobizmu nie tylko literackiego, ale nawet politycznego.

Artystyczna i ideologiczna nieufność do współczesnej literatury trwa, klasycy rozprzestrzeniają się coraz śmielej w prywatnych bibliotekach, ich uroki, ich style, ich metody pisarskie stają się coraz bliższe. Dzisiejszy czytelnik Balzaka, Walter Scotta, Londona pyta czasem w księgarni o jakiegoś współczesnego Balzaka, Walter Scotta i Londona, tzn. chciałby mieć dzisiejsze czasy opisane dawnymi sposobami. Masowe gusta i rozwój kinematografii wtrącają powieść w Scyllę eksperymentowania i Charybdę tradycjonalizmu. Że to błędne koło — każdy wie. Nie odnowił powieści ani freudyzm, ani behawioryzm, ani zabiegi konstrukcyjne, językowe czy stylizatorskie.

Tylko nowy odbiorca odnawia gatunki literackie. Heroiczne mieszczaństwo stworzyło wielką powieść realistyczną, drobnomieszczańska półinteligencja — powieść drugorzędną — owych dzisiejszych Balzaków, dzisiejszych Walter Scottów i Sienkiewiczów. W naszych czasach powstał nowy czytelnik — nowa inteligencja, ukształtowana na zasadzie doboru ideologicznego, przeżywająca gorąco problematykę ideową współczesności. Dla niej jest powieść programowa, powieść, której natchnieniem i konstrukcyjną zasadą jest pryncypialna dyskusja ideowa, powieść z reprezentatywnym bohaterem, którego całą pasją jest ideologia. Ideałowi temu patronuje twórczość Tomasza Manna (por. wielką popularność *Czarodziejskiej góry* wśród tej inteligencji), kontynuują ten typ literatury na zachodzie egzystencjaliści, uprawiany był w trzydziestych latach w ZSRR, marzy się i u nas od czasów *„Kuźnicy"*. Patronują mu w historii literatury osiemnastowieczni racjonaliści i suchy, precyzyjny Stendhal. W naszej literaturze doznaje on nieoczekiwanych inspiracji ze strony wielkiego dramatu romantycznego (zwłaszcza Słowacki) oraz Żeromskiego, który umie nadawać swym bohaterom imiona idei.

Marzy się taka powieść u nas nadal. *Sława i chwała* tych marzeń nie spełnia. Ideologia nie jest największą pasją jej bohaterów. Jest jedną z ich przygód — nie większą od miłości, sztuki, przyjaźni czy podróży. Ideologia nie jest natchnieniem i konstrukcyjną zasadą *Sławy i chwały*. Jej natchnieniem jest pamięć, jej konstrukcją i zasadą dążenie do pełni i obiektywizmu.

Opętanemu pasjami wieku czytelnikowi nie może się ta powieść podobać od pierwszego wejrzenia. Więc radzę, niech ją czyta po raz wtóry. Tak czasem niechęć do jakiejś okolicy, w której wydaje się „nic nie ma", trzeba przemóc powracając do niej — za drugim razem okolica już nie jest pusta, lecz zamieszkała przez nasze własne rozczarowanie, do którego odnajduje się nowy stosu-

nek. Podobnie zwiedzać trzeba rozległy świat Iwaszkiewiczowskiej epopei i toczyć polemikę z własną niechęcią do jej bladawych bohaterów, do jej niegłośnych wydarzeń, do jej łagodności i melancholii, do jej „niedzisiejszości", do indyferentyzmu, w którym mieści się rozum innego wieku, innego pokolenia, innej postawy.

Albowiem melancholijna filozofia i tradycyjna forma *Sławy i chwały* nie są jej słabością, lecz konsekwentną realizacją programu wyłożonego już w pięknym cytacie z Norwida umieszczonym na karcie tytułowej:

— I gwar, myślicie, że jest gromem dziejów?
A sławy puzon — że to róg na knieje?

I spór, który prowadzi z nią czytelnik dzisiejszy, w imieniu którego starał się przemówić krytyk, jest sporem nie o wartość tej powieści, bo jest ona bezsporna, lecz sporem o wartość postawy, którą ta powieść reprezentuje, sporem o żywotność tradycji, z której wynika. Nie próbujmy nawet przybliżać się do rozstrzygnięcia tego sporu, ponieważ jest on — jak wszystko w dziejach kultury — nieskończony i powraca, tak jak powracają style, ideologie, gusta.

Andrzej Kijowski

O POEZJI ZBIGNIEWA HERBERTA

Z b i g n i e w H e r b e r t: *Struna światła*. Warszawa 1956. Czytelnik; str. 84.

Nasza krytyka poetycka przeszła — albo raczej przechodzi — w ostatnich latach kryzys głębszy niż poezja. Przyczyny są łatwo uchwytne, nie warto ich nawet wymieniać, prócz jednej, która bywa na ogół przeoczana. Dobra krytyka poetycka musi być normatywna, krytyk musi wiedzieć i powiedzieć nie tylko, dlaczego mu się wierszyk podoba lub nie, ale jakich wierszyków chciałby; musi ujawniać określony ideał poetycki, być zwolennikiem jakiejś linii rozwoju poezji.

Rzecz jasna jednak (teraz), że postulatywność krytyki powinna znajdować oparcie nie w dyrektywach politycznych i fetyszach formalnych, ale przede wszystkim w analizie aktualnego stanu historycznego poezji i w osobistym smaku krytyka. Tymczasem w naszych pismach szalała krytyka normatywno-polityczno-tabuistyczna, a od wielu lat zapomniano o nieodwracalności rozwoju środków wyrazu poetyckiego i o konieczności pisania recenzji z własnego, najzupełniej osobistego punktu widzenia. Obawiając się formalizmu wpadano w hiperformalizm i drżąc przed subiektywizmem zapominano, że literaturę przyswajamy sobie najzupełniej pojedynczo, że lepiej otwarcie mówić, co się odczuwa i myśli, niż być hipokrytą lub stwarzać podejrzane byty obiektywne.

Pozostał po tym okresie lęk — jeszcze jeden lęk: przed postulatywnością. Tylko Przyboś — niezmienny zresztą od lat dwudziestu — nie waha się stawiać przed twórcami określonego modelu poezji. Próby zgalwanizowania krytyki poetyckiej idą raczej w innych kierunkach. Może najciekawszym z nich jest wskrzeszenie filozofowania na tematy poetyckie. Zademonstrował je ostatnio Jan Józef Lipski w arcyciekawej recenzji tomiku Mirona Białoszewskiego („*Życie Literackie*", nr 232).

Na podstawie analizy słownictwa Białoszewskiego Lipski próbuje ustalić jego postawę światopoglądową i znaleźć filozoficzne odpowiedniki jego poezji. Znajduje je w określeniach „reizm" i „nominalizm". Abstrahując na razie od konkretnej sprawdzalności tych etykiet zastanówmy się nad sensem takich dociekań w ogóle.

Lipski idzie w swoim artykule za Sandauerem, który jeszcze w roku 1946 w recenzji *Sprawy wyobraźni* Bieńkowskiego rozróżnił dwa sposoby rozumienia poezji filozoficznej (czy intelektualnej): tematyczny i strukturalny. Lipski, stosując drugie rozumienie, zwęża je jeszcze bardziej, opierając się tylko na wyznacznikach językowych.

Budzi to wiele zastrzeżeń. Przede wszystkim łatwo zauważyć, że stosunek między językiem a postawą filozoficzną nie jest w poezji jednoznaczny. T. S. Eliot, którego nikt chyba o reizm nie posądzi, pisze często jak zdeklarowany kotarbińszczyk. Można by cytować liczne wiersze różnych poetów — od Apollinaire'a do Tuwima i nawet Gałczyńskiego, które dałyby się bez oporu

sklasyfikować jako nominalistyczne i reistyczne.

Sądzę, że te same środki poetyckie mogą służyć do ujawniania różnych postaw filozoficznych — i *vice versa*, ta sama postawa może się wyrażać rozmaitymi sposobami. „Filozoficzna" klasyfikacja języka poetyckiego nie jest więc zagadnieniem z dziedziny badań nad światopoglądem (lub jest nim tylko wtórnie), ale z dziedziny stylistyki. Świadczą o tym choćby podejmowane w ostatnich latach próby określenia i oceny postawy światopoglądowej i politycznej pisarzy na podstawie użytych przez nich środków konstrukcyjnych i językowych. Jakże wielkimi materialistami okazywali się Jan Koprowski i Leopold Lewin, a jak podejrzanymi mętniakami Różewicz i Gałczyński.

Zresztą stwierdzenie, że czyjś język poetycki mieści się ściśle w ramach określonej koncepcji filozoficznej, jest możliwe tylko jako przenośnia. Jako tako precyzyjny język filozoficzny nie znosi metafor — a nawet reista i nominalista Białoszewski szafuje nimi hojnie. I trudno rozstrzygnąć, czy wyrażenia „trapezy przyśnień" lub „plazma życia" są reistyczne, czy nie — bo grozi to ciąganiem wiersza na prokrustowe łoże dosłowności.*

Tomik Białoszewskiego powitany został gromkim okrzykiem entuzjazmu (pomijam lekkomyślną recenzję Trznadla). Jest to przykład, do jakiego zachwiania poczucia proporcji doprowadzić może nienaturalna sytuacja w literaturze.

Karmieni „na siłę" przez kilka lat poezją złą lub nieśmiałą, syceni wrzaskliwymi programami, znudzeni zatłoczeniem wierszy tłumami, fabrykami i spółdzielniami produkcyjnymi — cóż dziwnego, że wszyscy wczytujemy się z zachwytem w kameralną, spokojną, samotniczą, napełnioną tak niezwykłymi motywami, jak drewniane świątki, durszlaki i piece poezję Białoszewskiego. Nie zauważamy przy tym, że jest ona przy całej formalnej świetności nadto opisowa, tematycznie marginalna, że igra konceptami, że jest statyczna, że w staroświecki sposób nie indywidualizuje podmiotu lirycznego. Że nosi cechy zasadniczego pęknięcia między dążeniem do plastycznego obrazu a czysto intelektualnym nizaniem jego elementów. Wyobraźnia czytelnika musi wykonywać ciężką, często daremną pracę, polegającą na skokach od rozumowego rozplątywania konceptu — do jego ustawienia w ramach obrazu. Charakterystyczne jest, jak często używa autor *Obrotów rzeczy* tak czysto intelektualnego pojęcia, jak „rytm" — dowodzi to zresztą, że czuje słaby punkt swojej poetyki, polegający na rozbiciu utworów na elementy i elemenciki.

Białoszewski to bardzo utalentowany poeta — ale dlatego *Obroty rzeczy* traktować trzeba jako zapowiedź dopiero. Krytyka wyrządza mu niedźwiedzią przysługę ogłaszając tomik jako spełnienie, nie wytykając ostro słabości i niebezpieczeństw. Tomik Białoszewskiego to nie tylko tryumfalny powrót wygnanej poezji — to także demonstracja ran i okaleczeń, jakie wygnanie spowodowało. Myślę, że przymusowa izolacja niedobrze się na Białoszewskim odbiła.

Zupełnie inaczej z Herbertem. Nie wiem, czy odegrał tu jakąś rolę fakt, że większość utworów z debiutanckiego tomiku *Struna światła* była już drukowana — faktem jest, że nie znać na nich odcięcia od świata.

Herbert jest poetą filozoficznym — ale w sensie tematyki: *Do Marka Aurelego, Uprawa filozofii, Drży i faluje..., Kłopoty małego stwórcy, Stołek* — to utwory *par excellence* filozoficzne. Zagadnienia idealizmu i realizmu, kontrastu między żywą rzeczywistością a sztywną o niej wiedzą, sensu życia — a więc, historycznie rzecz biorąc, centralne problemy myśli ludzkiej — to treść tych utworów, za każdym razem ujęta w kształt nowy i nieoczekiwany.

Przypadkowo może układają się one w pewien „tok rozumowania". Nie ma sensu metafizyka, operująca hipostatycznymi terminami „przestrzeń", „czas", „byt" (*Uprawa filozofii*). Rze-

* Warto dodać, że Lipski posługuje się pojęciem „nominalizm" w sposób lekko staroświecki, stosując je tylko do teorii powszechników. We współczesnym ujęciu nominalistą jest ten, kto uważa, że aksjomaty w systemach dedukcyjnych (zwłaszcza w matematyce) można przyjmować dowolnie, na zasadzie arbitralnej lub pragmatycznej. Przenosząc to rozumienie na teren poezji określilibyśmy jako nie-nominalistę takiego poetę, dla którego hierarchia figur poetyckich, symboli i słów jest czymś stałym i sztywnym. Myślę, że tylko dwa kierunki poetyckie dałyby się wówczas nazwać nie-nominalistycznymi: pseudoklasycyzm i tzw. poezja socrealistyczna, oba operujące stałą i nienaruszalną hierarchią znaków i tematów.

czywistość uchodzi z tych drętwych form albo formy zabijają rzeczywistość:

Szpalerem mądrych dialogów
suchym krokiem mierniczych

chodzą filozofowie
absolut mylą i liczą

Niżej na jakiejś cyfrze
może 3 może 1

nieruchomieje ostyga —
uniwersum

W powietrzu ciężkim jak szkło
śpią spętane żywioły

Ogień ziemię i wodę
zażegna rozum

(. * .)

A więc może każdy sam dla siebie ma „ścierając ręce do krwi" tworzyć świat? To wyjście pozorne.

Jeśli zaufasz pięciu zmysłom
świat zbiegnie się w laskowy orzech

Jeśli powierzysz rwącym myślom
na wielkich szczudłach teleskopów
zajdziesz daleko w pewną ciemność

to właśnie chyba twoim losem
być tworem bez gotowych kształtów
który poznaje-zapomina

(Kłopoty małego stwórcy)

Następnie jednak utwierdza się przekonanie o istnieniu obiektywnego świata, wpojone poecie przez drewniany stołek. Mówi do dębowego czworonoga:

— Wiesz mój kochany byli szarlatani
którzy mówili: kłamie ręka kłamie
oko kiedy dotyka kształtów co są
pustką —
to byli ludzie źli zawistni rzeczom
świat chcieli złowić na wędkę zaprzeczeń

jak ci wyrazić moją wdzięczność podziw
przychodzisz zawsze na wołanie oczu
nieruchomością wielką tłumacząc na migi
biednemu rozumowi: jesteśmy praw-
dziwi —
Na koniec wierność rzeczy otwiera nam
oczy

(Stołek)

Wreszcie w zakończeniu *Przypowieści o królu Midasie* dochodzimy do stwierdzenia, że codzienne życie ważniejsze jest od filozoficznej eschatologii:

Pozwól mi usiąść przy tobie
prosi malarz waz
będziemy mówili o ludziach
którzy ze śmiertelną powagą
oddają ziemi jedno ziarno
a zbierają dziesięć
którzy naprawiają sandał i rzeczpo-
spolitą
obliczają gwiazdy i obole
piszą poematy i pochylają się
aby z piasku podjąć zgubioną koniczynę

Będziemy trochę pili
i trochę filozofowali
i może obaj
którzy jesteśmy z krwi i złudy
wyzwolimy się w końcu
od gniotącej lekkości pozoru

Każdy z tych wierszy tworzy zupełnie odrębną całość, odmienny jest tonacją (od groteskowej satyry w *Uprawie filozofii* do elegijności *Kłopotów* i ciepłej uczuciowości *Stołka),* motywami, typem wersyfikacji. Problematyka filozoficzna obecna jest zresztą nie tylko w wymienionych utworach — występuje bardziej lub mniej jawnie na wszystkich prawie kartach *Struny światła.* A więc poezja intelektualna? Tak, ale Herbert nigdy nie zaniedbuje lirycznego przetrawienia racjonalnych treści, przetransponowania rozumowań i poglądów na obrazy i nastroje. Nie zapomina nigdy, że nawet liryka *stricto sensu* refleksyjna (jakiej tu zresztą mało) musi wyzwalać oprócz myśli, być może skłóconych i niepewnych, jednolity nastrój, mocne przeżycie emocjonalne.

I tu widzę drugą, obok intelektualizmu, kardynalną cechę *Struny światła:* dążność do podporządkowania wiersza wzruszeniu czytelnika. Nie można tego oczywiście mylić z efekciarstwem. Myślę, że każdy dobry wiersz posiadać musi niejako dwa ośrodki: jeden wewnętrzny, organizujący tekst, drugi zewnętrzny, jakby skupiający impulsy, udzielane przez utwór czytelnikowi w ten sposób, by przy różnorodności środków i motywów wywołać wrażenie jedności i pełni. Herbert nie zaniedbuje na ogół tego postulatu.

Trzecim istotnym rysem tomiku (wyliczam nie w kolejności znaczenia) jest odwaga w podejmowaniu „wielkich“ tematów. Przy omawianiu wierszy filozoficznych mieliśmy już przykłady tego — oto dalsze: śmierć *(Ballada o tym że nie giniemy, Trzy wiersze* i inne), wojna i miłość *(Dwie krople)*, sztuka *(Napis)*, poezja *(Arijon)*, rodzice i dzieci *(Matka)*. Właściwa treść tych wierszy, mimo konkretności i jednostkowości ujęcia, jest bardzo ogólna. Ich sens nie jest pokątny, ograniczony do stwierdzonka czy spostrzeżonka: chodzi o sprawy istotne. To znaczy o sprawy najtrudniejsze do wyrażenia. Werbalizm i romantyczny patos to w poezji polskiej upiory straszące na drogach wielkiej tematyki poetyckiej. Jak broni się Herbert przed tymi niebezpieczeństwami? W wierszach filozoficznych m. in. równoważeniem elementów pojęciowych przez obrazowe. Jeżeli na przykład w *Stołku* mamy „tezę“ bardzo ogólną, to obrazowy opis „dowodu“ jest bardzo rozbudowany. Podobnie w *Królu Midasie*. Tam, gdzie treść intelektualna jest węższa, jak np. w członach *Uprawy filozofii*, wystarczą mniejsze ilustracje.

Zresztą powiedzmy po prostu, że Herbert przed niebezpieczeństwami nieudźwignięcia tematu lub przytłumienia go „poetycznym“ wrzaskiem broni się — rozmaicie. Między takimi wierszami, jak *Dwie krople, Mój ojciec, Do Apollina, Las Ardeński, Dedal i Ikar, O róży* (a wyliczenie to można by ciągnąć dalej), różnice są tak znaczne, że można by sądzić, iż są to twory innych piór. Herbert operuje kilkoma różnymi stylami i dopiero bliższe przyjrzenie się wykazuje, że mają one niejeden rys wspólny. Czasem różnice polegają, jak sądzę, na tym, że wiersze reprezentują inne etapy kształtowania samodzielnego języka poetyckiego (najbardziej charakterystyczne dla Herberta wydają mi się takie utwory, jak *Wawel, Nike która się waha, Przypowieść o królu Midasie, Arijon)*. Niższe stadia reprezentują np. *Dom, Pożegnanie września* (wyraźnie różewiczowskie), *Mój ojciec*. Przeważnie jednak mamy do czynienia z dopasowywaniem stylu do tematu: autor wybiera ten typ swoich możliwości, który wydaje mu się najodpowiedniejszy. Piękna to i niespotykana u nas teraz wszechstronność. Przyznam jednak, że niepokoją mnie wyraźne manowce, na jakie Herbert czasem schodzi, dając wiersze tak „nieswoje“, jak (przejmująca zresztą) *Sól ziemi*, lub tak zanurzone w „młakach i wywierzyskach“ poetyckich (określenie Kazimierza Wyki), jak *Las Ardeński* i *Zimowy ogród*. W dwu ostatnich zatraca gdzieś jasność i precyzję obrazowania, która tak olśniewa na przykład w przepysznym, bujnym, barokowym wierszu *O róży:*

Słodycz ma imię kwiatu —

Drżą kuliste ogrody
zatrzymane nad ziemią
westchnienie odwraca głowę
twarz wiatru przy sztachecie
Ścielą się nisko trawy
oczekiwania pora
Przyjście zagasi zapachy
Przyjście otworzy kolory

W przeciwieństwie do wielu współczesnych poetów młodszego pokolenia autor *Struny światła* nie zaniedbuje spraw wersyfikacji. Awangarda, rezygnując z tradycyjnych środków rytmicznych, odbierała poezji jedną z najlepiej wypróbowanych broni. Chwilowy rozbrat wiersza z rytmem dźwiękowym miał jednak pewną zaletę. Rozwiało się mianowicie złudzenie, że poezja łączy się z rytmem w sposób konieczny: organizacja foniczna utworu stała się już nie tradycyjną niezbędnością, ale jednym z wielu środków wyrazu. Trzeba podkreślić, że lekceważenie tego środka do niczego dobrego nie prowadzi: dobremu poecie utrudnia osiągnięcie celu, skupienie uwagi odbiorcy, miernego prowadzi nieuchronnie na manowce prozaizmów i wodolejstwa.

Herbert na ogół organizuje swoje wiersze w dość konsekwentne zestroje wersyfikacyjne. Zwłaszcza zmienność toku rytmicznego wykorzystuje chętnie jako środek ekspresji. Nie brak tu jednak i przykrych zaniedbań i niejeden utwór bardzo by zyskał na mocniejszym zapięciu klamer rytmicznych.

W wielu wierszach *Struny światła* powracają sprawy sztuki — ale rzadko występują osobno (jak w *Architekturze)*. Typowym dla ich pojawiania się jest *Wawel*, jeden z najpiękniejszych utworów zbiorku. W szczególny i charakterystyczny dla Herberta układ splatają się tutaj motywy starożytne i artystyczne, przy jednoczesnym występowaniu ironii i patosu.

Problem: czy słuszne jest nazywanie Wawelu „polskim Akropolem“ (a więc problem m. in. z dziedziny sztuki), rzutowany jest na tło historii narodu, a negatywna odpowiedź zawarta jest w zdaniach pełnych bolesnego, zduszonego patosu:

I tylko może w noc w gorączce
w obłędzie w żalu barbarzyńca
co się od krzyżów i szubienic
dowiedział równowagi brył
. . . . . .
Akropol dla wydziedziczonych
i łaska łaska dla kłamiących

Ironia Herberta nie jest przyjemnym i łatwym naigrawaniem się z przedmiotu. To celne i często ledwo wyczuwalne narzędzie dla podwyższenia temperatury emocjonalnej wiersza. Kiedy w *Przypowieści o królu Midasie* malarz waz wylicza czynności ludzkie, z równą powagą wykonywane, możemy tu wyczuć ironię — ale nie złośliwą, stwierdzającą, dynamizującą obrazowość wiersza. Świetnym koncertem takiej ironii jest zwłaszcza końcowy wiersz *Arijon*. A jeżeli poeta jest nawet cierpki i kpiący, to możemy powiedzieć, że nabył prawo do drwiny przechodząc przez pasje zwątpienia filozoficznego i historycznego.

Problemy historyczne i narodowe powracają u Herberta w szatach antycznych, jak Książę Józef Thorwaldsena. Antyk nie jest tematem wierszy: jest środkiem dla wyrażania treści całkiem aktualnych. *Nike która się waha* mówi o śmierci młodzieńca na polu bitwy. Ody *Do Apollina* i *Do Ateny* są rozrachunkiem z mitami, o które ocieramy się i dziś. Wiersz *O Troi* wyraźnie mówi o ruinie naszych miast, o zniszczeniu, które przerasta poezję:

a pożar większy od Iliady
na siedem strun —

Iliada przypomina mi inny wiersz innego poety, talentem największego w polskiej literaturze naszych czasów:

nie wiedząc, czy my karty Iliady
rzeźbione ogniem w błyszczącym złocie,
czy nam postawią z litości chociaż
nad grobem krzyż

Myślę, że współczesna poezja, jeśli chce choć w pewnej mierze dać wyraz poważnej i patetycznej epoce, musi się zdobywać na powagę i patos. Jak nikt może poza nim Herbert ma dane do nawiązania, przy innej zresztą instrumentacji, łączności z przerwaną pieśnią Baczyńskiego. Łączności w powadze tonu i tematyki. Bez nawiązania tej więzi nasza młoda poezja skazana jest na ozdobnictwo i fałsz.

*

Nie chciałbym wywołać wrażenia, że bez zastrzeżeń pochwalam *Strunę światła*. Przy pełnej dojrzałości artystycznej autora tomik zawiera niejedną rzecz słabą. Nie podobają mi się *Trzy wiersze z pamięci* — więcej tu konceptów niż żywej treści. *Epos* raz jeszcze powtarza nieprześcigniony motyw Eliotowskiego Prufrocka. Można by się przyczepić do niejednej frazy i strofy, np. w *Dedalu i Ikarze* słowa Ikara są znacznie słabsze niż słowa jego ojca; w *Uprawie filozofii* słyszymy o „czterech kwadransach wieczności“, tj. o całej wieczności, a miało być tyle, co „niebawem“. Obawiam się też, że Herbert zbytnio uwikłał się w antyczny sztafaż, który co prawda ułatwia wydobycie podniosłego nastroju z ominięciem raf werbalizmu, ale może ograniczać skalę aktualnej wrażliwości autora.

Sądzę jednak, że generalna linia rozwoju artyzmu Herberta jest godna pełnej akceptacji. Opierając się na doświadczeniach poetyckich awangardy i Czechowicza (te dwa nurty wydają mi się najbliższe poecie) tworzy autor styl własny, intelektualny a nasycony realiami (zwłaszcza strona malarska bywa świetna, np. w *Ołtarzu* — czekamy na zebranie wierszy Herberta o tematyce plastycznej). Nie waha się przed wyborem „wielkiej“, ogranej zdawało by się, tematyki i umie sobie z nią poradzić. Jest lirykiem, a nie poetycznym kalamburzystą.

Myślę tylko, że nadto przytłumia swój głos, że zbyt często kryje się w górnych rejestrach jego skali — trzeba, by częściej próbował pełni. I może w zmienionej sytuacji kulturalnej (najświeższe wiersze tomiku pochodzą bodajże sprzed dwu lat) wstąpi w krąg najgorętszych aktualiów. Niebezpieczny to krok dla poety — ale Herbert dał już dowody odwagi i umiejętności.

Zdzisław Najder

LIRYKA JALU KURKA

J a l u K u r e k: *Wiersze wybrane.* Kraków 1956. Wydawnictwo Literackie; str. 145 i 3 nlb.

Jalu Kurek jest autorem ośmiu tomików poetyckich, z których pierwszy — *Upały* — pochodzi z roku 1925, ostatni — *Płomień nad Wisłą* — pieczętowany jest datą późniejszą o całe ćwierćwiecze. Opublikowane ostatnio przez Krakowskie Wydawnictwo Literackie *Wiersze wybrane* Kurka podsumowują niejako długi, trzydziestoletni okres twórczości poetyckiej pisarza, dla którego słowo wiązane nie stanowiło bynajmniej jedynej czy szczególnie uprzywilejowanej formy wypowiedzi. Przeciwnie — poezja Kurka z pewnością znajduje się na drugim planie po jego dorobku prozatorskim, który w daleko poważniejszym stopniu od liryki uczestniczy w kształtowaniu obrazu literatury współczesnej i posiada o wiele bardziej ważkie znaczenie — jak się zdaje — również dla samego twórcy. Powieści jego były w latach trzydziestych dość znacznymi wydarzeniami, uznanymi powszechnie przez krytykę za świadectwo dużych możliwości autora, znajdującego sobie miejsce — głównie dzięki utworom: *Grypa szaleje w Naprawie, Młodości śpiewaj* i *Woda wyżej* — w czołówce prozaików młodszego pokolenia. Natomiast poezja Kurka, konsekwentnie przecież wzbogacana kolejnymi tomikami, nigdy nie wzbudzała tak żywego zainteresowania i znajdowała się raczej w cieniu.

Mimo jednak drugorzędnej roli liryki w twórczości Jalu Kurka, warto się jej nieco przyjrzeć, ponieważ jest interesującym dokumentem tendencji poetyckich dwudziestolecia, które określa się zwykle mianem „awangardy". Interesującym nie tylko dlatego, że odzwierciedla owe tendencje, ale także z tego względu, iż ukazuje ich charakterystyczną ewolucję w kierunku zdecydowanie odległym od punktu wyjściowego.

Międzywojenna poezja Jalu Kurka wyrosła w kręgu krakowskiej *„Linii"*, której był redaktorem, i odzwierciedlała dość wyraźnie nawarstwienia i skrzyżowania różnorodnych tendencji, jakie dominowały w grupie artystycznej ukształtowanej wokół tego pisma. Pierwsze utwory pisarza powstają w dużym stopniu z inspiracji futurystycznych. Przede wszystkim w przekroju tematycznym: wiersze Kurka opiewają dynamikę sportu, głoszą chwałę industrializacji, nieobcy im jest ferwor nacjonalistyczny, a raczej jakieś witalistyczne zachłyśnięcie się uczuciami patriotyzmu *(Śpiewy o Rzeczypospolitej).* Związki z futuryzmem są w tym planie bardzo charakterystyczne dla poezji awangardowej lat dwudziestych. Obejmują one nie tylko zakres tematyczny, ale również t o n a c j ę uczuciową. Podmiot liryczny kreowany jest na demiurga, stwórcę nowych wymiarów świata, upojenie życiem zawsze przeradza się w aktywność konstruktywną:

Oto sport najśmiglejszy, drogi przyjacielu.
Przypięte mamy do stóp narty i stoimy
w śniegu.
Kocham ziemię szeroką od Tatr aż do Helu,
ale więcej mi mówi nogi drżącej
niespokojnie przegub.
. . . . . .
Przypięto nam do nóg platformę nowych
uniesień.
Wznieśmy się na niej w górę, stworzymy
nowy wymiar!
Ślad nart przemawia za nas piękny jak
polska jesień,
Szybki, bardziej zwycięski od historii
Rzymian.
(Pochwała nart)

Obraz rozwijany w kolejnych fazach wiersza (tu cytuję tylko dwie jego zwrotki) jest na wskroś dynamiczny, oparty na zasadach — chciałoby się rzec — kinematograficznych. Ruch narasta konsekwentnie — od statycznego momentu wyjściowego, poprzez fazy skoku narciarza, do powtórnego zetknięcia ze śniegiem i spokojnego już zjazdu. Najistotniejszy element to ciągłość ruchu, przerastanie jego kolejnych etapów na tej samej zasadzie, co zachodzenie na siebie ogniw łańcucha. „Filmowa" konstrukcja obrazu pozwala na stopniowanie tętna uczuciowego, stwarza dynamiczną me-

taforę dla mało zresztą konkretnych napięć lirycznych.

Poezja Kurka uderza w wysokie struny, skala doznań jest w niej bardzo „romantyczna", przy czym jako ton zasadniczy wybija się ogólnikowa patetyczność. Jest w tej poezji jakiś żywiołowy witalizm (np. *Hymn*), fascynacja zawrotnym tempem życia, konwencjonalny w ówczesnej poezji kult nowoczesności, zgiełkliwego miasta i egzotyki codziennych wydarzeń. W szkicu o Przybosiu pokazał Sandauer, jak dojrzewanie artystyczne autora *Śrub* przebiegało w kierunku indywidualizowania konwencji lirycznych awangardy, w kierunku uwyraźnienia osobistego, oryginalnego stosunku do haseł ówczesnej poezji, przefiltrowania ich niejako i oczyszczenia z elementów obcych własnej wyobraźni. W żadnym stopniu twierdzenie takie nie dałoby się odnieść do wczesnej twórczości Jalu Kurka. Znajdujemy w niej bowiem dosyć stereotypowe motywy liryczne, ogólnikowe, zrodzone bardziej z nacisku środowiska literackiego niż indywidualnie przeżyte, a więc niezbyt odkrywcze. Poeta probuje nadać rumieńców konwencjonalnym ideom przez dość sztuczne podnoszenie temperatury emocjonalnej wypowiedzi, przez „romantyczną" tonację, patetyczny gest i uczuciową żarliwość. Jednak ogólnik nie przestaje być sobą, nawet przy maksymalnym podniesieniu głosu wypowiadającego. Natomiast najbardziej interesujące wydają się próby poszukiwania przez Kurka takich wykładników obrazowych, które adekwatnie odpowiadałyby tonacji uczuciowej. Odpowiednikiem patetyzmu będzie więc silnie zdynamizowany obraz, zbudowany wedle filmowego montażu ujęć. Jest to łączenie cząstek obrazowych, które estetyka kina określa jako p r z e n i k a n i e w przeciwieństwie do c i ę c i a, polegającego na zespalaniu obrazów nie wg zasady ciągłości, lecz obocznego zestawienia. Metaforę Przybosia można by porównać do nagłego błysku, który został zatrzymany i unieruchomiony. Czynność przeobraża się niejako w przedmiot, dynamiczne doznanie uzyskuje statyczny wykładnik obrazowy. Kurek natomiast pragnie ukazać n a r a s t a n i e obrazu, zaprezentować jego rozpiętość czasową jako ciągłe przerastanie kolejnych faz. Zbliża to jego wiersze do ujęć futurystycznych. U podstaw tych ujęć spoczywają niewątpliwie przekonania filozofii bergsonowskiej o konieczności znalezienia kinetycznych form odtworzenia świata w miejsce fałszujących rzeczywistość pojęć i znaków statycznych. Gdy futurysta chce namalować konia w biegu, wówczas zaopatruje go w kilkanaście par nóg, by ukazać ruch nie w przekroju jednej chwili, lecz w uchwytnym p r z e b i e g u. Cytowany już utwór *Pochwała nart* jest bardzo typowy pod tym względem dla poezji Kurka. Wydaje się, iż technika — nazwijmy ją umownie — futurystyczna wiąże się w twórczości pisarza z pewną ogólnikowością doznań lirycznych. Dowodzi tego przede wszystkim porzucenie owej techniki w późniejszym okresie, gdy poezja Kurka staje się bardziej ściszona, intymna, kiedy zaczyna mówić o uczuciach konkretnych i osobistych. Znika z niej wówczas krzykliwa tromtadracja, hałaśliwe i „romantycznie" żarliwe wyznania, aktywność podmiotu lirycznego zostaje poddana większej dyscyplinie intelektualnej. Jednocześnie ulega przeobrażeniu metoda budowy obrazu. Metafora poczyna służyć pogłębieniu doznania, a nie, jak dawniej, tylko dynamizacji przedstawienia. Poezja Kurka osiąga większe skupienie i kondensację uczuć, przy czym obraz nieruchomieje, poddany innym niż dotychczas zasadom konstrukcji. Powstawanie tych zasad — charakterystycznych dla dojrzałej już metody pisarza — można prześledzić na terenie wiersza *Bitwa dnia z nocą*. Utwór maluje sytuację dynamiczną — wieczorne zmagania dnia i nocy, ukazuje pewien przebieg „wydarzeń", w których uczestniczą kolejno przywoływane siły przyrody, idące w sukurs obu walczącym przeciwnikom. Metaforyka jest bardzo jadnolita, konsekwentnie kształtuje obraz bitwy — wszystkie elementy w jednakowym stopniu służą celowi nadrzędnemu. Jest to z pewnością dowód zdyscyplinowania wizji poetyckiej, ale ciekawiej przedstawia się inny moment. Oto kolejne fazy dynamicznego obrazu ulegają niejako zatrzymaniu. Ciągnąc dalej porównanie filmowe można powiedzieć, że cząstki obrazu nie narastają tu na zasadzie wzajemnego przenikania, lecz ukazują się na po-

dobieństwo zdjęć oglądanych powoli na kliszy. Poeta nie dąży już do akcentowania ciągłości rozwoju, lecz prezentuje szereg gotowych i ukształtowanych sytuacji, które następują kolejno po sobie, każda zamknięta i skończona, choć każda współtworzy dynamiczny i zmienny obraz. Technika taka sprzyja większej precyzji i plastyce przedstawienia, pozwala na bardziej wyraziste zarysowanie konturów sytuacji lirycznej. Najciekawsze osiągnięcia przedwojennej liryki Julu Kurka powstają w wyniku dalszych przekształceń konstrukcji obrazu, których stadium początkowe obserwujemy w przytoczonym utworze. Oto fragment wiersza opatrzonego charakterystycznym tytułem *Obraz:*

Na ciekłym pionie serca skandują
wieczorem żaby
Umarłe, na pamięć połykane po nocach
Iliady.

Księżyc jest tak wielki, że się nie może
zmieścić przez okno,
Gwiazdy są smutne i wyją jak psy, bo
muszą na deszczu moknąć.

Po rozpachnionych domkach-ogrodach tra-
tuje noc ulewna.
Pociągom wystają z kieszeni chusteczki
ciepłych pożegnań.

Ten nienajlepszy zresztą utwór świadczy dosyć wymownie o przekształceniach techniki obrazowania w poezji Kurka. Poszczególne cząstki obrazu uzyskują autonomiczność. Składają się one — na podobieństwo mozaiki — w całość statyczną, nieruchomą, wszystkie umieszczone są na jednym planie czasowym — występują niejako równocześnie, służą nie dynamice obrazu, lecz przeciwnie — prezentują jego statyczny wygląd.

Te nowe zasady konstruowania wizji poetyckiej znajdujemy w kilku najwybitniejszych przedwojennych wierszach Kurka. Dotyczy to szczególnie najciekawszego, moim zdaniem, utworu, jakim jest *Kompozycja wieloplanowa.* Obraz całości składa się tu z kilku elementów sprzężonych nie na zasadzie widocznych związków, ale spojonych podskórną więzią liryczną.

Uczuciowe przeżycie jest zawsze procesem, posiada pewien przebieg, wznosi się do momentu kulminacyjnego, następnie opada, powoli zanika, aż do całkowitego rozpłynięcia się i zagubienia. Twórca wcielając doznanie w kształt wypowiedzi językowej staje zawsze wobec dylematu, w jaki sposób zobiektywizować swe przeżycie, by wizja poetycka ukazywała jego swoiste tętno i przebieg, jego niepowtarzalny uczuciowy i myślowy klimat.

Przykład „futurystycznej" liryki Kurka wskazywał na jedną możliwość — poszukiwania takich form obrazu, aby jego zewnętrzne związki odpowiadały narastaniu doznania. Przywołany tu utwór późniejszy — a jest on reprezentatywny dla poezji Kurka z lat trzydziestych — wskazuje na podjęcie przez twórcę innej możliwości, wedle mego przekonania bardziej odpowiadającej jego wyobraźni. Dajmy jej umownie miano „awangardowej". Polega ona na świadomym odrzuceniu więzi przyczynowej pomiędzy cząstkami obrazu, więzi rozumianej jako zasada kompozycyjna, oznacza dalej rezygnację z przedstawienia dynamicznego na rzecz obrazu, w którym statycznie zostają przedstawione poszczególne cząstki składowe. Są one jak gdyby aspektami wizji, ukazują jej różne strony w jednoczesnym i równoległym trwaniu. Na tym właśnie polega „wieloplanowość" utworu. Kompozycja wiąże się już raczej z techniką malarską, a nie, jak dawniej, filmową. Montaż obrazów nie jest związany z zasadą ich następstwa i narastania, lecz polega na przedstawieniu obocznym i równoczesnym. Obraz operuje statycznymi wykładnikami wzruszeń, dokonuje więc ich czasowego skrótu, pozostawiając luz dla skojarzeń odbiorcy. Dla pełnego odczytania utworu, a więc zrekonstruowania dynamicznego przeżycia, jakie stanowi jego podstawę, konieczne jest uchwycenie owej więzi lirycznej, która spaja poszczególne cząstki wizji niezależnie od ich kompozycyjnej autonomiczności.

Liryka Kurka z lat trzydziestych — a przynajmniej jej najwyższe osiągnięcia — należy do tego okresu „awangardy", w którym zostały już przezwyciężone ortodoksyjne rygory teorii, gdy miejsce laboratoryjnych eksperymentów Peipera zajęła twórczość uczestnicząca na wysokich prawach w rozwoju liryki dwudziestowiecznej,

wykuwająca nowe sposoby posługiwania się poetyckim językiem. Kilka utworów Kurka — spośród których wybija się na czoło wspomniana już *Kompozycja wieloplanowa* — należy z pewnością do czołowych osiągnięć „awangardy". Ale w jego liryce daje się zauważyć nadmierna rozlewność, wielosłowie, chciałoby się rzec — gadatliwość, którym poeta nie przeciwstawił jakichś jednolitych, wypracowanych przez siebie rygorów. Dotyczy to szczególnie wierszy dłuższych, które są bardzo niejednorodne — kojarzą metaforyczny, skrótowy obraz z wylewną, nieomal młodopolską „narracją".

Wydaje mi się, iż dopiero powojenna twórczość Jalu Kurka przynosi rozwiązania, które świadczą o klarowaniu się takiej dyscypliny poetyckiej, jaka odpowiada jego sposobowi przeżywania świata.

Liryka jego staje się teraz bardzo osobista, intymna, można w niej zauważyć pewne zwężenie skali uczuć i wzruszeń. Ulega znacznemu ściszeniu tonacja uczuciowa, zaczyna w niej dominować skupienie i zaduma:

Nie krzycz zanadto, poeto.
Domy wielkie buduję bez krzyku.
Nasil wołanie do szeptu.
Mówisz do żywych, nie do pomników.
(Do młodego poety posłanie)

Rozwój poezji Kurka w tym okresie wiąże się z ciągłym poszukiwaniem coraz bardziej lapidarnych form wypowiedzi. Jest rzeczą charakterystyczną, iż owe poszukiwania odbywają się na terenach uznanych ongiś przez „awangardę" za tradycjonalne. Dotyczą bowiem nade wszystko form lirycznej refleksji, a nie obrazu. Dzieje się to zgodnie z potrzebami twórcy, którego poezja krystalizuje się teraz prawie wyłącznie w dwóch kręgach — w kręgu wyznań osobistych oraz w sferze moralistyki. Zresztą obydwa kręgi nakładają się niejako na siebie, występują łącznie. Materiał przeżyć osobistych, którego autobiograficzną wartość pisarz podkreśla, staje się punktem wyjścia dla ugólnień moralistycznych. Konstrukcja podmiotu lirycznego jako moralisty znającego życie i wypowiadającego o nim bezsporne prawdy grozi zawsze niebezpieczeństwem mentorstwa, zabójczego dla każdej poezji. Kurek niejednokrotnie ociera się o to niebezpieczeństwo, jednak na ogół unika go przy pomocy metody odwznioślenia. Stara się umniejszyć czy raczej zacieśnić sferę wypowiadanych prawd do kręgu wzruszeń najbardziej codziennych, osobistych i małych (np. *O sercu bardzo naiwnie)*, próbuje też wprowadzić element humoru *(Dola pomnika)*, aby obniżyć wzniosłą tonację.

Powojennej poezji Kurka nie można, oczywiście, traktować jako jednorodnego i konsekwentnie wznoszonego bloku, w którym wszystkie cząstki w jednakowym stopniu współbudują całość. Takie mniemanie byłoby błędem, bowiem twórczość poety nie jest równa, nawet w pojedynczych utworach — dotyczy to głównie obszerniejszych, jak np. *Płomień nad Wisłą* — znaleźć można partie o zupełnie niewspółmiernych wartościach. Wydaje się jednak, iż można w tym okresie mówić o jednolitej tendencji w liryce Kurka, tendencji, która polega na poszukiwaniu form refleksji odpowiadających nowej skali lirycznego przeżywania, tak jak w okresie przedwojennym można było mówić o równie konsekwentnym poszukiwaniu zasad konstrukcji poetyckiego obrazu. Odległość pomiędzy tymi tendencjami jest jednocześnie miarą odstępu, jaki dzieli powojennego Kurka od poetyki awangardowej. Rozwój, o którym tu była mowa, polega na osiąganiu przez twórcę coraz większych rygorów lirycznej wypowiedzi. Nie jest to bynajmniej sprawa jedynie rozmiarów utworu, choć w danym wypadku również i ten problem wchodzi w grę. Idzie tu o rzecz poważniejszą — o umiejętność podporządkowania wszystkich elementów wiersza nadrzędnej refleksji lirycznej, drążącej jedną tylko myśl, jedno tylko uczucie:

Leżysz na mchu zielonym,
niebo otwiera bramę,
skąd bije blask rozżarzony;
oczy się w słońcu mrużą same.

W zielony mech wbijasz palce,
z garścią mchu w ręce ulatasz.
Wzbijaj się w światło najdoskonalsze.
Wbijaj się w sprawy świata.
(Wzbić się i wbić się)

Poezja Kurka osiąga teraz dwie nowe wartości, dotychczas nieosiągalne —

jednolitość wypowiedzi i kondensację uczucia. Osiąga te wartości na drodze całkiem odmiennej od przedwojennych terenów poszukiwań.

Największe zdyscyplinowanie refleksji można zaobserwować w epigramatycznych drobiazgach *Szkicownika poetyckiego*, które piszący te słowa ceni sobie najwyżej z twórczości poetyckiej Kurka, nie sądząc wszakże, by stanowiły ostatnie słowo autora. Dotychczasowy rozwój jego poezji nasuwa raczej przypuszczenie całkiem odmienne.

Janusz Sławiński

„MUZYKA GINĄĆ NIE POWINNA"

Jerzy Kierst: *Kalendarz liryczny. Dialogi z Wielką Niedźwiedzicą.* Warszawa 1956. PIW; str. 120 i 4 nlb.

Rozważania na temat *Kalendarza lirycznego* musimy zacząć od podstawowego stwierdzenia: książkę tę należy traktować jako jednolitą całość, jako wielki poemat liryczny, a nie zbiór pojedynczych wierszy. Podstawowa koncepcja utworu zarysowuje się całkiem jasno i bardzo interesująco. O ile dobrze rozumiem Kiersta, jego *Kalendarz* ma charakter *sui generis* manifestu poetyckiego, świadomie i z naciskiem formułującego pewne charakterystyczne tendencje naszej współczesnej liryki: zerwać z przesądami wpojonymi w nas przez szkolne poetyki, mające wartość jedynie opisową, ale nie normatywną, i zacząć od konkretnego poetyckiego doświadczenia. Doświadczenie to uczy, że nie ma żadnych wyraźnie zarysowanych granic pomiędzy poezją osobistą a — mówiąc najogólniej — społeczną, między epiką a liryką, między piosenką a hymnem, między sferą wieszczego patosu a nuconej z pozoru tylko „sobie a muzom" śpiewanki. Ten sam człowiek i jego realne doświadczenia życiowe stanowią materiał wszelkiej poezji. Po cóż więc sztucznie parcelować jej domenę między rozmaite rodzaje, gatunki, odmiany? Takie podziały mogą mieć pewną wartość heurystyczną dla badacza literatury, nie na wiele jednak przydadzą się one tworzącemu artyście. Jest jedna poezja, tak samo jak jest jeden poeta, który raz grywa na flecie, raz na fortepianie, a czasem dmucha w wielką trąbę. Specjalista od patosu więzi w jakiejś piwniczce, chowa wstydliwie przed ludzkimi oczyma siebie samego jako sielankopisarza czy satyryka, czuły liryk poskramia w sobie Tyrteusza, a piewca miłosnych dumek i szumek nakłada wędzidło dojrzewającemu w nim epikowi. To nasze „drugie ja" poetyckie wydostaje się na swobodę tylko od czasu do czasu i wtedy z kolei chowa się do kąta tamto „pierwsze". Bądźmy sobą, powiada swym poematem Kierst, nie wstydźmy się przechodzić od patosu do tkliwości, od ironii do lirycznego gawędziarstwa. Piosenka obok hymnu, żart obok miłosnej elegii, czułość obok brutalnie napastliwej satyry. Trzeba tylko, aby te zmiany nastroju i tonacji odzwierciedlały jak najwierniej i najdokładniej rzeczywiste falowanie uczuć, przesuwanie się rzeczywistego filmu wyobrażeń i skojarzeń w świadomości poety, a nie były przypadkową plątaniną motywów i stylów.

Można powiedzieć: niewielka to sztuka podejmować takie koncepcje po szkole, jaką dali naszej poezji Tuwim i Gałczyński. Tak, ale u tamtych ta antykonwencjonalna i antyklasycystyczna poetyka była albo czymś najzupełniej spontanicznym (jak u Gałczyńskiego), albo nawiązaniem do tradycji romantycznej powieści poetyckiej (*Kwiaty polskie* a *Beniowski* — temat do pracy magisterskiej dla młodego polonisty). Kierst realizuje w swym poemacie świadomie założony program, jak świadczą o tym rozsiane po wszystkich dialogach partie polemiczno-teoretyczne, w których autor stara się uzasadnić swoje racje, wyjaśnić założenia swojej poetyki. Słowem: Kierst formułuje pojęciowo, doprowadza do pełnego samouświadomienia ujawniające się dotychczas spontanicznie tendencje naszej po-

ezji i z nich wyprowadza swój program poetyckiego działania. Już ta intelektualizacja nurtów i skłonności, dotychczas bezimiennych, jest godnym uwagi sukcesem. Bądź co bądź autor nie pozwala unosić się biernie prądom epoki, ale próbuje na własną rękę majstrować coś przy jej mechanizmie. Jest to ambicja zasługująca na uznanie.

Czy tę, jeśli nie romantyczną, to w każdym razie romantyzującą, poetykę można przyjąć bez zastrzeżeń? Miałbym co do tego pewne wątpliwości. Wzięta zbyt serio i stosowana bez koniecznych ograniczeń, prowadziłaby ona w ostatecznych konsekwencjach do daleko posuniętego „uprywatnienia" poezji, otwierałaby drogę nie kontrolowanym wylewom lirycznego gadulstwa i wreszcie groziłaby zniszczeniem wszelkich więzi konstrukcyjnych utworu, a więc dezintegracją jego artystycznej struktury. Stosowanie tej poetyki wymaga bardzo pewnie i precyzyjnie działającego aparatu samokontroli. Ba! Ale jeśli z kolei samokontrola wyjdzie poza właściwe granice, zniszczy spontaniczność tworzenia, przeobrazi ją w czysto zewnętrzną konwencję, w jałową manierę imitującą swobodę i rozmach pisarski? Słowem: poetyka, której dopracował się Kierst, otwiera bogate możliwości, ale stwarza również i poważne niebezpieczeństwa.

Czy sam poeta dał sobie radę z zastosowaniem swego wynalazku w praktyce? Zagadnienie to wymaga szerszego omówienia. Zacznijmy od spraw kompozycji poematu. Składa się on z sześciu części, z których cztery pierwsze (*Turecki bez, Ziemia jest piękna, Przez niedomkniętą chmurę, Pod śniegiem*) są równoważnymi kompozycyjnie obrazami czterech pór roku; dialog piąty (*Baloniki sylwestrowe*) stanowi zamykającą poemat codę; część szósta (*Szpaki w trawie*) to jego nowe otwarcie, jakieś poetyckie *da capo*, które ma podkreślić, że *Kalendarz liryczny* to nie sztuczna, zbudowana według konwencjonalnych reguł całość, twór *par excellence* literacki, ale — przeciwnie — przetransponowany na poezję fragment życia, które jest ciągłym, jednolitym potokiem trwania — i nie tylko trwania, ale także wzrostu, rozwoju, walki o swoje coraz piękniejsze i bogatsze formy. Ta koncepcja wolna jest jednak od biologistycznej metafizyki „czystego trwania", gdyż stanowi ona jedynie kanwę, na której tka poeta opowieść o przeobrażaniu się indywidualnego, biologicznego czasu jednostki, ograniczonego narodzinami i śmiercią, w czas historyczny, czas rzeczywistości humanistycznej, zespalający jednostkę ze zbiorowością. Problematyka epoki zostaje pokazana przez przeżycia ściśle osobiste, ale nie znaczy to bynajmniej, że została ona w jakichś sposób „uprywatniona", skameralizowana. Kierst nie przyjmuje koncepcji świata rozkawałkowanego na izolowane fragmenty, zamknięte w sobie monady. Jednostka jest u niego układem elementów rzeczywistości otwartym, egzystującym jedynie w powiązaniu z otoczeniem i jedynie dzięki właśnie temu powiązaniu. Dlatego sprawy epoki widzi poeta jako sprawy w pełnym tego słowa znaczeniu własne, a w sprawach własnych stara się odszukać powszechność, typowość, indywidualną egzemplifikację tego, co wspólne wszystkim.

Poemat nosi podtytuł *Dialogi z Wielką Niedźwiedzicą*. Kim zaś jest owa Wielka Niedźwiedzica, wyjaśnia przypis do str. 105:

> Wielka Niedźwiedzica — literackie imię żony piszącego ten wiersz poety. Stąd ten blask, ciepło i dostojność w rymie oraz dla gwiazd i zwierząt wyjątkowy pietyzm.

Ten żartobliwy przypis nie powinien być traktowany jako definitywnie demaskujące oboje protagonistów poematu wyznania autora. Zarówno bohater-narrator jak i Wielka Niedźwiedzica są kreacjami literackimi i interesują nas z tego punktu widzenia; szukanie życiowej genezy obu tych postaci możemy sobie darować, ponieważ ta sprawa nie jest dla nas istotna. Dlatego też bohatera określać będziemy w dalszym ciągu tych rozważań jako Poetę, podkreślając użyciem wielkiej litery, że jest to ktoś inny niż Jerzy Kierst, co najwyżej jakiś jego bardzo daleki krewny. Otóż ów Poeta przez sześć dialogów (co czyni sto dwadzieścia stronic druku) rozprawia z Wielką Niedźwiedzicą, czasem z nią polemizuje, czasem jej coś opowiada, czasem notuje po prostu to, co mówi ona. Poeta stara się być wyrazicielem spraw wielkich, zasadniczych zagadnień

epoki, chce ciągle przemawiać jakby z cokołu swego przyszłego pomnika. Wielka Niedźwiedzica robi co może, aby swego małżonka sprowadzić na ziemię. Nie jest ona jednak reprezentantką przyziemności i egoizmu. Nieraz przecież porywa ją patos Poety. Nie jest bynajmniej nieczuła na poezję. Przeciwnie: ona również jest rzeczniczką poezji, poezji spraw codziennych, powszednich a zarazem na pewien sposób także wiecznych, także posiadającycyh swój patos i swój głęboki sens.

Kiedy, jak to się dzieje w dialogu wiosennym, Poeta próbuje pisać o wiośnie — od wiosny przechodzi do Wiosny Ludów, nie może skończyć piosenki o tureckim bzie, bo ze słowem „turecki" kojarzy mu się „srebrnolistne drzewo migdałowe" tureckiej poezji — więziony przez faszystowski rząd Nazim Hikmet. Rękopis piosenki zostaje podarty, ale oto zjawia się Wielka Niedźwiedzica, zbiera szczątki odtrąconego z pogardą utworu i występuje w jego obronie:

— To jest ładne. Coś jak muzyka.
A muzyka ginąć nie powinna.

Interwencja ta osiąga cel: w epilogowej partii poematu motywy bzowo-wiosenne zostają splecione z motywami hikmetowskimi i rewolucyjno-wiosennymi. Obie zasady poezji łączą i uzupełniają się wzajemnie. Konflikt między nimi okazuje się konfliktem nieantagonistycznym.

Nie znaczy to jednak, aby Kierst traktował racje Poety i Wielkiej Niedźwiedzicy jako absolutnie równorzędne. Nie jest on na tyle pozbawiony poczucia hierarchii. W dialogu *Przez niedomkniętą chmurę*, którego zasadniczą osnowę stanowi historia warszawskiej Niobe, matki tracącej dwu synów poległych w walce z okupantem, motywy spod znaku Wielkiej Niedźwiedzicy zjawiają się tylko jako elementy pomocnicze konstrukcji utworu, treściowo zaś grają rolę podrzędną. W *Balonikach sylwestrowych* natomiast szerokie rozwinięcie tych motywów nie zmienia faktu, że dominantą konstrukcyjną i ideową utworu jest opowieść o katastrofie podczas odbudowy mostu Poniatowskiego, jeden z najlepszych fragmentów całego poematu, piękny hołd złożony bohaterstwu polskich robotników. Kierstowi zależy na tym, aby racji reprezentowanych przez Wielką Niedźwiedzicę nie lekceważono, aby uznano ich prawo do swobodnego manifestowania się w poezji.

Nie mam w zasadzie nic przeciw takiemu stawianiu sprawy. Forsowany przez pewien czas ascetyczno-heroiczny ideał poezji okazał się w rezultacie groźny dla jej żywotności i rozwoju. Oczywiście w znacznym stopniu dlatego, że pojęto go nazbyt ciasno i po doktrynersku: nie jako punkt wyjścia dla twórczości pisarza, ale jako normę do wypełnienia. Stworzono w ten sposób swoisty formalizm — w imię antyformalizmu. Jako protest przeciw smutnym tradycjom schematyzmu i okolicznościowego opiewalstwa poemat Kiersta zasługuje na uznanie. Jest jednak w niektórych partiach *Kalendarza* pisanych pod znakiem Wielkiej Niedźwiedzicy pewna doza przestylizowania na prostotę taką prosto z serca (zbyt rozciągnięta jak na mój gust historia choinki w *Sylwestrowych balonikach)* i coś jakby próba rehabilitacji zatrącającej zgoła o filisterstwo d r o b n o ś c i stylu życiowego polskiej inteligencji, hodującej tradycje wyniesione z różnego rodzaju „dobrych domów" (i pieseczek, i wiewióreczka gryząca orzeszki na tomie Norwida, i konfiturki, i zegar z kukułeczką — deminutiwy same pchają się pod pióro). Kierst umie te motywy zgrabnie przemycić, potraktować je cokolwiek żartobliwie, czasem nawet jakby z lekką ironią, ale to nie zmienia faktu, że przy lekturze niektórych partii poematu robi się tak bardzo słodko, stanowczo za słodko. *Kalendarz* bywa chwilami zbyt ł a d n y, a nic chyba nie jest tak odległe od piękna, jak właśnie ładność. I jeszcze jedno: Kierst, kiedy się rozsentymentalnia, wypada ze swego tonu, zaczyna trącać w cudzą lutnię:

A tam właśnie wybawienie!
Bo właśnie kwitły akacje,
„bardzo" kwitły, po prostu „szalenie"
— takie zapachowe instalacje.

W każdym bądź razie pewne jest, że najbardziej dokładna i szczegółowa lista błędów i potknięć pisarskich autora nie zmieni faktu, iż *Kalendarz liryczny* to najmocniejsza z dotychczasowych książek Kiersta — już nie zapo-

wiedź, ale osiągnięcie. I tak samo wszystkie nasze pretensje do Wielkiej Niedźwiedzicy nie przeszkadzają temu, że z szacunkiem i sympatią myślimy o jej herbowej dewizie: „Muzyka ginąć nie powinna".

Stefan Lichański

PYTANIA DOKOŁA „ROJSTÓW"

Tadeusz Konwicki: *Rojsty*. Warszawa 1956. „Czytelnik"; str. 171 i 1 nlb.

Jeżeli *Rojsty* nie mogły się ukazać przez osiem lat, to zapewne sprawił to bardziej strach przed literą niż przed sensem słów tego utworu.

Kowicki opowiada w *Rojstach* o młodzieży polskiej walczącej w partyzantce antyradzieckiej na Wileńszczyźnie w czasie ostatnich miesięcy wojny z Niemcami.

Obierając za temat tę najjaskrawszą stronę akowskiej ideologii ukazuje autor moment ostatniego podsycenia owego ognia — i jego wygaśnięcia, jego klęski nadchodzącej wraz z pokojem w Europie. Przedstawia, w jaki sposób podsycano płomień, w którym przepalały się młode istnienia — i jak klęska otwierała chłopcom oczy na zawód, na grę polityczną, której padli ofiarą.

A więc jeszcze jedna powieść, której przewód oskarżenia sprowadza się do ustalonej formułki? Niezupełnie.

Krótka i nieskomplikowana opowieść o podwileńskim raidzie do kresu nadziei — zawiera w sobie kilka znaczeń. To dowód pewnej rangi literackiej utworu, ale to również możliwość niespodzianek.

Czy książka występuje z obroną młodzieży AK, jak pisze dziś autor we wstępie, czy z potępieniem „leśnych", jak dowodziłoby ironiczne ujęcie tematu podjętego osiem lat temu? Ani dzisiejsza, ani ówczesna „etykieta" powieści nie wyczerpuje jej wymowy. Jest w niej jedno i drugie: i obrona, i osąd, a to już więcej niż etykieta. I dlatego właśnie, że autor rzetelniej zagląda w sprawę, nie można *Rojstów* zaliczyć do rzędu utworów dających jeszcze jeden wariant ustalonych sformułowań.

Zanim jednak będzie mowa o stosunku autora do bohaterów, jeszcze parę słów o tym, kogo reprezentują.

Czy postacie *Rojstów* to AK? AK obejmowało szeregi o mocno zróżnicowanych tendencjach ideowych i społecznych, a więc i ta skrajnie reakcyjna partyzantka, przedstawiona u Konwickiego, reprezentuje AK, ale wycinkowo. Utwór nie powie nam wiele o takich problemach AK, jakie wyraziły się w tragizmie i bohaterstwie powstania warszawskiego.

„Nie jest to pamiętnik, chociaż w narracji użyłem pierwszej osoby. Forma ta zdawała mi się skuteczniejsza, prowokowała bowiem czytelnika do surowej oceny treści moralnych i intelektualnych, które pragnąłem przekazać w swojej powieści" — oświadcza autor na wstępie. A więc w jakim stopniu powieść przynosi surową ocenę treści moralnych, reprezentowanych przez jej bohaterów? Jakie są argumenty potępienia, a co się potępieniu ostaje w tych postaciach?

Jednoznaczne oskarżenie zostaje skierowane przeciwko awanturnictwu polityków prących do wojny domowej w nadziei na interwencję. Silne i piękne w książce jest wystąpienie przeciwko „wojaczce". Z tych wstrzemięźliwie relacjonowanych w powieści faktów przemawia wstręt, gniew i żal o zaszczepianie młodym ludziom nieludzkości, instynktów zdegenerowanego żołdactwa i przekonywanie ich, że to droga patriotyzmu i bohaterstwa.

Konwicki ukazuje w paru krótkich, lecz przejmujących scenach, jak ideologia partyzancka zatruwała wszystko, co jest dobrodziejstwem życia, jego uśmiechem i sensem. Przyjrzyjmy się zetknięciom partyzantów twarzą w twarz z ludźmi w nieprzyjacielskim mundurze. Przeważnie są to pojedynczy ludzie, pełniący jakieś zwykłe pokojowe funkcje — raz w mleczarni, innym razem

na postoju placówki strażniczej, kiedy indziej znów na koźle furmanki wiozącej zboże. Życzliwi, sympatyzujący z ludnością, a czasem nawet niedawni towarzysze broni Polaków z partyzantki przeciw Niemcom. Przedstawia ich Konwicki w jasnym oświetleniu; reprezentują oni życie, pokój, uśmiech pogody. Zostają zlikwidowani przez grupę partyzancką. Ta śmierć zadana osaczonym w pojedynkę, niemal bezbronnym — jest ponura. Jest potępieniem partyzantów. Ich działalność zostaje tu ukazana jako zamach na samą istotę życia, na pokój i dobre skłonności natury ludzkiej. Konwickiemu udało się nadać tym scenom wymowę moralną. Oczywiście w takim przedstawieniu rzeczy jest pewne uproszczenie. I żołnierze radzieccy w walce z partyzantami nie mogli występować jako „chorążowie pokoju"! Tu autor zastosował w powieści pewne ułatwienie.

Przegraną moralną sprawy swoich bohaterów Konwicki ukazuje poprzez antyhumanistyczne zwyrodnienie wielu z tych ludzi w walce, manię wodzostwa, cynizm, pogardę dla człowieka, poprzez brutalny antydemokratyzm tego ruchu, broniącego interesów polskich ziemian kresowych, poprzez nie kontrolowany krytyczną myślą tradycjonalizm, przyjmowany zamiast ideologii.

Jednak nie argumenty ideowe zdają się przeważać w książce szalę. Konwicki wprawdzie wspomina raz o marzeniach społecznych narratora, lecz postać ta najwidoczniej nie jest wyposażona w zmysł społeczny — i nie zawód co do społecznego programu partyzantki jest dla bohaterów powodem rozczarowania. Przegrana, przewaga siły po stronie przeciwnej podrywają ostatecznie zaufanie bohaterów do rzeczy, o które im kazano walczyć. Powracają z lasu do miasta przygnębieni pustką wewnętrzną, utratą sensu swej działalności. Sceny końcowe powieści mają dużą siłę uczuciową. Ale zarazem budzą pytanie: a więc najmocniejszym akcentem argumentacji przeciw sprawie — jest jej brak sukcesu?

Są w utworze jeszcze inne racje potępiające. To amoralizm postaci ruchu partyzanckiego, przede wszystkim bohatera głównego, samego narratora. Bohaterom Konwickiego, ukształtowanym przez reakcyjno-patriotyczne środowisko ziemiańskie, brak wychowania moralno-ideowego. Formowana przez autorytatywny nacisk tradycji, dopingowana do decyzji nieodwracalnych, do tak zwanego rzucania życia na stos — młodzież ta w istocie nie ma orientacji ani rozeznania w sprawach, dla których idzie ginąć i zabijać. Autor umiał sugestywnie przedstawić jej osierocenie intelektualne i moralne, jej ślepotę. To przemawia z książki bardzo silnie, znajduje odzew emocjonalny u czytelnika. Pisarzowi udało się doskonale odtworzyć w swojej powieści urok młodości. Jej świeżość, dysharmonijność w rozwoju psychicznym młodzieży, niebezpieczeństwo, na jakie jest wystawiony kruchy, nieustabilizowany w tym wieku charakter — przedstawione tu zostały z autentyzmem. Autor potrafił wywołać w czytelniku żal nad zgubą tych istot — i to jest sukces pisarski.

Przyjrzyjmy się jednak bliżej niektórym punktom aktu oskarżenia. Na przykład główny oskarżony, Żubrowicz. To jego dzieje służą zdemaskowaniu złego sensu sprawy. A jednak jest on — by tak rzec — ofiarą partyzantki. Nie brak mu odwagi w walce ani desperackiej wierności. Nie zabija, gdyż — tu Konwikci użył tragicznej symboliki — jego broń licha, zawodna, nie strzela nigdy, kiedy potrzeba w boju; gdy raz wypali przez przypadek, będzie to strzał fatalny: zabije mu przyjaciela.

Gdzież więc amoralizm tego bohatera? Amoralizm ten został ukazany w dziedzinach, które właściwie wymykają się osądowi. Żubrowicz nie ma odwagi stanąć przed matką przyjaciela, którego śmierć przypadkiem spowodował. Utrzymuje stosunki miłosne z jedną, potem z drugą dziewczyną, durząc się cały czas w trzeciej. We wszystkich tych wypadkach unika odpowiedzialności, kłamie, ucieka. W świetnym studium psychologicznym autor ukazał połączenie zuchwałego ryzykanctwa z tchórzostwem i cynizmem.

Czy to tylko „szczenięce lata", czy miał to być „bohater naszych czasów", reprezentant pokolenia?

Autoironiczna narracja nie odbiera mu sympatii czytelnika. Chwiejność charakteru n i e p o z b a w i o n a jest w powieści szczypty romantycznego demonizmu. Wskutek tego książka ma interesującego bohatera — ale... Ale jaki jest stosunek autora do tych braków moralnych pokolenia, pozbawionego wychowania etycznego, wychowanego przez wojnę?

W bohaterach *Rojstów* odsłonił Konwicki luki moralne, lecz i w następnych utworach luki te pozostaną nie wypełnione. We *Władzy* lub w *Godzinie smutku* próbował już kreślić postaci pozytywne, lecz czyż mają one istotnie ową postawę etyczną wznoszącą ponad nihilizm?

Jeśli idzie o stosunek autora do postaci, jest jeszcze w *Rojstach* jedna rzecz ciekawa. To mianowicie, że prócz głównego aktora mamy i „dublującego" rolę, obok „Żubra" stoi „Bonza". Jest to właściwie rozszczepienie głównego bohatera na dwie postaci. Jeden jest zaślepiony i nic nie widzi, drugi widzi wszystko i w nic nie wierzy, bierze udział w partyzantce z zupełnym sceptycyzmem. Reprezentuje w powieści inteligencję, której zabrakło impulsywnej postawie Żubrowicza. Ten sceptycyzm jest w *Rojstach* nutą dominującą.

Pozwala bowiem autorowi nie przeprowadzać granicy między ironią a solidaryzowaniem się z postaciami, między osądzeniem moralnym a immoralizmem.

On też pozwala na dwojakie odczytanie zakończenia. Pytanie: czy koniec powieści jest zły, czy dobry? Czy jest to powrót do życia ludzi bezsensownie gnanych w śmierć? Czy prosty, nazbyt może prosty symbol, uśmiech radzieckiego człowieka w mundurze do młodzieńców powracających z partyzanckich ścieżek, jest otwarciem bramy nadziei? Możliwością przywrócenia utraconej wiary w sensowne, pozytywne życie tego pokolenia, które „postawiło na czarną"? A może jest to podróż rozbitków do kresu nadziei, otwarta przed przegranymi brama w pustkę, w przepaść — skoro przepaleni w tamtej próbie wojny niosą w sobie nihilistyczną próżnię? Jest to — być może coś trzeciego, furtka w drwiące „jakoś to będzie", skoro z powieści tchnie mocno jedno: przywiązanie i miłość do życia bez dalszych określeń, sceptyczne „poza dobrem i złem"...

Dramat moralny wyrażony w *Rojstach*, dramat kontrrewolucjonisty — nie jest podobny do dramatu w *Cichym Donie*, mimo pozornie podobnej sytuacji. U Konwickiego nie ma sił przeciwstawionych dramatowi mylącego się człowieka. Ale sztuczne dopisywanie pozytywnej „strony medalu" nic by nie dało prócz fiaska. Próba łączenia obu stron medalu w jednym utworze nie udała się we *Władzy*. *Rojsty* są z jednej sztuki i wyszły na tym lepiej.

Rojsty, te *„fleurs du mal"*, kwiaty młodości w bagnach wileńskiego „lasu", są godnym uwagi osiągnięciem artystycznym. Szybka zmiana sytuacyj i umiejętność wywołania w paru słowach tła nasyconego kolorytem lokalnym — to zalety dobrej prozy, w której wrażliwość obserwacji i ostrość ujęcia dopełniają się nawzajem. Relacja skąpa, rzeczowa, w stylu współczesnego realizmu. Postaci pełne charakteru, wyjęte żywcem z ich „sosu codzienności", niefałszowane konwencjonalnością literacką, drażniące mową bez osłonek i bezwzględnym zachowaniem. Temat bohatera negatywnego dawał okazję do ostrzejszego podrażnienia nerwów...

Rojsty są satyrą pisaną w tonie autokompromitacji, ale bez szarżowania popisową lekkością, ze wstawkami ukrytego, powściągliwego liryzmu, które doskonale cieniują tok z lekka ironicznej narracji. Technika „pastelowa", stosowana na przemian z dobrze wkomponowanymi, naturalistycznymi akcentami.

Rojsty nie przynoszą może odkryć jeśli idzie o analizę środowiska politycznego, które formowało ruch młodzieży akowskiej, lecz dają za to świetny zarys kariery partyzanckiej „szczenięcych bohaterów". Satyra tkwi już w samym pomyśle pójścia bohatera do „lasu" dla zaimponowania lubiącej oficerów pannicy. Taki „podkład ideowy" od razu ukazuje ironiczny zamiar autora w stosunku do problemu, ale też nie skłania bynajmniej do odstępowania od rzeczywistości, która łączyła w sobie groteskę z tragedią. A że autor jest obdarzony humorem i zmysłem naturalności, więc też w opowieści mamy dużo swobody i uśmiechu: sceptyk śmieje się robiąc dobrą minę do złej gry.

Nie trzeba w *Rojstach* szukać *Drogi przez mękę*, to byłoby nieporozumieniem w stosunku do utworu, który wybrał jeden wątek z kłębowiska społecznego Polski okupacyjnej. Ale nasuwają się porównania z autoironiczną satyrą naszych powojennych „rozrachunków inteligenckich", np. z *Sedanem* Pawła Hertza.

Konwicki pisał osiem lat temu swoją książkę, „domagając się sprawiedliwego osądzenia sześciu lat wojennych, stanowiących dla wielu z nas w ogóle cały życiorys". Czy była ona wtedy owym

domaganiem się sprawiedliwości, wyruszeniem ze sztandarem obrony? Rzecz może się tak przedstawiać z perspektywy potrzeb dnia dzisiejszego, kiedy podejmuje się prostowanie błędów ocen historycznych zbyt pochopnych i wyrokujących w czambuł. Faktem jest jednak, że Konwicki, pisarz tak czuły na wymogi czasu, autor książek, które zawsze miały ambicję wyrażania „ostatniego słowa dnia", publikując obecnie swój pierwszy utwór, który (inaczej niż następne) nie dogodził smakowi administratorów sztuki — trafił tym razem na prawdę. Zagadnienia bowiem nie traktował pozornie. Przedstawił bolesność i złożoność tej sprawy ludzkiej, sięgnął po problem przeżyty we własnych konfliktach, wątpliwościach i poszukiwaniach drogi. Pisał na serio o tym, co było wtedy istotnym konfliktem jego pokolenia. Nie można tego samego powiedzieć o jego późniejszych powieściach, w których również usiłował podjąć najbardziej aktualne problemy chwili. Czyż np. wydany we *Władzy* wyrok na stronników „gomułkowszczyzny" i PPS-u wykazywał tę znajomość przedmiotu walki ideologicznej i tę sumienną chęć wejścia w trudny problem ludzi innych przekonań, ten humanizm i rzetelność, na jakie się zdobył w *Rojstach*, ukazując obraz psychologii manowców, po których szła młodzież walcząca w antyradzieckiej partyzantce?

Nie. Trzeba przyznać, że *Rojsty* to utwór, który na pewno więcej problemów odkrywa czytelnikowi niż następne książki Konwickiego.

Janina Preger

SZCZĘŚCIE I WŁADZA

Jadwiga Żylińska: *Stig Ulsen i Rozamunda.* Opowiadania. Wydawnictwo Literackie. Kraków 1956; str. 215.

Zazwyczaj dzieje się tak, że autor, studiując wycinek pewnej epoki, natrafia na jakiś interesujący epizod lub niezwykłą postać, która urzeka go do tego stopnia, że pisarz zaczyna osnuwać ją w pajęczynę poetyckiego zmyślenia. Tak powstaje artystyczna legenda albo tworzy się nowoczesny mit. U autorki *Stiga Ulsena i Rozamundy* zaszedł proces odwrotny.

Niewątpliwie, kiedy przystępowała do obmyślania fabuły tej opowieści, zaaklimatyzowana była doskonale w epoce i środowisku czternastowiecznym, które obrała sobie za tło niezwykłych kolei swoich bohaterów. Ale ich postacie i konflikty zrodziły się w jej wyobraźni wcześniej, zanim przystąpiła do szczegółowych studiów nad faktami historycznymi, o których wspomina.

Jakby na przekór istotnej kolejności ogniw posłużyła się w swoim łańcuchu twórczym zręczną mistyfikacją, podciągającą genezę jej opowieści pod ogólnie stosowany szablon. Przywdziała na siebie maskę badacza i komentatora odnalezionych rzekomo dokumentów i zabytków sztuki, sugerując wrażenie, że postąpiła podobnie do tych malarzy-konserwatorów, którzy na podstawie ocalonego fragmentu zniszczonego fresku odtwarzają całość malowidła.

Mistyfikacja udała się nadspodziewanie, skoro nawet pewien poważny profesor skłonny był uwierzyć w autentyczność miniatury i modlitewnika Królowej Zyty Rozamundy, jej notatek i zapisków kanclerza Jakuba Trachtmana (w pierwszym opowiadaniu) oraz fresku w starożytnej baszcie angielskiego dworzyszcza (w drugim). Nic dziwnego, że wzięła je na serio autorka recenzji w N-rze 24 *„Życia Literackiego"*. Świadczy to jedynie o przekonywającej mocy talentu Żylińskiej, która każe czytelnikowi ślepo wierzyć w swoją wizję poetycką. Bowiem ani księstwo Trzech Mostów, ani jego władczyni, ani jej małżonek, Goliat Szalony, ani przebiegły kanclerz, ani zaborczy książę Olaf, ani szlachetny rycerz Stig Ulsen nie istnieli naprawdę. Ale mogli istnieć, tak

mocno są osadzeni w obyczajach i światopoglądzie swojej epoki. W okresie, kiedy wielu pisarzy z nonszalancją zatraca koloryt zdarzeń i linię sylwetek ludzkich, których dystans, niekiedy półwieczny, nie zdążył zatrzeć w pamięci żyjących — ten dar wcielania się w psychikę i postawę ludzi późnego średniowiecza, a zatem momentu przełomowego w dziejach — zasługuje na najżywszą uwagę i uznanie, tym bardziej że autorka bynajmniej nie rezygnuje z perspektywy historycznej i ze stanowiska człowieka dzisiejszego.

Osią opowieści o Rozamundzie i Stigu Ulsenie jest odwieczny zatarg między władzą a sprawiedliwością, między ideałem a jego urzeczywistnieniem, między obowiązkiem a szczęściem osobistym. Władza wchodzi w konflikt ze sprawiedliwością absolutną, realizacja marzenia wykrzywia czystą linię ideału, który je zrodził. Edykty królowej, mające na celu ukrócenie samowoli baronów i ulżenie doli chłopów, zdwojonym brzemieniem spadają na barki ludu. Wkrótce jej intencje spełniają się, ale na zupełnie innej drodze, niejako wbrew jej zamierzeniom: nie w imię miłości bliźniego i sprawiedliwości, ale pod znakiem interesu.

W ogóle Rozamunda jest postacią tragiczną i fatalną zarazem. Wszystko, co przedsięweźmie, obraca się przeciwko niej. Pielgrzymka, podjęta celem uzdrowienia szalonego małżonka, rzuca ją w objęcia kochanka. Jej miłość dla niego ściąga zgubę na jego głowę.

Mniej więcej w tym samym czasie co *Stig Ulsen i Rozamunda* powstała sztuka d'Anouilha *Antygona*. Nie może tu być mowy o jakichś wpływach czy filiacjach, gdyż Rozamunda była napisana wcześniej, zanim ukazała się *Antygona*, ale widać problemat władzy i odpowiedzialności wisiał wówczas niejako w powietrzu, bo i w jednym, i w drugim utworze — epickim i dramatycznym — o tak dalece odmiennym kształcie zewnętrznym i wewnętrznej formie, dominuje niewiara w słuszność racji stanu i przekonanie o jej życiowej konieczności.

Rozamunda, zapatrzona w swój nieziemski ideał, przegrywa na całej linii. Brak jej niezbędnego elementu władzy: poczucia rzeczywistości, które w pełni posiada jej współrządca i wróg, kanclerz, jakby odpowiednik Blaksa z *Erosa i Psyche* Żuławskiego, na szczęście pozbawiony wszelkich cech alegorii, człowiek zimnej krwi i giętkiej kości, duszy kramarskiej i spekulanckiej, o trzeźwym i nieubłaganym rozumie męża stanu, małego średniowiecznego Metternicha, wszystko umiejącego przewidzieć oprócz pozornie irracjonalnych odruchów niepoprawnej w swym dziecinnym idealizmie królowej, które przecina brutalnie i okrutnie, jeśli im nie może zapobiec.

Rozamunda i Stig Ulsen, jej przypadkowy kochanek, to pogrobowcy bankrutujących ideałów średniowiecznego rycerstwa. Trachtman i Olaf to pionierzy czasów nadchodzących, których hasłem jest zdobywanie dóbr ziemskich, a orężem — przemoc i podstęp. Na granicy tych dwóch światów stoi arcybiskup, targany sprzecznością między nakazami Ewangelii a przyrodzonym człowiekowi dążeniem do swobody i szczęścia. Jest przekonany, że wszelkie zło na ziemi pochodzi z wolności myśli ludzkiej, a tymczasem głos Katarów, głos herezji, odpowiada mu:

— Z ciała, z ciała, z ciała...

W epilogu autorka pokazała całą bezcelowość i bezowocność zabiegów wszystkich swoich bohaterów, zabiegów, mających na celu utrzymanie fikcyjnego księstwa Trzech Mostów. W rozwiązaniu zarówno tragicznego romansu królowej ze Stigiem Ulsenem, jak losów jej państwa, kiełkuje ziarno egzystencjalizmu: i ludzie, i narody nie mogą ujść swego fatalnego przeznaczenia.

Identyczny wyrok spada na Mehtyldę, bohaterkę następnej opowieści, *Pani na Longthorpe*. Jej konflikt zwężony jest do urazu na punkcie niedosytu miłosnego i w tym jednym wspólny z tragedią Rozamundy. Trafnie zastosowany aparat czarów, uroków i sztuczek diabelskich czyni z tej opowieści parafrazę jednej z tych okrutnych legend diabolicznych, w których lubowało się nordyckie średniowiecze. W ogóle na tych dwóch opowiadaniach, podobnie jak na tytułowej noweli z poprzedniego zbioru *Muzykanci z Bremy*, zaciążył wyraźnie wpływ litera-

tury niemieckiej i skandynawskiej. Tylko w *Pani na Longthorpe* stosunek autorki do tematu jest raczej chłodny i bezosobowy, podczas gdy w *Stigu i Rozamundzie* nasycony jest nie tylko płomienną namiętnością dwóch istot, ale i liryzmem notującej ich przeżycia autorki, która swój w nich udział maskuje dyskretnymi aluzjami. Ileż ludzkiego, głębokiego współczucia wyziera zza wizerunku Rozamundy po piętnastu latach jej panowania. Portret ten jest zupełnie niepodobny do miniatury z czasów jej młodości:

> Tylko przy bardzo bacznym przyjrzeniu się dostrzec można po bokach zaciśniętych ust dwie cienkie bruzdki, które tym wyniosłym wargom nadają wyraz jakiejś cierpliwej wytrzymałości, gotowej znieść wszystko, nawet własną królewskość. Taką też powinniśmy ją zachować w pamięci: zawsze cierpliwą, tak jak niegdyś zawsze pełna była uniesienia.

Problemat posługiwania się źródłami literackimi ze zgoła odmiennej dziedziny, mianowicie z aktualnej rzeczywistości, porusza Żylińska marginesowo z dużą dozą persyflażu w jednym z trzech opowiadań współczesnych, uzupełniających tom, w *Przygodzie wakacyjnej*. Przeżywa ją młody literat, zaproszony przez swoją przyjaciółkę Gaję, aktorkę, do jej rodzinnego miasteczka na głuchej prowincji. Otoczenie, w którym ją zobaczył, studzi jego zapały. Ale nie doskonale, z subtelnym poczuciem humoru odmalowane środowisko prowincjonalne stanowi oś opowiadania, tylko, podobnie jak w *Muzykantach z Bremy*, pointa końcowa. Owocem wycieczki jest sztuka literata, której postacie i sytuacje nie mają nic wspólnego z istotnym stanem rzeczy, tak są przykrojone i przemalowane wedle obowiązującego schematu. Całe otoczenie Gai przegląda się w tej sztuce na opak.

> Gosposia pozostała bez zmiany. Tyle tylko, że nie chodziła do kościoła z książką do nabożeństwa, a wymykała się po kryjomu na kurs dla analfabetów... A oficer UB był czujny i nie chodził na polowanie, tylko w wolnych chwilach studiował klasyków marksizmu.
>
> Sztuka miała dobre recenzje, ale publiczność na nią nie chodziła.

Nowele współczesne Żylińskiej mają dwie wspólne cechy z jej opowieściami średniowiecznymi: autentyzm szczegółów i metodę „podwójnego dna". Autentyzm osiąga autorka dwiema drogami: albo przez drobiazgowe studia historyczne, albo przez wierne podpatrywanie rzeczywistości. Niesłuszny jest zarzut, stawiany Żylińskiej przy ocenie jej pierwszego zbiorku nowel, że obmyślane one są przy biurku, nie czerpane z bezpośredniej obserwacji. Przeciwnie, z małymi wyjątkami (i te właśnie należą do słabszych), większość jej opowiadań zawiera fakty przeżyte albo odmalowane z natury tak wiernie, że stanowią coś w rodzaju dokumentów życiowych. I to nieraz obraca się przeciw nim, że fantazja autorki za mało bierze w nich udziału, wskutek czego sprawiają chwilami wrażenie reportażu.

Ten brak inwencji sowicie wynagradza selekcja przeżyć psychologicznych i metoda „podwójnego dna", indywidualnego spojrzenia autorki na fakty relacjonowane pozornie z całkowitym *désinteressement* kliszy fotograficznej. To podwójne dno prześwituje gdzieniegdzie przez nurt fabuły, błyskając od czasu do czasu mocniejszym akcentem, jakby porozumiewawczym mrugnięciem autorki, która, zawsze trzymając swoje „ja" w cieniu, zaprasza nas filuternie i przekornie na widownię swojej „komedii ludzkiej".

Scena jej nie otwiera wprawdzie nowych horyzontów ani nie ma aspiracji w tym kierunku. Jest to scena kameralna, nawet wtedy, gdy porusza problematy ogólnoludzkie *(Rozamunda)*. Ale ma swój własny, indywidualny styl, tym cenniejszy, że urabiał się samodzielnie w okresie nagminnego lakiernictwa i bezosobowego schematyzmu.

Stefania Podhorska-Okołów

NIESPODZIANKI LITERATURY CZYLI AKTUALNOŚĆ SADE'A

Można się było mocno zdziwić, patrząc na zainteresowanie, jakie obudziły w ostatnim dwudziestoleciu we Francji postać i dzieła markiza de Sade. Z lamusa obyczajowych i literackich osobliwości wyciągnięli go już nadrealiści; ale właśnie — jako osobliwość, odpowiednią do imponowania i obrażania mieszczańskiej publiczności. Inaczej po wojnie: kiedy zajęli się nim eseiści, grawitujący wokół egzystencjalizmu. Sade wydał się im nie tyle buntownikiem obyczajowym, ile — filozoficznym; w jego dziele dostrzegli ciekawy punkt dojścia myśli libertyńskiej: szczyt metafizycznej negacji. Sade wprawdzie — pisze Camus — „nie stworzył nowej filozofii, ale prześnił potworny sen prześladowanego"; nie znaczy to jednak, aby z owego snu nie można było wyciągnąć pewnych intelektualnych wniosków. Warto — moim zdaniem — poznać, co mianowicie dostrzegli u Sade'a współcześni pisarze; warto choćby ze względu na miejsce, jakie zajął w problematyce egzystencjalizmu Sade. „Proroczy sen" Sade'a zanalizował ciekawie Albert Camus, zastrzegając się zarazem, że nie przyłącza się do chóru chwalców markiza jako pisarza. „Powody, dla których podziwia się dziś Sade'a... nie mają nic wspólnego z literaturą." Fragment poniższy, wyjęty z książki Camusa *L'homme revolté* (1951), rozważa wnioski, do jakich prowadzi okropna przygoda moralna Sade'a. Tytuł fragmentu pochodzi od tłumacza.

Jan Błoński

*

Czy Sade był ateistą? Twierdził, że tak, i można mu wierzyć; przynajmniej w latach, które spędził na wolności, w okresie *Dialogu księdza z konającym*. Później pozwala w to wątpić bluźnierczy szał, w jaki wpadł Sade. Saint-Fond, najokrutniejszy z bohaterów markiza, nie przeczy bynajmniej istnieniu Boga. Rozwija tylko gnostyczną teorię złego demiurga i wyciąga z niej odpowiednie konsekwencje. Saint-Fond, to jednak nie Sade. Zapewne; bohater powieści nie jest nigdy swym twórcą. Ale można przypuścić, że twórca jest jednocześnie wszystkimi swymi bohaterami. Otóż wszyscy ateiści Sade'a zakładają nieistnienie Boga dlatego tylko, że gdyby istniał, musiałby być obojętny, zły albo okrutny. Największe dzieło Sade'a kończy się dowodem boskiej głupoty czy nienawiści. Niewinna Justyna biegnie w deszczu przez pole i zbrodniczy Noirceul przysięga, że się nawróci, jeśli boży piorun oszczędzi dziewczynę. Piorun zabija niewinną, Noirceul triumfuje: na zbrodnię Boga odpowie zbrodnia człowieka. Powstał tak „zakład libertyna", odpowiednik zakładu Pascala.

Tak więc — idea Boga, jaką wyznaje Sade, to idea bóstwa zbrodniczego, które człowieka neguje i miażdży. Historia religii — mówi markiz — uczy, że mord był zawsze atrybutem Boga. Dlaczegóżby więc człowiek miał być cnotliwy? Sade-więzień przyjmie od razu ostateczne konsekwencje rozumowania: jeśli Bóg neguje i niszczy człowieka, nic nie za-

brania, aby człowiek negował i niszczył bliźniego. Bolesne wyzwanie, które w niczym nie przypomina spokojnego zaprzeczenia *Dialogu* z 1782. Ten, kto woła: „Nic nie jest moje, nic nie jest ze mnie“, nie jest ani spokojny, ani szczęśliwy; podobnie jak ten, kto mówi: „W trumnie gniją wspólnie tak cnota, jak występek“. Idea Boga to jedyna myśl, jakiej Sade „nie może wybaczyć człowiekowi“. U profesora tortury zaskakuje już słowo „wybaczyć“. Ale to sobie samemu nie może Sade wybaczyć idei, której przeczy zarówno los więźnia, jak i jego całe widzenie świata. Myślą Sade'a rządzić odtąd będzie podwójny bunt: przeciw sobie samemu i przeciw porządkowi rzeczy. Ponieważ oba te bunty sprzeciwiają się wewnętrznie wszędzie, tylko nie w udręczonym umyśle prześladowanego, myśl Sade'a będzie zawsze słuszna i dwuznaczna jednocześnie; zależnie, czy rozważać ją w świetle logiki, czy w trudzie współczucia.

Sade neguje więc człowieka i ludzką moralność, ponieważ przeczy im także Bóg. Ale jednocześnie neguje Sade Boga, który był dlań dotąd wspólnikiem i rękojmią. W imię czego? W imię instynktu, który przeważa u człowieka, zamkniętego przez nienawiść bliźnich w więzieniu: instynktu seksualnego. Czym zaś jest ten instynkt? Wołaniem natury *, ślepym porywem posiadania — choćby za cenę zniszczenia. Sade neguje więc Boga w imię natury — czerpie pełną garścią z arsenału ówczesnej filozofii mechanistycznej — ale zarazem naturę uważa za moc niszczącą. Natura to dla Sade'a płeć; logika każe mu więc dążyć do świata, którym rządzić będą nie prawa, ale ślepa energia pożądania. Oto królestwo gorączki i niepokoju, które pobudzi Sade'a do jego najpiękniejszych okrzyków: „Czym stworzenia, czym świat cały wobec najmniejszego z naszych pożądań!“ Bohaterowie Sade'a namiętnie filozofują, udowadniając, że natura żąda zbrodni, że musi niszczyć, by tworzyć, że ten, kto sam siebie niszczy, pomaga tworzyć naturze. Ale wszystko to ma tylko usprawiedliwić absolutną wolność, o jakiej marzy Sade, uwięziony zbyt niesprawiedliwie, by nie pragnął wszystkoniszczącego kataklizmu. Sade staje tu więc w opozycji do swego czasu: żąda wolności, ale wolności instynktów, nie zasad.

Marzył wprawdzie o światowej republice, o której wykłada mądry reformator, Zamé. Udowadnia tak, że bunt, burząc wszelkie granice, może pragnąć powszechnego wyzwolenia. Ale temu pobożnemu marzeniu przeciwstawia się u Sade'a wszystko. Sade nienawidzi filantropów, nie jest bynajmniej „przyjacielem rodzaju ludzkiego“. Równość, o której mówi, jest arytmetyczną abstrakcją; równowartością ludzi-przedmiotów, ohydną równością ofiar wobec kata. Ten, kto napina swe pożądanie do ostatecznego kresu, musi nad wszystkimi zapanować; spełnić się może tylko w nienawiści. Nie wolność, ale libertynizm będzie dewizą republiki Sade'a. „Sprawiedliwość — pisze ten oryginalny demokrata — nie ma realnego bytu. Jest tylko bóstwem rozpętanych namiętności.“

Nic znamienniejszego niż sławna broszurka, którą czyta Dolmancé w *Filozofii buduaru*. Nosi ona ciekawy tytuł: *Francuzi, jeszcze mały wysiłek, jeśli chcecie zostać republikanami*. Jak słusznie podkreśla Pierre Klossowski *, autor broszurki udowadnia rewolucjonistom, że republika opiera się na zabójstwie króla z łaski bożej; skoro więc 21 stycznia 1793 zgilotynowali Boga, odebrali sobie prawo potępienia zbrodni i ograniczenia występnych instynktów. Monarchia bowiem niosła w sobie ideę Boga, twórcy praw; republika, która istnieje z własnego nadania, może obejść się bez żadnych przepisów obyczajowych. Trudno jednak przypuścić, jak to chce Klossowski, aby Sade miał głębokie poczucie świętokradztwa, aby do wniosków, jakie głosił, doprowadziła go na wpół religijna zgroza wobec zabójstwa monarchy. Pierwotnie myślał tylko o owych wnioskach, później zaś dopiero dostrzegł argument, który mógł usprawiedliwić pożądaną swobodę obyczajów. Logika namiętności odwraca porządek rozumowania, stawiając wniosek przed przesłanka-

* Wielcy zbrodniarze Sade'a usprawiedliwiają się następująco: natura obdarzyła nas tak wielkimi pożądaniami, iż absolutnie nie możemy im się przeciwstawić.

* *Sade, mój bliźni (Sade mon prochain).*

mi; łatwo się o tym przekonać, czytając wspaniały szereg sofizmatów, którymi usprawiedliwia Sade oszczerstwo, kradzież i zabójstwo — żądając zarazem, by uprawomocniło je nowe społeczeństwo.

A przecież właśnie wtedy sięga Sade najgłębiej! Buntuje się — niezwykle, jak na swą epokę, przewidująco — przeciwko zarozumiałemu przymierzu wolności i cnoty. Wolność — jeśli zwłaszcza jest marzeniem niewolnika — nie może znieść żadnych ograniczeń; zmienia się w zbrodnię albo przestaje być wolnością. Sade nigdy tu nie zmienił zdania. Ten człowiek, który głosił same sprzeczności, był całkowicie logiczny tylko wobec kary śmierci. Był amatorem wyrafinowanych egzekucji, teoretykiem zbrodni seksualnej — ale nigdy nie mógł znieść legalnego zabójstwa. „Zamknięto mnie w republikańskim więzieniu, z gilotyną pod oknem; skrzywdziło mnie to stokroć bardziej niż wszystkie Bastylie, jakie można sobie wyobrazić.“ Tam właśnie zdobył ową odwagę, która kazała mu pozostać umiarkowanym w miesiącach Terroru i wstawić się wielkodusznie za własną teściową, która go przecież niegdyś wysłała — do Bastylii. Sade uparcie bronił stanowiska, jakie po kilku latach wyraził zwięźle Nordier: „Można zrozumieć zabójstwo popełnione w paroksyzmie namiętności. Ale trudno pojąć człowieka, który po poważnym namyśle, pod osłoną godnego szacunku urzędu, każe zabić — innemu“. Rysuje się tu myśl, którą także Sade rozwijał: ten, kto zabija, winien płacić własnym życiem. Sade, jak widać, był bardziej moralny niż nasi współcześni.

Jednak nienawiść, jaką Sade darzył karę śmierci, była przede wszystkim nienawiścią do ludzi, którzy wierzą w swą rację czy cnotę na tyle, że mają odwagę karać, i to najsrożej, podczas gdy są sami zbrodniarzami. Nie można wybrać dla siebie zbrodni, dla bliźnich zaś — kary. Musi się otworzyć więzienia — lub złożyć dowód własnej cnoty. Kto zgodzi się na zabójstwo, choćby raz, musi godzić się na nie zawsze. Zbrodniarz, który postępuje zgodnie z naturą, nie może jednocześnie twierdzić, że jest w zgodzie z prawem. „Jeszcze mały wysiłek, jeśli chcecie zostać republikanami“ oznacza: „Zgódźcie się na wolność zbrodni, jedynie racjonalną, i wejdźcie na zawsze w rewolucję, tak jak się wchodzi w stan łaski“. Całkowite poddanie się złu prowadzi więc do okropnej ascezy, która musiała przerazić republikę oświecenia i naturalnej dobroci ludzkiej. Rewolucja — w której, dzięki znamiennemu przypadkowi, spalono w rozruchach manuskrypt *Stu dwudziestu dni Sodomy* — nie mogła nie oskarżyć heretyka wolności i nie wtrącić znów do więzienia kompromitującego zwolennika. Sade zyskał tak okropną sposobność, by rozwinąć dalej swe buntownicze myśli.

Światowa republika była dlań marzeniem, nie pokusą. Naprawdę był w polityce — cynikiem. „Towarzystwo Przyjaciół Zbrodni“ popiera ostentacyjnie rząd i prawa, które wkrótce będzie łamać. Podobnie — sutenerzy głosują na deputowanego konserwatystów. Sade rozważa projekt, który zakłada życzliwą obojętność władzy. Republika zbrodni nie może być — przynajmniej chwilowo — uniwersalna: musi udawać, że podporządkowuje się prawu. A przecież Sade podporządkowuje się naprawdę tylko nieznużonej logice pożądania; w świecie, który żyje pod słońcem zbrodni, w którym jedyną zasadą jest mord. Kto jednak bezgranicznie pożąda, musi się zgodzić, że będzie bezgranicznie pożądany; kto żąda prawa niszczenia, zakłada, że może sam zostać zniszczony. Musi więc walczyć — i zapanować. Prawem tego świata jest wyłącznie siła; jego napędem — wola mocy.

Przyjaciel zbrodni szanuje naprawdę tylko dwa rodzaje mocy: wniesioną przez przypadek urodzenia oraz zdobytą przez niewolnika, któremu, dzięki swemu łotrostwu, udało się dorównać libertyńskim magnatom, zwykłym bohaterom Sade'a. Mała gromadka potężnych i wtajemniczonych wie, że wolno jej wszystko. Kto wątpi, choćby przez chwilę, o swym ponurym przywileju, zostaje odrzucony i zmieniony w ofiarę. Sade dochodzi tak do szczególnego moralnego blankizmu: gromadka mężczyzn i kobiet wynosi się zdecydowanie ponad tłum niewolników, dlatego, że dysponują przedziwną wiedzą zbrodni. Ma do rozwiązania jedno tylko zadanie: jak w pełni wy-

korzystać prawa, które im nadała przerażająca potęga pożądania.

Dopóki świat nie podda się prawu zbrodni, nie mogą się spodziewać, że zapanują nad całym społeczeństwem. Sade ani przez chwilę nie wierzył, że jego naród zgodzi się na ów „mały wysiłek“, który by go uczynił prawdziwie „republikańskim“. Jeśli jednak pożądanie i zbrodnia nie mogą władać światem, lub choćby ograniczonym obszarem, przestają być źródłami jedności, zamieniając się w źródła konfliktów. Skoro nie są prawem, człowiek poddaje się znów przypadkowi i nieporządkom. Trzeba więc z niczego choćby zbudować świat, który by dokładnie odpowiadał nowym ideałom. Żądanie jedności, którego nie zaspokaja stworzenie, spełni się za wszelką cenę — w pomniejszeniu. Potęga nie może cierpliwie czekać, aż stanie się światowym imperium. Bezzwłocznie wyznaczyć musi teren, którym rządzi, choćby go nawet otoczono drutem kolczastym i wieżyczkami strażników.

Tak więc buduje Sade perfidne więzienia, zamki otoczone siedmiokrotnym murem, skąd niesposób uciec i gdzie — w myśl bezlitosnego regulaminu — funkcjonuje poprawnie społeczeństwo pożądania i zbrodni. Bunt bez granic, wolność absolutna prowadzą zatem do ujarzmienia większości. Wyzwolenie człowieka — do kazamat rozpusty, gdzie swoiste biuro polityczne występku reguluje życie i śmierć mężczyzn i kobiet, którzy zstąpili na zawsze w piekło konieczności. Dzieło Sade'a obfituje w opisy „uprzywilejowanych terenów“, gdzie feodalni libertyni, wykazując zgromadzonym ofiarom ich nieodwołalną bezsilność i ujarzmienie, rozwijają przemowę diuka de Blangis do ludu *Stu dwudziestu dni Sodomy:* „Umarłyście już dla świata“.

Sade mieszkał w wieży Wolności — ale w Bastylii. Absolutny bunt ukrywa się wraz z nim w ponurej fortecy, z której nie może wyjść nikt: ani kat, ani ofiara. Tworząc własną wolność, organizuje Sade absolutną konieczność. Wolność pożądania neguje bliźniego, likwiduje litość. Zamknięcie, regulamin zabija serce, tę „słabość ducha“. W zmyślonych zamkach Sade'a istotną rolę odgrywa regulamin, który jest uświęceniem nieufności. Przewiduje wszystko, by nagła czułość czy litość nie rozbiła planów rozkosznej swawoli. Oryginalna to co prawda rozkosz, którą odczuwa się na rozkaz: „Wstawać nakazuje się co dzień o dziesiątej rano...“ Użycie nie może zwyrodnieć w przywiązanie; trzeba je więc umocnić i ująć w cudzysłów. Nie wolno dopuścić, aby przedmiot pożądania wydał się — choćby chwilowo — osobą. Człowiek to „rodzaj absolutnie naturalnej rośliny“; można go traktować tylko jako przedmiot, i to przedmiot eksperymentu. W odrutowanej republice Sade'a istnieją tylko mechanizmy — i maszyniści. Regulamin — formuła zastosowania mechanizmu — wskazuje miejsce wszystkim i wszystkiemu. Niegodne klasztory Sade'a mają swoją regułę: nieprzypadkowo skopiowaną z reguł zgromadzeń zakonnych. Tak na przykład zobowiązuje się libertyna do publicznej spowiedzi. Ale zmieniono wskaźnik oceny: „Jeśli prowadzić się będzie szlachetnie, zostanie skarcony“.

Sade, jak wówczas wszyscy, buduje idealne społeczeństwo. Ale, jak wówczas nikt, kodyfikuje przyrodzone zło człowieka. Buduje pieczołowicie miasto potęgi i nienawiści; jak przystało prekursorowi, wyraża osiągniętą wolność liczbami. Filozofię swą zamyka w zimnej buchalterii zbrodni: „Zamordowano przed 1 marca: 10. Od 1 marca: 20. Z przeniesienia: 16. Ogółem: 46“. Sade był prekursorem, zapewne; ale, jak widać — skromnym.

Gdyby Sade nie poszedł dalej, zasługiwałby na uwagę tylko jako zapoznany prekursor. Podniesiono jednak zwodzony most; trzeba w zamku — żyć. Regulamin, choćby najbardziej drobiazgowy, wszystkiego nie może przewidzieć. Może niszczyć, nie tworzyć. Władcy umęczonych społeczeństw nie znajdą jednak pożądanej przyjemności. Sade wspomina często o „słodkim nawyku zbrodni“. Ale nie słodycz tu widać; raczej wściekłość więźnia w kajdanach. Chce przecie zakosztować użycia i maksimum rozkoszy oznacza dlań maksimum zniszczenia. Chwila doskonałej wolności, ku której prowadzi zamkowy regulamin, to sparzenie się z cierpieniem, posięście zabijanego przedmiotu. Skoro jednak seksualna zbrodnia zniszczy

przedmiot rozkoszy, zniesie także rozkosz, która trwa tylko w sekundzie zniszczenia. Porwać więc trzeba nowy przedmiot, później znów nowy, wreszcie — nieskończenie wiele możliwych przedmiotów. Tak szereguje Sade swe erotyczno-kryminalne sceny, sztywne i nudne, tak iż wywołują u czytelnika paradoksalne wrażenie wstrętnej czystości.

Nie ma bowiem w podobnym świecie miejsca dla rozkoszy, rozkwitłej radości zgodnych i współ-czujących ciał. Jest tylko beznadziejna ucieczka od rozpaczy, która skończy się w rozpaczy, wędrówka z niewoli do niewoli, z więzienia do więzienia. Jeśli prawdziwa jest tylko natura, w naturze zaś — tylko pożądanie i mord prawomocne, pragnienia krwi nie ugasi całe królestwo człowiecze, zaspokoi dopiero — powszechne unicestwienie. Mówi Sade, iż trzeba stać się katem natury, co nie jest łatwe. Zamknięto, wymordowano ofiary; w opustoszałym zamku twarzą w twarz stają kaci. Czegoś im jeszcze brakuje. Cząsteczki torturowanych ciał rozpływają się w przyrodzie, z której znów odrodzi się życie. Nawet mord nie może być ostateczny: „Zabójstwo pozbawia jednostkę tylko pierwszego życia; należałoby jej zabrać także drugie..." Sade rozważa zamach na naturę: „Nienawidzę natury... Chciałbym poplątać jej szyki, powstrzymać pochód, zahamować bieg gwiazd, wstrząsnąć globami, które płyną w przestrzeni; zniszczyć, co naturze służy, ochronić, co jej szkodzi, słowem — znieważyć ją i obalić; ale przekracza to moje siły..." Sade zmyśla mechanika, który mógłby spopielić świat, lecz wie, że w pyle globów zmartwychwstanie życie. Zamach na stworzenie nie jest możliwy; nie można zniszczyć wszystkiego, coś zawsze pozostanie. „Przekracza to moje siły..." Świat Sade'a, lodowaty i bezlitosny, rozświetla nagle okropna melancholia, którą nas wreszcie — mimo woli — wzrusza. „Skoro zbrodnia miłości nie jest na miarę naszego pożądania, moglibyśmy zaatakować słońce; zniszczyć je lub podpalić nim świat. To byłyby dopiero zbrodnie..." Tak, to byłyby zbrodnie; ale nie — ostateczna zbrodnia. Nie skończył się jeszcze straszliwy pochód; kaci mierzą się wzrokiem.

Są samotni; i rządzi nimi tylko prawo mocy. Zgodzili się nań, kiedy byli panami, nie mogą go więc odrzucić, kiedy zwraca się przeciwko nim. Każda potęga dąży do wyłączności: trwać więc będzie mord, ale już między władcami. Sade nie cofnął się przed ostateczną konsekwencją swej myśli. Szczególny stoicyzm występku rozjaśni teraz trochę te rynsztoki buntu. Sade nie odwoła się do czułości i kompromisu, nie spuści zwodzonego mostu; zgodzi się raczej na osobiste unicestwienie. Rozhulana negacja prowadzi do bezwarunkowego przyzwolenia, które nie jest bez wielkości. Sade zgadza się — i może nawet pragnie — zostać niewolnikiem. „Gilotyna także byłaby dla mnie łożem rozkoszy."

Zniszczenie i przyzwolenie łączą się w chwili, w której władcy rzucają się jedni na drugich, tak iż dzieło Sade'a, wzniesione ku chwale libertynizmu, „usiane będzie trupami libertynów, ginących u szczytu swej potęgi" *. Najpotężniejszy, ten, który ocaleje, to uwielbiony samotnik, „Jedyny" — w ostatecznym rachunku — sam Sade. On w końcu rządzi, on — władca i Bóg. Teraz jednak gaśnie i znika marzenie. „Jedyny" zwraca się ku więźniowi, z którego majaków się narodził. Jest sobą i nim jednocześnie, sam, uwięziony w krwawej Bastylii, zbudowanej wokół nie nasyconego jeszcze, a już bezprzedmiotowego pożądania. Triumfował tylko w marzeniu; dziesiątki tomów, wypchanych okropnościami i filozofowaniem, zawierają tylko nieszczęśliwą ascezę, halucynujący pochód od totalnego „nie" do absolutnego „tak", zgodę na śmierć wreszcie; zgodę, która zmienia powszechne zniszczenie w zbiorowe samobójstwo.

Zgilotynowano manekin Sade'a; on także zabijał tylko w wyobraźni. Prometeusz skończył się w Onanie. Zakończył życie, zawsze uwięziony, ale już w szpitalu wariatów; zwykł był tam, na zaimprowizowanej estradzie, przedstawiać obłąkanym sztuki. Sade'a, którego nie zadowolił porządek świata, uspokoiły wreszcie marzenie i twórczość. Pisarz nie musiał liczyć się z rzeczywistością: cofnęły się przed nim wszelkie granice, pożądanie mogło wyładować się ostatecznie. Był więc Sade — pisarzem idealnym: stwo-

* Maurice Blanchot: *Lautréamont et Sade.*

rzył fikcję, by dać sobie złudzenie istnienia. Postawił nade wszystko ową „zbrodnię moralną, którą popełnia się piórem". Trudno mu odmówić tej zasługi, że w nieszczęśliwym jasnowidztwie zilustrował ostateczne konsekwencje buntu, przynajmniej takiego buntu, który zapomina o prawdzie swej przyczyny *. Konsekwencje te, to zamknięty obóz, uniwersalna zbrodnia, arystokratyzm cynizmu i wola Apokalipsy. Odnaleźć je będzie można w wiele lat później. Sade, rozkoszując się nimi, zdławił je jednak własnym niepowodzeniem i wyzwolił się tylko w literaturze. Godne uwagi, iż Sade pchnął bunt na ścieżki sztuki — rozwinie go później podobnie romantyzm. Będzie więc jednym z pisarzy, o których pisał: „zepsucie, jakie szerzą, tak jest niezwalczone i zgubne, że publikując swe okropne systemy pragną wyłącznie utrwalić sumę swych zbrodni; zbrodnię, której nie mogli dokonać sami, wywołują ich przeklęte pisma; ta słodka myśl, którą zabierają do grobu, pociesza ich w koniecznej rezygnacji ze wszystkiego, co istnieje". Buntownicze dzieło Sade'a świadczy więc o pragnieniu wieczności. Jeśli nawet nieśmiertelność, jakiej się spodziewa, jest nieśmiertelnością Kaina, pragnie jej; i świadczy tak najprawdziwiej o metafizyczności owego buntu.

Musimy mu również oddać hołd, porównując go z następcami. Nie wszyscy byli ludźmi pióra, niestety. Zapewne, Sade cierpiał i umarł po to, by rozpalać wyobraźnię pięknych dzielnic i kawiarń literackich. Ale powodzenie Sade'a w naszych czasach lepiej tłumaczyć inaczej. Rozwinął on marzenie, które dzielił ze współczesnością: marzenie o absolutnej wolności, skojarzonej z zimnym, wyrozumowanym odczłowieczeniem życia. Zredukowanie człowieka do rzędu przedmiotu doświadczenia; regulamin, który kodyfikuje stosunki między wolą mocy i człowiekiem-przedmiotem; zamknięty „obóz", w którym odbywa się potworny eksperyment — oto wskazówki, które wykorzystali teoretycy potęgi, zabierając się do tworzenia czasu niewolników.

Jeszcze przed dwoma prawie wiekami wychwalał Sade totalitarne społeczeństwo — w skromnym co prawda wymiarze — w imię frenetycznej wolności, której nie żąda prawdziwy bunt człowieka. Od niego zaczyna się naprawdę współczesna historia i współczesna tragedia. Sądził jednak, że wolność zbrodni musi iść w parze ze swobodą obyczajów, jak gdyby niewola mogła mieć granice. Czas nasz złączył technikę upodlenia Sade'a z jego marzeniem o uniwersalnej republice. To, czego najbardziej nienawidził: legalne morderstwo, wzięło na swój rachunek odkrycia, które przeznaczał dla zabójstwa z namiętności. Zbrodnia, w której widział rozkoszny i wyjątkowy owoc rozpętanego instynktu, zmieniła się w monotonny nawyk cnoty — cnoty już policyjnej. Oto niespodzianki literatury.

Albert Camus

* tzn. — wg Camusa — o dążeniu do wyzwolenia zarówno siebie, jak towarzyszy *(przyp. tłum.)*.

O POWIEŚCI SUBIEKTYWISTYCZNEJ

Ustalenie tytułu pracy naukowej nie zawsze jest zagadnieniem łatwym, ścisłość i jasność sformułowania — zasadniczy dezyderat pracy naukowej, obowiązuje autora również w stosunku do samego tytułu, w którym zawarta jest zazwyczaj kwintesencja podstawowej tezy.

Leon Edel niezbyt fortunnie wybrał tytuł dla swojej zresztą bardzo ciekawej pracy, nazywając ją *The Psychological Novel* *, kiedy sama praca jest próbą podsumowania dyskusji nad powieścią subiektywistyczną, względnie,

* Leon Edel: *The Psychological Novel 1900—1950.* Wyd. Rupert Hart-Davis, 1955.

jak ją nazwał Proust, powieścią analityczną.

W powszechnym zrozumieniu powieść psychologiczna zmierza do analizy motywów postępowania ludzkiego, jej zainteresowanie koncentruje się wokół dwóch współzależnych ośrodków — jednostki i otoczenia, rozpatruje jednostkę na tle i w bezpośrednim powiązaniu z problematyką ogólną, stara się ustalić zasięg obiektywnych bodźców i subiektywnych reakcji.

Postępowanie człowieka jest najwierniejszym i jedynym sprawdzalnym obrazem jego życia wewnętrznego, powieść psychologiczna dzieje się więc równolegle na dwóch płaszczyznach; jedna pozostanie zawsze hipotetyczna, druga jest realna i jako taka podlega jednoznacznej ocenie krytycznej, jedną nazwać można przeżyciem wewnętrznym, druga przejawia się w aktywnej działalności człowieka.

Powieść psychologiczna uznaje skomplikowaną strukturę wewnętrzną człowieka, ale jednocześnie zakłada konieczność istnienia pewnej ustalonej tendencjami ogólnymi hierarchii bodźców i motywów, docenia znaczenie nakazów etycznych i kontrolującej funkcji umysłu. Nie eliminuje procesu selekcji materiału faktycznego, lecz przeciwnie, podkreśla jego artystyczną i ideologiczną konieczność; taka tradycja przekazana nam została przez powieściopisarzy ubiegłego stulecia.

Leon Edel zwęził zakres pojęcia „powieść psychologiczna" do gatunku literackiego, który we Francji reprezentował Marcel Proust, w Anglii Dorothy Richardson, James Joyce i Virginia Woolf, w Stanach Zjednoczonych częściowo Henry James, jeżeli można go uznać za pisarza amerykańskiego, i William Faulkner, a potem cała plejada ich epigonów i naśladowców — bo to, co było początkowo śmiałym poszukiwaniem nowych form ekspresji, próbą spenterowania tajemnicy człowieka przy pomocy nie stosowanych dotąd metod, wkrótce stało się powszechną niemalże modą i manierą.

Jest kwestią sporną, czy w ogóle termin „powieść" w jego tradycyjnym znaczeniu można stosować do twórczości wspomnianych pisarzy; bo chociaż ramy powieści są znacznie szersze niż każdej innej formy literackiej, mimo że, w poszukiwaniu coraz to pełniejszych form ekspresji, wyzwoliła się w zasadzie z wszelkich nakazów formalnych, stała się terenem śmiałych eksperymentów i gatunkiem literackim, w którym dylemat społeczny szeregu pokoleń znalazł swój najpełniejszy wyraz, chociaż nie uznaje żadnych ograniczeń tematycznych, to jednak, przynajmniej do początków naszego stulecia, zakładała konieczność istnienia takich podstawowych elementów działania ludzkiego, jak czas, chronologia zdarzeń i ich związek przyczynowy.

Istota nowego punktu widzenia polega na tym, że przestaje się traktować myślenie jako funkcję celową i logicznie zorganizowaną. Działanie umysłu ludzkiego przejawia się poprzez przypadkowe, nie powiązane ze sobą skojarzenia, które w chaosie toczą się wokół centralnego punktu emocjonalnego. Przeszłość wiąże się bezpośrednio z teraźniejszością i rzutuje na przyszłość. Czas staje się czymś niewymiernym i absolutnie subiektywnym. Chorobliwej wrażliwości i aktywności umysłowej towarzyszy atrofia czynu, przez to zanika powiązanie z otoczeniem i wszelka skala porównawcza okazuje się nieprzydatna, a realne jest tylko subiektywne przeżycie. Nie jest to więc powieść psychologiczna, lecz „powieść subiektywistyczna"; ten termin zdaje się w sposób najbardziej jednoznaczny określać jej zasięg i treść.

Praca Edela dzieli się na dwie zasadnicze części; pierwsza jest wykładem ogólnym, w drugiej dokumentuje on swoje wywody na nie zawsze szczęśliwie dobranych przykładach. A oto podsumowanie jego tez: powieść subiektywistyczna zmierza do tego, by wyznaczyć nowy kierunek powieści i skierować ją z zewnętrznej ku wewnętrznej rzeczywistości, ku ukrytemu światu rojeń i fantazji. W swojej istocie są to dzieła autobiograficzne, przepojone językiem poezji, obrazy zmagań wewnętrznych człowieka. Jest to realizm innego pokroju aniżeli ten, jaki reprezentują w powieści Arnold Bennett, John Galsworthy lub Herbert George Wells, jest to próba uchwycenia uciekających myśli w momencie, kiedy krzyżują się one w umyśle.

Wyłania się z kolei pytanie, czy powieść subiektywistyczna jest absolutnym nowatorstwem i czy w przeszłości

nie czyniono prób oddania „nurtu skojarzeniowego“? Na myśl nasuwają się monologi Hamleta, Otella, a zwłaszcza szalonego Leara, Tristram Shandy, Lawrence Sterne'a, epistolarna forma powieści Richardsona, twórczość Dostojewskiego, Improwizacja Mickiewicza. Powieść subiektywistyczna doprowadziła sporadyczne próby do ich ostatecznej logicznej konsekwencji, rezygnując ze wszelkiego ładu i organizacji wewnętrznej; zamiast nich obserwujemy tendencję do bezpośredniego powiązania najróżnorodniejszych fragmentów myślowych i pozornie nie pozostających ze sobą w związku nastrojów emocjonalnych. Proces selekcji doświadczeń wewnętrznych zmierza ku temu, by stworzyć pozór ich absolutnego braku i tą drogą uchwycić coś znacznie bardziej zasadniczego, co wolne jest od elementów przypadkowości, a co można by nazwać ogólną „atmosferą umysłu“. Naczelnym celem jest uchwycenie na gorąco stanów umysłowych, analiza nie powiązanych ze światem zewnętrznym, a przez to zupełnie autonomicznych procesów myślowych, świadomych i podświadomych skojarzeń; uchwycenie na wzór taśmy filmowej tysiąca nie zorganizowanych i przypadkowych doznań, które jak błysk piorunu przebiegają przez nasz umysł w chwili, kiedy jesteśmy zaabsorbowani jakąś celową i konkretną czynnością myślową.

Pisarze ubiegłego stulecia śledzili procesy myślowe retrospektywnie, nowa szkoła stara się je uchwycić bezpośrednio w momencie ich powstawania. Balzac mówił o konieczności przetrawienia myśli i przełożenia doznań na język słów, nowa szkoła zmierza ku temu, by stworzyć pełne złudzenie, że sami jesteśmy wewnątrz umysłu bohatera. Wynika stąd bezpośrednio konieczność usunięcia się autora w cień i jego rezygnacji z funkcji narratora. Myśli, które znajdują ujście w „monologu wewnętrznym“, przemawiają w swoim własnym imieniu bez czyjejkolwiek interwencji lub pośrednictwa.

Ostatecznym celem autora jest bezwzględne scalenie dwóch odrębnych „atmosfer umysłowych“, bohatera i czytelnika, całkowita identyfikacja obcych sobie indywidualności powinna być rezultatem sugestywnego oddziaływania „ciągu skojarzeniowego“; tak więc sztuka pisarska wzbogaciła się o nowe doświadczenia, operuje w innym, nie znanym dotąd wymiarze. James Joyce i William Faulkner są mistrzami nowej formy, lektura ich książek daje czytelnikowi pełne złudzenie, że sam kolejno przebywa we wnętrzu całego szeregu postaci i bez czyjegokolwiek pośrednictwa, z najbliższej prespektywy śledzi ich życie duchowe.

Zanim powieść subiektywistyczna osiągnęła tak wysoki poziom artystycznej doskonałości, przejść musiała trudną i zawiłą drogę.

Pierwsze świadome i konsekwentne próby zmierzające do znalezienia nowych form ekspresji spotkać można w twórczości Henry Jamesa. Stosowaną przez siebie metodę nazwał on techniką „punktu widzenia“; polega ona na tym, że jedno i to samo zdarzenie przedstawione jest w oświetleniu kilku osób, interpretowane kolejno przez szereg umysłów. W powieści *The Turn of the Screw* głos zabierają trzy osoby, z których każda rzuca nowe światło na to samo zdarzenie, interpretuje je ze swego punktu widzenia, nadaje mu bardzo intensywne zabarwienie emocjonalne w odwołaniu się nie tyle do faktów, ile do subiektywnych, niewymiernych doznań, tak głęboko przeżytych, że nabierają wszelkich cech rzeczywistości. Po to, by podkreślić działanie impulsów wewnętrznych i udowodnić, że intensywność przeżycia jest wynikiem wrażliwości psychicznej, a nie działania bodźców zewnętrznych, Henry James w ogóle zakwestionował ich istnienie. Treścią opowiadania są majaki samotnej kobiety, przez nikogo niesprawdzalne widzenia, duchy, o których istnieniu ona przez chwilę nawet nie wątpi, bo je nie tylko widzi, ale, co więcej, czuje.

Założenia teoretyczne Jamesa dałyby się ująć w następujący sposób: od chwili kiedy przebywamy wewnątrz umysłu jakiejś postaci, obserwujemy zdarzenia z jej punktu widzenia, przez to siła naszych doznań jest uwarunkowana intensywnością przeżycia bohatera.

H. G. Wells wyraził się o Henry Jamesie, że czyni on wrażenie hipopotama, który toczy przed sobą ziarnko grochu. Sformułowanie H. G. Wellsa jest czymś więcej aniżeli bardzo dowcipnym skrótem myślowym, od-

twarzającym w sposób wizualny olbrzymią przepaść pomiędzy talentem Henry Jamesa, jego wysiłkiem twórczym, a bardzo skromnymi rezultatami poznawczymi, do jakich dochodzi. W tym sformułowaniu zawarta jest kwintesencja zasadniczej kontrowersji między dwoma nurtami powieści angielskiej, między grupą pisarzy społecznie aktywnych i społecznie indyferentnych, nowatorów i tradycjonalistów. Atmosfera dyskusji, podsycana coraz to mocniejszymi argumentami, będzie się stopniowo podnosić, by w latach dwudziestych osiągnąć nasilenie szczytowe. Nowe koncepcje okażą się, przynajmniej przejściowo, zwycięskie, w wyniku czego pojawią się próby krytycznego przewartościowania również literackiego dorobku przeszłości; sprawy te jednak nie wiążą się bezpośrednio z dyskusją nad powieścią subiektywistyczną.

Następnym krokiem w kierunku wyznaczonym przez Henry Jamesa i jego logiczną konsekwencją były próby bezpośredniego uchwycenia i notowania czynności umysłu przy zastosowaniu techniki „monologu wewnętrznego".

„Monolog wewnętrzny" według definicji Edouarda Dujardin, pisarza francuskiego, którego James Joyce zaszczycił mianem swego nauczyciela, „należy do gatunku pokrewnego poezji, jest niesłyszaną i niewypowiedzianą mową, przy pomocy której człowiek wyraża swoje najskrytsze myśli, te, które pozostają na pograniczu podświadomości, nie bacząc na ich logiczny układ — przy pomocy prostych zdań zredukowanych do ich syntetycznego minimum w taki sposób, by stworzyć wrażenie reprodukowania myśli w chwili ich powstawania.

Określenie „monolog wewnętrzny" jest używane na równi z określeniem „ciąg skojarzeniowy". Joyce — według Harry Levina, autora najpoważniejszej monografii o tym pisarzu — przekładał termin „monolog wewnętrzny" jako bardziej nadający się do krytycznej analizy niż iluzoryczny „ciąg skojarzeniowy". Żadne z tych określeń nie obejmuje wszystkich wypadków, lecz pojęcie „monolog" przez swoje powiązanie z teatrem ma wyraźne znaczenie literackie i dramatyczne i nie stwarza wrażenia płynności. Myśli wyrażone w monologu są rezultatem procesu selekcyjnego, nawet kiedy ich celem jest odtworzenie przypadkowych refleksji względnie marzeń, uczuć zabłąkanych na peryferiach świadomości i odlegle tylko powiązanych ze stymulantami zewnętrznymi.

Ta czy też inna etykieta nie zmienia w niczym postaci rzeczy, istotne jest, że „monolog wewnętrzny" na równi z „ciągiem skojarzeniowym" określa powieść o zdecydowanie subiektywnych właściwościach, pisaną z punktu widzenia jednej indywidualności, której reakcje psychiczne czytelnik śledzi od wnętrza, metodą introspekcji.

W latach 1913—1915 trzej nie znani sobie pisarze, przedstawiciele trzech narodowości, niezależnie od siebie tworzyli dzieła, które miały wywrzeć zasadniczy wpływ na dalszy rozwój powieści współczesnej. Byli to: Francuz Marcel Proust, Angielka Dorothy Richardson, pisarka dzisiaj zupełnie już nie czytana, autorka wielotomowej powieści *Pilgrimage*, oraz zamieszkały w Trieście Irlandczyk, James Joyce, którego *Portret artysty* zaczął się ukazywać w formie seryjnej w roku 1914. Epilog tej powieści, *Ulisses*, wydany w roku 1922, był przez wielu krytyków uznany za najwybitniejszą powieść naszego stulecia.

Dorothy Richardson jest pisarką przeciętnego formatu i jeśli zasługuje na uwagę, to przede wszystkim ze względu na pionierski charakter swojej twórczości. Natomiast w twórczości Jamesa Joyce'a zawarta jest artystyczna synteza niepokoju epoki. Filozofia Joyce'a sięga swymi korzeniami do europejskiego dekadentyzmu, formę ekspresji zapożyczył na równi od naturalistów i symbolistów. *Portret artysty* utrzymany jest w tradycji naturalistycznej, *Finnegans Wake* nawiązuje do symbolizmu, *Ulisses* zaś łączy w sobie elementy obu kierunków. James Joyce nie jest jednak naśladowcą i kontynuatorem tradycji przeszłości, posiada dar twórczej asymilacji, jest na wskroś nowoczesny. Harry Levin w ten sposób charakteryzuje *Ulissesa:* „Sama forma książki wskazuje na to, że jest ona eklektyczną sumą swego wieku — zawiera w sobie montaż filmowy, impresjonizm malarski, muzyczny *Leitmotiv*, wolne skojarzenia psychoanalizy i witalizm filozofii." W innym miejscu cytuje on powiedzenie Doktora Junga: *„Du sagst*

nichts und verrätst nichts, o Ulysses, aber du wirkst". Tajemnica siły oddziaływania Ulissesa tkwi w konsekwentnym narastaniu atmosfery emocjonalnej, w bezustannym odwoływaniu się do argumentów uczuciowych, w mnożeniu skojarzeń; jest to koncentryczny atak skierowany na naszą percepcję, wobec którego czujemy się bezbronni.

Społeczna treść książki da się sprowadzić do bardzo absorbującego pisarzy na przełomie XIX i XX wieku tematu, mianowicie konfliktu między artystą a mieszczańskim otoczeniem. Leon Edel precyzuje zagadnienie i mówi o proteście przeciw Irlandii, która skazuje swoich pisarzy na wygnanie. Jakkolwiekby się sprawa przedstawiała, momentem decydującym o znaczeniu *Ulissesa* nie jest zawarty w nim ładunek myśli społecznej, lecz forma, w jakiej został wyrażony. Joyce jest odkrywczy wyłącznie jako artysta.

Stephen Dedalus, centralna postać *Ulissesa*, jest wiernym obrazem wewnętrznym Joyce'a, a więc powieść subiektywistyczna wyznacza sobie sama granice, poza które nie potrafi sięgnąć, jest ona w swojej istocie literacką autobiografią; tak została pojęta przez Dorothy Richardson, kiedy pisarka postanowiła wreszcie ukazać swoim kolegom po piórze prawdziwy, niekłamany wizerunek kobiety, jej świat doznań i przeżyć. Nowatorstwo Jamesa Joyce'a polega również i na tym, że nie poprzestał na Stephenie Dedalusie, lecz obok niego wprowadził do *Ulissesa* jeszcze dwie czołowe postacie, których przeżycia analizował równie skrupulatnie; są to Leopold Bloom i jego żona Marion. Tym samym zadokumentował, że powieść subiektywistyczna potrafi ogarnąć szersze horyzonty, stać się instrumentem poznawczym nie jednego tylko umysłu i nie wyłącznie spowiedzią samego autora, lecz umie wznieść się na wyżyny, z których dojrzeć można to, co nazwano „ogólną atmosferą umysłu". Niektórzy krytycy kwestionują ten sąd i utrzymują, że każda z wymienionych postaci jest tylko cząstką bogatej osobowości Joyce'a.

Wypadki a raczej przeżycia jednego dnia stanowią treść *Ulissesa*. *Ulisses* jest na równi dramatem ludzi jak i miasta, jest *sui generis* dziełem epicznym; tytuł wskazuje na to, że autor nawiązuje do Odysei Homera — Odyseuszem jest Leopold Bloom, Telemakiem Stephen Dedalus, Penelopą przez ironię niewierna żona Blooma, Marion. Stephen Dedalus przypadkowo zjawia się w Dublinie, wezwany na pogrzeb matki. Przypadek zetknął go z Bloomem, który chce w nim widzieć swego zmarłego syna; wkrótce jednak drogi ich znowu się rozejdą, Stephen wróci na wygnanie, Bloom zostanie w Dublinie.

Miarą wielkości dzieła i wpływu, jaki ono wywiera, miarą bogactwa jego treści jest to, że każdy, kto się z nim zetknął, w zależności od swojej wrażliwości indywidualnej znajduje w nim nowe wartości; prawdziwie wielkie dzieło jest wieloznaczne, bo odtwarza nie jeden wyłącznie fragment wielobarwnej mozaiki, jaką jest życie ludzkie. Celowo cytowałem szereg opinii o Jamesie Joyce, by wskazać, jak różnie go można rozumieć; na koniec jeszcze jedna — sąd T. S. Eliota: „Przez użycie mitu i stałej paraleli między przeszłością a teraźniejszością Joyce stosuje metodę, którą inni muszą po nim stosować. Nie będą oni naśladowcami w większej mierze niż naukowiec, który opiera się na odkryciach Einsteina w swoich dalszych, niezależnych badaniach naukowych. Jest to po prostu sposób kontrolowania, uporządkowania, nadania kształtu i znaczenia tej olbrzymiej panoramie nicości i anarchii, jaką jest współczesna historia".

T. S. Eliot charakteryzując Joyce'a dał przede wszystkim wyraz własnym wątpliwościom i osobistej tragedii, tym niemniej jest w tym stwierdzeniu i wiele prawdy o korzeniach twórczości Joyce'a. Bezcelowe byłyby próby negowania faktu, że istnieje bezpośredni związek przyczynowy pomiędzy jego twórczością a rozkładem mieszczańskich form życia w okresie międzywojennym, co spowodowało narastanie atmosfery ogólnej depresji w pewnych środowiskach intelektualnych na Zachodzie.

Jeśli ucieczka jest stanowiskiem, a uporczywe milczenie swoistą formą deklaracji, to w takim razie twórczość Virginii Woolf ma również swoją wymowę społeczną. Indyferentyzm społeczny urasta u Virginii Woolf do roli podstawowego credo literackiego i determinuje charakter jej twórczości, jej

treść i formę. Virginia Woolf widzi sprawy człowieka w powiązaniu z przyrodą i wszechświatem; z tej perspektywy wydają się one błahe i znikome. „Cóż to jest rzeczywistość — pyta — wydaje się ona czymś zwodniczym, na czym nie można polegać — raz można się z nią zetknąć na zakurzonej drodze, to znów jest kawałkiem gazety na ulicy, narcyzem w słońcu. Rzuca światło na ludzi w pokoju, chwyta przypadkowe powiedzenie. Przytłacza człowieka, kiedy wraca do domu pod gwiazdami, i czyni świat milczenia bardziej realnym aniżeli świat słowa — a potem jest znowu w autobusie, w rozgwarze Piccadilly."

Virginia Woolf sprzeciwia się sądom wartościującym w sztuce, chce wszystko ogarnąć spojrzeniem, odczuć, nie stara się nic zrozumieć; „rzeczywistość — głosi ona — musimy przyjąć bez wyboru, bez osądu, a wtedy ją dopiero zrozumiemy".

Proza Virginii Woolf jest prozą poetycką, jej celem jest wywołanie nastroju: „Kiedy piszę powieść, chcę uczynić coś, co przypomina wasze intencje, gdy gracie na fortepianie. Chcę uchwycić to, co się kryje pod powierzchnią rzeczy. Spójrzcie na dół na porozrzucane w nieładzie światła. Rzerzy, które czuję, objawiają mi się niczym światła... ja chcę im nadać kształt... widzieliście kiedy sztuczne ognie, które układają się we wzory?... ja chcę tworzyć wzory".

Ucieka ona od ludzi w świat przeżyć wewnętrznych, doprowadza jednostkę do zupełnej izolacji, czyni z niej zjawisko absolutnie autonomiczne, jest konsekwentna do absurdu. Najbardziej miarodajna dla jej stanowiska jest powieść *The Waves*, gdzie zrezygnowała z wszelkiej akcji i dialogu na rzecz poetyckiej przenośni i niezrozumiałej symboliki. Życie ludzkie przyrównuje do cyklu przyrody, odpływu i przypływu fal, stąd też tytuł powieści.

W wymiarze, w którym żyje Virginia Woolf, czas nabiera nowego sensu, staje się czymś niewymiernym i niesprawdzalnym i zależy całkowicie od intensywności przeżycia. Chronologia skojarzeń jest niezależna od chronologii zdarzeń rzeczywistych, a powieść subiektywna, która rejestruje skojarzenia, sankcjonuje równocześnie zupełną dowolność w traktowaniu czasu; to było też powodem, dla którego powieść subiektywna została przez niektórych krytyków nazwana „powieścią czasu" *(time novel)*; jej celem jest uchwycenie chwili i nadanie jej właściwości statycznych.

Joyce usiłował w *Ulissesie* zamknąć w ramach osiemnastu godzin doświadczenie człowieka, Proust stara się ożywić wspomnienia czasu, który dawno minął, lecz który nadal żyje w świadomości, Faulkner w *The Sound and the Fury* na wzór naszej świadomości traktuje czas z absolutną dowolnością, jest on sumą nie uporządkowanych skojarzeń niedorozwiniętego umysłu, jest chaotyczny, nie uznaje żadnej organizacji logicznej, jest nieuchwytny jak przeżycie emocjonalne. Virginia Woolf mówi: „Moja teoria brzmi — rzeczywiste zdarzenia nie istnieją, praktycznie biorąc, ani czas również". Sfera odczuwania emocjonalnego, indywidualnych reakcji i subiektywnych doznań jest niewymierna i przez to trudna do zdefiniowania. Tam, gdzie w grę wchodzi przeżycie w izolacji od doświadczeń ogólnych, brak płaszczyzny do dyskusji. Jedyna droga do częściowego choćby zrozumienia tych procesów możliwa jest przez analizę ich genezy.

Najogólniejsze założenia powieści subiektywistycznej dadzą się ująć w pewien schemat myślowy, należałoby zbadać ich wspólne korzenie. Czas jest pojęciem realnym i wymiernym, a przez to wszelka negacja czasu jest negacją rzeczywistości. Kiedy Gertruda Stein mówi o „straconym pokoleniu", a T. S. Eliot o „ginącym świecie", to precyzują oni prawdę pokrewną tej, którą Virginia Woolf wyraziła, a której jedynym sensem jest trwoga przed nieznanym jutrem. Virginia Woolf jest konsekwentna w negowaniu rzeczywistości, w ucieczce przed nią, dlatego mimo wybitnego talentu pozostanie zawsze pisarzem elitarnym, trudnym i niezrozumiałym.

Jakkolwiek wypadłaby ocena powieści subiektywistycznej, niezaprzeczonym faktem pozostaje, że wzbogaciła ona naszą wiedzę o człowieku i wywarła zasadniczy wpływ na dalszy rozwój powieści. Metoda introspekcji, która jest wynikiem uporczywego eksperymentowania i nowatorskich założeń, dała w efekcie nowe, odrębne spojrzenie na sprawy człowieka, ustawiła je w innym wymiarze.

Bronisław Wiśniowski

ATLANTYDA NIE CAŁKIEM ZATOPIONA

Czy poprzez książki można zobaczyć świat? Odpowiedź na to pytanie jest zarazem rozstrzygnięciem głównego bodaj problemu pisarstwa: czy poprzez książkę można pokazać świat lub własną jego wizję — udzielić swojej wiedzy, zdobytej doświadczeniem, żmudną pracą codziennej nauki czy błyskiem odkrywczego wyczucia.

Ściśle biorąc tak postawione pytanie jest może czyste retoryczne. Zostało rozwiązane już dawno — i w sensie pozytywnym — przez długi ciąg pokoleń, które w literaturze zawsze upatrywały źródło mądrości życiowej i wiedzy o życiu. Stąd też zapewne płynął głęboki, a groźny w skutkach żal do pisarzy, ilekroć literatura wskutek zakłamania czy innych jeszcze przyczyn sprzeniewierzała się tej swojej najważniejszej roli. Trudność bowiem i niebezpieczeństwo największe wyłania się wówczas, gdy przychodzi moment, kiedy pisarz powinien przełamać wrodzoną każdemu człowiekowi skłonność mierzenia wszystkiego tylko własną miarą, widzenia tylko siebie albo też poprzez siebie; kiedy ogląda świat takim, jakim go chce widzieć. I wszystko już jedno, co dyktuje mu taką postawę: egocentryzm, konformizm czy inna jeszcze forma wygodnictwa.

„Zastanawiam się — pisała Katarzyna Mansfield — dlaczego pokora jest czymś tak trudnym. Nie myślę, że jestem dobrą pisarką; swoje wady i błędy widzę lepiej niż ktokolwiek patrzący z zewnątrz. Ilekroć chybię, wiem o tym dokładnie. A jednak wciąż chwytam się na tym, że po skończeniu każdego opowiadania i przed zaczęciem nowego muskam swoje piórka z zadowoleniem. To prawdziwie zniechęcające. W moim sercu zdaje się tkwić zła, zastarzała próżność, która za byle bodźcem wypuszcza z korzenia długie, tłuste pędy... Czuję w sobie jakieś podniecenie, jakieś napięcie, którego nie powinno być... I cokolwiek piszę w takim nastroju, jest na nic, jest pełne osadu... Trzeba się nauczyć, trzeba dojść do tego, by całkowicie o sobie zapomnieć. Nie potrafię powiedzieć prawdy o ciotce Annie, póki nie zdołam wejść w jej życie bez poczucia siebie... Muszę starać się, aby to, co piszę, było proste, pełne, swobodne, bezpośrednio z serca. Nie dbać o powodzenie czy klęskę, ale spokojnie iść... A zwłaszcza nie tracić związków z życiem."

A w kilka tygodni później, już na krótko przed śmiercią: „Przestałam być pisarką. Robię tylko notatki. Gdybym prowadziła dalej moje dawne życie, nigdy bym nic już nie napisała. Bo ginęłam z ubóstwa tego życia. Na jakiś czas przynajmniej wyczerpało się moje źródło. Życie nie przyniosło nowego przypływu. Chcę pisać, ale inaczej... Bo to, co teraz piszę, jest na nic. Dawna osobowość próbuje znów wyjść na zewnątrz i obserwować, a wcale nie dochowuje wierności faktom. To, co piszę, wydaje się takie miałkie. Nie potrafię wypowiedzieć się dzisiaj w pisaniu. Stary mechanizm nie jest już moim, a nie umiem jeszcze panować nad nowym. Dlatego mówię nieporadnie jak dziecko... Chcę pisać. Chcę tego bardziej niż czegokolwiek na świecie. Ale inne książki niż dotąd..."

Końcowe uwagi wypowiedziała pisarka w jednym ze swoich ostatnich listów, na dwa tygodnie przed śmiercią. Nie zdążyła, niestety, nic już później stworzyć i nie wiemy wcale, jak wyglądałyby owe „inne książki". Zapewne niemniej świetnie od tych, które odsądzała od wszelkiej wartości, przejęta ogromnym, aż nadmiernym poczuciem obowiązków i zadań pisarza. Bo mimo tak surowej krytyki samej autorki my, czytelnicy, stwierdzić możemy z całą stanowczością, że twórczość jej wytrzymała najtrudniejszą próbę: próbę czasu. Że i dziś jeszcze gra całą świeżością i ostrością rysunku, całą delikatnością pastelowych barw. A nade wszystko niezwykłą celnością spojrzenia, któremu nie wymknie się najdrobniejszy nawet szczegół rzeczywistości.

Nie zmienia tego fakt, że obecnie, po latach trzydziestu kilku, inaczej czytamy dzieło Katarzyny Mansfield niż jej współcześni. Tamci widzieli w niej zwłaszcza nowatorkę formy i metody pisarskiej. Nam natomiast, szczególnie na pierwszy rzut oka, jej twórczość ukazuje się raczej od strony obyczajowej. Niczym we fragmentach mozaik

pompejańskich czy zblakłych, mimo zachowanej żywości kolorów, szczątkach malowideł odbija się w niej świat zupełnie nam nie znany, zaginiony jak gdyby przed wielu tysiącami lat. Atlantyda, a może dolina społecznych pterodaktyli, podobna do tej, jaką w brazylijskiej dżungli odkryli bohaterowie Conan Doyle'a.

Czy jednak jest to świat istotnie zaginiony? Nie zamierzam tu mówić o tym, co chyba pozostaje bezsporne: o nadal aktualnych a świetnie trafionych obrazach stosunków między ludźmi — owej „psychologii", którą pisarka wzięła za tytuł jednego tylko ze swoich opowiadań, a którą odnajdziemy bodaj w każdym. Jesteśmy ciągle jeszcze tak wygłodzeni wszelkiego zindywidualizowania człowieka, traktowania go jako coś więcej niż znaczek we wzorze socjologicznej algebry, że gotowiśmy nawet przeceniać ten składnik twórczości znakomitej Nowozelandki. Dlatego też chodzi mi teraz o co innego. O ten drugi, obyczajowy aspekt jej pisarstwa. Czy, powtarzam, ów świat rzeczywiście zaginął?

■

Wojny i rewolucje — niezależnie od doniosłości swojej pod każdym innym względem — wywierają niesłychane wrażenie optyczne. A że wyobraźnia nasza z natury jest skłonna dostrzegać głównie — czasem nawet jedynie — zewnętrzną powłokę zjawisk, więc nic dziwnego, że zwłaszcza na przestrzeni ostatnich lat kilkunastu skłonność ta wzmogła się do granic bliskich wyłączności. W rezultacie, zafascynowani widokiem zniszczeń wojennych i okrucieństw gestapo, a potem wielkich wstrząsów ustrojowych, politycznych i gospodarczych, utraciliśmy w znacznym stopniu umiejętność wnikania w podskórny nurt wydarzeń i dostrzegania procesów rozgrywających się w głębi psychiki ludzkiej.

Tym tylko tłumaczyć można, że niebywale czasem ślamazarne tempo owych procesów teraz dopiero wywołuje niepokój — i to u bardzo nielicznych jeszcze obserwatorów. Że mimo powtarzania sloganów o rewolucyjnej dynamice proletariatu państw kapitalistycznych, nie widzimy rzeczywiście zachodzących tam przemian i w naszych ocenach dajemy obraz albo nieruchomych stawów, porosłych grubą pleśnią zastoju, albo też, skacząc w drugą ostateczność, za lada powiewem wiatru mówimy o „pierwszych podmuchach huraganu historii". Zwolna tylko błyskać nam zaczyna świadomość, że prawda leży gdzie indziej. Że ciągoty konserwatywne bywają u nas silniejsze niekiedy niż na osławionym z reakcjonizmu Zachodzie, tylko kryją się pod powierzchnią wymownego zazwyczaj radykalizmu. Gdyż zacofanie życia i obyczajów towarzyszyć potrafi głoszeniu nader postępowych zapatrywań społecznych. Tak dalece, że można to uznać za pewnego rodzaju papierek lakmusowy.

Początek twórczości Katarzyny Mansfield przypada na lata bezpośrednio poprzedzające I-szą wojnę światową. Pełny rozkwit — na krótkich parę lat tuż po wojnie. Ale w opowiadaniach próżno by szukać tematyki wojennej. Co najwyżej trafimy tu i ówdzie na nikłą, pośrednią wzmiankę czy aluzję. Jedna tylko nowela zdradza nam głęboką, choć zatajoną wrażliwość pisarki na te sprawy: opowieść o człowieku, który z zaciętym, skupionym okrucieństwem morduje powoli muchę, mszcząc się za mimowolne wytknięcie mu, że nie pamięta o zabitym synu.

Z faktu tych przemilczeń jaki płynie wniosek? Chyba ten, że nie zawsze świadczą one o zaniku uczuć i oschłości serca. Podobnie jak wielomówność nie jest jeszcze dowodem silnych, żywych i szczerych reakcji. Bywa, że właśnie największa wrażliwość umie się zdobyć tylko na milczenie. I to jest pierwsza konkluzja, jaka się nasuwa przy lekturze tych opowiadań — przejmujących, a stonowanych i kameralnych jak *Feuille d'Album* Skriabina, od którego pochodzi tytuł jednego z nich. Przez tyle lat byliśmy ogłuszeni bezustannym hałasem pretensjonalnych, patetycznych słów płynących ciągle z głośników i szpalt gazet, huczących w książkach, na scenie i w życiu codziennym, że stępieliśmy całkowicie, że ogłuchliśmy na ów styl, po angielsku zwany *understatement*. Czas najwyższy, abyśmy nauczyli się słyszeć go na nowo. Bo nie jest to tylko uczulenie na styl, ale w dużej mierze sprawdzian uczulenia naszego na człowieka.

Jak wszystko inne, tak i problematyka społeczna występuje u Katarzyny Mansfield w postaci przytłumionej, pełnej niedomówień, bez kropek nad

„i". Autorka nie mówi od siebie lub prawie nic nie mówi. Ogranicza się do pokazania odczuć ludzi opisywanych. Mimo to wiemy i bez słów, gdzie leżą jej sympatie. Tylko że kameralność powstrzymuje zawsze pisarkę od sięgania po jaskrawą — by nie rzec toporną — tematykę socjalną. Bohaterowie tych opowiadań, nawet jeśli pochodzą z dołów społeczeństwa, nie są obdarzeni na ogół jasną świadomością klasową. Obdarzeni są za to wyraźnym poczuciem krzywdy. Pokrzywdzonych wyławia Katarzyna Mansfield z jakąś nieomal bezbłędną trafnością, z instynktem wyczulonym jak igła kompasu. Używając słownictwa sprzed wieku, można by to nazwać magnetyzmem serca.

Czy będzie to postać starej posługaczki, która w całym ogromie Londynu nie znajduje miejsca, gdzie mogłaby się spokojnie wypłakać; czy podstarzała i tłusta, choć głodująca śpiewaczka estradowa, na próżno poszukująca zajęcia; fryzjer, z całą drobiazgową skrupulatnością obsługujący bogate klientki w dniu, kiedy umarła mu jedyna córeczka; mała guwernantka, zagubiona w obcym mieście i zmasakrowana przez półinteligencką pruderię; dzieci praczki, z którymi nie wolno się bawić dzieciom z „lepszych" rodzin; pokojówka, opowiadająca o swoim smutnym dzieciństwie i jeszcze smutniejszej młodości — przykładów takich znajdziemy wprost bez liku. Ale jakkolwiek wszędzie, na upartego, znajdziemy silnie uwypuklony, mimo półcieni rysunku, przedział klasowy, nie to, nie socjologizm jest dla pisarki istotą rzeczy, a mówiąc ściślej — istotą jej widzenia. Dla niej podział biegnie wzdłuż linii, czasami niewidocznej, a jednak nieomylnie uchwyconej: linii krzywdy ludzkiej. I trochę już drugorzędną się staje sprawa, czy krzywda pochodzi od losu, czy od człowieka. Nierówność przeznaczeń ludzkich, bezprzyczynowość i dojmująca niesprawiedliwość, bezzasadność niedoli — oto co najboleśniej odczuwa.

Zresztą w owych czasach zewnętrzny kształt różnic klasowych widoczny był jak na dłoni. Przepaści, dzielące poszczególne warstwy — głębokie, z daleka bijące w oczy, nieprzekraczalne. Dlatego właśnie opisy tych sytuacji frapują nas tak bardzo i — w pierwszej przynajmniej chwili — wywierają aż groteskowe wrażenie. Bardziej może nawet groteskowe niż przejmujące. Dopiero później dostrzegamy tę drugą, ukrytą linię podziału. I wtedy zaczynają się nam nasuwać porównania a jednocześnie i wątpliwości. Porównania z chwilą obecną; wątpliwości, czy ów zewnętrzny układ decyduje już całkowicie o całej treści stosunków międzyludzkich. A jeśli nie, to gdzie szukać przyczyn?

Mrs. Fairbrother z londyńskiego przedmieścia dorabia sobie sprzątaniem (już za naszych teraźniejszych dni). Pamięta z dzieciństwa, jak nie mogła chodzić do szkoły, bo na pięcioro dzieci były tylko dwie pary bucików. Z jej dziećmi jest już inaczej. Dodajmy, że londyńskie przedmieście zachowało rozgraniczenia klasowe, lecz bardzo chyba zmienione (nie wszędzie co prawda w jednakowym stopniu). Wille bogatsze stoją, rzecz jasna, nadal z jednej strony głównej ulicy, a domki robotnicze skupione są po drugiej. Ale każdy z tych domków zajmuje najczęściej jedna tylko rodzina i w każdym jest kilka pokoi, ładna, czysta kuchnia, gazowa lub elektryczna, łazienka. Na zewnątrz — starannie utrzymany ogródek. Większość dzieci z obu stron ulicy chodzi do tej samej szkoły powszechnej. Zakaz „kontaktu" wydałby się śmieszny zarówno dzieciom, jak i rodzicom. Wprawdzie „tamto", z opowiadania o domu lalek, było w Nowej Zelandii. Ale w Nowej Zelandii przepaści obyczajowe bardziej jeszcze się wyrównały niż w starej Anglii. I chyba nie tylko za sprawą labourzystowskiego rządu. Raczej odwrotnie: i przepaści się wyrównały, i labourzyści doszli do władzy dlatego, że świat poszedł naprzód. A reformy społeczne i sam bieg życia posuwają go dalej. Nawiasem mówiąc, praczek, zawodowo piorących „po domach", nie ma już prawie nigdzie, ani w Wielkiej Brytanii, ani w Dominiach. Zastąpiły je z powodzeniem wielkie, zmechanizowane, a swoją drogą sprawnie funkcjonujące pralnie.

Jak najdalszy jestem od myśli upatrywania sielanki we współczesnej fazie kapitalizmu. Krzywdy, leżącej u podstaw jego budowy — przepraszam za ten nawrót łopatologii — nie zasłonią żadne fasady czy etykiety nalepiane przez bardziej naiwną niż chytrą propagandę: „państwo dobrobytu" (Anglia), „kapitalizm ludowy" (sic! USA). Wiemy wszyscy, że wszelkiego rodzaju

reformizm działać może wyłącznie jako środek łagodzący. Nic więcej. Zobaczmy jednak wyniki, a może się przekonamy, że łagodzenie to nie jest wcale tak mało. Zależy od skali i stopnia. Czasami bywa to dużo. Nie wolno nam nie doceniać wagi i znaczenia społecznych sedatywów. Mrs. Fairbrother ma z pewnością dzisiaj dosyć powodów do płaczu — niektóre są wiecznotrwałe. Ale wreszcie zdobyła i czas, i miejsce, gdzie może się wypłakać. A to już wiele stanowi, nie tylko w zakresie imponderabiliów. Świadczy to, że odpadła przynajmniej część powodów z epoki Katarzyny Mansfield, bo i ustrojowe warunki, i ludzie ulegli ewolucji.

Ewolucji — nie koniecznie na gorsze, choć odbyła się pod rządami kapitalizmu. I jej pozytywnych akcentów nie przekreśli stwierdzenie, że kapitaliści działali pod przymusem czy pod dyktandem zimnej, egoistycznej kalkulacji czysto rozumowej. Rozum jest niewątpliwie jedną z najbardziej dodatnich, choć tak wciąż jeszcze rzadkich w człowieku cech.

Tyle, jeśli chodzi o porównania. Wątpliwości nasuwa przyjrzenie się naszej własnej rzeczywistości. Powtarzamy aż do znudzenia tezy o roli mas w historii; nawołujemy, w sposób aż monotonny, do troski o człowieka. Niestety, aż nazbyt często wygląda to na szczepienie warunkowego odruchu, który się wyczerpuje sam w sobie, bez następstw, a w każdym razie bez wywołania przekształceń w naszej psychice i wewnętrznej postawie. Z potężnych centralnych impulsów niepokojąco mało dociera do milionów skromnych komórek tworzących organizm narodu. Jest tak, jakby między ośrodkiem naczelnym a społeczną tkanką leżały jakieś rozległe strefy ogarnięte martwicą, jakby nasz system krwionośny zaczopowały nie dające się w żaden sposób udrożnić skrzepy.

Przyjrzyjmy się uważnie, a bez nakładania czarnych okularów zobaczymy głębokie przepaści, jakie wciąż jeszcze dzielą ludzi od siebie. A słaba to pociecha, że są zjawiskiem szczątkowym i muszą z biegiem czasu zaniknąć, gdyż powodem ich istnienia są *residua* lub nieantagonistyczne konflikty, czyli zasadniczo odmienne, niż w kapitalizmie, przyczyny. Bo w zwyczajnym ludzkim odczuciu te przepaści są niemniej dojmująco bolesne. Czwartorzędną jest także sprawa, czy koszt przywileju stanowi dla społeczeństwa duży czy bardzo mały ciężar finansowy. Ważny jest ciężar moralny. Ważne jest tragicznie smutne zjawisko, że tyle jest jeszcze u nas sprzątaczek — potraktujmy ten zawód jako symbol — które dźwigają samotnie swój smutek, ale nie stać ich na luksus spokojnego płaczu, bo tak daleko ich samotność nie sięga.

I nie posługujmy się argumentem, że to wszystko trąci po prostu czułostkowością. Argument jest fałszywy, świadczy jedynie o cynizmie tego, kto go używa. O cynizmie, który stwarza alibi dla zła. Przyjrzyjmy się ludziom dokoła — w Warszawie i na prowincji — abstrahując (poprawia to czasem wzrok) od faktu uspołecznienia środków produkcji. Abstrahując — gdyż jest to zaledwie jeden z punktów wyjściowych, nie zaś treść socjalizmu. Przyjrzyjmy się losom ludzkim i postawie jednych wobec drugich, a zrozumiemy wówczas, że świat opisywany przez Katarzynę Mansfield nie jest i dla nas tak bardzo zaginionym światem, jak się to nam z początku mogło wydawać. I zrozumiemy, jak wiele jeszcze mamy do zrobienia, aby naprawdę i w pełni zobaczyć człowieka. Wtedy dopiero nasza stopa życiowa wzrastać zacznie nie tylko w *Roczniku Statystycznym*, ale i w dniu powszednim.

Julian Stawiński

UWAGI NA TEMAT ZJAZDU PISARZY RUMUŃSKICH

(18.VI. — 23.VI. 1956 r.)

Kiedy Tudor Arghezi przemówił na Zjeździe Pisarzy Rumuńskich, sala zahuczała oklaskami. Ze łzami w oczach, z wypiekami na twarzy ludzie klaskali, póki nie omdlały im ręce. Siwowłosy starzec w czarnym krawacie, uważany za największego po Eminescu poetę Rumunii, stał wśród prezydium zjazdu ze zwieszoną głową. Może był wzruszony, może wiedział zbyt dobrze, iż spojrzenia zebranych, a zwłaszcza młodzieży, wyrażały więcej niż wszystkie przemówienia wygłoszone na zjeździe, a może żałował, że nie wykorzystał tego kredytu sympatii i zaufania, aby powiedzieć parę słów bardziej dojmujących.

Przed kilku laty wiersze Argheziego obłożone były klątwą. Zarzucano mu naturalizm, dekadentyzm, zgubny wpływ na młode pokolenie. Za posiadanie tomiku jego wierszy groziło usunięcie z uczelni.

Dziś Arghezi cieszy się oficjalnym uznaniem, wydał dwa nowe tomy wierszy, wszyscy starają się wymazać z pamięci fakt, że przez kilka lat nie mógł drukować swych utworów. Mówiono w kuluarach, że warto było zwołać zjazd, aby zobaczyć Argheziego w prezydium obok ludzi, którzy najostrzej występowali przeciw niemu.

Owacja zgotowana wielkiemu poecie była właściwie jedyną namiętną, zasadniczą wypowiedzią pisarzy na tym zjeździe, przygotowanym aż nazbyt starannie. Ramy dyskusji i ton wypowiedzi określił pięciogodzinny referat M. Beniuca o literaturze rumuńskiej i perspektywach jej rozwoju. Tezy jego były następujące: partia prowadziła zawsze słuszną politykę kulturalną; literatura rumuńska rozwinęła się wspaniale w ciągu ostatnich lat jedenastu; należy walczyć jeszcze o podniesienie poziomu artystycznego, aby wzbogacić obraz życia we współczesnych książkach. Referaty o prozie, poezji, literaturze dla dzieci i młodzieży, o krytyce, o dramacie, o przekładach, o twórczości w językach mniejszości narodowych — nie podważyły, rzecz prosta, tych tez naczelnych. A dyskusja? Niewiele się po niej spodziewano. Wszystko, co można było powiedzieć, zostało powiedziane wcześniej.

Przez dwa miesiące poprzedzające zjazd *„Gazeta Literara“* poświęcała całe szpalty wywiadom z pisarzami. Właśnie wywiadom, nie artykułom. W wywiadzie wszystko można wygodniej ustawić, skomentować lub złagodzić. Chociaż i te ostrożności nie uchroniły redakcji od zarzutów zbytniego liberalizmu w czasie dyskusji przedzjazdowej.

Generalną próbą przed zjazdem pisarzy była narada młodych. Samo pojęcie „młody pisarz“ jest jednak dość bałamutne. Podciąga się bowiem pod nie zarówno autorów, których książki uznano za najwybitniejsze pozycje literatury współczesnej (Marin Preda: *Morometii*, Titus Popovici: *Obcy)*, jak i początkujących poetów, nadsyłających wiersze do miesięcznika *„Młody Pisarz“*. Zawodzi nawet kryterium wieku, bo zapewne niejeden z „młodych“ jest starszy od wybitnego prozaika, Petru Dumitriu, autora kilku książek *(Droga bez kurzu, Ptak burzy, Kronika rodzinna)*, laureata nagrody państwowej, dyrektora największego wydawnictwa. Delegatami na zjazd było zresztą wielu spośród uczestników narady młodych pisarzy, tylko że tym razem albo nie zabierali głosu, albo występowali oględnie, umiarkowanie. Bo burzliwe wystąpienia na naradzie młodych spotkały się z ostrą krytyką ze strony władz związkowych.

Młodzi domagali się większej swobody w wyborze tematów, zmniejszenia ingerencji redaktorów w dzieło literackie, przede wszystkim zaś — możności powiedzenia całej prawdy o życiu swego społeczeństwa. Wyjaśniono im wówczas, że poszukiwanie „całkowitej prawdy“ *(adevarul integral)* cechuje postawę burżuazyjną, która nie może mieć nic wspólnego z realizmem socjalistycznym, zapewniającym pełne poszanowanie „prawdy obiektywnej“ *(adevarul obiectiv)*.

Na miesiąc przed zjazdem pisarzy zdarzył się jeszcze jeden wypadek, który nie pozostał bez wpływu na przebieg obrad. Aleksander Jar, autor schematycznych opowieści, stanowiących od lat lekturę obowiązkową dzia-

twy szkolnej, wystąpił na zebraniu partyjnym z ostrą krytyką własnej twórczości oraz współczesnej literatury rumuńskiej i próbował zanalizować polityczne przyczyny jej słabości.

„*Gazeta Literara*" z 24.V.1956 zamieściła sprawozdanie z zebrania aktywu partyjnego, na którym stwierdzono, że Aleksander Jar

> ...odnosił się liberalnie do przejawów obcej ideologii. Próbował negować kierowniczą rolę partii w tworzeniu kultury i poddawał w wątpliwość wielkie osiągnięcia literatury rumuńskiej w latach władzy ludowej.
>
> Jak się okazało, Aleksander Jar rozwijał od dawna rozkładową antypartyjną działalność w łonie Związku Pisarzy oraz w podstawowej organizacji partyjnej przy Związku Pisarzy, próbując zmniejszyć kierowniczą rolę partii i stworzyć niezdrową atmosferę intryg i zamieszania.

Aleksander Jar utracił legitymację partyjną i doczekał się surowych słów potępienia od towarzyszy zwoływanych na zebrania w związku z jego sprawą, definitywnie przesądzoną przed zjazdem, na którym wystąpienie Jara wspominano już tylko jako karygodny incydent.

Obrady Zjazdu trwały sześć dni, ale wobec dużej ilości referatów i długich przemówień licznych gości z zagranicy — na dyskusję zostało niewiele czasu. Od pierwszej chwili ograniczono więc przemówienia do 15 minut i żądano, aby były one przygotowane na piśmie — celem ułatwienia pracy redakcyjnej, bowiem tekst przemówienia ukazywał się w „*Gazeta Literara*", która w okresie zjazdu wychodziła codziennie. Oczywiście, w wielu wypadkach przedłużono mówcom czas przemówienia, zależało to jednak od zgody sali i prezydium. Zgłoszenia przemówień przyjmował sekretariat zjazdu i on tylko wiedział, kto i o czym będzie jeszcze mówił.

Ci, co nie mieli okazji wystąpić przed kolegami na zjeździe, mogli opublikować swą wypowiedź na łamach „*Gazeta Literara*". Niektórzy mówili jednak, że to nie jest to samo.

Od początku zjazdu inny był oficjalny ton obrad, inny nastrój w saloniku, gdzie członkowie prezydium na zmianę opiekowali się cudzoziemskimi gośćmi, a całkiem odmienna atmosfera panowała na dole, na sali obrad, zwłaszcza w ostatnich jej rzędach, gdzie zebrało się sporo młodzieży. Prawdziwe rozmowy zaczynały się jednak dopiero poza obrębem gmachu, w którym toczyły się obrady.

Pierwszy zjazd pisarzy rumuńskich na ogół zawiódł oczekiwania. Nie poruszono żadnych istotnych problemów, ograniczono się do rozdzielenia pochwał lub zdawkowych przygan, czasem tylko wyliczano nazwiska. Petru Dumitriu w swym referacie o prozie rozprawił się z naturalizmem dziewiętnastowiecznym przy pomocy dziewiętnastowiecznych argumentów.

Grupa poetów z Cluj pod wodzą Anatola Baconsky'ego dzięki trafnie dobranym cytatom ośmieszyła twórczość kilku poetów pomawianych nie bez racji o proletkult. Były to zręczne, odważne i pożyteczne wystąpienia. Ale i w tej dyskusji zaledwie muśnięto sprawy zasadnicze, ograniczono się do przykładów i ataków osobistych.

Również osobisty charakter miały spory pisarzy z krytykami i choć rozgrzały atmosferę zjazdu — nie posunęły naprzód spraw literatury.

Ze wszystkich wystąpień na zjeździe jedno zwróciło uwagę swą szczerością i młodzieńczą pryncypialnością: Titus Popovici mówił w imieniu młodych pisarzy. Mówił szybko, nerwowo, sala słuchała w napięciu, przerywała oklaskami.

> Każdy prawdziwy pisarz wie, że nie istnieją tematy „tabu". Ten, kto się ich obawia, nie jest pisarzem; jest rzeczą wstrętną pisać co innego, aniżeli to, co uważa się za konieczne, co powinno być napisane.
>
> Każdy pisarz-komunista wie, że z rewolucyjnych pozycji można podjąć każdy temat, bowiem rewolucję robi się dla ludzi, nie dla abstrakcyjnych idei, a ludzie przeżywają zwycięstwa, tragedie, zwyciężają albo ulegają w walce. Kto obawia się poruszyć temat, z którym zmagał się we własnym sumieniu, z którym może się zmierzyć jako pisarz — ten nie jest rewolucjonistą, lecz filistrem.

Po obradach, wieczorami, rumuńscy koledzy prosili, aby pokazać im polskie pisma literackie, przetłumaczyć tytuły, streścić ten czy ów artykuł. Pism polskich nie można dostać w

księgarniach bukareszteńskich, które posiadają na składzie inne pisma zagraniczne. W czasie wieczornych rozmów okazywało się, że pisarze rumuńscy i polscy stawiają przed sobą podobne zagadnienia.

Zjazd pisarzy uchwalił długą rezolucję, w której potwierdził tezy zjazdu. Czytamy tam m. in.:

> Z postępowych pozycji klasy robotniczej pisarze mają obowiązek zwalczać bezlitośnie wszelkie objawy negatywizmu, oczerniania rzeczywistości, sceptycznego pomniejszania osiągnięć narodu, jak również występować przeciw lakierowaniu rzeczywistości, przeciw ukrywaniu niedociągnięć i konfliktów.

„Między negatywizmem a lakiernictwem, między naturalizmem a idyllizmem — ileż miejsca dla poczciwego schematyzmu!" — powiedział na bankiecie pożegnalnym któryś z zaproszonych cudzoziemców. Młodzi pisarze zaprzeczyli gwałtownie: „Nigdy więcej schematyzmu!"

Najwybitniejsi propagatorzy schematyzmu nie weszli do nowego Zarządu Związku Pisarzy. Wybrano 51 członków zarządu; spośród nich wyłoniono Biuro Związku Pisarzy (pod przewodnictwem Mihaila Sadoveanu) oraz Sekretariat, którego pracą kieruje nadal Mihai Beniuc.

Danuta Bieńkowska

RADZIECKI PRZEGLĄD LITERACKI

W toczącej się po XX Zjeździe dyskusji o stanie radzieckiej twórczości i krytyki literackiej zabierają również głos krytycy, historycy i teoretycy literatury. Wśród tych wypowiedzi, przesiąkniętych troską o przezwyciężenie dogmatyzmu i doktrynerstwa w nauce o literaturze, ciekawą próbę stanowi artykuł J. Elsberga *Realizm i... antyrealizm* (*„Litieraturnaja Gazieta"* z 9.V).

Autor występuje przeciw dość rozpowszechnionej koncepcji, że realizm jest nie tyle powstałą w rozwoju historycznym metodą twórczą i kierunkiem, ile — odwieczną, prapierwotną istotą sztuki. W następstwie takiego pojmowania realizmu utożsamia się go i z prawdziwym, i z artystycznym odbiciem rzeczywistości w sztuce. Innymi słowy — zwolennicy tej koncepcji estetycznej mieszają dwa, mocno ze sobą powiązane, ale jakościowo różne pojęcia; a stąd — już tylko krok do tego, by pojęcie realizmu rozciągać na różne odmiany i rodzaje twórcze, by etykietkę „antyrealizmu" przyczepiać wszystkim tym formom i odmianom sztuki, których niesposób zaliczyć do realizmu pod względem... „resortowym".

„Wychodząc z takiego założenia — pisze Elsberg — poprzez otwartą i bezpośrednią analogię do dziejów filozofii, do ciągnącej się od stuleci walki materializmu z idealizmem — ujmuje się dzieje sztuki pod kątem sporu realizmu z antyrealizmem."

Zastanawiając się nad genezą tego zjawiska autor *Realizmu i... antyrealizmu* dochodzi do wniosku, że przed laty koncepcja ta była reakcją na wulgarny socjologizm i niesłychanie uproszczone ujmowanie zagadnień twórczości artystycznej. Zdaniem Elsberga autorzy ten koncepcji, dążąc do obalenia schematów wulgarno-socjologicznych, wpadli w inną krańcowość i — z kolei — ulegli schematyzmowi i antyhistoryzmowi.

Wychodząc z założeń marksistowsko-leninowskiej teorii odbicia należy badać sztukę i literaturę wszystkich czasów, narodów i kierunków właśnie pod kątem odzwierciedlania przez nią rzeczywistości. Momentem decydującym jest ustalenie, jakimi metodami pisarze odtwarzali rzeczywistość. „Metodą najbardziej doskonałą — snuje tę myśl Elsberg — stał się w przebiegu swojego rozwoju realizm. Czyż nie było jednak innych metod twórczych, umożliwiających prawdziwe odzwierciedlenie elementów rzeczywistości?(...) Zwolennicy wspomnianej koncepcji zmuszeni są — albo wykląć i zaliczyć

do »antyrealizmu« cały szereg doniosłych przejawów sztuki, albo też, na odwrót, za dzieła realistyczne uważać najróżnorodniejsze, zasadniczo różniące się od siebie utwory."

Naturalnie takie miotanie się pośród skrajnych przeciwieństw doprowadza do zabawnego posługiwania się dość naiwnymi wyobrażeniami o sztuce i literaturze — w rodzaju zacytowanych przez Elsberga pytań: „Czy istniał kiedykolwiek wielki artysta, który nie byłby realistą? Czy aby (szczególnie w artykule z okazji jubileuszu!) »uchodzi«, wypada nazywać wielkiego pisarza nierealistą?"

Przy sposobności: Przeciw antyhistorycznemu „naciąganiu" charakterystyki pisarzy w artykułach i broszurach publikowanych z okazji ich jubileuszów ostro wystąpił W. Turbin (*O jubileuszologii, „Litieraturnaja Gazieta"* z 19.V.), zwalczając operowanie banałami, lakierowanie i zachwalanie „fetowanych" pisarzy, wspaniałomyślne przemilczanie przykrych dla nas stron ich twórczości i działalności, przypisywanie klasykom cech i poglądów, o jakich im się nie śniło, itd.

Turbin przytacza kilka przykładów takiego „zeskrobywania" z klasyków wszystkiego tego, co „nie współbrzmi z dniem dzisiejszym", „nie nadaje się", „nie odpowiada", „nie agituje na rzecz teraźniejszości" — przykładów „jubileuszowego" naświetlania twórczości Gogola, Lwa Tołstoja. „Klasykom nie zezwala się... różnić się między sobą, polemizować — pisze Turbin. — O ile to możliwe, powinni się do siebie upodobnić. Oto niepisana reguła, wędrująca z z jednej pracy jubileuszowej do drugiej. Wszak Gogola poprawiano i — o ile można tak się wyrazić — poprawiano »wstecz«, zbliżając go do dekabrystów; poprawiano też »w przód«, »windując« go do poziomu Bielińskiego. Dużo trudu wymagało wtedy zrekonstruowanie prawdy historycznej."

Widzimy więc, że przyklejenie etykietki „realisty" każdemu wielkiemu pisarzowi z okazji jego jubileuszu, o czym wspominał w swoim artykule Elsberg, bynajmniej nie należy do rzadkich przypadków. Elsberg polemizuje ze zwolennikami koncepcji wiecznej walki w sztuce — walki między tendencjami realistycznymi i antyrealistycznymi; w szczególności toczy spór z historykami literatury, G. Niedoszywinem i W. Kiemienowem. Zwolennicy zwalczanej przez Elsberga koncepcji realizmu prymitywnie, jego zdaniem, ujmują procesy literackie; zamykając je w ciasnych ramach walki między realizmem a antyrealizmem, przenoszą mechanicznie prawidłowości walki materializmu z idealizmem — z filozofii i estetyki na grunt praktycznej twórczości literackiej i artystycznej, ignorując jej specyfikę.

Wpomniałem o tym, jak bezceremonialnie poczynają sobie z klasykami dogmatycy historii literatury, naginając ich interpretację do potrzeb chwili. Podobnym problemem zajął się A. Ninow w artykule *Literatura a historia* (*„Litieraturnaja Gazieta"* z 23.VI), analizując przyczyny szybkiego „starzenia się" prac literaturoznawczych. Za jedną z przyczyn tego zjawiska uważa Ninow to, że — „w pogoni za »istotną treścią chwili« jakoś bez trudności wyrzekaliśmy się zasad prawdziwego historyzmu... Jeszcze zbyt często zamiast śmiałych nowatorskich poszukiwań wolimy gorliwe kolekcjonowanie strzępów obcych, wczorajszych poglądów".

Okazję do tych gorzkich wynurzeń dało Ninowowi omówienie niedawno wydanej II cz. *Zarysu dziejów rosyjskiej literatury radzieckiej.* Autorom zbiorowej tej pracy stawia Ninow zarzut wulgarno-socjologicznego traktowania dziejów literatury, zwłaszcza ostatniego dwudziestolecia — a więc okresu stojącego na pograniczu historii i teraźniejszości. Zdaniem Ninowa — w pracy tej mechanicznie zastosowano zapożyczoną z *Krótkiego kursu historii WKP(b)* periodyzację. W *Zarysie* brak szerokiego historycznego poglądu na literaturę jako na przejaw epoki; wypływa to także z braku naukowo opracowanej mirksistowskiej historii społeczeństwa radzieckiego, o czym mówiono na XX Zjeździe.

Obiektywnego obrazu historycznego rozwoju społeczeństwa radzieckiego nie mogły dać prace nasycone kultem jednostki. Te same motywy kierowały autorami *Zarysu.* Toteż w przeglądzie twórczości ostatnich 20 lat w książce tej pominięto pewne zjawiska literackie, przemilczano nazwiska pisarzy, wobec których — cytuję Ninowa —

„...dopuszczono się bezprawia i niesprawiedliwości. Sprawą honoru przyszłych historyków literatury jest ustalenie w żywym przebiegu procesów literackich istotnego miejsca i znaczenia utworów Brunona Jasieńskiego, M. Kolcowa, W. Kirszona, I. Babela i in.".*

Brak trwałych historycznych podwalin odbił się ujemnie na formułowaniu w *Zarysie* ogólnych prawidłowości rozwojowych literatury radzieckiej, na wartościowaniu poszczególnych zjawisk i utworów literackich, na konstrukcji i metodologii pracy. Ninow podaje np. takie *curiosa:* omawianie *Cichego Donu* (którego pierwszy tom ukazał się w roku 1928, a ostatni w 1940) zostało „rozparcelowane" na kilka odcinków, zależnie od daty wyjścia poszczególnych tomów. Podobny los spotkał analizę *Drogi przez mękę* A. Tołstoja i innych utworów. Oczywiście, takie dogmatyczne potraktowanie przedmiotu bardzo zaszkodziło analizie dzieł i całokształtu twórczości tych pisarzy.

Ninow wyraża pogląd, że historycy literatury powinni dążyć do uchwycenia żywej więzi między zjawiskami literackimi. Luźne, nie wbudowane w całość, kalejdoskopowo porozmieszczane recenzje i przypisy nie dają całości owego zsyntetyzowanego obrazu rozwoju literatury. Jedynie — tak bardzo konieczne — krytyczne przemyślenie całego dorobku i doświadczeń literatury pozwoli — zdaniem Ninowa — ogarnąć wzrokiem jej drogę rozwojową, pełną sprzeczności, będących odbiciem realnych, historycznych konfliktów epoki. „Czas już — pisze Ninow — wyrzec się ahistorycznego poglądu, że droga rozwoju literatury radzieckiej przedstawia sielankowy obraz gładkiego i nieprzerwanego zdobywania szczytu za szczytem."

Zdaniem autora omawianego artykułu — w *Zarysie* nie powiązano syntetycznie, nie zanalizowano obiektywnie występujących w rozwoju literatury powojennej ujemnych przejawów, wywołanych łamaniem i wypaczaniem leninowskich zasad partyjnej ideowości literatury, spowodowanych szablonowym, sekciarskim traktowaniem sztuki. „Przybieramy w stosunku do pisarzy ton komenderowania literaturą — czytamy w artykule Ninowa — nietolerancja wobec ludzi inaczej myślących, kategoryczne nakazy w wypadkach rozstrzygania polemicznych problemów twórczych — oto wstrętne grymasy literackiej odmiany »komczwaństwa« (dosłownie — „komunistycznej pychy", według wyrażenia Lenina — J. S.), które podniosło głowę w atmosferze kultu jednostki." Na przykładzie omówienia w *Zarysie* powieści Babajewskiego, Bubiennowa, Niekrasowa, Panowej — Ninow ilustruje brak perspektywy historyczno-literackiej w analizie poszczególnych utworów, mechaniczne niwelowanie indywidualności i oryginalności pisarzy. Ninow powołuje się na słowa Lenina o konieczności uszanowania indywidualności pisarzy i artystów. Słowa te dość często wprawdzie były powtarzane — pisze Ninow — ale w konkretnych sytuacjach historycy literatury bynajmniej nie zawsze do nich się stosowali.

W chwili obecnej istota sprawy polega właśnie na tym, by — cytuję Ninowa — „od gadaniny o koniecznej różnorodności kierunków i nurtów w literaturze radzieckiej przejść do praktycznego stworzenia realnych sytuacji i warunków, w których prądy te mogłyby się najbardziej owocnie rozwijać".

O dużej różnorodności środków artystycznych, wyrażających idee autora, pisał też N. Pierkin w polemicznym artykule o krytyce — *Z jednej krańcowości w drugą* („*Litieraturnaja Gazieta*" z 12.VI.). Głównym źródłem błędów w działalności krytyczno-literackiej są dziedziczone po literaturoznawstwie lat trzydziestych grzechy i przywary wulgarnego socjologizmu. „Dlatego właśnie — pisze Pierkin — potrzebna nam jest szczególnie stanowcza walka z wszystkim tym, co trąci »odrętwiającą« sztampą, narzucaniem szablonowych reguł, brutalnym pohukiwaniem." Bardzo zaszkodziła twórczości rozpowszechniana od kilku lat formuła typowości. „Wielu twórców uchwyciło się (stanowiącej rzekomo alfę i omegę typowości — J. S.) »istoty sił społecznych« — czytamy w artykule Pierkina — negliżując całko-

* Twórczość tych pisarzy wydawnictwa zaczynają już udostępniać czytelnikowi. Jak wiadomo, *Zmowę obojętnych* Jasieńskiego drukował „*Nowyj Mir*" (Nr 5, 6, 7/56). „Goslitizdat" przygotowuje do druku jednotomowy zbiór utworów wybranych Babela.

wicie najistotniejsze problemy warsztatu."

Zdaniem Pierkina nie należy jednak wpadać w przesadę i przeceniać zgubnego wpływu owej definicji typowości na twórczość literacką. Gwoli tej czy owej, nawet bardzo modnej, przez krytyków podsuniętej formułce literackiej prawdziwy pisarz-artysta nie podda pochopnie rewizji swego indywidualnego stylu, właściwych sobie zasad ideowo-artystycznych. „A gdy się dobrze zastanowimy — pisze Pierkin — to trzeba zgodnie z prawdą powiedzieć, że nikt z naszych wielkich pisarzy, ba! w ogóle nikt spośród ludzi o wyrobionym smaku estetycznym pod wpływem ciasnej formułki typowości nie zmienił swych poglądów na kwestię artyzmu."

Ze sprawą typowości wiąże się problem zaostrzania, wyolbrzymiania, hiperbolizowania obrazów literackich. Zdaniem Pierkina — na trudne te zagadnienia nie należy szukać jakiejś rozstrzygającej je uniwersalnej odpowiedzi. Niektórzy krytycy mają ciasne i zasklepione pojęcia o tych sprawach. Pierkin przytacza fakt, że pewnego prelegenta, historyka literatury, w silne zakłopotanie wprawiło zapytanie: „Czy Lermontowowski Mcyri posiada rysy typowe?"

Daje to Pierkinowi okazję do dłuższego wywodu o romantyzmie. Jego zdaniem, o poglądach badaczy radzieckich na sprawy romantyzmu i romantyczności panuje chaotyczna sprzeczność. A problem ten jest ważny. „Istnieją przecież — pisze Pierkin — literatury (np. polska literatura XIX wieku), w których romantyzm panował niepodzielnie w ciągu dziesięcioleci i rodził najlepsze owoce poezji." Pierkin wypowiada pogląd, że również i w literaturze radzieckiej — a więc nie tylko w rosyjskiej literaturze XIX wieku — można mówić o nurtach nacechowanych właściwościami romantyzmu, o romantycznym pierwiastku w realizmie socjalistycznym. Z różnych więc względów problem romantyzmu wymaga dokładnego przestudiowania.

Na marginesie pragnę podkreślić, że również Elsberg w omówionym na wstępie artykule *Realizm i... antyrealizm* prostuje zawiłe ścieżki próby „automatycznego przenoszenia dominującej w filozofii krytyki idealizmu na — romantyzm w literaturze". Zarazem jednak Elsberg protestuje przeciwko dopatrywaniu się w romantyzmie rewolucyjnym li tylko „formy realizmu".

„Coraz głośniej — pisze Pierkin — rozlega się wołanie o jak najtroskliwsze i czujne jak u dobrego gospodarza ustosunkowanie się do skarbów, nagromadzonych przez rozmaite kierunki i szkoły literackie." Możliwości rozwoju różnych nurtów, kierunków i metod artystycznych, swoistych środków i właściwości stylu, a także żarliwych poszukiwań twórczych — Pierkin ilustruje na przykładzie współczesnej poezji białoruskiej, w której wspaniale rozwija się nurt stylistyczny, biorący początek z tradycyj symbolistyki poezji ludowej (*Odwieczna pieśń* Janki Kupały, poemat *Symon-muzykant* Jakuba Kołasa, *Cymbały* Arkadija Kuleszowa).

Oczywiście różnorodne kierunki i nurty czerpią soki głównie z tradycyj twórczości rodzimej, ale rodzi je także i nowatorstwo pisarzy. Problem tradycji i nowatorstwa we współczesnej literaturze radzieckiej jest szczególnie ważki, gdy się go traktuje właśnie pod kątem realizmu socjalistycznego. W. Ozierow w *Niektórych zagadnieniach realizmu socjalistycznego* („*Znamia*" nr 5/56) rozwija myśl, że realizm socjalistyczny zdobywa zwolenników, przyjmuje się tam, gdzie literatura i sztuka — cytuję — „...wyrastają na podłożu najlepszych tradycji literatury, na kultywowaniu swoistości i oryginalności kultury narodowej, na przywiązaniu do bliskich ludowi i zrozumiałych form narodowych".

Zupełnie uzasadniona jest więc pasja, z jaką postępowi pisarze Zachodu zwalczają lewackich sekciarzy, negujących tradycyjne formy narodowe w imię wymyślonej przez siebie jednolitości, jednostajności metod i chwytów artystycznych, rzekomo obowiązującej we wszystkich literaturach realizmu socjalistycznego. Ozierow przytacza przykład: w krajach Ameryki Łacińskiej pseudonowatorzy gwałtownie zaprzeczają istnieniu poezji w ulubionym tam i tradycyjnym wolnym, białym wierszu. Takie stanowisko odrywa twórczość od jej narodowej gleby, od najlepszych wzorów i artystycznych osiągnięć narodowej kultury, nato-

miast więź z jej tradycjami zespala twórczość z życiem narodu.

„Życie narodu — pisze Ozierow — jest źródłem tematów i obrazów sztuki, źródłem natchnienia artystów, patosu ich twórczości. Wielki pisarz zawsze żyje życiem ludu, dąży do tego, aby stać się głosicielem jego ideałów, nastrojów, marzeń i dążeń.“ Jednakże ludowość literatury nie polega tylko na zwykłym odtwarzaniu artystycznych elementów ludowych, ale — i przede wszystkim — na tym, że pisarz czujnie skupia swą uwagę na istotnych i ważkich problemach życia narodowego, stale i żarliwie dąży do ich rozwiązania w interesie i dla dobra narodu. Ulubionych mistrzów pióra, zdobywców serc milionów czytelników — cechuje gruntowne zrozumienie narodowego życia, charakteru, swoiste poczucie odpowiedzialności i przeświadczenie, że nie wolno im stać na uboczu.

Taką postawę zdobywają pisarze radzieccy niełatwo, mają bowiem — zdaniem Ozierowa — do przezwyciężenia wiele błędów, obcych duchem teorii i dążeń, jak np. teoria „bohatera i tłumu“, która znalazła swoiste wcielenie w antyleninowskim „kulcie jednostki“. Odbił się on fatalnie na wielu stronach i elementach twórczości, najbardziej jednak na samej treści książek.

W utworach opiewających Stalina — daje przykład Ozierow — zwykłych, prostych ludzi przeważnie spychano na dalszy plan, by stanowili tło. Z kultu jednostki wypływało także apologetyczne traktowanie nawet postaci carów, wielkich dowódców wojskowych i działaczy państwowych z carskich czasów. „Sprawa zaszła tak daleko — pisze Ozierow — że Iwana Groźnego zaczęto przedstawiać nie tylko jako rozumnego i postępowego władcę, ale i jako »ludowego cara«, człowieka sprawiedliwego, dla swoich wrogów nawet nie dość srogiego.“

Wymagająca dokładnej analizy sprawa szkodliwego oddziaływania kultu jednostki jest bardziej złożona i rozleglejsza, niż to się na pozór wydaje. Nie wyczerpuje jej bowiem przesadne opiewanie w literaturze takiej czy innej osobistości historycznej. Ozierow dłużej zatrzymał się np. nad problemem — sprzecznego z tradycjami ludowości w postępowej przedrewolucyjnej literaturze rosyjskiej i w literaturze radzieckiej — braku zainteresowania (ze strony niektórych pisarzy) życiem ludu pracującego, jako twórcy historii. Z reguły bohaterami książek byli działacze większego lub mniejszego kalibru, natomiast prości ludzie traktowani byli często płytko, powierzchownie.

„Niekiedy — pisze Ozierow — osobę bohatera wysuwało się na pierwszy plan w sposób nader uproszczony. Autorzy sztucznie czynili zań istotę rozumniejszą, lepszą od pozostałych postaci, a więc — odległą od ludu, wszechwiedzącą i wszechmogącą. Natomiast przedstawiciele mas ludowych tylko »nadskakiwali« bohaterowi, zachwycając się każdym jego czynem, dając wyraz gotowości do wykonania każdego polecenia.“ Takie traktowanie bohatera sprzeczne jest z gruntu z tradycjami literatury, której głównym motywem twórczym od jej zarania jest zjawisko budzenia się mas ludowych do nowego życia, jest potężny rozmach walki o to nowe życie, są procesy kształtowania się nowej, socjalistycznej indywidualności.

Józef Spinc

WYJAŚNIENIA RECENZENTA

Szanowny Panie Redaktorze!

Z prawdziwą radością przeczytałem w nr 4 „*Twórczości*“ część wspomnieniową listu p. Duninówny o zabudowaniach ordynacji Zamoyskich w Warszawie. Z radością, ponieważ osobiste wspomnienia p. Duninówny ocalają od zapomnienia pewne cenne szczegóły z dziejów Warszawy, co wszystkim nam leży na sercu. Niemniej inne sprawy poruszone w jej liście wymagają mojej repliki. Autorka bowiem zarzuca niżej podpisanemu podanie „błędnej informacji“ w kwestii, którą nazywa ogólnie „sprawą Pałacu Błękitnego“, przy czym z tekstu listu wynika, że jej zarzuty pod moim adresem są liczniejsze i dadzą się ująć w trzech bodaj punktach: 1) G. myli się co do miejsca zamieszkania Odyńca, 2) nieprawidłowo oznacza położenie Pałacu Błękitnego, 3) twierdzi niesłusznie, że Pałac Błękitny dzieliło od ulicy Żabiej kilka posesji (p. D. dodaje również, że nazwałem je „obcymi“).

Wszystkie zarzuty mojej szanownej oponentki są bądź niesłuszne, bądź bezpodstawne, żadnego błędu nie popełniłem. Nie poczuwam się więc do winy i zmuszony jestem wystąpić we własnej obronie. Jedyną rzeczą, którą mogę sobie zarzucić, jest to, iż korygując drobne omyłki Pawła Hertza dążyłem do maksymalnej skrótowości w argumentacji i tak uzwięźliłem zaatakowane potem sformułowanie, że w rezultacie niejeden z czytelników nie odgadł, iż kierowałem go w dwuczłonową przecież omyłkę Pawła Hertza.

Paweł Hertz na str. 17 *Notatek z obu brzegów Wisły* pisze: „Młodziutki Antoni Edward Odyniec, przyjaciel młodzieńczych lat Mickiewicza, żył w Warszawie z łaski ordynata Zamoyskiego w jego Pałacu Błękitnym u zbiegu Żabiej i placu Bankowego“. Zdanie to zacytowałem w recenzji i opatrzyłem następującym komentarzem: „Wszystko to prawda, tylko że Pałac Błękitny stał i stoi u zbiegu Senatorskiej i placu Bankowego. Od ulicy Żabiej dzieliło go — do chwili przebicia Marszałkowskiej przez Ogród Saski — kilka posesji przy placu Bankowym, obecnie dzieli go od niej szerokość ulicy Marszałkowskiej.“ Nadal twierdzę i udowadniam to poniżej, że wywody p. Duninówny zupełnie nie podważają prawdziwości i słuszności tego komentarza.

Oto uzasadnienie. Oczywiste jest, iż cytowane zdanie Hertza zainspirowane zostało m.in. przez znany każdemu warszawiakowi dwuwiersz:

> Odyniec z Ordyńcem z ordynata łaski
> Ordynkiem osadzeni patrzą w Ogród Saski.

Cóż jeszcze powiadają fakty historyczne? Że Odyniec jako guwerner młodego ordynata mieszkał w jednym z domów wchodzących w kompleks zabudowań ordynacji Zamoyskich. Mieszkał w domu, do którego wejście prowadziło od ulicy Żabiej, czyli, można powiedzieć, „żył u zbiegu Żabiej i placu Bankowego“, ale — jako żywo — nie mieszkał w Pałacu Błękitnym. Pisząc

„Pałac Błękitny stał i stoi u zbiegu Senatorskiej i placu Bankowego", chciałem (wskazawszy na niewątpliwie błędne u Hertza usytuowanie Pałacu Błękitnego, o czym będzie mowa poniżej) — zwrócić uwagę autora książki i czytelników recenzji na istnienie drugiej nieścisłości w tym samym zdaniu, która nieuchronnie wynikła z popełnienia pierwszej. Żałuję, że przeholowałem w skrótowości i nie dopisałem w recenzji uwagi następującej: cytowane zdanie ze str. 17, jeśliby autor dbał o precyzję, winno brzmieć: „Młodziutki A. E. Odyniec, przyjaciel młodzieńczych lat Mickiewicza, żył w Warszawie z łaski ordynata Zomoyskiego, mieszkając w jednej z oficyn Pałacu Błękitnego, tej akurat, do której wejście wiodło z ulicy Żabiej w pobliżu placu Bankowego, a okna wychodziły na Ogród Saski." Tyle, jeśli idzie o sprawę Grzeniewski contra Hertz.

P. Duninówna natomiast w swym liście postawiła zarzut, że to ja mylę się co do miejsca zamieszkania Odyńca, pomijając milczeniem fakt, że atakowałem Hertza wyłącznie za niewłaściwe określenie położenia Pałacu Błękitnego, przy czym sądziłem, że skorygowanie tego błędu samo przez się wyjaśni czytelnikom znającym historię Warszawy sprawę Odyńca (dokładne miejsce zamieszkania Odyńca jest bowiem faktem ogólnie znanym i podaje je każdy szczegółowszy przewodnik). Błąd mojej oponentki nie płynie wszelako z nieuważnego odczytania mego tekstu. Drugie nieporozumienie między mną a p. Duninówną — nierównie istotniejsze — wynika stąd, że ja — zgodnie ze stanowiskiem historyków zajmujących się dziejami Warszawy — nazywam Pałacem Błękitnym gmach zbudowany w początkach wieku XVIII (data ukończenia 1726 r.) przez króla Augusta II dla córki Anny Orzelskiej. Pałac ten, kryty błękitną blachą, rychło otrzymuje nazwę „Pałacu Błękitnego", zbudowany zaś zostaje przy ulicy, która już od XVII w. nosiła nazwę Senatorskiej. W r. 1798 pałac przechodzi od Czartoryskich do Zamoyskich. W r. 1815 budowniczy F. A. Lessel na polecenie Stanisława Zamoyskiego przebudowuje pałac w stylu epoki (stąd napis istniejący do dziś: „Roku przywrócenia Królestwa").

Każdy warszawiak pamięta, że Pałac Błękitny stał u zbiegu Senatorskiej i placu Bankowego. Tak więc ja nazywam Pałacem Błękitnym budynek zbudowany w kształcie rosyjskiej litery P (П), który, spalony w 1944 r., odbudowany został po wojnie w stylu z 1815 r. i który, jak to każdy może sprawdzić, stoi u zbiegu Senatorskiej i placu Bankowego (dokładny adres: Senatorska nr 37).

Natomiast p. Duninówna nazywa (tak to wynika z jej listu) „Pałacem Błękitnym" — wszystkie budynki, które w końcu XIX w. i początkach XX wchodziły w obręb tutejszych zabudowań ordynacji Zamoyskich (stwierdza np.: „Cały ten kompleks zabudowań należał w całości do Pałacu Błękitnego"). I dlatego też za „Pałac Błękitny" uważa tandetny budynek stojący u zbiegu Żabiej i placu Bankowego, który zbudowano w celach dochodowych w w. XIX, jak również za część Pałacu uważa budynek biblioteki ordynacji Zamoyskich, który — w swoim ostatecznym kształcie — powstał w 1868 r., a więc w 150 lat po zbudowaniu Pałacu. To, co naprawdę było i jest Pałacem Błękitnym, nazywa „głównym korpusem Pałacu Błękitnego". Ośmielam się twierdzić stanowczo, że wszystkie te określenia są błędne. Wydaje mi się, że omyłka p. Duninówny wzięła się stąd, że mieszkańcy zabudowań ordynacji mówili zapewne o sobie potocznie, lecz nieprawidłowo, że „mieszkają w Pałacu Błękitnym" — i ten utarty zwrot kazał autorce listu zapomnieć o tym, że nie można całości późniejszych zabudowań ordynacji Zamoyskich (w ich stanie powiedzmy z końca XIX w.), nazywać mianem przysługującym zabytkowemu Pałacowi, którego mury pamiętają początek XVIII wieku, a którego zarówno budowa jak i powstanie nazwy datują się grubo wcześniej, zanim pojawili się w nim Zamoyscy ze swoją ordynacją.

Stojąc na takim, zgodnym z faktami historycznymi, stanowisku, miałem pełne prawo napisać, że Pałac Błękitny dzieliło od ulicy Żabiej (do 1944 a ściślej 1947 r.) kilka posesji (nazwy „kilka posesji" użyłem w znaczeniu: kilka domów, kilka budynków — jako skrót utartego zwrotu „posesja kamieniczna"). Napisałem zaś k i l k a posesji, ponieważ miałem na myśli nie tylko dom narożny, ale i zabudowania wewnętrzne (m. in. budynek biblioteki) —

czyli to wszystko, co dziś zniknęło, ustępując miejsca biegnącej na północ Marszałkowskiej. Pozwolę sobie również nadmienić, że nigdzie ani półsłówkiem nawet nie sugerowałem, że budynki te nie należały do zabudowań ordynacji, ani że nie były własnością Zamoyskich — napisałem tyle, że nie były one Pałacem Błękitnym.

P. Duninówna, zarzucając mi niepopełnione błędy, zagmatwała również sprawę miejsca zamieszkania Odyńca tak dalece, że po lekturze jej listu niejeden z czytelników *„Twórczości"* mógł pomyśleć, że bezpodstawnie zaatakowałem autora *Notatek z obu brzegów Wisły*. Fakty jednak — a fakty to rzecz uparta — przemawiają na moją korzyść.

Ponieważ zdarzyć się może, że ktoś z kolei zapała chęcią podjęcia polemiki w sprawie przebicia ulicy Marszałkowskiej przez Ogród Saski — odnotowanej również skrótowo w tym samym fragmencie mojej recenzji, który wywołał tyle wątpliwości p. Duninówny — wyjaśniam na zapas, że w roku 1935 przebito Marszałkowską przez Ogród Saski do placu Żelaznej Bramy i ul. Żabiej. Nie przebito jej wtedy do placu Bankowego, gdyż dostęp bezpośrednio do placu zagradzały zabudowania ordynacji Zamoyskich, owe „kilka posesji". Dopiero w latach 1947—1948 uprzątnięto zniszczone w 1944 r. zabudowania i skierowano podwojoną jezdnię Marszałkowskiej oraz nową linię tramwajową wprost na plac Bankowy... Chciałbym, aby czytelnicy *„Twórczości"* wynieśli z lektury tego sprostowania korzyść ogólniejszą, a mianowicie uprzytomnili sobie, iż guwernerowie tacy, jak młodziutki Odyniec, mieszkali zazwyczaj w oficynach czy zabudowaniach przypałacowych i nie zajmowali apartamentów w ordynackich pałacach, bez względu na swoje wyobrażenia o własnym miejscu zamieszkania...

Ludwik B. Grzeniewski

NA MARGINESIE KALENDARZA SIENKIEWICZOWSKIEGO

Praca prof. dr. J. Krzyżanowskiego pt. *Kalendarz życia i twórczości Henryka Sienkiewicza* (PIW, 1954) ma niewątpliwie dużą wartość naukową jako pierwsza i jedyna dotąd rzeczowa podstawa do odpowiednich badań nad dziełem literackim wielkiego pisarza. W roku bieżącym jako „roku sienkiewiczowskim" zapowiedziane jest ukazanie się drugiego jej wydania, co — wobec zupełnego wyczerpania edycji pierwszej — należy powitać z uznaniem i radością. Korzystając wszakże z tej okoliczności, pragnę na tym miejscu dorzucić parę uwag celem sprostowania bądź uzupełnienia kilku szczegółów.

Tak więc na str. 42 dzieła znajdujemy wiadomość, że szkic Sienkiewicza o Mikołaju Sępie-Szarzyńskim został „zapisany pod wpływem ówczesnego profesora literatury polskiej w Szkole Głównej, Józefa Przyborowskiego".

Otóż wiadomość ta jest nieścisła, albowiem Józef Przyborowski nie był profesorem literatury polskiej, lecz od dn. 1 kwietnia 1863 r. lektorem, a od 1865 r. profesorem języka polskiego oraz bibliotekarzem w Szkole Głównej.[1] Katedrę natomiast historii literatury polskiej w tejże Szkole zajmował od dn. 1 października 1866 r. (przedtem była ona nie obsadzona) Aleksander Tyszyński (1811—1880), uczeń Uniwersytetu Wileńskiego i autor m. in. książki pt. *Amerykanka w Polsce* oraz dwutomowego dzieła, napisanego w duchu heglizmu, pt. *Pierwsze zasady krytyki powszechnej*. Wzmianka (zdawkowa) o Tyszyńskim znajduje się w liście Sienkiewicza do J. Horaina z sierpnia 1876 r. (*Dzieła*, t. IV, str. 231), omówienie zaś dorobku naukowego profesora — w artykule T. Grabowskiego pt. *Stanowisko Tyszyńskiego w dziejach krytyki literackiej w Polsce* („*Pam. Lit.*" 1925/26; str. 317 i n.).

Dodać należy, iż w roku akademickim 1866/67 funkcję docenta historii literatury polskiej w Szkole Głównej pełnił Adam Bełcikowski, którego prace naukowe zawiera książka pt. *Ze studiów nad literaturą polską*, Warszawa 1886.[2]

W związku z informacją o członkostwie Sienkiewicza w Petersburskiej Akademii Nauk godzi się wspomnieć, że po śmierci wielkiego twórcy miej-

[1] *Szkoła Główna Warszawska*, Wydział Filologiczno-Historyczny. Kraków 1900, t. I; str. 201 i n.

[2] Tamże, str. 218 i n.

sce jego zostało odziedziczone przez innego Polaka, Tadeusza Zielińskiego, wybitnego znawcę i profesora filologii klasycznej na Uniwersytecie Petersburskim, a od 1919 r. — na Uniwersytecie Warszawskim. „W 1917 roku zostałem powołany na honorowego członka Wydziału Literatury Pięknej Petersburskiej Akademii Nauk jako następca śp. Henryka Sienkiewicza" — podaje znakomity uczony.[3] Zgodnie ze zwyczajem panującym w Akademii prof. Zieliński wygłosił wówczas interesującą mowę poświęconą swemu poprzednikowi pt. *Idea Polski w dziełach Sienkiewicza.*[4]

---

[3] *Z ojczystej niwy*, 1923, wyd. II, str. 7.
[4] Tamże, str. 103 i n.

Zygmunt Sitnicki

KOMUNIKAT

Wydawnictwo Literackie w Krakowie przystępuje do prac redakcyjnych nad mającym się wkrótce ukazać tomem dzieł Brunona Schulza, w skład którego wejdzie całość dorobku twórczego zamordowanego w czasie okupacji pisarza, a to *Sklepy cynamonowe, Sanatorium pod klepsydrą i* opowiadanie *Kometa.* Tom niniejszy ilustrowany będzie rysunkami autora. W związku z tym Wydawnictwo Literackie w Krakowie zwraca się do wszystkich posiadaczy wszelkiego rodzaju oryginalnych ilustracji Brunona Schulza z uprzejmą prośbą o łaskawe czasowe udostępnienie ich Wydawnictwu za odpowiednim wynagrodzeniem. Korespondencję prosimy kierować na adres: Wydawnictwo Literackie, Kraków, ul. Basztowa 10, I p.

Książki nadesłane

LITERATURA PIĘKNA

Proza

Linkow Lew — *Na strażnicy*. Tłumaczył z rosyjskiego Mikołaj Dąb. Okładkę i kartę tytułową projektował Jerzy Kępkiewicz. Warszawa, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1956; str. 212, 4 nl.

London Jack — *Martin Eden*. Przełożył Zygmunt Glinka. Okładkę projektował Waldemar Świerzy. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 114, 2 nl.

— *Zew krwi*. Przełożyła Eleonora Romanowicz. Okładkę projektował Marian Stachurski. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 114, 2 nl.

Łyńkow Michaś — *Niezapomniane dni*. Z rosyjskiego tłumaczyła Maria Traczewska. Okładkę i stronę tytułową projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1956, wydanie I; str. 920, 4 nl.

Makuszyński Kornel — *Awantura o Basię*. Okładkę projektował Roman Cieślewicz. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 269, 3 nl.

Meissner Janusz — *Wraki*. II. Okładkę projektował Janusz Stanny. Warszawa, „Iskry", 1956, wydanie IV; str. 254, 2 nl.

— *Trzy diamenty*. Okładkę projektował Janusz Grabiański. Objaśnienia i rysunki do objaśnień — autora. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 303, 3 nl.

— *Żądło Genowefy*. Okładkę projektował Janusz Grabiański. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 221, 3 nl.

Multatuli (Edward Douwes Dekker) — *Maks Havelaar*. Przełożyła Bronisława Neufeldówna. Okładkę projektował Jerzy Cherka. Przedmowę napisał, słownictwo i realia indonezyjskie opracował Robert Stiller. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 257, 3 nl.

Nexö Martin Andersen — *WSPOMNIENIA*. Tom IV. *Kres wędrówki*. Tłumaczył z duńskiego Józef Mondschein. Okładkę projektował Jerzy Cherka. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 123, 1 nl.

Niemcow W. — *Cień pod ziemią*. Przełożył Jerzy Litwiniuk. Ilustrował Andrzej Kurkowski. Okładkę projektował Mirosław Pokora. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 293, 3 nl.

Pavese Cesare — *Noc Świętego Rocha*. Opowiadania. Przełożyli: Zofia Ernstowa i Marcin Czerwiński. Okładkę projektowała Ewa Lubelska-Frysztak. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 224, 4 nl.

Piętak Stanisław — *Bliski kraj*. Powieść. Okładkę projektowała Maria Uszacka. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 285, 3 nl.

Powieści ludu rzeszowskiego. Wybór i przygotowanie tekstu: Mieczysław Karaś. Karta tytułowa i ilustracje: Andrzej Stopka. Słowo wstępne: Julian Przyboś. Posłowie: Franciszek Kotula. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1956; str. 266, 2 nl.

Priszwin Michał — *Puszcza*. Tłumaczyli z rosyjskiego Teresa i Włodzimierz Boruńscy. Okładkę projektowała Jadwiga Cybulska. Ilustrował Jan Lenica. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 281, 1 nl.

Putrament Jerzy — *Notatki polemiczne*. Okładkę projektował Andrzej Radziejowski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 225, 3 nl.

— *Wrzesień*. Okładkę i kartę tytułową projektował Andrzej Radziejowski. Warszawa, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1956, Wydanie VI; str. 438, 2 nl.

Rodziewiczówna Maria — *Lato leśnych ludzi*. Okładkę projektował Mirosław Pokora. Warszawa, „Iskry", 1956, str. 180, 4 nl.

Rudnicki Adolf — *Kartki sportowe.* Okładkę i kartę tytułową projektował Jerzy Jaworowski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie II; str. 109, 3 nl.

— *Pałeczka, czyli każdemu to, na czym mu mniej zależy.* Wydanie drugie poprawione. Okładkę i kartę tytułową projektował Jerzy Jaworowski. Warszawa, „Czytelnik", 1956; str. 90, 2 nl.

Rusinek Michał — *Muszkieter z Itamariki.* Przypisy i redakcja: Tomasz Jodełka. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie II; str. 419, 1 nl.

Scherfig Hans — *Skorpion.* Tłumaczyła Maria Kelles-Krauz. Okładkę projektował Andrzej Radziejowski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 296, 2 nl.

Simonow Konstanty — *Towarzysze broni.* Tłumaczyła z rosyjskiego Janina Dziarnowska. Obwolutę, okładkę i stronę tytułową projektował Mieczysław Wiśniewski. Warszawa, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1956, wydanie II; str. 658, 2 nl.

Słonimski Michał — *Rodzina Ławrowów.* Powieść. Przełożyła z rosyjskiego Eleonora Słobodnikowa. Okładkę projektowała Ewa Lubelska-Frysztak. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 311, 1 nl.

Starostecki Tadeusz — *Plan Wilka.* Okładkę projektował Janusz Grabiański. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 271, 1 nl.

Strumph-Wojtkiewicz Stanisław — *Sierakowski.* Powieść z lat 1848—1863. Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie II; str. 568, 4 nl.

Szyszkow Wiaczesław — *Rzeka Posępna.* Powieść. Tom I i II. Przełożył z rosyjskiego Czesław Jastrzębiec-Kozłowski. Okładkę i stronę tytułową projektowała Irena Derent. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie III; tom I str. 491, 1 nl; tom II str. 539, 1 nl.

Voynich Ethel L. — *Szerszeń.* Przełożyła Maria Kreczowska. Ilustrował Mieczysław Majewski. Obwolutę i oprawę projektował Jan Młodożeniec. Warszaszawa, „Iskry", 1956, wydanie III; str. 282, 2 nl.

Wasilewska Wanda — *PISMA ZEBRANE.* Tom II. *Tęcza. Po prostu miłość. Gdy światło zapłonie. Bartosz Głowacki.* Okładkę i strony tytułowe projektował Andrzej Radziejowski. Warszawa, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1956, wydanie I; str. 813, 3 nl.

— *PISMA ZEBRANE.* Tom III. *Pieśń nad wodami.* Część pierwsza. *Płomień na bagnach.* Część druga. *Gwiazdy w jeziorze.* Okładkę i strony tytułowe projektował Andrzej Radziejowski. Warszawa, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1956, wydanie I; str. 569, 3 nl.

W odzyskanym domu. Almanach literacki wrocławskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Pod redakcją Bogdana Butryńczuka i Zbigniewa Kubikowskiego. Projekt oprawy oraz przerywniki w tekście Stanisława Andrzeja Cyrano. Wrocław, Zakład imienia Ossolińskich, 1956, wydanie I; str. 422, 2 nl.

Żukower Herbert — *My ze Straszydła.* Okładkę i ilustracje projektował Bohdan Butenko. Warszawa, „Iskry", 1956; str. 131, 1 nl.

Esej i krytyka

Batowski Henryk — *Mickiewicz jako badacz słowiańszczyzny.* Okładkę projektował Stanisław Kobielski. Wrocław, Zakład imienia Ossolińskich, 1956, wydanie I; str. 110, 2 nl.

Fiszman Samuel — *Z problematyki pobytu Mickiewicza w Rosji.* Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1956, wydanie I; str. 90, 2 nl.

Kleiner Juliusz — *O Krasickim i o Fredrze dziesięć rozpraw.* Okładkę projektował Stanisław Kobielski. Wrocław, Zakład imienia Ossolińskich, 1956, wydanie I; str. 210, 2 nl.

Koraszewski Jacek — *Czym był Mickiewicz dla Śląska w okresie walk o wyzwolenie społeczne i narodowe.* Okładkę projektował J. Dutkiewicz. Stalinogród, wydawnictwo „Śląsk", 1956; str. 105, 3 nl.

Krzyżanowski Julian, Libera Zdzisław, Pigoń Stanisław, Przyboś Julian, Wolpe Henryk, Żółkiewski Stefan — *Mickiewicz.* Siedem odczytów. Przypisy opracował Janusz Odrowąż-Pieniążek. Okładkę projektował Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1956, wydanie I; str. 182, 2 nl.

Magnuszewski Józef — *Mickiewicz wśród Słowaków.* Okładkę projektował Wiesław Kosiński. Wrocław, Zakład im. Ossolińskich, 1956, wyd. I; str. 274, 4 nl.

Wyka Kazimierz — *Szkice literackie i artystyczne.* Tom I i II. Okładkę projektował Kazimierz Wojtanowicz. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1956; tom I str. 330, 2 nl; tom II str. 354, 6 nl.

W najbliższych numerach ukażą się:

Witold Gombrowicz

FRAGMENTY Z DZIENNIKA

Franz Kafka

KOLONIA KARNA

Aleksander Minkowski

JEDEN WIECZÓR W ŁOSIEWIE

Rainer Maria Rilke

NOWE PRZEKŁADY

Maciej Żurowski

G. B. SHAW

Cena zł 7.–